Dzień Kobiet

- **Binoche:** Nie wiedziałam, że potrafię tańczyć ▸32
- **Kobiety oszczędzają** inaczej niż mężczyźni ▸4
- Co robi on, **gdy ona płacze** ▸8

WYSOKIE OBCASY

Polskie myśliwe
Ze śmiercią im do twarzy

FOT. REUTERS/NADJA WOHLLEBEN, SHUTTERSTOCK

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

SAFE A ZAKUPY POLSKIEJ ARMII

Czy Amerykanie nas naciągają

▸10

FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, K2XE/CC BY-SA 4.0, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA, JAKUB PIOTROWSKI

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 10>

Monika Jaruzelska: Poglądy nas ograniczają ▸18

Plan na Iran był inny. Trump zareagował ad hoc ▸22

Chcesz pojeździć samochodem po morzu. **Pojedź do Estonii** ▸34

O czym milczą **„Kamienie na szaniec”** ▸40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 7-12 marca 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 55.11154, 1 Nakład 73 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl 738f82d54d

100. URODZINY

Wajda patrzy w słońce

FOT. WALDEK SOSNOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jarosław Kurski

Nie tworzył sienkiewiczowskich malowanek, serc nie krzepił, **nie epatował naszym bohaterstwem.**

Na wielkie rocznice zwykle pisze się wielkie epitafia. Cóż, kiedy jest poza wszelką dyskusją, że Andrzej Wajda rzeczywiście wielkim artystą, reżyserem, wizjonerem kina, narodowym sumieniem i jątrzycielem ran był!

Niewygodnym i dla komunistów, i dla narodowych komunistów spod znaku Mieczysława Moczara, nieznośnym dla „prawdziwych Polaków" i dla antykomunistów. To nie było kino jednoznacznie rozłożonych racji.

Nie tworzył sienkiewiczowskich malowanek, serc nie krzepił, nie epatował naszym bohaterstwem, nie dmuchał w balon narodowej megalomanii.

Jak wiadomo, w Polsce – kraju, w którym Polak Polakowi zazdrości nawet nieszczęścia – każda wybitność musi zostać ukarana. Zachwytom nad Wajdą towarzyszyła więc zawsze polska atmosferka obmowy, że „swoją wielkością przytłaczał inne talenty i rozkwitnąć nie pozwalał", że „realizował nie swoje, ale gdzieś zasłyszane albo podpatrzone pomysły", że „dla efektu kinowego strącił w przepaść żywego konia", a już całkowicie nie do pomyślenia, że odniósł międzynarodowy sukces. Zbrodnia to niewybaczalna. Witajcie w Polsce.

Urodzony w 1926 r. Andrzej Wajda w 1943 miał lat 17. Akurat tyle, by złożyć przysięgę i pełnić funkcję łącznika w radomskiej Armii Krajowej. Do pierwszej wsypy. Szczęśliwie ucieknie z Radomia do Krakowa, do wujostwa. Tam zazna pierwszych artystycznych olśnień. W krakowskich Sukiennicach niemieccy okupanci urządzą wystawę japońskich zbiorów Feliksa Jasieńskiego „Mangghi". Młody Wajda wkroczy w krainę sztuki i na całe życie pozostanie głodnym doznań artystą.

Pierwszy ten artystyczny zachwyt, który zakończył się postanowieniem: „Chcę być malarzem", obciążony był ambiwalencją, z którą w czasie PRL twórca mierzyć się będzie nieustannie. Ekspozycję przygotował bowiem okupant; w geście przyjaźni wobec swego japońskiego alianta. A mimo to, zamiast zbojkotować wystawę, młody akowiec Andrzej Wajda poszedł ją obejrzeć. Zwyciężyła ciekawość. Narodził się artysta. W PRL – mimo wszystko – będzie robił filmy.

●

Czas PRL-owskiego zakłamania zniechęcał do podejmowania prawdziwej dyskusji o polskich dziejach. Nasze niewzruszalne świętości zohydzali przecież komuniści. Nie chcieliśmy się do tego przyłączać. Nie chcieliśmy czytać, słuchać ani oglądać o ich ciemnych kartach, o ich nieprawościach, o nieprzygotowaniu do wojny, które nie tylko wynikało z obiektywnego zacofania cywilizacyjnego, ale także z tchórzostwa, głupoty, arogancji, mocarstwowych urojeń i faszyzacji sanacyjnych elit...

To samo dotyczyło czasu wojny, AK-owskiej konspiracji, decyzji o wywołaniu w Warszawie powstania czy powojennego dramatu pokolenia Kolumbów. Nie chcieliśmy nawet krytycznie patrzeć na nasze XIX-wieczne dzieje: powstania, napoleońską epopeję i niepodległościowe zmagania. To była sfera mitu.

Prawdziwa debata, którą Wajda podejmował, mogła sprawiać wrażenie przyłączania się do krytyki ludzi i zdarzeń zohydzanych przez komunistyczną propagandę.

Tymczasem Wajda stanął wobec dylematu: albo mimo cenzury i narodowo-komunistycznej poprawności będzie robił filmy, albo te filmy nigdy nie powstaną. Wiemy, co był wart Andrzej Wajda jako artysta, reżyser. Nie wiemy, co byłby wart jako opozycjonista bez budżetu, planu, kamery i aktorów...

Na szczęście dla polskiej kultury Wajda podjął grę z władzą. Na szczęście rozpoczął narodową dyskusję o nas samych. Ściągnął na siebie gromy obrońców „godności Polaków", ale sprawił, że w nową epokę wolności wchodziliśmy dojrzalsi.

Wajda tak tłumaczył swą postawę: „Polacy wzięli się do odbudowy Polski, a niekoniecznie do budowy PRL. I to nie PRL tworzył nam te wszystkie możliwości robienia filmów. Sami je wymusiliśmy. To było nasze życie i drugiego nie mieliśmy. Oczywiście mieliśmy rząd emigracyjny w Londynie, ale to przecież nie z tym rządem musiałem negocjować powstawanie moich nowych filmów. Zresztą, gdybyśmy wszyscy powiedzieli »nie«, to gdzie Polska byłaby dzisiaj? A coś jednak nam się udało. Nam, inteligentom, profesorom uniwersytetów, architektom, młodym artystom...".

Czy Wajda powinien był powstrzymać się od robienia filmów, nie ranić naszych patriotycznych uczuć i desperacko czekać wolności? Czy wkładać do narodowego skarbca obrazy, które pozostaną w nim na zawsze nie jako epitafia, ale jako rozliczanie nas samych ze sobą.

●

Wajdzie udawała się rzadka sztuka. Przez kino narodowego rozrachunku z polską historią tworzył obrazy uniwersalne, przemawiające do widzów językiem zrozumiałym pod każdą szerokością geograficzną.

Byłem jeszcze uczniem podstawówki, gdy zachorowałem na zapalenie oskrzeli. W domu zostałem sam. W telewizji dawali „fajny wojenny film", którego dramat rozgrywał się w ciasnych, ciemnych kanałach. Na całe życie zapadły mi w pamięć dwie sceny. Pierwsza, gdy łączniczka „Stokrotka" (Teresa Iżewska) prowadzi rannego Jacka „Koraba" (Tadeusz Janczar) ku wyjściu z kanału. Słoneczne światło i powiew wiślanego wiatru są tylko fałszywą obietnicą wolności, bowiem wyjście z tego mrocznego i cuchnącego labiryntu jest zakratowane. Jakaż siła symbolu!

Na szczęście dla polskiej kultury Wajda podjął grę z władzą. Na szczęście rozpoczął narodową dyskusję o nas samych.

Scena druga to znów zderzenie zapowiedzianej na początku filmu antycznej wróżby o zagładzie całej kompanii porucznika „Zadry" (Wieńczysław Gliński) ze złudną nadzieją oszukania losu. „Zadra" idący kanałami na czele oddziału z Mokotowa do Śródmieścia dowiaduje się, że został oszukany przez sierżanta „Kulę" (Tadeusz Gwiazdowski), który nie zameldował mu o odłączeniu się reszty powstańców od grupy. W szale „Zadra" zabija „Kulę" i na powrót schodzi do kanału w poszukiwaniu zagubionego oddziału.

Nie muszę mówić, że to sceny z kultowego „Kanału" Andrzeja Wajdy. Jak na tamte czasy – 1957 r. – nowatorskie arcydzieło. Było w tym filmie to „coś", co zawładnęło wyobraźnią chłopaka z podstawówki w szarym Gdańsku lat 70. i zachwyciło jury festiwalu w Cannes, które przyznało Wajdzie nagrodę specjalną – Srebrną Palmę. Tym czymś był artystyczny geniusz Wajdy.

Ta iskra geniuszu przeskakiwała w filmach, bez których po prostu nie sposób wyobrazić sobie polskiej historii kina, polskiej kultury. Wymieniam te dla mnie najważniejsze: „Kanał", „Popiół i diament", „Ziemia obiecana" (największe dzieło Mistrza!), „Popioły", „Wesele", „Bez znieczulenia", „Brzezina", „Panny z Wilka", „Człowiek z marmuru", „Człowiek z żelaza", „Korczak", „Danton", „Pan Tadeusz", „Wałęsa", „Katyń", „Powidoki".

Nie wymieniam wielu innych bardzo dobrych, ale i tych nieudanych, przez które owa wajdowska iskra nie przeskoczyła i do których sam reżyser nie chciał wracać.

Wajda był otwarty. Wsłuchiwał się w pomysły innych. Nie uważał, że wie najlepiej. Mówił, że „to najpiękniejszy moment pracy: wtedy, kiedy aktor przynosi to, czego reżyser się nie spodziewa". Tak było po wielekroć, choć najbardziej spektakularny przypadek to ten z „Ziemi obiecanej".

Oto Moryc Welt (Wojciech Pszoniak) wychodzi z biura przemysłowca Grünspana (Sta-

eprasa.pl 738f82d54d

nisław Igar) po wyczerpującej kłótni o pieniądze, które bezczelnie wyłudził. Osuwa się na ziemię. W tym momencie ulatuje dramatyzm całej sceny. Jak ją zakończyć? Pszoniak proponuje przełamanie konwencji. Odwraca się do kamery, szeroko uśmiecha i macha do widza. Genialne! Reżyser kupuje pomysł.

●

Są w „Popiele i diamencie" niezapomniane sceny symbole, które stały się ikonami powojennych rozrachunków z rzeczywistością. Zapalane przez Maćka Chełmickiego (Zbigniew Cybulski) kieliszki spirytusu jak znicze dla pomordowanych przyjaciół. W tle ktoś gra „Czerwone maki". Andrzej (Adam Pawlikowski) z każdym zapalonym kieliszkiem recytuje: „Haneczka", „Wilga", „Kosobucki", „Rudy", „Kajtek"... Gdy Maciek chce podpalić ostatnie dwa kieliszki, Andrzej chwyta go za rękę i mówi: „My żyjemy".

Inna scena nakręcona w Kościele Św. Jana w Gdańsku rozgrywa się przy zwisającej głową w dół figurze ukrzyżowanego Chrystusa. To metafora zupełnego odwrócenia porządku społecznego i politycznego w Polsce, w którym Maciek Chełmicki nie może się odnaleźć, a przecież on tylko chce żyć! Normalnie żyć! Już nie chce zabijać. I wreszcie scena ostatnia, która stała się jednym z najczęściej używanych „batów na Wajdę": śmierć Maćka na śmietniku. O tę scenę Wajda walczył, przy niej się upierał, a obrońcy narodowej godności nie mogli mu jej darować. Wajda argumentuje: „Co to za władza, która pozwala umrzeć na śmietniku bohaterowi, z którym widz się identyfikuje!".

●

Metafory mają to do siebie, że każdy czyta je po swojemu.

A ileż się nasłuchał Wajda, że „lży i poniża" przy ekranizacji „Popiołów" Stefana Żeromskiego. Rzecz w tym, że szarża pod Somosierrą podjęta w imię wolności Polski była zniewoleniem Hiszpanii, czego widzieć nie chcemy. Nie da się też zaprzeczyć polskim mordom i gwałtom w Saragossie i na San Domingo. I jakież to niesienkiewiczowskie, że kolejna próba walki u boku Napoleona kończy się klęską i odwrotem spod Moskwy Rafała Olbromskiego, który ze zbielałą źrenicą, pozbawiony konia sunie w mundurze wypchanym słomą przez białe pustkowie Rosji.

Obrońcy polskiego honoru zarzucali Wajdzie ahistoryzm, pogardę dla historycznych realiów, jakby zapominali, że Wajda nie był dokumentalistą, ale filmowcem, artystą operującym symbolem.

Innym batem na Wajdę była scena z „Lotnej", w której polski ułan walił szablą w lufę niemieckiego czołgu!

Wiemy, że tak przedstawiała Polaków hitlerowska propaganda, kawaleria przecież nigdy nie szarżowała wprost na czołgi! Ale tym właśnie – metaforą – rządzi się język kina.

Czy gdyby Wajda realistycznie odtworzył masakrę połączonych pułków ułanów jazłowieckich i małopolskich pod Wólką Węglową z września 1939 r., to byłoby bardziej patriotycznie? Polacy podjęli szarżę z intencją przebicia się do oblężonej Warszawy. Zginęło 105 ułanów, 100 zostało rannych. Nie rozpoznano, że w Mościskach, na skraju wsi, ustawione jest gniazdo niemieckich karabinów maszynowych i czołgi, które zasypały szarżujących gradem pocisków.

Rozliczenie z ułańską Polską było osobistą rozmową syna z ojcem, kapitanem kawalerii Jakubem Wajdą, który zginął w Katyniu. Tak jak i sam film „Katyń" nakręcony z nieoczywistej perspektywy dramatu kobiet czekających na próżno – tak jak matka reżysera – na powrót mężów z sowieckiej niewoli.

I ostatni właściwie tryptyk filmów: „Człowiek z marmuru", „Człowiek z żelaza", „Wałęsa", filmów, które wplotły się w historyczne wydarzenia Sierpnia 1980 w takim stopniu, że współtworzyły historię, z epizodami, w których Lech Wałęsa grał Lecha Wałęsę, zaplatając historię Macieja Tomczyka, syna Mateusza Birkuta (Jerzy Radziwiłowicz), z nim samym.

Warto zwrócić uwagę na jeden pozornie nieistotny detal.

W „Człowieku z marmuru" Wajda zamieścił fragment nibyfilmu propagandowego z tamtych stalinowskich lat, który podpisał swoim nazwiskiem: „Taki film akurat nie powstał w czasach socrealizmu, ale w ten sposób chciałem powiedzieć, że nie jestem bardziej niewinny od innych".

Rok 1980 odmienił Wajdę, tak jak odmienił wielu polskich intelektualistów, którzy różnymi drogami doszli do Stoczni Gdańskiej, stając u boku strajkujących robotników i angażując się w sprawę „Solidarności" nie tylko jako artyści, ale również jako obywatele.

●

Nie jestem w mych refleksjach obiektywny. Andrzej Wajda w ostatnich kilkunastu latach życia obdarzył mnie i moją żonę przyjaźnią, na którą sobie nie zasłużyliśmy. Myślę, że w dużej mierze wyrażał w ten sposób przywiązanie do „Gazety Wyborczej" jako instytucji demokracji polskiej. Wraz z Krystyną Zachwatowicz był wszakże jednym z jej fundatorów.

Kiedyś powiedział nam rzecz zdumiewającą, z którą nie chcieliśmy ani nie umieliśmy się zgodzić. Było to w 2015 r., ale jeszcze przed triumfalnym zwycięstwem PiS. Powiedział: „Tu wejdą Rosjanie. Polska skrajna prawica sama ich tu zaprosi. Najpierw doprowadzą do wojny domowej, a potem Rosję poproszą o interwencję".

Nawet jeśli stwierdzenie Andrzeja miało wymiar pewnej prowokacji, to patrząc na to, co działo się przez dziesięć lat, które minęły od jego śmierci, trudno odmówić mu profetycznej intuicji. Oby tym razem się srodze pomylił!

Zaraz po śmierci Andrzeja, ale jeszcze przed jego pochówkiem, Krystyna Zachwatowicz zaprosiła nas i Adama Michnika na prywatny pokaz ostatniego filmu Andrzeja – „Powidoki". Planowaliśmy film obejrzeć z Mistrzem. Tym razem Andrzej przemawiał do nas z ekranu językiem malarskim, językiem kolorów i kształtów, językiem pasji, którą odkrył w sobie w krakowskich Sukiennicach podczas okupacji. Chciał malować. Studiował sztuki piękne, ale po obejrzeniu obrazów Andrzeja Wróblewskiego uznał, że nie ma dość talentu.

Film o malarzu Władysławie Strzemińskim (Bogusław Linda), który opierał się presji socrealizmu, jest metaforą artystycznych zmagań samego Andrzeja Wajdy. Strzemiński namalował cykl obrazów, tzw. solarystycznych, w których uchwycił właśnie to, co w sztuce nieuchwytne, a wywołane spojrzeniem w słońce – powidoki.

Wajda tak jak Strzemiński walczył o prawo artysty do wolności twórczej, tak jak Strzemiński chwytał to, co nieuchwytne, i jak Strzemiński – spoglądał w słońce. ●

• Korzystałem z: Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, Andrzej Wajda. „Podejrzany", Agora 2013; Andrzej Wajda, „Autobiografia. Kino i reszta świata", Znak 2013.

• **Dlaczego Wajdzie nie wychodziły komedie ▶ 30**

wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco przez cały weekend*

G5T3C11

1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 7-8.03.2026 r.

Kraj/34422759

Tajemniczy świat wschodu i pustynne piaski, którymi przez wieki ciągnęły karawany, zatrzymując się we wspaniałych miastach jak Buchara czy Samarkanda.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski do Uzbekistanu. **Dz. 2** Przylot do Taszkentu. Zwiedzanie miasta oraz polskiego kościoła. **Dz. 3** Taszkent – Chiwa. Przelot do Urgencz, miejsca narodzin Anny German, oraz zwiedzanie starówki Chiwy, Ichan Kala. Czas wolny. **Dz. 4** Chiwa – Buchara. Przejazd autokarem przez pustynię Kyzył-Kum. **Dz. 5** Buchara. Zwiedzanie miasta, twierdza Ark, Minaret Śmierci i bazar Toqi Sarrofon. **Dz. 6** Buchara. Wycieczka do Bahouddin Nakshbandi i mauzoleum Chor-Bakr oraz pałacu letniego Sitorai-Mokhi-Hossa. Wieczorny występ folklorystyczny. **Dz. 7** Buchara – Shakrisabz – Samarkanda. Miejsce narodzin Timura Lenka, Shakrisabz i przyjazd do Samarkandy. **Dz. 8** Samarkanda. Zwiedzanie miasta oraz placu Registan, Grobowca Emira i meczetu Bibi Khanum. **Dz. 9** Przelot Taszkent – Warszawa.

9 dni | Wyloty z Warszawy 17/04, 24/09 2026 | od 8.998,–

Klasyczna podróż pociągiem przez Szwajcarię

Poznaj kultowe miasta Szwajcarii: Lozannę, Montreux, Saint Moritz i Lugano – podróżując Ekspresem Lodowcowym (Glacier Express) i Bernina Express.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągiem do Lozanny nad Jeziorem Genewskim. **Dz. 2** Spacer po eleganckim Montreux oraz popołudnie w Lozannie. **Dz. 3** Przejazd Ekspresem Lodowcowym przez przełęcz Oberalp w kierunku St. Moritz. **Dz. 4** Celerina. Wycieczka z pilotem do St. Moritz lub dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Ekspresem Bernina do Tirano. Przejazd do Lugano. **Dz. 6** Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja. **Dz. 7** Przejazd pociągiem Lugano – Zurych. Wylot powrotny do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 25/07, 04/09 2026 | od 12.298,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW09

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 738f82d54d

DZIEŃ KOBIET

Jak kobiety myślą o pieniadzach

FOT. GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

Dlaczego Szwedki pytane o finanse, rozkładają ręce i mówią **„nie wiem”?**

Z **PROF. AGATĄ GĄSIOROWSKĄ,** PSYCHOLOŻKĄ, SPECJALIZUJE SIĘ W PSYCHOLOGII EKONOMICZNEJ ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Bada pani alfabetyzm finansowy kobiet – mówiąc językiem codzienności, to cecha, która pozwala nam gospodarować pieniędzmi tak, żeby nie popadać w długi.
PROF. AGATA GĄSIOROWSKA: – Tak. I przede wszystkim tak, by umieć „spiąć” koniec miesiąca z jego początkiem. Ale nie tylko.

Kiedy mierzy się tę cechę, zwykle bada się dwa aspekty. Pierwszy to wiedza finansowa – najczęściej w formie pytań o dość „matematycznym” charakterze: o inflację, procenty, ryzyko czy dywersyfikację. To są pytania obiektywne, czyli testowe: sprawdzamy, ile poprawnych odpowiedzi udzielają badani.

Drugi aspekt to zachowania finansowe, mierzone bardziej subiektywnie – deklaracjami. Pytamy, czy ktoś planuje budżet na bieżąco i w dłuższym horyzoncie, czy ma poczucie kontroli nad finansami i czy jego codzienne nawyki tę kontrolę potwierdzają.

Mówiąc prościej: czy wiemy, ile możemy wydać dziennie albo tygodniowo, czy odkładamy coś na nieprzewidziane wydatki, a ile przeznaczamy na cele takie jak wakacje czy większe zakupy.

I w tym drugim wymiarze kobiety wypadają z reguły bardzo podobnie do mężczyzn, a nierzadko nawet lepiej – bo to one często „ogarniają” domowy budżet.

Zatem pierwszy aspekt u kobiet kuleje, tak?
– Chce dodać, że jakkolwiek kobiety średnio wypadają gorzej niż mężczyźni w testach wiedzy finansowej, to mężczyźni – przeciętnie – też nie mają się czym chwalić. Oczywiście są różnice między krajami, ale w wielu zestawieniach różnice między płciami potrafią być większe niż różnice między poszczególnymi krajami.

Zastanówmy się więc, dlaczego kobiety, które planują domowe budżety i codzienne wydatki, wypadają słabiej w pytaniach sprawdzających wiedzę ekonomiczną. Dlaczego część z nich nie potrafi odpowiedzieć, czy przy rocznej inflacji 10 proc. i podwyżce 5 proc. będą mogły kupić za swoją pensję to samo co przed rokiem – mniej, więcej, czy tyle samo?

To nie jest trudne pytanie.
– Z perspektywy kogoś, kto obraca się w liczbach, może się wydawać proste – ale i na to pytanie kobiety udzielają statystycznie mniej prawidłowych odpowiedzi niż mężczyźni.

Może dlatego, że dziewczynki postrzegane są jako słabsze z matematyki, więc i one same zaczynają tak o sobie myśleć.
– Coś w tym jest, ale warto to uporządkować. W wieku przedszkolnym i we wczesnej podstawówce różnice między chłopcami i dziewczynkami w matematyce zwykle nie są istotne; problemy częściej zaczynają się później.

Zjawisko, o którym pani mówi, ma w psychologii społecznej swoją nazwę: zagrożenie stereotypem. Jeśli w kulturze krąży przekonanie, że „kobiety nie są dobre w matematyce”, to nauczyciele i otoczenie mogą inaczej podchodzić do dziewczynek, rzadziej je zachęcać, a same dziewczynki zaczynają uwewnętrzniać taki obraz.

To wpływa na ich pewność siebie, wybory edukacyjne i gotowość wchodzenia w domeny „liczbowe”. Zniechęcenie potrafi przerodzić się w realny spadek pewności siebie i w decyzje: „to nie dla mnie”.

Czy kobiety, które wypadały gorzej w badaniach nie miały rzeczywiście wiedzy, czy częściej zakreślały odpowiedź „nie wiem”, co wcale nie musi znaczyć, że nie wiedzą.
– Dokładnie o to chodzi w naszym projekcie: czy kobiety mają niższe wyniki, bo częściej popełniają błędy, czy dlatego, że częściej zaznaczają „nie wiem” albo w ogóle odmawiają udzielenia odpowiedzi. I okazuje się, że ta „kolosalna” różnica między kobietami i mężczyznami w pytaniach o wiedzę finansową dotyczy przede wszystkim właśnie odpowiedzi „nie wiem”.

Mężczyźni częściej wybierają jakąś konkretną odpowiedź – czasem trafną, czasem błędną. Kobiety znacznie częściej mówią „nie wiem”.

Prof. Agata Gąsiorowska

• psycholożka, specjalizuje się w psychologii ekonomicznej. Laureatka tegorocznej nagrody ministra do spraw nauki i szkolnictwa wyższego za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej. Bada zachowania konsumenckie, a w szczególności psychologiczne funkcje pieniędzy i zakupy impulsywnye. Interesuje się tym, do jakich celów, poza kupowaniem, ludzie wykorzystują pieniądze oraz w jaki sposób mogą one wpływać na ludzkie zachowanie. Fascynuje się logiką liczb, które, jak wyznaje, zachowują się w jej mózgu jak szachy w „Gambicie królowej”. Mają jasne reguły i jasne powiązania. Mieszka we Wrocławiu.

Powiedziała pani, że badacze wiedzieli już o tej dysproporcji. Co w takim razie was w niej zaciekawiło?
– Rzecz, która nas najbardziej „złapała”, to to, gdzie ta różnica „nie wiem” jest największa. Wcześniejsze badania na próbach z kilkunastu krajów pokazały, że największe różnice między kobietami a mężczyznami w skłonności do odpowiedzi „nie wiem” pojawiały się w Kanadzie, Holandii i Norwegii – czyli w krajach o wysokim poziomie równości płci.

To rzeczywiście zaskakujące.
– Bardzo. Wydawało nam się – a dodam, że w zespole oprócz mnie jest profesorka z Norwegii i profesor ze Szwecji – że powinno być odwrotnie. Jeśli w danym kraju kobiety i mężczyźni mają podobny dostęp do edukacji, ochrony zdrowia, rynku pracy i wynagrodzeń, to intuicyjnie oczekiwalibyśmy, że różnice w kompetencjach finansowych też będą mniejsze.

Innymi słowy: skoro szanse są bardziej wyrównane, to kobiety i mężczyźni powinni w podobnym stopniu orientować się w kwestiach finansowych.

Tymczasem okazało się, że w wielu egalitarnych krajach – takich jak Szwecja czy Norwegia – luka w wiedzy finansowej wynikająca z odpowiedzi „nie wiem” bywa większa niż w państwach bardziej nierównych pod względem płci, na przykład we Włoszech czy w Hiszpanii.

Dlaczego tak jest?
– To zjawisko nazywa się paradoksem równości płci. Intuicyjnie myślimy, że im większa równość „systemowa” – czyli na poziomie instytucji i całego społeczeństwa – tym mniejsze powinny być różnice między kobietami i mężczyznami w konkretnych wyborach i zachowaniach. Tymczasem w pewnych obszarach bywa odwrotnie: wraz ze wzrostem równości systemowej różnice na poziomie jednostek potrafią się uwydatniać.

Widać to chociażby na rynku pracy.

W krajach o wysokim poziomie równości płci kobiety częściej wybierają ścieżki związane z edukacją, opieką czy pracą „z ludźmi”, a rzadziej kierunki techniczne czy IT – i bywa, że te różnice są wyraźniejsze niż w społeczeństwach mniej równościowych. Podobnie jest z funkcjonowaniem w środowiskach mocno konkurencyjnych i hierarchicznych: część osób – niezależnie od płci – po prostu nie chce płacić kosztu psychologicznego „bycia cały czas w grze o status”.

To skąd się biorą te różnice? Dlaczego kobiety w Norwegii czy Szwecji tak często odpowiadają „nie wiem”?
– Myśleliśmy, że to przecież mało prawdopodobne, żeby przy podobnym poziomie edukacji i doświadczenia kobiety aż tak bardzo „nie wiedziały”, o co chodzi w finansach. Zwłaszcza że gdy badanych pozbawia się możliwości zaznaczenia „nie wiem” i trzeba wskazać jakąś odpowiedź, kobiety odpowiadają bardzo podobnie jak mężczyźni.

To prowadzi do hipotezy, że klucz nie leży w samych kompetencjach, tylko w gotowości wejścia w temat i w pewności siebie w sytuacji testowej.

Myślimy więc, że gdy pytamy o inflację, procent składany czy ryzyko, część kobiet – zwłaszcza w krajach, gdzie można sobie pozwolić na komfort „odpuszczenia” – raczej się wycofuje. Rozkłada ręce i mówi: „nie wiem”.

Dajcie mi spokój, nie chce mi się tym zajmować?
– U części osób to rzeczywiście jest „nuda” i dystans do pieniędzy jako tematu. Ale jest też drugi wątek, mocno związany z kulturą organizacyjną i tym, co uznajemy za „męskie” albo „kobiece” domeny. Zaczęliśmy więc analizować dostępne publikacje o paradoksie równości płci i okazało się, że najsilniej widać go w obszarach tradycyjnie męskich i obarczonych wysokim kosztem psychologicznym – na przykład w zarządzaniu na najwyższym szczeblu.

To, co pokazały analizy paradoksu równości, jest przewrotne: w krajach, w których kobiety i mężczyźni mają podobny dostęp do edukacji, a różnice płac są relatywnie mniejsze, dysproporcja na najwyższych szczeblach – jeśli nie jest regulowana twardym prawem – potrafi utrzymywać się długo, a czasem nawet wydaje się większa.

W krajach, w których nierówności są bardziej „odczuwalne” i gdzie stawka niezależności ekonomicznej jest wyższa, kobiety częściej wchodzą w role postrzegane jako męskie, bo to jest dla nich realna ścieżka zabezpieczenia sprawczości i niezależności.

Znów muszę zapytać, dlaczego?
– Bo w krajach wysoko rozwiniętych, gdy wybór jest naprawdę dobrowolny, kobieta częściej wybiera pracę bliższą jej preferencjom – na przykład w usługach, edukacji czy opiece – niż środowiska mocno konkurencyjne i często hierarchiczne, takie jak część sektorów technicznych czy finansowych.

> Można być rozrzutną materialistką, jak Carrie z „Seksu w wielkim mieście”, która woli kupić szpilki zamiast jeść, i można być rozrzutnym nie-materialistą, jak Berger z musicalu „Hair”.

Mężczyźni statystycznie częściej wybierają odwrotnie. Podobny mechanizm może dotyczyć awansów na szczyt: jeśli w równościowym społeczeństwie da się żyć stabilnie i niezależnie finansowo także w zawodach mniej prestiżowych i mniej rywalizacyjnych, to część osób uzna, że koszt wejścia w „wyścig” jest po prostu nieopłacalny.

Czy kobiety nie znoszą konkurować? Trudno mi w to uwierzyć.
– Ja też bym tak tego nie stawiała. Kobiety konkurują – tylko często w innych warunkach i na innych zasadach. Problem w tym, że wiele środowisk finansowych i zarządczych jest skonstruowanych wokół stylu rywalizacji, który jest kulturowo skojarzony z męskością: twarde negocjacje, język dominacji, silna hierarchia, presja „pewności siebie” nawet wtedy, gdy tej pewności realnie nie ma.

To nie musi być „ewolucyjne”. To w dużej mierze efekt norm, socjalizacji i tego, jaki styl zachowania jest nagradzany. Jeśli ktoś ma poczucie, że żeby wejść do gry, musi zagrać nie swoją rolę, to częściej z tej gry rezygnuje.

Jak to się ma do ambicji, chęci awansów i dążenia do sukcesu? Czy one rezygnują z ambicji na rzecz komfortu psychicznego?
– Powiedziałabym: część z nich wybiera inną definicję sukcesu. To nie musi być rezygnacja z ambicji, tylko przesunięcie ambicji w stronę mistrzostwa i poczucia sensu. Można awansować i być ambitną w zawodach, w którym człowiek czuje się kompetentny i spełniony, a niekoniecznie w tym, co jest najbardziej „statusowe” i najbardziej obciążone rywalizacją. I to jest ważne, bo inaczej łatwo wpaść w narrację oceniającą: „gdyby się postarały, to by były”. A tu wchodzą koszty psychologiczne, normy kulturowe i zwykłe ludzkie preferencje.

Jak w tych badaniach wypada Polska?
– Nie jest źle – zwłaszcza w porównaniu do najbardziej egalitarnych krajów północy, gdzie efekt „nie wiem” bywa szczególnie silny. Natomiast dobrym kontrastem są przykłady krajów, w których niezależność ekonomiczna częściej wymaga ostrej konkurencji i „twardych” kompetencji, bo system nie daje takiego komfortu bezpieczeństwa jak w krajach nordyckich.

eprasa.pl 738f82d54d

Tam presja może działać paradoksalnie mobilizująco: jeśli czuję, że nie mam na kogo liczyć i że system mnie nie wyręczy, to częściej uczę się kompetencji, które są potrzebne do przetrwania i niezależności. I myślimy, że z zarządzaniem finansami – także w krajach równościowych – może być podobnie.

To znaczy?
– Ponieważ wiedza z zakresu finansów, a nawet matematyki, jest kulturowo kojarzona z domeną męską, to również w krajach bardzo równościowych część kobiet kieruje się stereotypem: jeśli mają podejmować długoterminowe decyzje dotyczące inwestycji czy emerytury, to mówią „niech się ktoś inny tym zajmie".

Doradca finansowy na przykład.
– W teorii tak, ale w praktyce doradcy często nie są uczeni, jak rozmawiać z kobietami. Zdarza się, że oczekują, iż tematem zajmie się partner. I to jest ryzykowny układ, nawet jeśli związek dziś działa i wszyscy są zadowoleni.

Skoro związek działa i wszyscy są zadowoleni, to skąd ryzyko?
– Bo bezpieczeństwo finansowe, o ile to możliwe, nie powinno opierać się wyłącznie na jednej osobie – nawet w najlepszym związku. Życie przynosi różne scenariusze: choroby, rozstania, śmierć, kryzysy, czasem zwykłe błędy decyzyjne. Jeśli cała wiedza i sprawczość są po jednej stronie, to druga strona jest bardziej narażona.

A do tego dochodzą fakty demograficzne: kobiety żyją dłużej, częściej mają przerwy w karierze, w wielu krajach nadal średnio zarabiają mniej, a na emeryturze spędzają więcej lat niż mężczyźni. To sprawia, że statystycznie odkładają mniej, a potrzebują tych pieniędzy dłużej.

Jeśli jeszcze do tego dochodzi wycofywanie się z decyzji finansowych, mierzone właśnie „nie wiem", to w pewnym momencie może się okazać, że to „wygodne wylegiwanie się na puchowej pierzynce" kończy się odleżynami.

Zakłada pani, że partnerzy nie zadbają o te emerytury?
– Nie chodzi o brak zaufania do partnerów. Chodzi o to, że nawet jeśli partner jest super odpowiedzialny, to my – jako dorośli ludzie – nie powinniśmy oddawać całej sprawczości w jednym z najważniejszych obszarów życia.

Najzdrowszy model to taki, w którym odpowiedzialność jest współdzielona: nie musimy robić wszystkiego po równo, ale obie strony rozumieją podstawy, wiedzą, co się dzieje, i potrafią przejąć ster, jeśli życie tego zażąda. To jest troska o siebie i o związek, a nie podejrzliwość.

Co panią zmotywowało do przeprowadzenie tych badań?
– Mam w sobie praktyczną motywację – misję, żeby moje koleżanki, przyjaciółki i bliskie mi kobiety miały na emeryturze z czego żyć. Od lat widzę, jak łatwo jest im ogarniać finanse „tu i teraz", a jak trudno jest przełożyć to na długoterminowe decyzje.

Sama oszczędzam od dawna, ale mam poczucie, że wśród znajomych nie jest to norma. I tak, zdarza mi się robić znajomym „rekolekcje", że warto pomyśleć o rozwiązaniach emerytalnych, w Polsce na przykład o IKE albo IKZE, i że warto blokować choćby małe kwoty nie na jutro, tylko na przyszłość.

Nie każdy ma z czego je blokować.
– Prawie każdy ma jakąś kwotę, którą może odkładać – tylko u jednych będzie to 1000 zł miesięcznie, u innych 200 zł, a u innych 50 zł. Niestety, ktoś, kto odkłada 50 zł, myśli: „to bez sensu, nic z tego nie będzie". A to nieprawda, bo w finansach ogromną rolę gra czas i procent składany.

Niedawno Anna Maria Lusardi, ekonomistka, profesorka na Uniwersytecie Standforda, i jedna z najbardziej znanych badaczek na świecie zajmujących się właśnie financial literacy, przywołała na LinkedInie eksperyment myślowy.

Ile pieniędzy miałby dziś George Washington, którego podobizna jest na amerykańskiej jednodolarówce, gdyby rozpoczynając kadencję w 1789 roku zainwestował jednego dolara?

Ile, zakładając 8 procent rocznego zysku?
– To jest oczywiście eksperyment myślowy, bo nikt tyle nie żyje, ale odpowiedź jest świetna jako lekcja intuicji. Większość ludzi nie jest w stanie nawet oszacować rzędu wielkości. Mówimy o kwotach idących w dziesiątki milionów dolarów – i samo to robi wrażenie, bo startujesz od jednego dolara.

Mamy podobny problem poznawczy kiedy myślimy o perspektywie 20–30 lat. Kiedy operujemy liczbami, mamy skłonność do myślenia liniowego. Czyli wydaje nam się, że te kolejne 8 proc. „będzie się dodawało": po 100 latach 800 proc., po 200 latach 1600. A matematycznie procent składany to nie jest dodawanie, tylko mnożenie – i dlatego wzrost jest wykładniczy, dużo silniejszy niż intuicyjnie zakładamy.

Zna pani arabską legendę o tym, jak mędrzec grał w szachy ze swoim emirem?

Nie.
– Poprosił go, by w razie przegranej emir położył na pierwszym polu jedno ziarenko zboża, na drugim dwa, a na trzecim dwa razy więcej niż na drugim, i tak dalej – podwajając na każdym kolejnym polu szachownicy. Emir pomyślał: „cóż to jest jedno ziarenko", nawet przy 64 polach. I się zgodził. Tyle że po kilkudziesięciu podwojeniach robi się z tego liczba absurdalnie wielka – i w legendzie kończy się to bankructwem.

To przypowieść o tym, jak bardzo nie doceniamy wzrostu, kiedy coś się mnoży.
– Tak – dokładnie o to chodzi. I dlatego część osób – w tym wiele kobiet – nie docenia znaczenia małych kwot odkładanych wcześnie. Jeśli zaczynam oszczędzać na emeryturę w wieku 20 lat, to każde 10 zł ma realne znaczenie. Jeśli zaczynam dopiero po 50., to nawet bardzo duży wysiłek miesięczny może nie wystarczyć, żeby nadrobić czas.

Czy pani koleżanki, którym prowadzi pani rekolekcje, też nie oszczędzają?
– Oszczędzają, ale częściej krótkoterminowo: na wakacje, na samochód za dwa lata, na remont. To jest oszczędzanie „tu i teraz". Nawet jeśli perspektywa jest dwu czy trzyletnia, te pieniądze rzadko kiedy lądują tam, gdzie realnie się pomnażają.

Kobiety argumentują, że nie wrzucą pieniędzy w fundusz inwestycyjny albo w akcje, bo mogą stracić i wtedy nie będą mogły kupić tego, co zaplanowały.

To jest racjonalne w krótkim horyzoncie – bo w krótkim czasie wahania potrafią być duże. Ale w długim czasie, takim jak 10 lat i więcej, rynek zachowuje się inaczej. Są kryzysy, są spadki, czasem gwałtowne – jak w okresach globalnych zawirowań gospodarczych czy geopolitycznych – ale w długim trendzie to, co historycznie obserwujemy, jest dużo bardziej rosnące niż nasza codzienna intuicja „tu i teraz".

Powiedziała pani, że doradcy nie są nauczeni jak mają rozmawiać z kobietami. Dlaczego?
– Bo wiele materiałów edukacyjnych oraz język branży są pisane „pod mężczyzn". Jest w nich sporo hermetycznych sformułowań. Część mężczyzn – nawet jeśli nie wszystko rozumie – ma większą skłonność, żeby udawać, że rozumie i iść dalej.

Kobiety częściej mówią wprost: „nie rozumiem, proszę mi to wytłumaczyć". I jeśli doradca nie potrafi przełożyć języka finansów na język zrozumiały, rozmowa się urywa, a kobieta wychodzi z poczuciem, że to „nie dla niej". To jest mechanizm wykluczenia kulturowego, nie finansowego.

Może pani zacytować te dwa różne języki?
– Wersja „męska" brzmi często tak: „W oparciu o długoterminowe trendy rynkowe, w horyzoncie 10–20 lat, najwyższych stóp zwrotu należy oczekiwać z portfela złożonego z...". A wersja, którą ja wolę nazwać po prostu bardziej komunikatywną, brzmiałaby: „Wyobraź sobie, że planujesz swoją przyszłość finansową, to znaczy, co się będzie działo za 10 lub 20 lat. Jak myślisz – po wielu latach, jeśli dziś włożysz pieniądze na konto oszczędnościowe, w akcje, w obligacje – gdzie będziesz miała ich najwięcej?" Nie chodzi o infantylizowanie, tylko o jasność i brak zawstydzania.

> Jeśli rodzice mówią dziecku, że ma racjonalnie zarządzać kieszonkowym, a sami się kłócą albo bez przerwy narzekają, że nie mają pieniędzy, to dziecko uczy się nie zarządzania, tylko napięcia

Czy nie wydaje się pani, że ta druga jest jednak infantylna? Trochę wstyd, co?
– Dlaczego wstyd?!

Bo nie ogarniamy i to na własne życzenie
– To nie jest kwestia inteligencji, tylko kontekstu. Jeśli przez lata dostaję sygnały „to nie twoja domena", jeśli mój poziom pewności siebie jest podkopywany, a język branży jest hermetyczny, to naturalne, że proszę o jasne wyjaśnienie.

Pedagodzy często mówią, że sposób nauczania matematyki w szkołach bywa niedostosowany do dzieci w ogóle, ale dziewczynki mogą być dodatkowo wrażliwe na abstrakcyjność i na ocenianie. Budżet domowy jest konkretny: rachunki, zakupy, porównywanie jakości do ceny. Emerytura i inwestowanie są abstrakcyjne – dalekie, trudne do wyobrażenia – i dlatego tak łatwo to odsunąć.

W ubiegłym roku byłam na konferencji w Cambridge dotyczącej właśnie problemów związanych z psychologią różnic międzypłciowych, gdzie prezentowałam wynik analiz o których rozmawiamy.

Jedna z młodych naukowczyń opowiedziała historię, która ją spotkała. Poszła nawet do człowieka, który na jej uczelni zajmuje się doradztwem finansowym, powiedziała, że chciałaby zainwestować 10 tysięcy euro, na co usłyszała to „za mało, żeby w ogóle przychodzić".

Ale właściwie dlaczego on ją tak zniechęcił?
– Może z jego punktu widzenia prawdopodobnie miała na tyle mało pieniędzy, że jego prowizja z tytułu doradztwa byłaby zbyt niska więc po prostu nie chciało mu się tym zajmować. Ewentualnie mógł też założyć, że kobieta i tak nie zrozumie, o co chodzi z inwestowaniem i szkoda mu czasu na tłumaczenie jej.

Przecież to jest dyskryminujące!
– To jest co najmniej niewłaściwe i zniechęcające. A najgorsze, że takie sytuacje utrwalają przekonanie: „finanse nie są dla mnie". Tymczasem matematyka inwestowania mówi coś odwrotnego: im wcześniej zaczniesz, tym nawet małe kwoty mają sens.

Ewidentnie, my kobiety musimy się zmienić.
– Nie do końca podoba mi się narracja, w której wszystko sprowadza się do tego, że kobiety muszą się „naprawić". Tak, kobiety powinny częściej brać sprawczość finansową w swoje ręce. Ale równolegle trzeba zmieniać język finansów, standardy rozmowy, edukację, praktyki instytucji. Bo inaczej będziemy stale produkować sytuacje, w których kobiety czują się w tym świecie „nie u siebie".

Czyli: „edukacja, głupcze".
– Edukacja – tak, ale też normalizacja i oswajanie. W Polsce jesteśmy w niezłej sytuacji, bo wiele osób ma aplikację bankową, w której można zacząć od małych kwot i nauczyć się mechanizmów w praktyce. Zamiast od razu inwestować duże pieniądze, można zrobić sobie prezent: wrzucić 100 zł, patrzeć, kiedy rośnie, kiedy spada, zobaczyć, że spadki są częścią gry, i że często po nich przychodzi odbicie. To buduje odporność na zmienność i zamienia „boję się" na „rozumiem".

Czy moja intuicja jest słuszna, że jeśli chodzi o łatanie rodzinnych budżetów, to o pożyczkę u znajomych czy rodziny częściej proszą kobiety?
– Nie wiem tego na pewno na podstawie naszych danych, ale da się to sensownie osadzić w tym, co wiemy z klasycznych badań z antropologii i socjologii ekonomicznej, na przykład tych prowadzonych przez Vivian Zelizer.

W wielu tradycyjnych społecznościach pieniądze zarabiane przez kobiety – na przykład z drobnego handlu albo pracy usługowej – bywały traktowane jako „pieniądze na codzienność", takie „na drobne", a jednocześnie to właśnie one realnie podtrzymywały dom: jedzenie, ubrania dzieci, opłaty.

Z kolei pieniądze mężczyzn miały status „poważnych": na ziemię, inwestycje, większe zakupy, decyzje „strategiczne". Jeśli takie podziały mają kulturowe echo do dziś, to da się wyobrazić, że „pożyczkę do pierwszego" częściej organizują kobiety, a pożyczkę na samochód czy większą inwestycję – częściej mężczyźni.

Dlaczego?!
– Bo w takim porządku symbolicznym nie chodziło o nominalną wartość pieniądza, tylko o to, z jakiego źródła pochodzi i do czego „wolno" go przeznaczyć. To pokazuje, że pieniądze nie są dla nas tylko liczbą. One mają znaczenie społeczne.

Sądzi pani, że ludzie nie oceniają wartości pieniędzy nominalnie?
– Z wielu badań wiemy że nie, nie oceniają. My bardzo często „przypisujemy" pieniądze do różnych mentalnych szufladek. Świetny przykład to zwrot podatku. Część osób traktuje te pieniądze, jakby spadły z nieba, mimo że to są ich własne pieniądze, odkładane miesiąc w miesiąc w formie zaliczek.

I najbardziej frapujące jest to, że nawet osoby o niskich dochodach, które mówią „nie

eprasa.pl 738f82d54d

mam z czego oszczędzać", potrafią – przymuszone systemem – oszczędzić pewną kwotę, a potem wydać ją impulsywnie, bo psychologicznie nie traktują jej jako oszczędności, tylko jako „bonus".

To świetnie pokazuje, jak bardzo nasze decyzje finansowe są psychologiczne, a nie wyłącznie czysto matematyczne.

Pani rzecz jasna ma kontrolę nad budżetem.
– Mam, odkąd mam budżet, ale pozwalam sobie też czasem na jej odpuszczenie. W dzieciństwie moje przygody z oszczędzaniem były wręcz modelowe. Co tydzień dostawałam od rodziców kieszonkowe, które wydawałam na głupoty. Jak wydałam, to nie miałam – ale mogłam sobie „dorobić".

Dorobić? Ocenami czy sprzątaniem?
– Za to rodzice nam nie płacili. Za wynoszenie śmieci i mycie garów również nie. Mogliśmy dorobić w firmie, którą prowadzili w domu. Jeśli z bratem przewijaliśmy włóczkę, albo naklejaliśmy metki, dostawaliśmy za swoją pracę pieniądze. Było dla nas jasne, co jest naszym obowiązkiem domowym, a co jest naszą pracą w firmie rodziców. Potrafiłam też liczyć, i kalkulowałam ile torebek słonecznika mogę kupić w tygodniu, żeby wystarczyło mi pieniędzy do końca miesiąca.

Uważa pani, że płacenie dzieciom za wykonywanie obowiązków domowych nauczy je oszczędzania?
– To jest kuszące rozwiązanie, bo działa tu i teraz. Zresztą w różnych badaniach opinii publicznej widać, że sporo rodziców popiera płacenie dzieciom za oceny albo za prace domowe. Ja – jako psycholożka – byłabym ostrożna, szczególnie z płaceniem za obowiązki, które wynikają z bycia częścią rodziny.

Dlaczego? Bo pieniądze jako nagroda potrafią przykryć sens działania i zbudować motywację czysto zewnętrzną: „robię, bo mi płacą". To działa krótkoterminowo, ale kiedy przestajemy płacić, motywacja spada. A w długim okresie chcemy, żeby dziecko rozumiało: „dokładam się do domu, bo jestem jego częścią", a nie: „dokładam się, jeśli to się opłaca".

Nie mają racji ci, którzy mówią, że zachęty finansowe są najskuteczniejsze?
– Zachęty finansowe są skuteczne, ale w pewnych warunkach i zwykle na krótką metę. Jeśli zaczniemy płacić za wszystko, to w głowie dziecka tworzy się bardzo prosta logika: „jeśli nie ma zapłaty, to nie ma działania".

A my chcemy też budować motywację wewnętrzną, odpowiedzialność i poczucie sprawczości. Jest jeszcze jeden problem: jeśli płacimy za oceny, to dziecko uczy się, że celem jest nagroda, a nie proces uczenia się. A potem pojawia się klasyczne pytanie: „to ile mi dasz, żebym…?". I nagle relacja robi się transakcyjna.

To jak nauczyć dzieci oszczędzania?
– Bardzo prosto – i bardzo konsekwentnie. Już pięciolatek może mieć kieszonkowe i skarbonkę, żeby uczyć się decyzji: wydaję teraz czy odkładam na coś większego.

Ale równie ważne jest modelowanie. Jeśli dziecko widzi, że rodzic planuje wydatki, rozpisuje opłaty, mówi głośno: „w tym miesiącu mamy takie rachunki, a jeśli chcemy jechać na wakacje, to musimy co miesiąc odłożyć tyle i tyle", to ono uczy się planowania bez wielkich wykładów.

Dorastanie w takiej narracji jest o niebo lepsze niż słuchanie sprzeczek: „ty zawsze za dużo wydajesz" i „ty nigdy nie zarabiasz wystarczająco". Bo ta druga narracja uczy dziecko, że pieniądze są źródłem wstydu i napięcia – i w dorosłym życiu często kończy się to unikaniem rozmów o pieniądzach oraz odkładaniem decyzji „na później".

Warto planować budżety przy dzieciach?
– Nie tylko przy dzieciach – z dziećmi. I przy okazji uczyć, że oszczędzanie to nie jest post i zaciskanie pasa, tylko budowanie komfortu. Wakacje mają być czasem karnawału, przyjemności, a nie karą. Można powiedzieć: „tam gdzie jedziemy są super gofry, ale są drogie – jeśli chcesz je jeść, to odkładamy na to po trochu".

Albo: „chcesz nowe buty na wyjazd? Jeśli odłożysz połowę, my dokładamy drugą połowę". To buduje sprawczość i uczy, że cele finansowe to nie jest magia, tylko plan.

A co jak ono nie oszczędza, a my kupujemy buty, bo przecież „w starych nie pojedzie"?
– I wtedy możemy mieć pretensje głównie do siebie. Konsekwencja to podstawowa kompetencja wychowawcza. Dziecko musi się dowiedzieć, że pieniądze są zasobem skończonym: jeśli wyda wszystko, to czeka do kolejnego kieszonkowego. My – dorośli – też tak funkcjonujemy: jeśli wydamy wszystko do dwudziestego, nikt nam cudownie nie wyciągnie pieniędzy ze ściany, żeby starczyło do pierwszego.

Rodzice rzadko rozmawiają z dziećmi o pieniądzach, bo boją się, że wyrosną na materialistów.
– Ten lęk ma zwykle swoje źródło w przekonaniu, że umiejętność zarządzania finansami automatycznie oznacza orientację na pieniądze i materializm. A to są dwie różne rzeczy. One mogą iść razem, ale wcale nie muszą. Można być świetnie zorganizowaną osobą, która planuje, oszczędza, rozumie procent składany, a jednocześnie nie być materialistą i nie podporządkowywać życia pieniądzom.

I odwrotnie: można być bardzo zorientowanym na pieniądze, a jednocześnie fatalnie nimi zarządzać.

Można być oszczędnym i zaradnym materialistą – jak Gordon Geko z „Wall Street", i oszczędnym nie-materialistą – jak chciałabym myśleć o sobie. Tak samo można być rozrzutną materialistką, jak Carrie z „Seksu w wielkim mieście", która woli kupić nową parę szpilek Blahnika zamiast jeść, i można być rozrzutnym nie-materialistą, jak Berger z musicalu „Hair".

W idealnym świecie rozmawialibyśmy z dziećmi o pieniądzach w kategoriach planowania, wyborów i odpowiedzialności, a nie w kategoriach: „mama ci nie kupi, bo nie ma pieniędzy", kiedy mamie tak naprawdę chodzi o to, że dana rzecz jest bez sensu albo nie jest priorytetem.

Modelowanie zachowań finansowych u dzieci jest tak samo ważne jak wpajanie im właściwych nawyków żywieniowych. Ale jeśli rodzic leży na kanapie z telefonem w jednej ręce, a drugą sięga do miski z chipsami i popija colą, a dziecku mówi, że nie może pić słodkich napojów, bo są niezdrowe, to nie spodziewajmy się, że dziecko weźmie sobie do serca te nauki.

Z pieniędzmi jest identycznie. Jeśli rodzice mówią dziecku, że ma oszczędzać i racjonalnie zarządzać kieszonkowym, a sami się kłócą albo bez przerwy narzekają, że nie mają pieniędzy, to dziecko uczy się nie zarządzania, tylko napięcia.

Nie narzekała pani nigdy, że nie ma pieniędzy? Bo mnie się to zdarza.
– Zdarza się każdemu. Tylko pytanie, co robimy dalej. Ja mam takie doświadczenie, że kiedy realnie było trudniej, to paradoksalnie mniej narzekałam, a bardziej skupiałam się na tym, jak spiąć miesiąc i co konkretnie mogę zmienić. Narzekanie daje chwilową ulgę, ale nie buduje sprawczości. A w finansach sprawczość jest kluczowa. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34422464

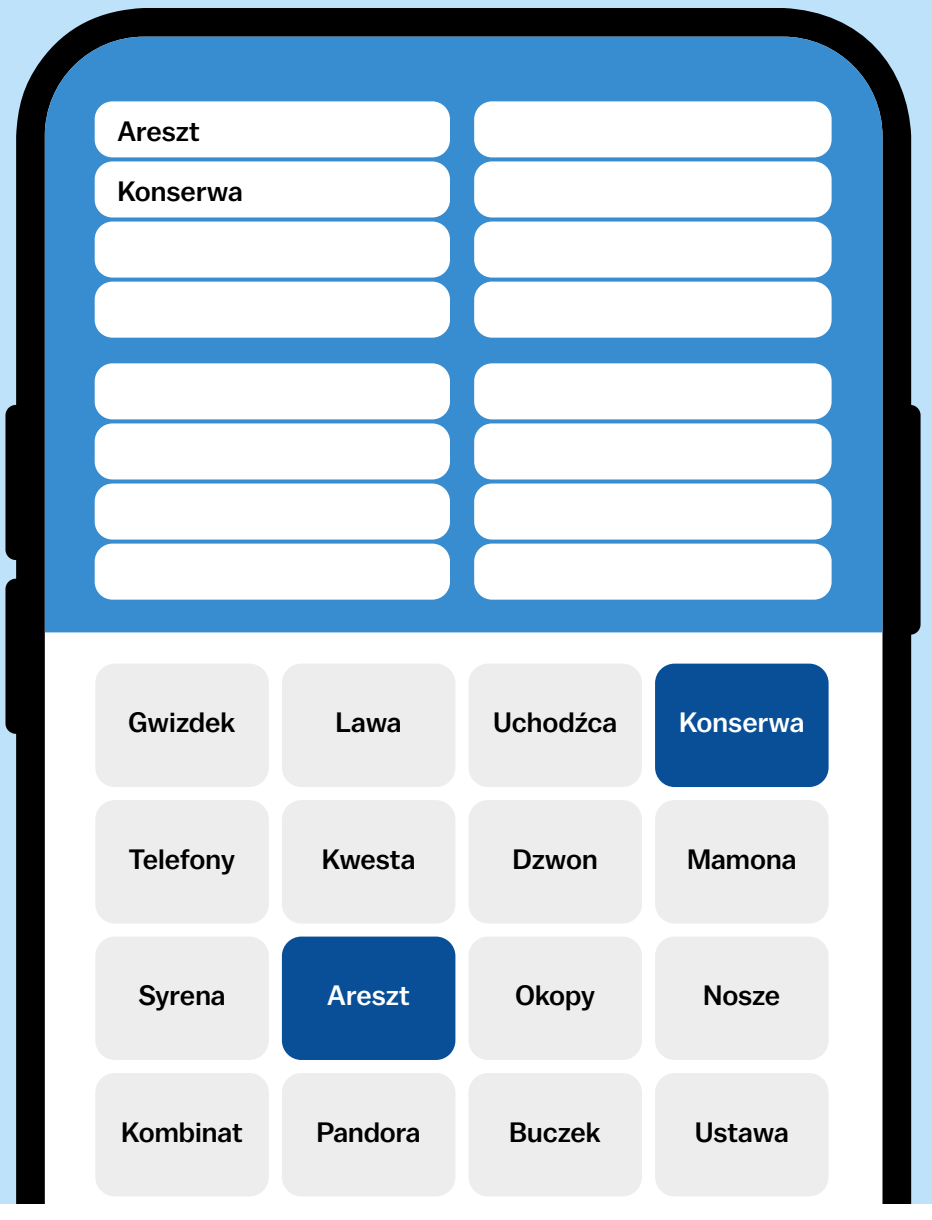

Zagraj z nami w **skojarzenia**

1 Znajdź powiązania między hasłami

2 Połącz je w cztery grupy po cztery hasła, tak aby każdą grupę łączyło jedno wspólne skojarzenie

3 Sprawdź poprawne rozwiązanie na s. 47

Nowa gra w APLIKACJI WYBORCZEJ

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

ANIOŁY SĄ ZMĘCZONE

Kiedy wysiada z nocnego autobusu, przez moment mam ochotę wstać i powiedzieć: **„Widzę panią”**

Artur Nowak

Do gabinetu terapeutki przyszła kobieta po sześćdziesiątce – z tych, które „zawsze dają radę”. Tyle że nie tym razem.

Przyjaciółki dosłownie wypchnęły ją z domu: znalazły numer, umówiły wizytę, dopilnowały, żeby przyszła. Na klatce schodowej poprawiły jej kołnierz – jak się poprawia dziecku przed wyjściem do szkoły – i wcisnęły do kieszeni chusteczkę.

– Masz iść. Nie dyskutuj.

W tym „nie dyskutuj” było więcej miłości niż w miesiącach uprzejmych rozmów.

W środku zaczęła wykładać na stół kawałki życia, które nagle się rozsypało. Bez dramatyzmu. To nie chłód – tylko wytrenowana forma przetrwania. Zdawała raport spokojnie, jakby całe lata ćwiczyła, jak opowiadać o katastrofach tak, żeby nikogo nie obciążyć.

Mąż oznajmił, że się wyprowadza. Zakłada nową rodzinę z młodszą kobietą, bo „tak trzeba” – bo tam jest dziecko w drodze. Taki odpowiedzialny człowiek. Ta elegancka pieczątka „trzeba” zanurzona w soli bolała wyjątkowo mocno przyłożona do otwartej rany. Powiedział to tonem, jakim mówi się o remoncie: trzeba.

I jeszcze zapytał, czy poda mu z szafy jego zimową kurtkę, bo „jemu się przyda”.

Ona przytaknęła odruchowo – jakby wciąż była tą, która ogarnia. Dopiero później, już sama, zobaczyła na wieszaku pusty hak i pomyślała: to nie kurtka znika. To ja.

W pracy też „poszli po rozum do głowy” i postanowili przyciąć koszty. Zaczęli od rubryki „50+”. Dziękujemy, do widzenia – a na pamiątkę kubek z logo firmy, jedynego jak dotąd „zaślubionego” pracodawcy.

Kolejny front: córka. Jedynaczka, młoda mama, twarde zasady. Bez cukru, bez wyjątków, bez „babcia może”. A babcia – ze starej szkoły czułości, która wyraża się w drobiazgach – dawała wnuczce czekoladki, bo chciała usłyszeć to proste: „Babciu, jesteś najlepsza”.

Wnuczka brała te czekoladki w dwa palce jak skarb. I zanim córka zdążyła zareagować, w oczach dziecka pojawiał się błysk: babcia robi wyjątek specjalnie dla mnie. Dla babci to był jedyny język, w którym umiała powiedzieć: Jesteś moja.

Kiedy córka nazwała to sabotażem, babcia poczuła się tak, jakby ktoś nazwał miłość przestępstwem. A potem została odizolowana od wnuczki – za ten występek.

A na dobitkę pies.

Stara suczka, wierna przez dekadę. Ostatni codzienny świadek – była przy pierwszych kłótniach, kiedy ona jeszcze myślała: minie. Była przy tych późniejszych, kiedy człowiek już nic nie mówi, tylko zbiera się po wszystkim w domu rozkołysanym jak dziurawa łajba na sztormie i udaje, że to zwykły wieczór. Była przy jej rozmowach z córką, gdy w głosie pojawiała się cienka rysa, która w końcu pękła na całej długości. Cierpliwie czekała na miskę i na panią, gdy wracała późno z pracy, przemęczona.

Saba była kiedyś szczeniakiem: kulą energii, która gryzie kapcie, pakuje nos w torby z zakupami, wpada pod nogi i nie rozumie, że człowiek czasem chce tylko usiąść i zniknąć. Wtedy ta kobieta śmiała się mimo wszystko – zła i rozczulona jednocześnie, bo szczeniak miał w sobie bezczelne prawo do życia: jest teraz, jest zabawa, jest świat.

A potem Saba stała się kimś, dla kogo trzeba rano wstać, nawet jeśli nie ma po co. Komu trzeba nalać wody, nawet jeśli w środku jest pustka. Kto kładzie łeb obok i nie mówi: „przesadzasz”, „weź się w garść”, „inni mają gorzej”. Tylko oddycha przy tobie.

Saba umiała wyczuć, kiedy coś w środku pęka. Kładła pysk na kolanach i oddychała. A człowiek oddychał razem z nią. To jest relacja pierwotna – starsza niż poradniki, starsza niż psychologia.

Kilka dni przed wizytą jej pani u terapeutki podbiegła resztkami sił, położyła pysk na jej kolanach, jakby mówiła: na mnie już czas. I odeszła.

Kiedy pies odchodzi, zabiera rytm. Zabiera powód do wstawania.

W krótkim czasie ta kobieta straciła dom, który znała, pracę, na której opierała tożsamość, i kruchą nić z córką. Nawet to bezwarunkowe „jestem przy tobie” – zniknęło.

Terapeutka słuchała. W pewnym momencie – bardziej odruchem niż techniką – powiedziała coś, co miało być współczuciem, a zabrzmiało jak podziw: że w tej kobiecie musi być żelazo, skoro wciąż siedzi na krześle, wciąż mówi, wciąż próbuje skleić zdania, choć rozsypał się cały porządek świata.

W kulturze dzielności słowa współczucia często brzmią jak pochwała zbroi. A zbroja nie jest prezentem. Zbroję zakłada się wtedy, kiedy nie ma komu powiedzieć: „Nie daję rady”.

Terapeutka chciała być dobra, a dotknęła mechanizmu: jeśli nazwiesz mnie silną, dołożysz mi obowiązek – mam być silna także teraz, także w gabinecie, także przy tobie.

Na koniec kobieta dodała, prawie szeptem:

– Może wezmę młodego psa. Żeby znów było komu nalać wody. Z kim wyjść rano. Komu powiedzieć: „Chodź!”.

Terapeutka się rozpłakała. A pacjentka ją utuliła. Przesunęła krzesło o kilka centymetrów bliżej, podała chusteczkę i położyła dłoń na jej przedramieniu. Ciepłą, spokojną dłoń kogoś, kto całe życie trzymał innych w pionie.

I powiedziała jedno, zwykłe:

– Już. Oddychaj.

Człowiek, któremu zawalił się świat, potrafi nadal mieć w sobie automatyzm opieki. Jakby układ nerwowy mówił: jeśli ja zajmę się tobą, to nikt nie będzie musiał zajmować się mną. To nie sentymentalna czułość z reklamy. To jest czułość robocza: podaj chusteczkę, usiądź bliżej, oddychaj, już.

A dopiero potem – może – będzie wolno jej samej się rozsypać.

Łzy to awaria hydrauliki

Zazdroszczę kobietom czułości, którą potrafią dawać sobie bez skrępowania: kwiaty, przytulenia, dobre słowa. U mężczyzn bliskość niby jest dozwolona, ale jakby „pod spojrzeniem” – łatwo ją seksualizować albo uznać za słabość, więc chowamy ją do bezpiecznych relacji: ojców, synów, braci.

Jest w tym paradoks: prawdziwą wrażliwość wolno nam mieć głównie na dwóch krańcach życia – w dzieciństwie i na starość. W tak zwanym międzyczasie zagryzamy zęby, napinamy mięśnie i zamiast się przytulić, wolimy udawać.

Dlatego męska bliskość często chowa się w działaniu: w podwiezieniu, naprawie, w „odezwij się, gdy dojedziesz”, w papierosie wypalonym razem w ciszy. To są nasze zastępcze uściski. Tylko że kiedy życie przestaje być zadaniem do wykonania – kiedy nie ma już „roboty”, w której można stać obok siebie – wychodzi na wierzch bieda tego kodu. Zostaje potrzeba prostego gestu: położyć rękę na ramieniu, powiedzieć „tęskniłem”. I nagle okazuje się, że to gesty jak z obcego języka.

Jest jedno zachowanie, którego wielu mężczyzn wciąż nie umie: być obok bez naprawiania. Kobieta płacze – a facet, nawet jeśli kocha, odpala wewnętrzną skrzynkę z narzędziami: rozwiązanie, plan, instrukcja, „co zrobić”. Jakby łzy były awarią hydrauliki. Jakby cierpienie było problemem do zamknięcia, a nie kimś do otulenia.

Sąsiadki

I czasem heroizm wygląda właśnie tak: nie jak triumf, tylko jak decyzja o następnym kroku. Jak myśl o psie, kiedy świat mówi: „już nic”.

Staje mi przed oczami inny obraz – pani Matylda z naszej klatki schodowej, jeszcze z czasów PRL-u.

Jej mąż pił. Awantura za awanturą. Z każdym rokiem jakby zabierał jej po kawałku twarz, głos, oddech. Nie mieli dzieci, nie miała bliskich – tylko brata, który jeździł tirami i pojawiał się rzadko, jak gość z innego życia. A ona siedziała z tym pijakiem jak w dobro-

FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **William-Adolphe Bouguereau (1825–1905), „Matka ojczyzna” (ok. 1883 r.). Postać kobiety symbolizuje opiekę, siłę i moralny fundament narodu. Obraz obecnie w kolekcji prywatnej**

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

wolnym więzieniu: drzwi niby były, klucz niby był, tylko ręka nie umiała go przekręcić.

Ale były sąsiadki. Wystarczyło wyjść na korytarz, zapukać i rozpłakać się nad herbatą w szklance w metalowym koszyczku, parząc palce o szkło jeszcze dymiące od wrzątku. Ten stary rytuał: płacz, milczenie, łyżeczka stukająca o brzeg, czyjeś „chodź, usiądź" – i nagle człowiek przestawał być sam.

Jaki to paradoks, że dziś w każdym domu znajdziesz sto poradników, a nie znasz człowieka z własnej klatki.

To one ją zmobilizowały. Pomogły jej się spakować. Walizka obijała się o schody jak serce o żebra. Jedna sąsiadka niosła ją z przodu, druga z tyłu, a Matylda szła między nimi wciśnięta w ich oddechy. Na dole, przy drzwiach, któraś poprawiła jej chustkę pod brodą i szepnęła:

– Nie patrz. Idź.

Sąsiadki wyprawiły ją z bratem do „nowego świata", jakby przeprowadzały tajną ewakuację. Matylda bała się wszystkiego: co będzie dalej, czy da sobie radę, czy nie wróci pokonana. One też się bały – że on ją dopadnie. Że ona się cofnie.

Potem wszyscy czekaliśmy na wiadomość z Niemiec, gdzie w naszych głowach Matylda zaczęła już żyć jako „pani Tila".

I w końcu przyszedł list. Pamiętam ten moment: jedna z sąsiadek krzyknęła na klatce: „Jest!". Matylda dziękowała im za upór, za pchnięcie jej do zmiany, za to, że nie pozwoliły jej zostać.

Z czasem kontakt przycichł, ale były paczki – niemieckie Haribo, czekolady. Wysyłane chyba bardziej jako znak niż prezent: „pamiętam", „żyję".

A po dwóch latach Matylda przyjechała. Z Ludwikiem – mężczyzną jej życia, na którego czekała tyle lat. Odmieniona: z twarzy zeszło napięcie, wrócił śmiech.

Anioł

I właśnie tutaj – między walizką obijającą się o schody a szeptem: „Nie patrz. Idź" – siada Virginia Woolf. Woolf mówiła o „Aniele w domu" i kazała go zabić. Ten Anioł nie był postacią z religii, tylko kulturowym wzorcem: kobieta ma być miła, łagodna, niewidoczna w swoim wysiłku. Ma nie robić kłopotu. Ma amortyzować. Ma łagodzić ostrą krawędź świata, żeby inni nie poczuli, że jest ostra.

Anioł jest uprzejmy nawet wtedy, gdy nie ma już siły. Jest cierpliwy, nawet gdy w środku wszystko się gotuje. Bierze odpowiedzialność za temperaturę w pokoju: żeby nikt nie zmarzł, żeby nikt nie poczuł wstydu, żeby nikt nie wyszedł obrażony. Jest logistyką emocji. Nosi dom na plecach – nie tylko w sensie garnków, zakupów i dziecięcych czapek, ale też w sensie: „żeby się nie rozpadło".

Woolf twierdziła, że dopóki Anioł stoi kobiecie za plecami, dopóty jej głos będzie ugrzeczniony. Będzie mówiła prawdę tak, żeby nikogo nie urazić.

Będzie ściszała siebie, zanim ktoś ją ściszy. Będzie korygowała własny gniew, jak się koryguje źle położony obrus.

Dlatego „zabić Anioła" nie znaczyło: odrzucić kobiecość. Znaczyło: uratować prawdę. Żeby móc powiedzieć „ja", trzeba przestać być wiecznym „ty".

Tyle że kiedy patrzę na Matyldę – pchaną z domu nie przez ideologię, tylko przez sąsiadki – widzę, że Anioł bywa też tym, co ratuje. Bo w świecie, w którym mężczyzna potrafi latami pić i niszczyć, a nikt nie reaguje, to kobiety biorą na siebie decyzję, której Matylda nie umie podjąć sama. I one nie wygłaszają mów. One pakują. One niosą walizkę. One stają po obu stronach jak żywe poręcze prowadzące człowieka przez najgorsze schody.

Ale jest w tym pułapka: ten sam Anioł, który uczy kobiety łagodzić, uczy innych, że można nie umieć. Jeśli ktoś zawsze ogarnia emocje, ktoś inny może się od nich oddalić. Jeśli ktoś zawsze „trzyma dom", ktoś inny może żyć w przekonaniu, że dom trzyma się sam.

Anioł w domu – nawet gdy jest czuły – jest też systemem. Systemem, który rozdziela role: jedna strona ma prawo do słabości tylko w kuchni, po cichu; druga ma prawo do twardości, bo ktoś inny zajmie się resztą.

I dlatego „zabicie Anioła" nie jest wojną z kobietami. Jest próbą przerwania umowy, która wyniszcza obie strony: kobiety, bo uczą się być potrzebne wszystkim, i mężczyzn, bo uczą się nie potrzebować nikogo. A potem spotykają się w środku życia i nie umieją już mówić jednym językiem: one mówią czułością jak obowiązkiem, a my mówimy działaniem jak alibi.

Chłopiec pod stołem

Tu muszę dopisać coś o sobie, bo to też jest część tej samej opowieści.

Był taki czas, kiedy sądziłem rodziców. Ślepy na okoliczności łagodzące. Sądziłem ich za to, jaki jestem, za to, jaki wzór mi dali, za czułość, którą przede mną ukryli.

Dziś, po wszystkich rewizjach nadzwyczajnych, które przeprowadziło we mnie życie, dziękuję mamie za obrazy z domu – za to, co pokazała bez słów: jak wygląda dom, który trzyma się na czyichś dłoniach.

W domu, w którym ma być „normalnie", kuchnia jest sztabem. A matka – dowódcą operacji.

Matka stoi przy blacie, łyżka w dłoni jak wskaźnik. Co chwilę wyciera ręce o fartuch, jakby tym gestem podkreślała rangę zmęczenia. Wydaje polecenia, jakby ratowała statek, a nie robiła sałatkę: „Ty przynieś talerze", „Ty nie tam, tu", „Ty nie dotykaj, bo zepsujesz". Jest w tym nerw, który zna tylko ktoś, kto czuje odpowiedzialność za wszystko – i za wszystkich naraz.

Ojczym krąży jak satelita. Niby pomaga, niby jest potrzebny, ale w tej kuchni widać, że jest gościem. Matka lubi ruch, bo w ruchu łatwiej nie usłyszeć tego, co w ciszy zaczyna mówić.

W pewnym momencie wchodzą ciotki, kuzynki, sąsiadki. Wnoszą śmiech, torby, plotki, ciasta, historie o tym, kto schudł, kto przytył, kto się rozwiódł, kto „zmarnował życie".

Kuchnia gęstnieje od słów, jakby powietrze miało swój ciężar.

A ja leżę zmęczony pod stołem jak pod wodą i słucham tych opowieści jak z „Traktatu o łuskaniu fasoli" Myśliwskiego: jakby ktoś sypał do miski zwyczajne zdania, a one nagle brzmiały jak cała historia świata.

Mama raz schyla się, jakby po ściereczkę, i mimochodem gładzi mnie po włosach. Tak żeby nikt nie zauważył, a ja – żebym wiedział.

Potem wsunie mi pod stół kawałek jabłka albo gorącą kruszonkę oberwaną z brzegu ciasta – małe „żyjesz, jesteś", które nie potrzebuje słów. I ja leżę cicho, najedzony nie jedzeniem, tylko tym gestem.

Na powierzchni płyną opowieści: o szczęściu, o zdradach, o przemilczeniach, o dzieciach, które „są kochane, ale człowiek ma dość", o mężczyznach, którzy są obok, a jakby ich nie było. Każda dorzuca swoją historię jak fasolkę do wspólnej miski: stuk, stuk, stuk. I to stukanie jest jak rytm wspólnoty.

Dopiero po latach rozumiem, co się tam działo. To nie były „babskie gadki", jak się mówi z pogardą. To była infrastruktura świata. Kobiety w tej kuchni były jak ściany: to na nich wisiało wszystko – choroba, miłość, umieranie, wstyd, nadzieja. Nawet wtedy, gdy nikt nie mówił „dziękuję".

I może właśnie stamtąd mam ten głód smaku czułości z miejsca, w którym czułość była zwyczajna jak nóż i ściereczka. Stamtąd też mam wstyd: chłopcy pod stołem uczą się słuchać, ale nie uczą się mówić. Uczą się, że świat trzyma się na kobiecych dłoniach – ale nikt im nie pokazuje, jak własne dłonie wyciągnąć po kogoś bez starego lęku, że to „niemęskie", „za dużo", „nie wypada".

Nocny autobus

Mam w pamięci też inne obrazy – i pewnie, gdyby nie tamte z domu, nigdy bym ich nie zrozumiał. Obrazy przeraźliwej samotności: bycia z kimś, kto rani, ale nie wie, że rani. Kto nie rozumie, że nie rozumie.

Nocny autobus pachnie zmęczeniem. Ludźmi, którzy nie wracają z imprezy, tylko z życia.

Wsiada kobieta z włosami związanymi byle jak, z siatką, w której coś metalicznie dzwoni. Siada ostrożnie, jakby jej ciało było połamane od środka. Na rękach ma ślady rękawiczek – takie odciśnięte granice.

Wyciąga telefon, patrzy na ekran, odkłada. Wyciąga znowu. W końcu pisze krótką wiadomość: „Wracam. Śpisz?". I zanim dostanie odpowiedź, zamyka oczy. Nie zasypia. Tylko wyłącza się na chwilę.

Autobus szarpie. Światła mijają jej twarz jak klatki filmu. Myślę, że są kobiety, które całe życie mają dyżur – nie tylko w szpitalu. Dyżur na cudze lęki, cudze potrzeby, cudze „jakoś to będzie".

A potem wracają nocą do domu i nie mają już siły nawet na własne „jak się czujesz".

Kiedy wysiada, przez moment mam ochotę wstać i powiedzieć: „Widzę panią". I to jest chyba najprostsze zdanie, którego ludziom brakuje najbardziej.

Na Filipinach spędziłem kilka miesięcy i poznałem wiele kobiet – kobiet cienia, które nie wchodzą do kronik, choć bez nich nic nie stoi prosto.

Kobieta płacze – a facet, nawet jeśli kocha, odpala wewnętrzną skrzynkę z narzędziami: plan, instrukcja, „co zrobić"

Jedna z nich była żoną człowieka, o którym mówi się podniesionym głosem: komandora Angela Vilirana, oficera Filipińskiej Straży Przybrzeżnej, dowódcy, którego nazwisko pada w meldunkach i przemówieniach. W czasie oblężenia Marawi pływał z żołnierzami, amunicją i pomocą. Potem była ceremonia odejścia na emeryturę: odznaczenia, medal, salut, flesze.

A ona stała obok, trochę w cieniu, bez salutu.

Siedzieliśmy w kawiarni. Rozmawiała spokojnie, precyzyjnie – prawniczka. Tyle że pod tą precyzją było coś miękkiego i zmęczonego.

Powiedziała, że kiedy on wypływał, ona układała dom tak, żeby nie rozpadł się od środka. Że dzieci musiały jeść, chodzić do szkoły, zasypiać – mimo że w telewizji leciała wojna. Że są noce, w których telefon milczy, a to milczenie nie jest spokojem, tylko przestrzenią na wszystkie możliwe scenariusze. Że człowiek wtedy zmywa kubki, składa ręczniki – i to jest jedyne, czego może się trzymać.

Powiedziała też coś, co zostało mi w głowie: żony takich ludzi zakładają uśmiech jak mundur. Żeby nikt nie zobaczył burzy w środku. Że „front domowy" bywa równie realny jak ten na mapach operacyjnych, tylko nikt nie daje za niego medali. Że miłość w takich domach często nie jest romantyczna, tylko logistyczna: pilnować, organizować, trzymać pion, kiedy nie ma kogo poprosić o zmianę warty.

Kiedy mówiła o strachu: o bezsenności, o napięciu, które wyciska dzień po dniu jak wodę z tkaniny – spojrzała na mnie tak, jakby sprawdzała, czy ja to w ogóle uniosę. I kiedy tylko kiwnąłem głową, jakbym dał sygnał „słyszę", jej twarz na moment zmiękła.

– Dziękuję, że pan słucha – powiedziała.

Kobieta, która nie umie być blisko

Pisząc ten tekst, odbijam się od różnych reakcji kobiet. Jedne mówią, że mit „kobiecego kręgu" działa, dopóki jest plakatem – dopóki jest hasłem o siostrzeństwie, które dobrze wygląda na stories. A potem przychodzi życie i bywa inaczej: są kobiety, które nie umieją być blisko z kobietami.

Czasem miałem wrażenie, że w bliskiej mi osobie jest coś, co nie pasuje do reszty. Do jej serdeczności, uważności, do przyjaźni, którą potrafiła dać. Mnie dała uwagę, pamięć, rzetelną obecność. Była konkretna, porządna – jak ktoś, kto umie unieść cudzy ciężar bez narzucania się.

Ale kobietom dawała inaczej. Jakby ciepło miała prawdziwe – tylko rozdzielone na dawki. Jakby rozdawała je „bezpiecznie": miło, poprawnie, z troską, ale tak, żeby nikt nie dotknął środka. Żeby nikt nie wszedł tam, gdzie zaczyna się ryzyko.

Impreza, muzyka, tłok i śmiech, a w łazience – prawdziwe życie. Kafelki, ostre światło, zamek w drzwiach. Trzy kobiety: jedna oparta o umywalkę, druga z papierem w dłoniach, trzecia siedzi na brzegu wanny i próbuje się nie rozsypać.

– Oddychaj. Mów – pada cicho.

I ona mówi: że ma dość, że znowu to samo, że udaje, że jest okej, a nie jest.

W drzwiach pojawia się tamta. Uśmiech. Odruch pomocy.

– Co się stało? – miękko, prawie idealnie.

Robią jej miejsce. Siada. Przez chwilę jest dobrze. Potakuje. Powie jedno zdanie „w punkt". Da słowo, które klei.

Tylko że kiedy rozmowa schodzi głębiej – kiedy trzeba nie tyle doradzić, ile zostać – ona zaczyna robić unik.

– Dobra, będzie okej, chodźmy! – mówi za szybko. Bo telefon. Papierosy. Ktoś ją woła. Cokolwiek. Wstaje pierwsza, jakby to była ewakuacja. Drzwi się domykają, muzyka wraca jak fala.

Zostaje cisza, bo nagle widać mechanizm: „kochana", „miła", „empatyczna" – a znika dokładnie wtedy, kiedy robi się blisko. Jakby bliskość z kobietą była polem minowym.

To nie zawsze jest zła wola. To jest pamięć.

Matka jako pierwszy wzorzec kobiety – nie w teorii, tylko w ciele. Jeśli ta relacja była zimna, raniąca albo emocjonalnie nieprzewidywalna, to potem układ nerwowy nie pyta o poglądy ani deklaracje. On reaguje. Widzi serdeczną kobietę – i pod spodem widzi matkę: nie realną, tylko tę zapisaną, dawną, niewiarygodną.

Zanim pojawi się zaufanie, pojawia się obrona. Zanim pojawi się bliskość – pojawia się „wyjście".

Nie wpuści żadnej kobiety zbyt głęboko do swojego serca. Bo w środku stoi stary hamulec: nie wchodź za daleko – bo zaboli.

Pustynia

Mężczyźni potrafią być czuli. Tylko często robią to jakby w kominiarkach.

Pamiętam kumpla, który nie umiał powiedzieć: „Jest mi źle", ale kiedy inny rozsypał się po rozstaniu, przyjechał bez gadania. Stał w drzwiach z siatką zakupów. Zrobił zupę. Posprzątał kuchnię. Zjedli, a potem zapalili papierosa na balkonie i powiedział jedyne zdanie, jakie umiał:

– Jak chcesz, jutro też wpadnę.

Była kobieta, której opowiedziałem „swoją historię". Siedziała spokojnie, jakby znała ciężar moich ramion, zanim zdążyłem o nim opowiedzieć. Powiedziała jedno zdanie – bez patosu, bez egzaltacji: Żebym nie zrobił sobie krzywdy.

A potem dodała coś jeszcze – że świat potrzebuje tej wiary szczególnie u mężczyzn. Nie „twardości", nie kolejnej dyscypliny przetrwania, tylko wiary w miłość – takiej, która nie jest słabością ani ozdobą, tylko źródłem. Bo kiedy mężczyźni przestają w nią wierzyć, świat robi się zimniejszy.

Nie mówiła o miłości romantycznej. Mówiła o miłości do ludzi i do świata. O zaufaniu. O tym, że kiedy zamykamy serce, zaczynamy zasiedlać pustynię – i robimy to tak długo, aż uznamy ją za swój dom.

– Uważaj – powiedziała – bo człowiek potrafi przyzwyczaić się do braku wody.

Na sercu nosimy skorupy: po zdradach, po przedwczesnych odejściach, po chorobach, po słowach. Z czasem tworzy się pancerz. Łzy wysychają. Serce twardnieje. A my, zamiast je leczyć, doskonalimy umiejętność przetrwania. Przyłączamy się do chłodu, podejrzliwości, ironii, która ma być tarczą.

A świat nie umiera od braku sprytu. Umiera od braku czułości. ●

eprasa.pl 738f82d54d

KRAJ

Proch NAS PRZERASTA

Potrafimy wyprodukować najlepszego drona, najlepszy transporter opancerzony i najlepszy radar, **ale nie radzimy sobie z pociskiem artyleryjskim**

Z **JAROSŁAWEM WOLSKIM,*** ANALITYKIEM WOJSKOWYM, KTÓRY PROWADZI KANAŁ DEFENCE CHANNEL ROZMAWIA **DOROTA ROMAN**

Czołgi, drony, samoloty, okręty podwodne... Od kilku lat, czy to za rządów PiS, czy Koalicji 15 Października, właściwie nie ma miesiąca, żeby resort obrony nie chwalił się nowym kontraktem lub dostawą. Przy tylu programach i zakupach da się już ocenić, jaki właściwie jest stan polskiego uzbrojenia?
– Nadrabiamy trzydziestoletnie zaległości, których nie da się zniwelować w kilka lat. Przez trzy dekady techniczna modernizacja armii miała charakter „wyspowy" – kupowaliśmy uzbrojenie wyrywkowo. W wybranych obszarach pozyskano nowoczesne uzbrojenie takie jak Rosomaki lub F-16, ale trzon wyposażenia nadal stanowiły systemy z poprzedniej epoki.

Fundamentem polskiej armii przez dziesięciolecia był postradziecki skansen techniczny z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Symbolem stały się czołgi T-72M1, które mimo upływu lat i zmieniającego się pola walki uparcie stanowiły trzon naszych wojsk pancernych. Albo pamiętające stan wojenny wozy BWP-1.
– Po prostu większość armii nadal bazowała na rozwiązaniach pamiętających czasy generała Jaruzelskiego.

Bilans?
– Ani sukces, ani katastrofa – po prostu wielkie sprzątanie po 30 latach zaniedbań. Nie łudźmy się, że załatamy taką dziurę w jedną czy dwie kadencje.

To naczej: co jest mocną stroną polskiego uzbrojenia?
– Mówimy o dwóch rzeczach: o sprzęcie polskiego wojska i o polskim sprzęcie.

Polska zbrojeniówka ma kilka kluczowych produktów, które sprawdziły się w najtrudniejszych warunkach, „w realu", na współczesnym polu walki, na przykład w Ukrainie. Mocną stroną jest broń strzelecka z radomskiej Fabryki Broni. Karabinek MSBS Grot przechodził choroby wieku dziecięcego, ale to naturalne dla każdej nowej konstrukcji – a doświadczenia z frontu w Ukrainie potwierdzają jego wysoką wartość.

Kolejny przykład to WRE, *electronic wafare,* czyli systemy radiolokacyjne i walki elektronicznej. Polskie radary i systemy zagłuszania to światowa czołówka i efekt dekad własnych prac badawczych.

Do tego artyleria lufowa, a konkretnie AHS – czyli armatohaubica samobieżna – Krab. To przykład udanej syntezy technologii: wykorzystaliśmy brytyjską wieżę – do której mamy pełne prawa licencyjne – oraz koreańskie podwozie, które przeszło w Polsce głęboką modernizację. Dzięki temu Krab stał się jednym z najskuteczniejszych i najbardziej wytrzymałych systemów artyleryjskich kalibru 155 mm na świecie.

I zdaje właśnie egzamin bojowy.
– Krab to bezsprzecznie jedna z najskuteczniejszych armatohaubic operujących w Ukrainie. Co ciekawe, w bezpośrednim zestawieniu z niemiecką Panzerhaubitze 2000 polska konstrukcja wygrywa w kilku kluczowych aspektach. Ma wyższą niezawodność w warunkach ekstremalnego zapylenia i błota. Choć PzH 2000 jest szczytem technologii pod względem automatyzacji, Krab okazał się konstrukcją bardziej odporną na trudy ciągłej eksploatacji i znacznie prostszą w naprawach polowych. Ukraińcy cenią naszą maszynę za intuicyjność obsługi i wytrzymałość podwozia.

Maszyna „nie do zajechania". Czy może, skoro to front z Rosją, „gniotsia nie łamiotsia".
– Co prawda wykorzystaliśmy brytyjski system wieżowy z AS90, ale po naszych modyfikacjach i polonizacji stał się niemal nowym produktem. Podobnie podwozie koreańskiej haubicy K9 Thunder – polscy inżynierowie znacząco je ulepszyli.

Najlepszym dowodem na klasę naszego produktu jest fakt, że Krab to jedyna zagraniczna armatohaubica, którą Ukraina zdecydowała się kupić za własne pieniądze. Inne systemy trafiają na front głównie w ramach darowizn i pomocy sojuszniczej, a na dostawę kolejnych kilkudziesięciu sztuk polskich Krabów Kijów podpisał komercyjny kontrakt.

Czyli zarabiamy na nich.
– Kijów stawia na sprawdzony sprzęt, który nie tylko precyzyjnie uderza, ale i wytrzymuje mordercze tempo eksploatacji. Polska staje się nie tylko zapleczem remontowym, ale też znaczącym dostawcą ciężkiej artylerii dla ukraińskiej armii.

Jeszcze jakieś hity eksportowe i technologiczne polskiego uzbrojenia?
– Piorun – jeden z najlepszych na świecie przenośnych zestawów przeciwlotniczych, czyli MANPADS. Jego skuteczność w zwalczaniu rosyjskich śmigłowców i dronów stała się legendarna, a efektem są kontrakty dla USA, Norwegii czy Estonii.

Polska jest jednym z nielicznych państw produkujących sprawdzone w boju drony rozpoznawcze i amunicję

• **Wolski: Każdy Krab, Borsuk czy Piorun to inwestycja w polską gospodarkę, która zwraca się wielokrotnie – w formie podatków i unikalnej wiedzy technicznej. Na zdj.: wozy bojowe piechoty Borsuk. Zakłady w Stalowej Woli, luty 2023 r.**
FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 738f82d54d

krążącą. System dronowy FlyEye z prywatnego koncernu WB Electronics jest uznawany za prawie nieuchwytny dla rosyjskich systemów walki elektronicznej.

Mamy też własny wóz bojowy nowej generacji. Borsuk to całkowicie polska konstrukcja z Huty Stalowa Wola, która ma zastąpić jeszcze poradzieckie BWP-1. Jeden z niewielu nowoczesnych pływających bojowych wozów piechoty, co jest kluczowe przy naszym położeniu i geografii.

I drobnica, ale kluczowa w walce w XXI wieku: celowniki termowizyjne, noktowizory, systemy obserwacyjne. Montowane nie tylko na polskim sprzęcie. Są cenionym komponentem modernizacyjnym dla wielu armii NATO.

Reszta to montaż i licencje. Czyli efekt wygaszenia zaplecza przemysłowego z poprzedniej peerelowskiej epoki.

A co z amunicją? Słychać, że akurat jej nam brakuje. I mamy problem z uzupełnieniem magazynów.
– Poza amunicją strzelecką, czyli małokalibrową, nie dysponujemy obecnie pełną samowystarczalnością w produkcji innych typów pocisków.

Potrafimy zbudować drona, transporter opancerzony i radar, a nie potrafimy pocisku?
– To efekt systemowej degradacji przemysłu chemicznego zbudowanego w czasach PRL. Zlikwidowano kluczowe zakłady wytwarzające półfabrykaty, na przykład nitrocelulozę. Przez to wpadliśmy w ogromne uzależnienie od dostawców zagranicznych.

Widać to na przykładzie amunicji kalibru 155 mm do Krabów. W Polsce produkujemy, choć na słowackiej licencji, niemal kompletne skorupy pocisków, lecz ładunki miotające musimy importować z Czech i Słowacji. A to kluczowe komponenty. Bez nich pocisk jest bezużyteczny. Przełom nastąpił dopiero w ubiegłym roku, gdy podpisano strategiczne umowy z brytyjskim BAE Systems oraz francuskim Eurenco. Ich celem jest pełna polonizacja cyklu produkcyjnego amunicji 155 mm i przeniesienie krytycznych technologii do kraju. Odtwarzamy powoli umiejętności i możliwości, które Polska miała dekady temu, a które lekkomyślnie zaprzepaszczono.

Ale wciąż nie mamy ani cywilnej, ani wojskowej fabryki nitrocelulozy – kluczowej do produkcji ładunków miotających. Jedyna linia w Pionkach jest w trakcie odbudowy. Zakłady Metalowe Dezamet pozostają kluczowym dostawcą amunicji dla polskiej artylerii, ale ich działalność opiera się głównie na elaboracji, czyli wypełnianiu materiałem wybuchowym komponentów sprowadzanych z zagranicy.

A mamy chociaż surowce do tej odbudowywanej produkcji?
– Właśnie. Samodzielność amunicyjna to nie tylko fabryki, ale również dostęp do surowców. Bawełna do nitrocelulozy, metale... – samo wybudowanie zakładu to połowa sukcesu, trzeba jeszcze zabezpieczyć łańcuch dostaw.

To na czym stoimy teraz?
– Rząd uruchomił program Narodowa Rezerwa Amunicyjna, który dofinansuje budowę nowych fabryk amunicji wielkokalibrowej miliardami złotych. Cel to produkcja ponad 200 tysięcy sztuk rocznie.

Coś produkujemy w Polsce od A do Z?
– Jeśli chodzi o amunicję strzelecką i małokalibrową, mamy pełne zdolności produkcyjne w kalibrach standardu NATO 5,56 i 7,62 mm oraz w kalibrach postradzieckich, czyli 14,5 mm i 23 mm do armat przeciwlotniczych ZU-23-2. Produkujemy je masowo i samodzielnie. Problem zaczyna się przy kalibrach średnich. Amunicja 30 mm – używana w transporterach Rosomak – to w dużej mierze montaż licencyjny rozwiązań amerykańskich i norweskich, a kluczowe komponenty pochodzą z importu.

Lepiej jest w segmencie rakietowym – na przykład pociski do przeciwlotniczych Piorunów to nasz wyrób, produkowany w Polsce począwszy od zaawansowanej głowicy optoelektronicznej po silnik rakietowy. Do chlubnych wyjątków należą również pociski Fenix kalibru 122 mm do Gradów i Langust. Są nowoczesne, mają zwiększony zasięg i powstają u nas od podstaw.

Lista gotowych produktów, w których jesteśmy w pełni niezależni od zagranicy, pozostaje zbyt krótka. Na pociechę, nie brakuje nam unikalnych kompetencji inżynierskich.

Jak to możliwe, że nie potrafimy zamknąć całego cyklu produkcyjnego?
– To dziedzictwo lat dwutysięcznych. Wtedy, w imię źle pojętych oszczędności i nowoczesności, likwidowano polski przemysł amunicyjny, uznając go za nieefektywny, materiałochłonny i nieekologiczny. Symbolem stały się zakłady w Pionkach, gdzie wygaszono produkcję, trwale zrywając łańcuch dostaw niezbędny do wytwarzania kompletnych pocisków.

Pionki były jedynym w kraju producentem nitrocelulozy i prochów. Pół biedy, gdyby je po prostu zamknięto, a maszyny, sprzęt wykorzystano gdzie indziej. Ale dewastacja infrastruktury – w tym cięcie instalacji na złom – do dziś zadziwia.
– A osoby odpowiedzialne za demontaż tych linii otrzymywały nagrody za proekologiczne działania. Wszystko to działo się przy całkowitej bierności polityków i braku nadzoru ze strony służb. Sami więc pozbawiliśmy się kluczowych zdolności obronnych. Chciałbym wierzyć, że stała za tym jedynie monstrualna głupota, a nie celowe działanie.

Przynajmniej jesteśmy światowym potentatem w produkcji TNT, czyli trotylu – podstawowego kruszącego materiału wybuchowego wypełniającego pociski artyleryjskie, miny czy bomby.
– Zakłady Nitro-Chem w Bydgoszczy to absolutna czołówka. Jesteśmy największym producentem trotylu w całym NATO. Bydgoski trotyl to towar eksportowy pierwszej rangi – bazuje na nim nie tylko polska zbrojeniówka, ale i amerykańscy giganci obronni.

Potrafimy wyprodukować potężny ładunek wybuchowy, czyli trotyl, odlać stalową skorupę pocisku, ale wciąż brakuje nam własnego „paliwa", które ten pocisk wystrzeli z lufy. Czyli prochu.

Prochu? Nie opanowaliśmy średniowiecznej technologii?
– Oczywiście nie takiego zwykłego prochu znanego z petard lub amunicji strzeleckiej. Chodzi o nowoczesne prochy wielobazowe, które są bezpieczne, stabilne, niezawodne i mniej zużywają lufy.

A czemu rozdajemy karty na rynku trotylu?
– Produkcja trotylu jest procesem uciążliwym i obciążającym dla środowiska, dlatego wiele państw zrezygnowało z utrzymywania takich instalacji. A my tę trudną niszę zagospodarowaliśmy. Bydgoski trotyl to atut w naszych relacjach z sojusznikami. I atut rynkowy, bo zapotrzebowanie jest gigantyczne i przez dłuższy czas będzie tylko rosło.

Kiedy Polska będzie w stanie zasypać tę lukę amunicyjną i osiągnąć samodzielność?
– Problem amunicyjny próbuje się rozwiązać od dekady, czego symbolem stał się głośny Program 400 uruchomiony jeszcze za poprzednich rządów.

Chodzi o wieloletni plan dokapitalizowania państwowych spółek produkujących broń. Jego częścią było odtworzenie zdolności amunicyjnych w zakładach Mesko i Dezamet należących do Polskiej Grupy Zbrojeniowej.
– Choć na ten cel wydano niemal miliard złotych, efekt jest skandaliczny. Zakupiono nowoczesne maszyny, ale pominięto niezbędne licencje oraz szkolenia technologów. W rezultacie kosztowny sprzęt stał bezużytecznie tak długo, że zdążył już utracić gwarancję producenta. Niewiarygodne zaniedbanie.

Dopiero w ubiegłym roku poczyniono realne i wiążące zobowiązania licencyjne wobec partnerów zagranicznych, które dają nadzieję na przełamanie wieloletniego impasu. To umowa na produkcję kompletną: od surowej odkuwki w kuźni, przez precyzyjną obróbkę, aż po elaborację materiałem wybuchowym i finalny montaż. Po raz pierwszy od lat mamy realną szansę na zamknięcie całego cyklu produkcyjnego w kraju. Nadzieją jest także strategiczna umowa z Francuzami z Eurenco dotycząca pełnego transferu know-how oraz uruchomienia w Polsce produkcji nitrocelulozy i prochów wielobazowych. Te technologie kosztowały miliardy, bo nikt nie dzieli się tak krytyczną wiedzą za darmo, ale dzięki temu pod koniec obecnej dekady Polska będzie samodzielnie wytwarzała amunicję 155 mm.

To co jeszcze musimy nadrobić? Albo jakie bariery usunąć?
– Wydaje się, że większość krytycznych luk w produkcji amunicji artyleryjskiej i czołgowej już załataliśmy. Mówię „wydaje się", bo diabeł tkwi w szczegółach technicznych i terminowości wdrożeń.

Pozostaje kwestia precyzyjnej amunicji rakietowej. Rozwiązaniem ma być spółka joint venture powołana przez polską grupę WB Electronics oraz koreańskiego giganta Hanwha Aerospace. To strategiczny ruch, ale budzący pewne kontrowersje natury biznesowej i suwerennościowej. Na początku zakładano, że polska strona będzie miała głos decydujący, ostatecznie to Koreańczycy objęli 51 procent udziałów. A w tak strategicznym obszarze kontrola powinna spoczywać w rękach krajowych. Ale lepiej mieć tę technologię na miejscu przy przewadze kapitałowej partnera niż nie mieć jej wcale i polegać wyłącznie na gotowych dostawach z Seulu.

Ile tysięcy pocisków miesięcznie powinny wytwarzać nasze zakłady, żeby skutecznie powstrzymać Rosjan w razie wojny o skali takiej jak w Ukrainie?
– Kluczowym czynnikiem jest dominacja w powietrzu. To od liczby misji wsparcia wykonywanych przez pilotów zależy, jak bardzo obciążona będzie artyleria. Oczywiście artyleria pozostaje podstawą pola walki. Analizując intensywność walk na Ukrainie, mówimy o realnym zużyciu rzędu 1-2 milionów sztuk pocisków 155 mm rocznie. Patrząc na ogłoszone plany osiągnięcia produkcji na poziomie 180-200 tysięcy rocznie do 2027-28 roku, możemy szacować, że samodzielnie zapewnimy amunicję na co najmniej pół roku intensywnego konfliktu.

Ale uwaga: nie musimy zaspokajać zapotrzebowania wyłącznie własną produkcją. Mamy solidne zdolności sojusznicze, które nas zabezpieczają. Łączne zdolności NATO rosną i do 2027 roku osiągną poziom dwóch milionów pocisków rocznie. Uprzedzając wątpliwość: mowa o krajach europejskich, bez potencjału USA.

To przejdźmy do bardziej budującej działki, tego, z czego możemy być dumni. Borsuk słusznie jest nazywany czarnym koniem polskiej zbrojeniówki?
– To nowy standard polskiej piechoty zmechanizowanej. Bez przesady można powiedzieć, że BWP Borsuk to absolutna wizytówka współczesnego polskiego przemysłu zbrojeniowego. Choć – jak w każdej nowoczesnej konstrukcji tej klasy – wykorzystujemy pewne komponenty z importu, to projekt i integracja są rdzennie polskie. Został zaprojektowany jako Bojowy Wóz Piechoty zdolny do pływania, co było kluczowym wymogiem MON i armii uwzględniającym naszą geografię pełną przeszkód wodnych. Co najważniejsze, mimo wymogu pływalności, który teoretycznie wymusza różne kompromisy, choćby związane z układem napędowym, inżynierowie z Huty Stalowa Wola zapewnili załodze wyjątkowo wysoki poziom ochrony, szczególnie w zakresie odporności przeciwminowej, co potwierdziły testy poligonowe.

Na pierwsze 116 egzemplarzy seryjnych podpisano umowę w ubiegłym roku, notabene dzięki środkom z programu SAFE, w najbliższym czasie zakontraktujemy kolejną transzę, około 150 pojazdów. Docelowe potrzeby wojska są ogromne – łącznie blisko 1400 Borsuków, co pozwoli na całkowite zastąpienie przestarzałych, poradzieckich wozów BWP-1.

No to kolejna polska „perła w koronie" i globalny hit eksportowy.
– PPZR Piorun to nasz szlagier. Sukces tego systemu w Ukrainie, gdzie z niezwykłą skutecznością eliminuje rosyjskie samoloty, śmigłowce i drony, otworzył mu drzwi do najbardziej wymagających armii świata. A jego produkcja w Mesko S.A. bije rekordy. W 2025 roku zakłady osiągnęły wydajność na poziomie około 1200 pocisków rocznie, a plany zakładają jej podwojenie, by sprostać popytowi. Lista użytkowników stale rośnie. Ostatnio do USA, Estonii, Norwegii i Łotwy dołączyły Szwecja, Belgia oraz Słowacja. Zainteresowanie zakupem Piorunów potwierdziły Niemcy oraz Francja. A tymczasem Mesko pracuje już nad Piorunem 2 – nową generacją pocisku. Debiut w naszej armii jest planowany na rok 2028.

Furorę robi też „potwór z Tarnowa" – wielolufowy karabin maszynowy. Realna odpowiedź na rosyjskie drony? 1200 pocisków na minutę! – ekscytują się komentatorzy.
– Nazwa medialna i chwytliwa, ale w tym miejscu postawiłbym kropkę. Nie uważam tego rodzaju uzbrojenia za priorytetowe dla naszych sił zbrojnych, biorąc pod uwagę jego realne cechy użytkowe i specyfikę współczesnego pola walki. Mam spore wątpliwości co do tej konstrukcji, a opieram je na znajomości podobnych systemów, które próbowano wdrażać. Większość odrzucano, ponieważ rozbijały się o poważne bariery: ogromne drgania konstrukcji wpływające na celność oraz monstrualne zużycie amunicji. Dopóki nie dostaniemy twardych danych potwierdzających skuteczność trafień przy tak dużej szybkostrzelności, pozostaję sceptyczny. Może testy wykażą, że moje wątpliwości są nieuzasadnione.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Jarosław Wolski**

• rocznik 1986, dziennikarz, publicysta, analityk wojskowy, jeden z najlepiej zorientowanych w sprawach polskiego wojska cywilnych ekspertów. Współpracował m. in. z „Dziennikiem Zbrojnym", „Przeglądem Sił Zbrojnych", „Nową Techniką Wojskową" oraz Kanałem Zero, gdzie prowadził program „Militarne Zero". Jego kanał Wolski o Wojnie – obecnie Defence Channel – Wolski o Wojnie należy do najpopularniejszych, a jednocześnie najbardziej cenionych przez ekspertów programów o obronności i militariach na YouTubie. Jako konsultant współpracuje z Polską Grupą Zbrojeniową, wykłada na Akademii Marynarki Wojennej.

eprasa.pl 738f82d54d

Coś jeszcze stanowi o sile naszego przemysłu obronnego?
– Wielki potencjał drzemie w firmach prywatnych, takich jak APS, Advanced Protection Systems, produkująca światowej klasy systemy antydronowe i zagłuszarki, czy Grupa WB, która jest liderem w produkcji znakomitych radiostacji oraz systemów bezzałogowych – o FlyEye już mówiliśmy, a jeszcze jest Warmate. Mamy też mniejsze firmy o bardzo unikalnych kompetencjach, jak Jakusz, która specjalizuje się w technologiach utylizacji amunicji i bezpiecznych pojemnikach przeciwwybuchowych.

Nie zapominajmy o chemii i broni strzeleckiej. Nitro-Chem i ich trotyl już zareklamowałem, ale trzeba wspomnieć o Fabryce Broni w Radomiu. To dziś jeden z najnowocześniejszych zakładów w Europie. Do tego dochodzą zakłady takie jak Mesko czy Belma produkujące kluczowe komponenty amunicyjne i minowe. Mamy solidny fundament i konkretne produkty, którymi możemy się chwalić na całym świecie.

Polska wzorem państw bałtyckich wypowiedziała konwencję ottawską dotyczącą min przeciwpiechotnych. Zostawiając na chwilę wymiar moralny i wizerunkowy – to wejście w zupełnie nową rzeczywistość strategiczną. Jak duże mamy zaległości w dziedzinie zapór minowych i jak szybko musimy nadrabiać zaległości?
– Decyzja o wypowiedzeniu konwencji ottawskiej to przejaw realizmu obronnego. Wojna w Ukrainie pokazała, że miny skutecznie powstrzymują agresora. Dlatego stały się one fundamentem Tarczy Wschód. Ale do tego potrzebujemy nie tysięcy, ale milionów min przeciwpancernych i przeciwpiechotnych. Koszt odtworzenia zapasów to dziesiątki miliardów złotych.

Realistycznie patrząc, uzupełnienie braków zajmie nam co najmniej dekadę, nawet zakładając natychmiastowe rozkręcenie produkcji w bydgoskiej Belmie. To gigantyczne wyzwanie, bo nie mówimy o prostych minach z ubiegłego wieku, ale o nowoczesnych systemach, które można zdalnie aktywować lub dezaktywować. A Polska musi się stać samowystarczalna w tym zakresie, bo gdy zajdzie konieczność, nikt nie dostarczy nam milionów min z dnia na dzień.

Polski przemysł obronny ma wystarczający potencjał, by stać się hubem produkcyjnym środków minowych dla całej wschodniej flanki NATO?
– Potencjał produkcyjny jest, ale musimy go analizować pod kątem pryzmat realiów wojennych, a nie pokojowych statystyk. Belma już w tym roku rozpoczyna produkcję nowoczesnych min przeciwpiechotnych. Prognozy wskazują, że za dwa lata zakłady osiągną wydajność na poziomie dwóch milionów sztuk rocznie. Ale choć ta liczba brzmi imponująco, na nowoczesnym polu walki to kropla w morzu potrzeb.

Doświadczenia z Ukrainy uczą, że przy budowie skutecznych pasów przeszkód inżynieryjnych operuje się dziesiątkami milionów sztuk amunicji. Jeśli poważnie traktujemy Tarczę Wschód i chcemy stworzyć nieprzekraczalną barierę od korytarza suwalskiego aż po granicę z Ukrainą, musimy myśleć o skali produkcji, która dziś wydaje się nam niewyobrażalna. Dwa miliony rocznie to tylko dobry początek.

Obserwujemy przełom w modernizacji armii czy to jedynie chwilowy zryw wymuszony sytuacją za naszą wschodnią granicą?
– Na pewno coś więcej niż zryw. Drgnięcie jest bardzo wyraźne i – co warto podkreślić – ma charakter ponadpartyjny. Procesy, które zainicjowali poprzednicy, są kontynuowane i finalizowane. To rzadki i niezwykle cenny przykład ciągłości państwowej, który zmienia naszą sytuację na ogromny plus. Musimy jednak mieć świadomość, że znajdujemy się w krytycznym momencie. Jesteśmy w trakcie gigantycznego procesu przezbrojenia. Wiele kluczowych projektów jest w fazie realizacji, inne są rozgrzebane lub czekają na wdrożenie. Nie wolno nam się zatrzymać. Każde przerwanie ciągłości finansowania czy decyzyjności byłoby teraz katastrofalne w skutkach. Musimy pilnować, aby te wszystkie rozpoczęte programy – od amunicji 155 mm po Borsuka – zostały doprowadzone do końca.

Aby zrozumieć skalę tego „drgnięcia", warto wskazać konkretne programy, które są obecnie w fazie krytycznej, a dają nadzieję na poprawę sytuacji armii i posiadanie własnego przemysłu obronnego. Program Miecznik, czyli budowa trzech nowoczesnych fregat dla Marynarki Wojennej; programy Wisła i Narew dotyczące wielowarstwowego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej; unijny program finansowych pożyczek SAFE.

Własna produkcja równa się bezpieczeństwo?
– To fundament bezpiecznego, suwerennego państwa. Nie możemy polegać wyłącznie na dobrej woli dostawców z drugiego końca świata. Logistyczna bliskość i kontrola nad serwisem własnego sprzętu to warunek przetrwania na nowoczesnym polu walki.

A po drugie, to czysty rachunek ekonomiczny. Miliardy złotych wydawane na zbrojenia powinny pracować w kraju, budując nasze PKB, technologie i miejsca pracy. Nie wszystko uda się zbudować własnymi siłami, niemniej zakupy za granicą to transferowanie kapitału za granicę. Za to każdy polski Krab, Borsuk czy Piorun to inwestycja w polską gospodarkę, która zwraca się wielokrotnie – w formie podatków i w unikalnej wiedzy technicznej.

No to wróćmy do absurdów polskiej zbrojeniówki.
– Prawdziwym absurdem ostatnich lat był sposób dokonywania zakupów strategicznych. Kupowano wprawdzie sprzęt z absolutnie najwyższej światowej półki – jak samoloty F-35, wyrzutnie HIMARS czy czołgi Abrams – ale robiono to w najgorszy możliwy sposób z punktu widzenia polskich interesów.

Schemat był zawsze ten sam: najpierw politycy hucznie ogłaszali w mediach, że kupujemy dany sprzęt od Amerykanów, a dopiero potem, mając już pistolet przy skroni w postaci własnych obietnic, siadano do stołu negocjacyjnego. Kupowaliśmy po bardzo wysokich cenach, a dopiero na samym końcu, zgodziwszy się na wszystko, już bez żadnej siły negocjacyjnej, próbowaliśmy rozmawiać o serwisie i obsłudze tego sprzętu w Polsce.

Nie powinno nas dziwić, że Amerykanie są niechętni oddawaniu tych kompetencji. W przemyśle zbrojeniowym od 60 do 90 procent zysków generuje nie sama sprzedaż „blachy", ale późniejsza wieloletnia eksploatacja, modernizacje i serwisowanie. Oddając serwis, Amerykanie oddaliby największe zyski. Przez przedwczesne deklaracje straciliśmy czynnik negocjacyjny, który mógł zapewnić polskim zakładom kontrakty serwisowe.

Strategiczny błąd negocjacyjny: najpierw ogłoś, potem pytaj o cenę.
– Przy zakupach strategicznego uzbrojenia popełniono u nas kardynalne błędy proceduralne. Zamiast pójść drogą państw takich jak Szwajcaria, Finlandia, Norwegia czy nawet Czechy, które do samego końca utrzymują realną konkurencję między dwoma lub trzema oferentami, Polska postawiła na model „politycznej deklaracji".

W normalnym procesie zakupowym zwycięzca jest wybierany dopiero po walce o każdego dolara i każdy procent transferu technologii. Konkurencja to jedyne narzędzie, które gwarantuje lepsze ceny i korzystniejszy offset. U nas natomiast najpierw hucznie ogłaszano w mediach: „Kupujemy od Amerykanów!", a dopiero potem siadano do stołu. W efekcie kupowaliśmy sprzęt na warunkach dyktowanych przez producenta, a o kluczowy transfer technologii czy polski serwis próbowano walczyć, gdy umowa była już przyklepana. Dobrowolnie oddajemy miliardy złotych zysku z późniejszej wieloletniej obsługi sprzętu. Tak się po prostu nie buduje suwerenności obronnej.

Przykłady?
– Trzeba to powiedzieć głośno: model, w jakim kupiliśmy myśliwce F-35, jest jednym z najgorszych na świecie. To podręcznikowy przykład zmarnowanego potencjału negocjacyjnego. Gdy Polska zamówiła 32 maszyny, nie uzyskując w zamian praktycznie żadnego realnego offsetu ani znaczącego transferu technologii, Czechy, kupując znacznie mniejszą partię – 24 sztuki – wynegocjowały dla swojego przemysłu konkretne korzyści. Czesi do samego końca utrzymywali presję negocjacyjną, grając kartą alternatywnych ofert, na przykład szwedzkiego Gripena. Dzięki temu uzyskali zaangażowanie czeskich firm w globalny łańcuch dostaw F-35 oraz gwarancje serwisowe w kraju. A Polska, ogłaszając zakup bez przetargu i „bez trybu", dobrowolnie zrezygnowała z lewara wobec koncernu Lockheed Martin.

Sposób zakupu czołgów Abrams to kolejny przykład podejścia „najpierw kup, potem martw się o zaplecze". Dopiero po podpisaniu kontraktów i zapłaceniu miliardów dolarów gorączkowo próbujemy ustanowić w kraju potencjał serwisowo-produkcyjny. To uderzające, bo przykład Egiptu od dekad pokazuje, że z Amerykanami da się wynegocjować znacznie więcej. Egipcjanie nie tylko serwisują swoje Abramsy, ale mają własną linię montażową i produkują znaczną część komponentów u siebie. Polska, kupując łącznie 366 czołgów, spokojnie mogła od początku postawić twarde warunki dotyczące transferu technologii. Obecnie trwa wyścig z czasem, by w Wojskowych Zakładach Mechanicznych w Poznaniu stworzyć Regionalne Centrum Kompetencyjne, dzięki któremu nie będzie konieczności wysyłania maszyn do USA przy każdej poważniejszej naprawie. Klasyczne naprawianie błędów, których przy twardych negocjacjach można było uniknąć.

Historia programu Homar to inny przykład tego, jak polityka potrafi zdusić logikę ekonomiczną i militarną. Na starcie mieliśmy niemal idealną sytuację: trzy konkurencyjne oferty na stole: izraelską LORA, koreańską K239 Chunmoo oraz amerykańską, czyli sławny HIMARS. Z punktu widzenia transferu technologii i warunków handlowych oferta Izraela wydawała się bezkonkurencyjna. Koreańczycy również kładli na stół bardzo atrakcyjne warunki współpracy przemysłowej. Jednak Amerykanom wyjątkowo nie podobał się fakt, że w Polsce toczy się realne, konkurencyjne postępowanie. Pod silnym naciskiem politycznym zerwano trwający proces i podjęto arbitralną decyzję o zakupie systemów z USA.

Efekt? W pierwszej partii kupiliśmy zaledwie 20 wyrzutni „z półki" – bez polonizacji, bez transferu technologii, sprowadzając ze Stanów niemal wszystko, łącznie z logistyką. Co gorsza, po niecałych pięciu latach, gdy okazało się, że potrzeby frontowe są gigantyczne, a Amerykanie nie są w stanie dostarczyć setek wyrzutni na już, i tak musieliśmy wrócić do rozmów z Seulem i kupić wyrzutnie K239 Chunmoo – bo tym jest polski Homar-K.

Gdzie tu sens? Gdzie logika? Zmarnowaliśmy lata, by ostatecznie i tak kupić systemy, które wcześniej odrzuciliśmy. Płacąc frycowe za brak konsekwencji, a do tego rozdrabniając park sprzętowy, co oznacza podwójną logistykę serwisową, podwójne zapotrzebowanie na części, dodatkowe wyzwania związane z kompatybilnością.

To nie jest żadne budowanie strategii obronnej. To zakupy z dnia na dzień, pod wpływem impulsu, bez oglądania się na koszty i suwerenność technologiczną.

Niektórzy eksperci podnoszą, że dodatkowym ryzykiem stawiania wszystkiego na jedną, amerykańską kartę, jest tak zwany kill switch – umowny przycisk w Waszyngtonie, który mógłby unieruchomić nasz sprzęt. To mit? Brzmi jak teoria spiskowa,

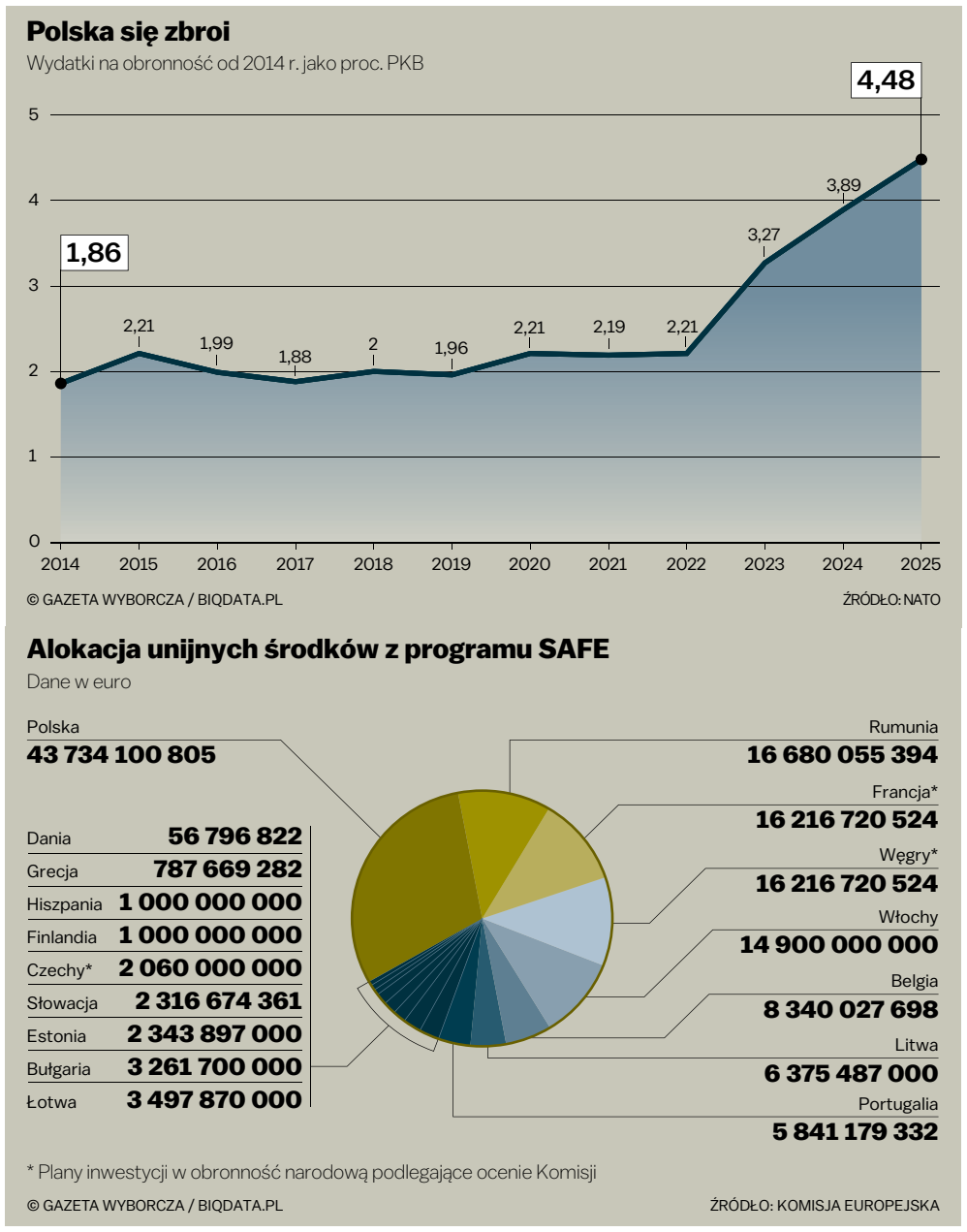

eprasa.pl 738f82d54d

ale z drugiej strony nie byłoby dziwne, gdyby Amerykanie, mając jako największa zbrojeniówka świata świadomość, że nigdy nie ma pewności, dokąd wycieknie i w jakie ręce dostanie się ich zaawansowany sprzęt, jakoś się nie zabezpieczyli. No i już w Ukrainie widzieliśmy, że pełna funkcjonalność mocno scyfryzowanych amerykańskich systemów takich jak HIMARS jest w godzinie W uzależniona od zgody i technicznego wsparcia USA.
– Na pewno w przypadku czołgu Abrams nie istnieje żaden magiczny przycisk, którym Waszyngton mógłby zdalnie unieruchomić nasze maszyny w godzinie W.

Ale są części zamienne i mechanicy, których Amerykanie mogą odmówić.
– Nawet gdyby z dnia na dzień wstrzymali dostawy, polskie czołgi nie zgasną w jednej chwili. Nadal będą zdolne do walki, choć ich sprawność operacyjna z każdym dniem będzie systematycznie spadać. I owszem, to jest problem. W każdym sprzęcie prawdziwym zagrożeniem nie jest zdalna blokada całości czy wybranych funkcji, ale erozja potencjału. Bez regularnego serwisu, dostępu do specjalistycznych filtrów, smarów czy modułów elektroniki liczba sprawnych wozów będzie topnieć w oczach. Uzależnienie od USA to nie kwestia „wyłącznika", ale łańcucha dostaw, bez którego najnowocześniejszy sprzęt z czasem staje się bezwartościowy.

Natomiast w przypadku wyrzutni rakietowych rzeczywiście Ukraińcy przekonali się, że USA dysponują narzędziami pozwalającymi na selektywne ograniczanie potencjału dostarczonej broni. Okazało się, że Amerykanie mają sposób na zablokowanie strzelania z HIMARS-ów.

To samo dotyczy polskich HIMARS-ów?
– Nie wiem, ale to pytanie powinno głośno paść.

W przypadku śmigłowców Apache czy myśliwców F-35 nie mówimy już o zwykłym sprzęcie wojskowym, ale o latających centrach danych. Na dobrą sprawę opancerzonych komputerach i chmurach obliczeniowych. Skąd pewność, że w ich oprogramowaniu nie jest zaszyty „przycisk", który pozwoliłby Waszyngtonowi – z powodów politycznych lub strategicznych – zdalnie uziemić polskie lotnictwo w krytycznym momencie?
– Tak naprawdę nikt poza wąskim kręgiem zamawiających w Pentagonie i projektantów w koncernach Lockheed Martin czy Boeing nie zna pełnej prawdy o głębokości i charakterze zaszytych w oprogramowaniu blokad.

Z jednej strony mityczny czerwony guzik, którym ktoś w Waszyngtonie mógłby jednym kliknięciem wyłączyć lotnictwo innego kraju – to zbyt uproszczona wizja nowoczesnej wojny. Z drugiej – nie bez przyczyny Izrael, najbliższy sojusznik USA, a jednocześnie potęga high tech i informatyczna, wywalczył sobie unikalne warunki przy zakupie maszyn F-35 Adir oraz śmigłowców Apache. Izraelczycy jako jedyni na świecie mają prawo do instalowania własnego oprogramowania do zarządzania misją oraz, co kluczowe, mają autonomiczne, krajowe systemy logistyczne i diagnostyczne.

Dlaczego to zrobili? Ponieważ doskonale rozumieją, że prawdziwym zagrożeniem nie jest jakieś zdalne wyłączenie, ale „cyfrowa smycz". Chodzi o to, by w godzinie próby móc samodzielnie zaprogramować misję, podpiąć własny typ uzbrojenia czy naprawić maszynę bez konieczności każdorazowego logowania się do amerykańskiej chmury danych i czekania na autoryzację zza oceanu. Żaden inny kraj nie otrzymał takiej zgody. Pozostali użytkownicy są wpięci w globalną, amerykańską sieć logistyczną.

Jak bardzo zależymy od amerykańskiego sprzętu obecnie?
– To, co powiem, zabrzmi kontrowersyjnie, ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy: stopień naszego uzależnienia technologicznego od USA w kluczowych obszarach jest porównywalny, a w niektórych aspektach nawet większy niż nasza zależność od Związku Radzieckiego w czasach PRL.

FOT. MESKO

• Piorun – jeden z najlepszych na świecie przenośnych zestawów przeciwlotniczych. Jego skuteczność w zwalczaniu rosyjskich śmigłowców i dronów stała się legendarna

Dziś kupujemy często najlepszy możliwy amerykański sprzęt, zwłaszcza w lotnictwie – mowa o F-35 i Apache, tych ostatnich w liczbie absolutnie rekordowej, powiedziałbym, że nieco nawet absurdalnej, bo aż 94. W łączności – radiostacje Harrisa, w artylerii rakietowej – HIMARS-y. W tych obszarach stopień inwigilacji technicznej i uzależnienia od amerykańskiego wsparcia jest absolutny. Pierwszy dywizjon wyrzutni HIMARS był określany wręcz jako „wasalny". Na szczęście w końcu plan HIMARS przeistoczył się w program HOMAR-A, gdzie wyrzutnie będą amerykańskie, ale na polskich nośnikach.

F-35, myśliwiec piątej generacji, to dużo więcej niż coś, co rozumiemy pod tą nazwą. Może odgrywać rolę stanowiska dowodzenia dla innych maszyn, to cyfrowy mózg operacji powietrznych. Maszyna integruje dane z własnych radarów i sensorów z informacjami od sojuszników, tworząc obraz pola walki w czasie rzeczywistym. Pilot ma niespotykaną dotąd świadomość sytuacyjną: on widzi wszystko, sam pozostając nieuchwytnym.
– Dlatego nie mówię, że mamy nie kupować F-35, Abramsów czy HIMARS-ów. W wielu kategoriach sprzęt amerykański jest absolutnie najlepszy na świecie.

Z kolei Apache to kręgosłup lotnictwa wojsk lądowych USA – maszyna z nazwy szturmowa, ale stworzona z myślą o totalnej dominacji nad bronią pancerną przeciwnika. Niezależnie od pory dnia czy pogody ta dwusilnikowa bestia zapewnia żołnierzom na ziemi niszczycielskie wsparcie ogniowe. Apache, rzecz jasna modernizowane, latają od 43 lat, a utrzymują status najskuteczniejszej maszyny w swojej klasie.
– Ale cieszyłbym się bardziej, gdybyśmy go pozyskali w cywilizowany sposób. A nie na zasadzie wskazania palcem i potem rozpaczliwego doszywania do tego zabezpieczenia w polskim przemyśle eksploatacji i obsługi.

To kwestia pieniędzy, polityki, przemysłu?
– To kwestia niepilnowania pewnych rzeczy przy zakupie uzbrojenia. Czy to było celowe, czy z głupoty?

Teraz próbujemy odkręcić błędy poprzednich lat i wywalczyć większą autonomię serwisową dla Abramsów czy Apache'ów. Ale trudno nie pomyśleć, że to tylko dyplomatyczne zaklinanie rzeczywistości, bo kontraktów nie da się już zmienić.
– Od początku 2024 roku obserwujemy bardzo wyraźną zmianę polskiej optyki w negocjacjach zbrojeniowych. Widać determinację w podejmowaniu realnych prób odzyskania szerszej suwerenności operacyjnej nad kupowanym sprzętem.

Musimy uczciwie przyznać, że w pewnych obszarach pole manewru zostało już całkowicie zamknięte. Przykładem kontrakt na śmigłowce uderzeniowe AH-64E Apache. Podpisano go w pośpiechu, w dużej mierze pod wpływem obaw geopolitycznych związanych z nieprzewidywalnością administracji Donalda Trumpa i chęcią „zakotwiczenia" amerykańskich interesów w Polsce na stałe. Tutaj klamka zapadła – kupiliśmy system w formule, która narzuca nam pewne ramy, z których trudno będzie wyjść. Są jednak sfery, w których od 2024 roku widać skuteczną walkę o polskie interesy. Jeden przykład to systemy łączności i dowodzenia. A drugi... z przyczyn oczywistych nie chcę mówić zbyt wiele o tej ultrawrażliwej kwestii, ale mogę napomknąć, że nasi „cyberwojownicy" z DKWOC, czyli Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni, mają bardzo ciekawą wizję polskiej niezależności i konsekwentnie ją realizują.

Wojna w Ukrainie pokazała, że bez amerykańskich danych wywiadowczych najnowocześniejszy sprzęt staje się ślepy. Wystarczyło, że administracja Trumpa na parę dni odcięła Kijów od informacji, a ukraińskie straty wzrosły, legendarna skuteczność i precyzja uderzeń zaś spadły. My też jesteśmy na łasce i niełasce Waszyngtonu oraz kaprysów politycznych kolejnych administracji? Nie jest powiedziane, że po Trumpie nadejdzie przewidywalny demokrata lub republikanin starej daty, taki jak Bush senior czy Joe Biden.
– Absolutnie nie. Europa już dysponuje środkami rozpoznania, które są w stanie realnie zastąpić potencjał amerykański w kluczowych obszarach. Doświadczenia z wojny w Ukrainie potwierdzają, że europejskie systemy satelitarne i wywiadowcze są dla Kijowa pełnowartościową alternatywą, co przyznają sami Ukraińcy.

Potencjał USA w zakresie globalnego rozpoznania pozostaje bezdyskusyjny, ale nie jesteśmy bezbronni. Europa już nie polega tylko na Pentagonie czy Langley, buduje własną „świadomość sytuacyjną", która pozwala nam prowadzić suwerenne operacje. Oczywiście, współpraca z Waszyngtonem daje nam głębię i skalę obrazu wynikającą z technologii i zasięgu działań, jakiej nie ma nikt inny, ale w godzinie W nie okażemy się ślepi. Mamy europejskie alternatywy, które dają nam niezbędną autonomię decyzyjną, nawet jeśli polityczne wiatry za oceanem staną się mniej sprzyjające.

Przykład Egiptu pokazuje, że z Amerykanami da się wynegocjować znacznie więcej. Egipcjanie nie tylko serwisują swoje Abramsy, ale mają własną linię montażową i produkują znaczną część komponentów u siebie

Co jesteśmy w stanie zastąpić czym?
– Mamy więcej satelitów rozpoznawczych niż Rosjanie. Sama Polska buduje potencjał rozpoznawczy, który już w kluczowych obszarach dystansuje możliwości Federacji Rosyjskiej. Nasza przewaga opiera się na nowoczesnych konstelacjach mikrosatelitów. Dzięki współpracy z polsko-fińską firmą ICEYE mamy na orbicie suwerenne satelity radarowe SAR. To technologia przełomowa – pozwala widzieć przez chmury, dym i w absolutnej ciemności z rozdzielczością do 25 centymetrów. Docelowo nasza konstelacja do 2027 roku ma liczyć co najmniej 12 takich jednostek, co uczyni ją jedną z największych w Europie. A jednocześnie Polska w ramach programów PIAST i MikroGlob wyniosła już na orbitę pierwsze suwerenne satelity wojskowe. To „oczy" optoelektroniczne, które dostarczają nam obrazowania w czasie rzeczywistym, całkowicie niezależnie od dobrej woli sojuszników. Korzystamy również z danych pozyskiwanych z europejskich systemów, takich jak francuski program HELIOS oraz włoski COSMO-SkyMed.

Ale kierunek amerykański w zakupach dla polskiej armii ciągle wydaje się priorytetem. Jeśli nie merytorycznym, to politycznym.
– Nie widzę już uzależnienia się od zakupów amerykańskich. Wracamy do zdroworozsądkowej zasady konkurencyjności postępowania. Dobrym przykładem jest program Orka.

Jeden z najważniejszych projektów modernizacji strasznie zaniedbanej polskiej Marynarki Wojennej. Czyli zakup okrętów podwodnych przez Polskę.
– To modelowy przykład, jak powinny wyglądać zakupy uzbrojenia. Do samego końca na stole leżało kilka równorzędnych ofert, co pozwoliło polskiej stronie na twarde negocjacje. Choć w kuluarach mówiło się, że polscy marynarze skłaniali się ku jednostkom włoskim, ostatecznie zwyciężyła oferta szwedzka.

Kluczem do sukcesu Szwedów, a konkretnie koncernu Saab z jednostkami klasy A26 Blekinge, okazały się warunki finansowe. Do ostatniego dnia biło się o nas kilka firm. A więc gdy trzymamy się zasady konkurencyjności, potrafimy kupować sprzęt światowej klasy na warunkach, które nie rujnują budżetu państwa, a wręcz budują naszą pozycję negocjacyjną.

Musimy mieć łódź podwodną?
– Bez wywalczenia lokalnego panowania na Bałtyku nasze bezpieczeństwo narodowe pozostanie niepełne. W tym kontekście nowoczesne okręty podwodne są dla marynarki wojennej tym, czym myśliwce F-35 dla sił powietrznych – to absolutnie najważniejszy, strategiczny środek uzbrojenia. Po prostu musimy je nabyć, by realnie liczyć się na tym akwenie.

Wszystko wskazuje na to, że do czerwca podpiszemy już finalną umowę z Saabem. Realnie patrząc, pierwszy polski okręt podwody powinien wejść do służby w 2032 roku.

A słynne koreańskie zakupy Błaszczaka? Ciągle nam ciążą?
– Musimy wyraźnie rozgraniczyć dwie kwestie. Rozumiem logikę decyzji podejmowanych przez ministra Mariusza Błaszczaka po 2022 roku, po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. W tamtym momencie założenia były jasne i nastawione na nadrzędny cel: błyskawiczne uzupełnienie ogromnych luk sprzętowych, które powstały po przekazaniu naszych zasobów broniącej się Ukrainie. To był tryb awaryjny. Priorytetem nie był żmudny transfer technologii czy budowanie potencjału serwisowego od podstaw, lecz fizyczne dostarczenie „żelaza" do jednostek, by utrzymać zdolność obronną państwa. Kupowano to, co było dostępne „z półki" – głównie w USA i Korei Południowej – godząc się na gorsze warunki zakupów w zamian za rekordowo krótkie terminy dostaw. Klasyczna operacja ratunkowa, która pozwoliła nam uniknąć rozbrojenia własnej armii w momencie największego zagrożenia. Ceną jest dzisiejszy brak własnego zaplecza tech-

eprasa.pl 738f82d54d

nicznego dla tych systemów, ale rozumiem, dlaczego przy błyskawicznym zakupie Abramsów w wersji M1A1 Polska nie wynegocjowała praktycznie żadnych korzyści przemysłowych. Priorytetem było fizyczne postawienie maszyn na poligonach.

Podobnie wygląda sprawa z koreańskimi armatohaubicami K9 Thunder. Choć pod względem parametrów operacyjnych ustępują polskiemu Krabowi, zdecydowano się na ich zakup, ponieważ były dostępne od ręki.

Błaszczak był za to bardzo krytykowany. Nie tylko przez ówczesną opozycję, również przez ekspertów i wojskowych.
– Ale załataliśmy dziurę w artylerii, która powstała po przekazaniu naszych zasobów Kijowowi.

Chcę wyraźnie zaznaczyć: nie kontestuję zasadności zakupów dokonanych w trybie pilnym w 2022 roku. Z perspektywy czysto biznesowej czy przemysłowej to nie były kontrakty idealne, ale w tamtym momencie historycznym były one po prostu niezbędne. Decyzje zapadły, bo alternatywą było rozbrojenie polskiej armii w obliczu największego zagrożenia od dekad. Dotyczy to również czołgów K2 Black Panther. Choć polonizacja wersji K2PL to proces, który potrwa lata, to fizyczne dostarczenie pierwszych kilkudziesięciu maszyn w rekordowym tempie pozwoliło nam utrzymać ciągłość szkolenia wojsk pancernych i realną zdolność odstraszania.

Ale o ile zakupy z 2022 roku były w pełni uzasadnione, o tyle kontynuowanie tej samej polityki w roku 2023 uważam za błąd strategiczny. Sytuacja operacyjna była już inna – szok po wybuchu wojny minął, wiadomo było, że Rosjanie ugrzęźli w Ukrainie, więc raczej nie zaryzykują uderzenia na duży, liczący się kraj NATO. Zyskaliśmy czas, by zacząć twardo negocjować partycypację polskiego przemysłu. Niestety, zbyt wiele umów wciąż procedowano bez należytego nacisku na udział krajowych zakładów.

Tam, gdzie zdecydowano się na głębsze, twardsze negocjacje, efekty są widoczne i dają nadzieję na przyszłość. Najlepszym przykładem jest program czołgu K2PL – tutaj udało się wywalczyć znacznie większy udział polskiego przemysłu niż w pierwszej transzy „z półki".

W jakim stopniu ten zakup jest dziś dla polskiej armii powodem do radości, a w jakim staje się logistycznym i przemysłowym problemem, z którym będziemy mierzyć się przez dekady? Ostatnio słychać było o problemach z silnikami Czarnych Panter. Które są ponoć bardzo nowoczesne – lekkie, nieduże, wydajne i elastyczne – ale przez to bardziej awaryjne i trudniejsze w naprawie bez tyłowego zaplecza niż wyrafinowane diesle niemieckich Leopardów, o sprawdzonych Abramsach nie mówiąc.
– Każdy czołgista musiałby być pozbawiony instynktu samozachowawczego, by nie cieszyć się z przesiadki na K2 Black Panther.

Od Ukraińców można usłyszeć, na froncie, gdzie sprzęt jest eksploatowany miesiącami bez przerwy, w błocie, zasilany takim paliwem, jak się trafi, spisuje się stary T-72.
– Porównywanie tej maszyny do poradzieckich T-72 nie ma najmniejszego sensu. To przeskoczenie kilku generacji technologicznych naraz.

Musimy pamiętać, że K2 to wciąż młoda konstrukcja obarczona szeregiem chorób wieku dziecięcego. Największym błędem było pominięcie przed zakupem rzetelnych testów w polskich instytutach badawczych. W efekcie załogi mierzą się dziś z uciążliwymi problemami, właśnie z układem napędowym oraz błędami w ergonomii wnętrza, które polscy specjaliści wyłapaliby na starcie. Dlatego kluczowy jest projekt K2PL powstający na bazie badań prowadzonych w Polsce, co pozwoli wyeliminować obecne niedociągnięcia.

Właśnie trwa gorący spór polityczny o unijny program SAFE. Prezydent Nawrocki obawia się o zadłużanie państwa aż do 2070 roku. A wiemy, że już teraz blisko 70 procent zakupów w Korei finansujemy z pożyczki. Jak jest z amerykańskimi kontraktami?
– Finansowanie koreańskie i amerykańskie to dla polskiego budżetu ogromne obciążenie. Szczególnie twarde reguły obowiązują w relacjach z Waszyngtonem. Amerykanie zgodnie ze swoimi przepisami federalnymi nie mogą udzielać pożyczek oprocentowanych niżej niż rentowność ich własnych obligacji skarbowych. Do tego dochodzą koszty obsługi długu, prowizje i gwarancje. Matematyka finansowa jest nieubłagana: najtańsza możliwa pożyczka z USA i tak pozostaje znacznie droższa niż środki, które możemy pozyskać z europejskiego SAFE. Szacujemy, że finansowanie unijne może być oprocentowane niewiele ponad 3 procent. Różnica ponad jednego punktu procentowego przy miliardowych kontraktach to oszczędności idące w setki milionów dolarów rocznie. Te pieniądze mogą zostać w kraju i tu pracować.

Wydatki na obronność w NATO
Dane za 2025 r. jako proc. PKB

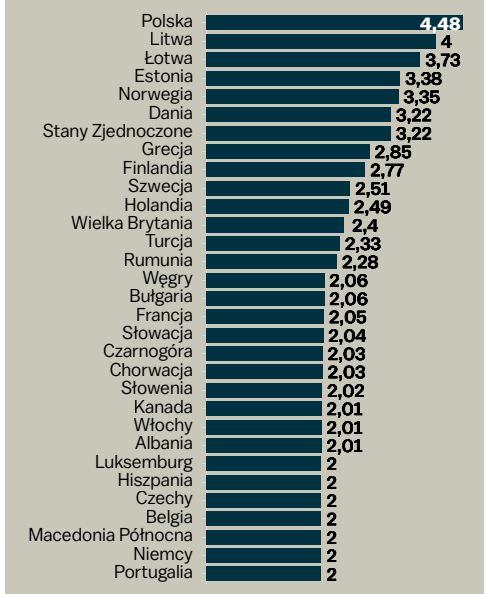

© GAZETA WYBORCZA / BIQDATA.PL ŹRÓDŁO: NATO

Amerykanie i Koreańczycy to ciężki sprzęt, a zapomnieliśmy o nowej broni, która zmieniła pole walki. Drony to priorytet, jak tu wyglądamy?
– Nie jesteśmy potęgą. Mamy wprawdzie Grupę WB, która produkuje doskonałe drony rozpoznawcze FlyEye i uderzeniowe Warmate. To konstrukcje o rodowodzie jeszcze przedwojennym, które sprawdziły się w boju, jednak Ukraina pokazała, że wojna poszła w zupełnie innym kierunku. Dziś liczy się masowość konstrukcji, które może nie są dopięte na 100 procent, ale dostępne na froncie w tysiącach sztuk. W Polsce nie mamy bazy produkcyjnej ani elementowej dla takich systemów, a co gorsza – nawet nie próbujemy stworzyć odpowiedniego ekosystemu. Na Ukrainie cykl życia konkretnego modelu drona to zaledwie kilka miesięcy. Potem konstrukcja jest modyfikowana, zmienia się łączność, oprogramowanie i głowice.

W Polsce blokuje nas nie tylko inercja czy przyzwyczajenia urzędników lub wojskowych, ale też system prawny i sztywne procedury odbioru uzbrojenia, które nie pozwalają na tak dynamiczny proces twórczy. Podczas gdy w Ukrainie pole walki galopuje, my stoimy w miejscu. Ukraińcy, a niestety także Rosjanie, odjechali nam pod kątem organizacyjnym i mentalnym.

Nadrobimy czas?
– Prawda jest bolesna: nie da się skutecznie przeprowadzić dronizacji armii bez zmiany mentalności i organizacji. To proces, który wymaga szkolenia żołnierzy w warunkach zbliżonych do bojowych oraz stworzenia struktur zdolnych do błyskawicznej adaptacji. Obecnie tego nie robimy. Zamiast kopiować sprawdzone ukraińskie wzorce – oparte na oddolnej inicjatywie, szybkości i masowości – próbujemy znaleźć własną, „polską drogę". To kierunek niewłaściwy. Nasz system jest zbyt ociężały, przeregulowany i nastawiony na certyfikowanie idealnego produktu, podczas gdy na współczesnym polu walki liczy się to, co działa tu i teraz i może być modyfikowane z dnia na dzień.

Jak jest nasz styl dronizacji?
– Klasyczny, czyli ściśle hierarchiczny i odgórny. Cały proces jest zdominowany przez instytucje: wojsko, inspektoraty i instytuty badawcze, które dążą do pełnej, sztywnej instytucjonalizacji każdego rozwiązania. To próba wtłoczenia nowej technologii w stare, bezpieczne ramy biurokratyczne. Ukraińska dronizacja odniosła sukces, bo była tworzona oddolnie, na poziomie konkretnych jednostek, przy wsparciu – a nie dyktacie – góry. Kluczem jest zostawienie wolnej ręki żołnierzom na najniższym szczeblu. A my jesteśmy uwięzieni w procedurach certyfikacyjnych i odbiorczych, które zabijają dynamikę innowacji.

Skoro nie umiemy stać się potęgą w ataku dronowym, to może chociaż w obronie? Czy polskie systemy antydronowe i zakupy poczynione w ostatnich latach dają nam realną odporność na to, co widzimy na froncie ukraińskim? Tam drony stały się zagrożeniem nie tylko dla czołgów, ale nawet dla pojedynczego żołnierza w okopie. Zwłaszcza taniutkie maszyny kamikadze FPV, First Person View, którymi operator steruje w goglach. Są także słynne drony „Baba Jaga", nazywane także nocnym koszmarem Rosjan, które przenoszą bomby i miny, a Ukraińcy wyposażyli je w sprzęt pozwalający na walkę w ciemnościach. I jeszcze morskie bezzałogowce Magura V5, które zdziesiątkowały rosyjską Flotę Czarnomorską. Do tego dochodzi nowatorsko wykorzystywana przez Ukraińców sztuczna inteligencja.
– Niestety, tu również nie możemy mówić o potędze. Mamy wprawdzie dobre rozwiązania i firmy, które produkują solidne systemy, ale rzeczywistość pola walki w Ukrainie jest zupełnie inna niż nasze założenia.

Musimy rozgraniczyć dwa poziomy zagrożenia. Jeśli chodzi o obronę przed większymi systemami, Shahedy czy Geranie, sytuacja wygląda nieźle – mamy środki zakupione między innymi w ramach SAFE. Problemem nie są duże drony operujące na zapleczu. Zgryz zaczyna się na poziomie taktycznym, bezpośrednio na polu walki. W obronie przed dronami klasy mikro i mini, które atakują pojedyncze wozy, sytuacja jest tragiczna.

Program SAN pomoże?
– Jeśli chodzi o obronę przed dużymi, ciężkimi maszynami, widać postęp i te zakupy są niezbędne. Jednak musimy przestać łudzić się, że to wystarczy. Te programy nie są środkiem zaradczym przeciwko temu, co realnie sieje spustoszenie na dzisiejszym polu walki i zagraża bezpośrednio wojskom lądowym. Mówię o milionach małych wielowirnikowców, tanich dronach FPV budowanych w garażach, które są produkowane masowo i z dnia na dzień modyfikowane. Przeciwko takiemu rojowi drogie systemy rakietowe są bezradne i ekonomicznie nieuzasadnione.

Na tym najniższym poziomie taktycznym wciąż brakuje nam realnej tarczy, która chroniłaby pojedynczego żołnierza czy wóz bojowy przed tanią, ale śmiertelnie skuteczną amunicją krążącą.

To w czym problem? Dla zamożnego, rozwiniętego kraju takim wyzwaniem jest zbudowanie floty małych, tanich wirnikowców? Potencjał przemysłowy mamy, inżynierów i pasjonatów mamy, fundusze mamy, wzorce też. A Ukraińcy chętnie podpowiedzą.
– Nasze struktury wojskowe wciąż nie w pełni rozumieją, jak radykalnie zmieniło się pole walki. Trwa już czwarty rok tego konfliktu, a my nadal nie wyciągnęliśmy lekcji. Powinniśmy analizować działania Niemców, Francuzów, Amerykanów, a przede wszystkim patrzeć na to, co już wdrożyli Ukraińcy – i na tej podstawie budować polskie rozwiązania. Na Ukrainie ukształtował się już jasny standard operacyjny w wymiarze taktycznym: masowe użycie małych dronów uderzeniowych i rozpoznawczych. Tymczasem u nas na poziomie batalionu wciąż brakuje elementarnych rozwiązań: właściwych osłon dla sprzętu opancerzonego, detektorów dronów czy indywidualnych zagłuszarek.

Ukraina stała się poligonem doświadczalnym dla zagranicznych koncernów. Polska też? Nie składamy daniny krwi, ale próbujemy nadrobić w parę lat dekady, przeskoczyć do nowej technologicznej i taktycznej rzeczywistości.
– Każdy konflikt zbrojny jest poligonem dla technologii. Przyjmuje się, że jeden rok intensywnych działań wojennych dostarcza doświadczeń równych pięciu-sześciu latom pokoju. To oznacza, że po czterech latach walk Ukraińcy i Rosjanie dysponują wiedzą, na którą w normalnych warunkach musieliby pracować dwie dekady.

Musimy jednak pamiętać, że wojsko z natury jest instytucją zachowawczą – i w pewnym sensie to dobrze, bo historia zna wiele przykładów „nawiedzonych" reformatorów, którzy obiecywali politykom cudowne, nowoczesne sposoby walki, a kończyli na rozmontowaniu potencjału obronnego państwa.

To w końcu w czym problem?
– Problemem nie jest ostrożność armii, ale brak wyciągania właściwych wniosków tam, gdzie są one ewidentne.

Czarny scenariusz: dostawcy – z USA, Korei, czy Europy – zostają odcięci od możliwości przesyłania nam części zamiennych, podzespołów elektronicznych czy danych wywiadowczych, na przykład z powodu konfliktu na ich własnym terytorium. Jak długo polska machina wojenna zdołałaby funkcjonować, zanim definitywnie stanie w miejscu?
– W dzisiejszym świecie pełna samowystarczalność obronna po prostu nie istnieje. Nawet takie mocarstwo jak Rosja, z ogromnym zapleczem surowcowym i przemysłowym, nie jest w stanie prowadzić wojny w izolacji. Widzimy to wyraźnie w Ukrainie, gdzie Moskwa musi ratować się dostawami amunicji z Korei Północnej oraz importem podzespołów elektronicznych i technologii cywilnych z Chin.

Tajemnica tkwi w czymś bardzo prostym i trudnym jednocześnie: w przewidywaniu zagrożeń i wyprzedzaniu problemów, korzystając z cudzych doświadczeń. Ukraińcy wykonują krwawą, brudną robotę poniekąd za nas.

Ale jest i druga, bardziej filozoficzna czy metafizyczna lekcja z tej wojny: widzimy, że historia nie wybacza spóźnialstwa. Dzisiaj nie mamy wyboru: zbroić się czy może te olbrzymie pieniądze przeznaczyć na coś innego? – zbrojenia to kwestia przetrwania. ●

1 RP

Na pociechę, nie brakuje nam unikalnych kompetencji inżynierskich. Piorun to nasz szlagier. Sukces systemu Piorun w Ukrainie, gdzie z niezwykłą skutecznością eliminuje rosyjskie samoloty, śmigłowce i drony, otworzył mu drzwi do najbardziej wymagających armii świata. Kupiły go USA, Estonia, Norwegia, Łotwa, Szwecja, Belgia oraz Słowacja, a chcą kupić Niemcy i Francja

eprasa.pl 738f82d54d

Blender

Radny samorządowy powinien raczej zachęcać młodych ludzi do nauki, a nie insynuować za pomocą drastycznego exemplum, że to boli, a i tak jest nieskuteczne.

Michał Rusinek

To bardzo budujące, kiedy politycy zauważają kulturę, pochylają się nad nią z troską lub wyrażają zaniepokojenie w związku z nią. Niedawno radny sejmiku województwa łódzkiego Michał Król z ramienia Prawa i Sprawiedliwości poszedł nawet dalej, bo wyraził oburzenie spektaklem baletowym „Kopciuszek", wystawianym w Teatrze Wielkim w Łodzi. Co więcej, wyraził je częściowo wokalnie.

Spektaklu sam chyba nie widział, ale przecież wygłaszanie opinii na temat spektakli, które się widziało lub książek, które się czytało, jest dla miękiszonów. „Niedawno mój przyjaciel przyleciał do Łodzi razem z dziećmi i przy okazji świąt Bożego Narodzenia postanowił skorzystać z repertuaru naszej jednostki, Teatru Wielkiego, i poszedł na balet »Kopciuszek«" – rozpoczął swoją tyradę radny Król. Czyli, innymi słowy, nie widziałem, ale znam kogoś, kto widział, więc dla kolegi pytam. Na zdumionych oczach „dużej ilości dzieci" – bo przecież dzieci to masa niepoliczalna – „mieliśmy do czynienia z baletem, gdzie panowie poprzebierani w damskie stroje wykonywali różne obsceniczne sceny i to naprawdę jest i śmieszne, i straszne". Liczba mnoga wskazywałaby na to, że jednak i radny Król był na widowni, ale może to być tylko figura retoryczna.

●

Należy się tylko cieszyć, że radny Król nie widział nigdy spektaklu teatru antycznego, w którym aktorami byli wyłącznie mężczyźni (w maskach – jeśli grali role kobiece), teatru elżbietańskiego, w którym Julię, Ofelię czy Lady Makbet grali młodzi chłopcy przed mutacją i japońskiego teatru kabuki, w którym występują wyłącznie mężczyźni, a aktorzy, zwani „onnagata", szkolą się, by naśladować kobiece głosy i gesty. Kontakt z takim spektaklem mógłby być szokiem dla delikatnej psychiki radnego Króla i skończyć się uszczerbkami na jego zdrowiu. Nawet gdyby taki spektakl zobaczył tylko jego przyjaciel.

„Tak naprawdę uważam – mówił dalej radny walcząc z gramatyką – że tego typu dziwna sztuka, jeżeli artyści chcą, to niech to robią za własne pieniądze, a nie za pieniądze wspólnoty samorządowej, bo my tutaj dotujemy Teatr Wielki naprawdę dużymi pieniędzmi". W tym punkcie wypowiedzi radnego Króla doszło do rozpoznania problemu: „Gender nie powinniśmy promować" zawyrokował, powstrzymując się od deklinowania wyrazu „gender", podkreślając tym jego obce pochodzenie.

Następnie zaapelował do marszałka województwa, by ten poszedł w ślady prezydenta Stanów Zjednoczonych który „w swoim przemówieniu [...] powiedział, że kończymy z promowaniem ideologii gender". I dalej: „A jak ktoś mi mówi, że to nie jest gender, to ja powiem tak: No naprawdę, ja wiem, że czasami trudno zrozumieć, co to jest gender".

Tu spodziewalibyśmy się cytatu z literatury fachowej, albo chociaż definicji słownikowej, radny Król jednak nas zaskoczył mówiąc: „Przywołam fragment współczesnej mądrości ludowej, piosenki Łydki Grubasa, którą usłyszałem kiedyś na siłowni, jak młodzież puszczała". Słusznie, że radny Król dba o tężyznę fizyczną: ruch to zdrowie, a sejmik województwa łódzkiego jest zdrowy zdrowiem swoich radnych. „Postaram się zaśpiewać, nie wiem, może zafałszuję" – powiedział skromnie i zaśpiewał (istotnie, fałszując): „Choćbyś prącie wsadził w blender, nie zrozumiesz, co to gender".

●

Musimy zaprotestować. Radny Król zniechęca nas bowiem do zdobywania wiedzy dotyczącej znaczenia pojęć wypracowanych na gruncie nauk społecznych sugerując, że próba ich zrozumienia okupiona jest niewyobrażalnym cierpieniem. Po pierwsze, radny samorządowy powinien raczej zachęcać młodych ludzi do nauki, a nie insynuować za pomocą drastycznego exemplum, że to boli, a i tak jest nieskuteczne. Po drugie, powszechnie znany jest przykład Orygenesa, który sam się wykastrował, by ciało nie przeszkadzało mu w studiach naukowych, a ściślej biblijnych. Czyn ten wynikał z żarliwości religijnej i dosłownej interpretacji biblijnej frazy o „rzezańcach", którzy się „sami urzezali dla królestwa niebieskiego" (Mt 19,12), ale przecież Kościół potępił jego czyn, co później przyczyniło się do problemów z uznaniem jego świętości.

Po trzecie, lęk przed kastracją, opisany przez Freuda i polegający na obawie przed utratą członka, będącą karą za pożądanie matki i rywalizację z ojcem, prowadzi do wyparcia kompleksu Edypa i rozwoju superego, ale powinien minąć, razem z tzw. fazą falliczną, w okolicy szóstego roku życia. Jak widać, nie wszystkim mija. Po czwarte wreszcie, są lepsze źródła wiedzy na temat pojęcia płci jako konstruktu społecznego niż piosenka zespołu Łydka Grubasa, ale znaleźć je można raczej nie na siłowni, lecz w bibliotekach, które przecież także są jednostkami samorządowymi, więc radny Król mógł o nich słyszeć. A nawet mógł je – o zgrozo – dotować.

●

Jesteśmy pewni, że są w Łodzi tacy młodzi ludzie, którzy nie będą panu radnemu puszczać głupawych piosenek, ale wskażą mu drogę do takiej jednostki, a nawet podadzą stosowną bibliografię. Przestanie wówczas szargać sobie nerwy w kontakcie ze sztuką i nie będzie musiał kompromitować się w czasie obrad sejmiku, także wokalnie, bo naukowych definicji genderu śpiewać naprawdę nie trzeba.

Dodajmy na koniec, że utwór wybrany przez radnego Króla jako przeciwwaga dla obsceniczności „Kopciuszka", poza cytowanym refrenem zawiera także następujące frazy: „Za górami, za lasami/ żyją baby z kutasami./ Zamiast grzecznie brać nasienie,/ wolą równouprawnienie [...]./ Bądźmy neoliberalni,/ wszystkie baby do kopalni./ Dzisiaj piersią karmi tata,/ a mamusia jest brodata. [...]./ Niezła z ciebie dupa chłopie,/ ty odnajdziesz się w Europie". Obsceniczność, jak każda kategoria estetyczna, jest rzeczą względną i subiektywną. Znamy już zdanie na ten temat radnego Króla, a teraz niech każdy z Państwa wyrobi sobie własne. ●

Nie chcę być takim prawnikiem

Czy u nas nikogo nie stać na wysłanie tak jasnego komunikatu niezależności, jaki wysłali sędziowie nominowani przez Trumpa.

Marcin Matczak

Od ponad 25 lat jestem prawnikiem i chyba wystarczy. Kiedy zaczynałem, zawarłem z tym zawodem umowę: prawo ma ograniczać arbitralność władzy, a ja mam być narzędziem, które tę funkcję realizuje. Dziś tę umowę próbuje się zerwać. Forsuje się przekonanie, że prawnik to nie strażnik reguł, lecz żołnierz w walce o tożsamość ideową Polski. A ja w tej wojnie nie chcę brać udziału.

Model, w którym się kształciłem, ustanowiła Konstytucja z 1997 roku i potwierdziło referendum europejskie. Można się z tym wyborem nie zgadzać, ale był dokonany w niekwestionowanej procedurze demokratycznej. Ten model to liberalne państwo prawa kontrolujące władzę i chroniące wolność obywateli. Takiego państwa chcieliśmy po traumie komunizmu, w którym władza mogła wszystko, a obywatel prawie nic.

Kiedy jednak zmienił się klimat polityczny, zmieniło się oczekiwanie wobec prawa. Nowa, konserwatywna władza, zaczęła głosić tezę, że sądy powinny uwzględniać „dobro narodu" i że formalne reguły nie mogą stać ponad interesem wspólnoty.

Można forsować taką tezę, gdy ma się większość konstytucyjną. To ona jest jedynym sposobem ustalania „dobra narodu". Nawet Jarosław Kaczyński nie ma telefonu do suwerena, by – obchodząc procedurę konstytucyjną – ustalić, że wygląda ono jednak inaczej, niż się władzy wydaje.

W tej logice prawo nie ma być mechanizmem kontroli, ale narzędziem realizacji projektu aksjologicznego: zamiast liberalno-lewicowej Trzeciej Rzeczpospolitej miało budować prawicowo-konserwatywną Rzeczpospolitą Czwartą. Ale przy braku większości konstytucyjnej nie dało się tego zrobić legalnie. Okazało się więc, że gdy nie można zmienić treści konstytucji, trzeba zmienić jej interpretatorów. Skoro nie da się oficjalnie zmienić kursu, należy przejąć rękę, która trzyma ster.

Dlatego polski kryzys konstytucyjny nie jest tylko sporem o personalia i procedury, ale sporem o telos prawa – to, czy ma nim być ograniczenie władzy, czy zmiana kulturowa i tożsamościowa, dokonana wbrew konstytucji. Nie da się robić i jednego, i drugiego. Jeśli sądy mają realizować misję aksjologiczną aktualnej większości, przestają być wiarygodnym dla niej ograniczeniem – bo to ona tę misję przecież definiuje. Władza może zawsze powiedzieć, że działa dla dobra narodu, a sądy powinny ją wspierać, nie hamować. Gdy tak postawi się sprawę, kontrola władzy staje się niemal formą sabotażu.

Nie chcę być częścią tego projektu. Nie chcę być takim prawnikiem jak Marcin Warchoł, który skarży do Trybunału Konstytucyjnego przepisy, które chwilę temu sam uchwalał – bo tak mu politycznie pasuje. Nie chcę naśladować profesora Ryszarda Piotrowskiego, który cztery lata temu mówił, że neo-sędziowie istnieją, a dziś w prawicowych telewizjach mówi, że takiej kategorii polskie prawo nie przewiduje. Nie chcę być Kamilem Zaradkiewiczem, którego na stanowisko neo-sędziego promował minister sprawiedliwości, mówiąc, że zainteresowany się nadaje, bo zmienił swój progresywny pogląd na dopuszczalność związków jednopłciowych na prawilny. Nie chcę, bo nie taka była moja umowa z zawodem.

Ale nie chcę być także wojownikiem drugiej strony. Tam też pojawia się oczekiwanie, by prawnicy „liberalni" zaangażowali się w „tożsamościowy projekt progresywny". To coś w rodzaju szantażu – jeśli nie jesteś z nami we wszystkim, jesteś przeciwko nam. Jakby rolą sędziego czy profesora prawa było wspieranie określonej wizji świata, nawet jeśli nie jest ona wyrażona w konstytucji.

I tacy sędziowie i profesorowie się znajdują – nigdy niekrytykujący bezprawnych działań obecnej większości (na przykład pozbawienia wynagrodzeń także legalnie wybranych przez PiS sędziów Trybunału Konstytucyjnego czy zwlekania z wyborem ich następców, które właśnie teraz się mści). Dlaczego nie krytykują? Bo wtedy przestaliby być „swoi" – przestaliby realizować funkcję tożsamościową, a przypomnieli o funkcji kontrolnej.

Niestety, Kaczyńskiemu udało się przekonać Polaków, że prawnicy są zawsze „czyiś". A nawet w spolaryzowanych państwach nie musi tak być. W USA konserwatywni sędziowie Sądu Najwyższego powołani przez Trumpa uznali za nielegalne jego cła. Czy u nas nikogo nie stać na wysłanie tak jasnego komunikatu niezależności?

Czy naprawdę niezależność prawnika ma dziś polegać na tym, że musi deklarować zgodność z całym pakietem światopoglądowym swojego środowiska? Czy nie można jednocześnie bronić praworządności i przyznać, że artykuł 18 konstytucji jest przepisem konserwatywnym, który nie pozwala na zrównanie związków jednopłciowych z dwupłciowymi? Jeśli nie można – to znaczy, że prawo także dla drugiej strony stało się narzędziem budowania tożsamości, a nie kontroli.

To powiedziawszy, nie zgadzam się z PiS-owską tezą, że prawnicy broniący praworządności są politykami w togach, że uczestniczą w tej samej wojnie, co prawnicy wspierający PiS, tylko pod innym sztandarem. Ta symetria jest propagandą. Ci prawnicy nie próbują zmienić aksjologicznego modelu państwa poza konstytucją. Nie muszą. Bronią wartości, które Naród przyjął w roku 1997 i potwierdził w 2004. Bronią funkcji kontrolnej prawa.

To, że ten model jest liberalny, nie czyni go projektem partyjnym. On został przyjęty jako konstytucyjny, a model PiS nie. Model PiS ma więc charakter antydemokratyczny – nie dlatego, że jest konserwatywny, ale dlatego, że próbuje zmienić ustrojowy azymut bez odpowiedniego, konstytucyjnego poparcia. To nie jest spór o wartości w ramach konstytucji, ale próba jej obejścia. Jeśli obrona funkcji kontrolnej prawa jest dziś postrzegana jako zaangażowanie polityczne, to znaczy, że bardzo daleko odeszliśmy od pierwotnej umowy.

Być może kruszenie partyjnego duopolu, które obserwujemy, stworzy przestrzeń, w której prawo nie będzie polem symbolicznej mobilizacji. I sytuacja się zmieni. Nie ma gwarancji, że tak się stanie. Ale jedno wydaje się jasne: jeśli prawo ma znów pełnić funkcję kontrolną, nie może być narzędziem zmiany tożsamościowej – bez względu na jej kierunek. Tylko zrozumienie tego procesu pozwoli go zatrzymać.

A na razie moją umowę o bycie prawnikiem uznaję za poważnie naruszoną. Dlatego ją wypowiadam i będę pisał o filozofii. ●

eprasa.pl 738f82d54d

TRUMP TO NIE KATAR

Polscy wyznawcy MAGA nadludzkim wysiłkiem próbują do chaotycznej polityki amerykańskiego przywódcy dopisać jakiś chytry i logiczny plan.

Wojciech Maziarski

Właściwie już teraz z dużym prawdopodobieństwem można orzec, że atak na Iran okaże się kolejną polityczną porażką Donalda Trumpa. Podobnie jak w Wenezueli udało mu się osiągnąć doraźny i konkretny cel minimum – tam było to pojmanie i uprowadzenie przywódcy, tu zabicie go – lecz nie ma żadnych oznak, by amerykański prezydent realizował jakiś bardziej dalekosiężny plan. Wprawdzie wezwał obywateli Iranu, by brali sprawy w swoje ręce, ale bardziej prawdopodobne jest, że teokratyczny reżim się przegrupuje i zachowa władzę.

Polscy wyznawcy MAGA nadludzkim wysiłkiem próbują do chaotycznej polityki amerykańskiego przywódcy dopisać jakiś chytry i logiczny plan. Na przykład poseł PiS Jan Kanthak mówił, że powodem ataku były kalkulacje związane z... wojną w Ukrainie:

„Donald Trump stosuje metodę salami, odcina wszystkich sojuszników Putina krok po kroku. Najpierw mieliśmy Wenezuelę, teraz mamy Iran. Różne głosy mówią, że może być następna Kuba. Można powiedzieć, że w ten sposób bardzo mocno osłabia potencjał Rosji, jeśli chodzi o sojuszników i możliwość zdobywania kolejnych broni".

PiS nie ma wyboru – skoro już na początku wyznał amerykańskiemu prezydentowi miłość do grobowej deski, to nie może teraz pozwolić sobie na przyznanie, że król jest nagi. Pamiętamy wszak tę scenę: „Donald Trump! Donald Trump!" – skandowali w euforii posłowie PiS w Sejmie, gdy w listopadzie 2024 roku ogłoszono nazwisko nowego lokatora Białego Domu. Co gorliwsi ozdobili swe dymiące od emocji głowy czerwonymi czapeczkami ruchu MAGA.

Nie minęły dwa miesiące, a już musieli wycofywać się rakiem i szukać pokrętnych usprawiedliwień, gdy ich idol wprowadził absurdalne cła uderzające w kraje sojusznicze, w tym w Polskę. A zaraz potem brutalnie zrugał bohaterskiego prezydenta walczącej Ukrainy i wyprosił go z Białego Domu. Mówiąc, że wierzy Putinowi deklarującemu chęć zakończenia wojny, wstrzymał wsparcie militarne dla Ukraińców i zażądał, by Kijów oddał Kremlowi Donbas.

Finansowy ciężar wsparcia dla Ukrainy wzięła na siebie Unia Europejska – ta sama, którą PiS odsądza od czci i wiary i oskarża o ustępliwość wobec rosyjskiego imperializmu. A potem jeszcze Trump zażądał od Duńczyków, by oddali mu Grenlandię.

Tego było już za wiele nawet dla zaczadzonych propagandą wyborców PiS, więc politycy tej partii, dociskani przez dziennikarzy pytaniami, czy nie żałują swojego entuzjazmu dla Trumpa, wili się jak piskorze i odpowiadali pokrętnie. „To emocje zagrały, a przede wszystkim ważne jest to, żeby Polska była silna" – tłumaczył rok temu Mariusz Błaszczak reporterowi TVN.

Dziś sprawa nieco przyschła, a wyborcy zdążyli się oswoić z nieobliczalnością Trumpa, który w międzyczasie kilkakrotnie już zmieniał kurs – to utwardzał stanowisko wobec Rosji, to znowu je zmiękczał, raz podnosił cła, raz je obniżał, groził militarnym zaborem Grenlandii, by za chwilę wycofać się z tego.

To, co na początku jego kadencji szokowało, w ciągu roku stało się nużącą codziennością i nie robi już takiego wrażenia. Światowa, w tym polska, opinia publiczna nauczyła się jakoś żyć z nieprzewidywalnym przywódcą mocarstwa, które do niedawna było gwarantem geopolitycznej stabilności, a dziś stało się siewcą chaosu.

Racja PiS przeciw polskiej racji stanu

Dla Prawa i Sprawiedliwości to swoiste znieczulenie Polaków na cudaczne i skandaliczne posunięcia amerykańskiego prezydenta jest rzeczą korzystną. Dzięki temu partia Kaczyńskiego może wrócić do polityki popierania Trumpa bez ryzyka utraty twarzy w oczach swoich wyborców. W sporze między europejskim liberalizmem a trumpowskim populizmem może wybrać ten drugi.

Dokonując takiego wyboru, PiS w oczywisty sposób stawia się w kontrze do polskiej racji stanu. W naszym narodowym interesie leży bowiem, by na polski eksport nie były nakładane cła. By w obliczu zagrożenia ze Wschodu polskie siły zbrojne i przemysł obronny szybko zostały zasilone wielomiliardową, nisko oprocentowaną pożyczką SAFE.

By nikt nie otwierał drogi do zmiany terytorialnego status quo w Europie – ani w Donbasie, ani na Grenlandii – bo to może być precedens groźny dla integralności terytorialnej Polski z jej ziemiami zachodnimi i północnymi.

By Ukraina obroniła się przed rosyjską agresją i by kremlowski imperializm został powstrzymany – przynajmniej na długie lata, a najlepiej raz na zawsze – bo w przeciwnym wypadku za chwilę zagrozi on bezpośrednio Polsce.

By władzy w krajach Europy nie przejęły siły zmierzające do destrukcji UE, bo to właśnie Unia pozwoliła przełamać wielowiekowe przekleństwo polskiego położenia geopolitycznego między dwoma groźnymi dla nas imperiami – rosyjskim i niemieckim.

To Unia sprawiła, że Niemcy zostały wbudowane w architekturę demokratycznej Europy i stały się sojusznikiem Polski, a nie jej śmiertelnym wrogiem jak wcześniej.

Skoro to wszystko jest tak banalnie oczywiste, to dlaczego liderzy PiS z Jarosławem Kaczyńskim tego nie widzą ani nie rozumieją? Błąd. Złe pytanie. Myślę, że widzą i rozumieją – przynajmniej ci bardziej rozgarnięci – lecz z rozmysłem dokonują wyboru zgodnego nie z długofalowym interesem Polski, lecz z doraźnym interesem swojej partii.

Zdają sobie sprawę, że w wyborach jedyną szansą dla nich jest postawienie na elektorat kierujący się nie rozumem i racjonalnymi argumentami, lecz emocjami, fobiami i przesądami. Który można przestraszyć, wzbudzić w nim panikę, podsycić nienawiść. Ten, o którym jeden z prominentnych ludzi tego obozu wyraził się w sposób pogardliwy: „Ciemny lud wszystko kupi".

To właśnie dlatego Mariusz Błaszczak już rok temu, próbując się wytłumaczyć z kłopotliwych dla PiS owacji po wyborze Trumpa, mówił: „Donald Trump niewątpliwie jedną rzecz dobrą zrobił dla cywilizacji europejskiej. To znaczy wyrzucił do kosza wszystko to, co związane jest z szaleństwem uzgadniania płci, co związane jest z rewolucją obyczajową. I to wpłynie niewątpliwie pozytywnie na przyszłość naszej cywilizacji".

Teraz PiS wrócił do tej narracji, tłumacząc, że europejskiej pożyczki na wzmocnienie obronności nie można brać, bo to zmusi Polskę do uznania, że istnieje 200 płci i że mężczyźni mogą rodzić dzieci. No i znajdziemy się „pod niemieckim butem". Tu dygresja: czy po pisowskich zakupach na kredyt w latach 2023-2024 Polska znalazła się pod koreańskim butem?

Nieformalny sojusz wrogów liberalnej Europy

Dla populistycznej prawicy w całej Europie – w tym dla PiS – Donald Trump i jego ruch MAGA to cenny sojusznik i protektor. Niemal zbawca. To dzięki jego pomocy i pieniądzom można liczyć na zburzenie porządku panującego na kontynencie od II wojny światowej. Coś, co dla przeciętnego obywatela jawi się jako horror: chaos, upadek rządów, załamanie się demokratycznych instytucji – dla antyeuropejskich sił populistycznych jest stanem pożądanym, bo dającym szansę na przejęcie i utrzymanie władzy.

To właśnie dlatego ich liderzy z radością przyjęli komunikat przywieziony rok temu przez aroganckiego wiceprezydenta J.D. Vance'a, który na poprzedniej Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium ogłosił, że „w Ameryce jest nowy szeryf", który zrobi tam porządek i pomoże go zaprowadzić także w Europie.

Vance skrytykował różne aspekty europejskiej kultury politycznej, co spotkało się z powszechnym oburzeniem, lecz stosunkowo niewielu komentatorów odnotowało, że amerykański wiceprezydent potępił też unieważnienie przez rumuński sąd pierwszej tury wyborów prezydenckich w 2024 roku, którą w wyniku gigantycznej ofensywy anonimowych kont internetowych wygrał marginalny i wcześniej praktycznie nieznany kandydat.

eprasa.pl 738f82d54d

ZYNA

▲ **Zwolennicy MAGA i prezydenta USA Trumpa w czasie jego wizyty w Warszawie (06.07.2017)** FOT. KAROLINA KIJEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Służby prześledziły te konta i okazało się, że tropy wiodą do Moskwy. To znamienne i symboliczne: amerykański wiceprezydent spod znaku MAGA staje w obronie „demokratycznego" wyboru dokonanego za sprawą kremlowskich machinacji. Tak oto europejska demokracja liberalna została wzięta w dwa ognie – ze wschodu i zza Atlantyku.

Kto finansuje Ziobrę w Budapeszcie?

Ostrzał trwa. Właśnie w tych dniach dowiedzieliśmy się, że do rozpoczęcia nadawania w Polsce przygotowuje się kanał telewizyjny Newsmax Polska, który zaczął rekrutować dziennikarzy, publikując ogłoszenia o naborze.

Właścicielem tej prawicowej, żarliwie protrumpowskiej telewizji jest w USA Christopher Rudy, przyjaciel prezydenta. A w Polsce stacja ma być filią Newsmax Balkans, której właścicielem jest Telekom Srbija, spółka kontrolowana przez rząd Serbii. Rząd prorosyjski, a jakże.

Stosunkowo głośno było u nas o związkach między polską organizacją Ordo Iuris z ludźmi Trumpa. Rok temu „Wyborcza" pisała o konferencji w waszyngtońskiej prawicowej Heritage Foundation, gdzie zaprezentowano projekt „reformy" (a w praktyce skasowania w obecnym kształcie) Unii Europejskiej autorstwa ludzi Ordo Iuris i ekspertów Viktora Orbána.

Ideologiczno-programowa ofensywa MAGA w Europie przybiera też postać cyklicznej prawicowej konferencji CPAC (Conservative Political Action Conference), która została zainicjowana w USA, lecz teraz już odbywa się też w różnych krajach europejskich – w Polsce w maju 2025 w Rzeszowie-Jasionce.

Ciekawostką jest, że właśnie do CPAC docieramy, szukając tropów Węgiersko-Polskiego Instytutu Wolności. Ta organizacja wydmuszka powołana przez ukrywającego się w Budapeszcie Zbigniewa Ziobrę nie podaje adresu ani danych kontaktowych, lecz jej strona internetowa to zakładka w witrynie orbanowskiej Fundacji na rzecz Praw Podstawowych, która właśnie jest organizatorką konferencji CPAC na Węgrzech.

Kolejna, szósta już edycja tej imprezy odbędzie się 21 marca, a węgierscy organizatorzy informują, że CPAC to „konferencja, którą co roku otwiera Viktor Orbán, a uczestników pozdrawia Donald Trump".

Trump, MAGA, Orbán, Ziobro, Ordo Iuris, Serbia, Rosja – czy ktoś jest zaskoczony tym splataniem się tropów? I czy samo w sobie nie stanowi to już dostatecznego uzasadnienia dla

MAGA, Orbán, Ziobro, Ordo Iuris, Serbia, Rosja. Czy ktoś jest zaskoczony tym splataniem się tropów?

słów Guntrama Wolffa z brukselskiego think tanku Bruegel, który, komentując amerykańską narodową strategię bezpieczeństwa narodowego, powiedział: „Jest to próba ingerencji w sprawy wewnętrzne Europy w celu osłabienia procesów demokratycznych i wzmocnienia partii skrajnie prawicowych".

Spadkobiercy konfederacji targowickiej

Posłowie PiS skandujący „Donald Trump!" i zakładający czapeczki MAGA, podważający pozycję Polski w UE i blokujący programy zbrojeniowe polskiej armii za swoje motto przewodnie mogliby uznać słowa zapisane w akcie konfederacji targowickiej: „A że Rzeczpospolita pobita i własnymi z niewoli dźwignąć się nie może siłami, nic jej innego nie zostaje, tylko uciec się z ufnością do Wielkiej Katarzyny".

Sęk w tym, że caryca Katarzyna była władczynią absolutną, której pozycji lud nie mógł zakwestionować. Natomiast Donald Trump, przy całym swym populizmie i autokratycznych ciągotach, jest demokratycznie wybranym prezydentem państwa, które od swych narodzin 250 lat temu jest wzorcem demokracji. Demokracja i praworządność są zapisane w amerykańskim DNA i amerykański lud, tak jak powołał Trumpa na prezydenta, jest władny, by go też odwołać.

Lokator Białego Domu jest tego w pełni świadomy i właśnie tu można szukać wytłumaczenia jego na pierwszy rzut oka absurdalnej polityki zmierzającej do destrukcji powojennego konsensusu liberalno-demokratycznego w świecie zachodnim.

Tak jak europejska populistyczna prawica modli się o trumpowski D-Day i desant sił MAGA na plaży w Normandii, tak i on sam czuje się zagrożony przez amerykańskich liberałów, których wprawdzie pokonał w wyborach, i to wyraźnie, ale przecież nie wyeliminował z życia publicznego. W każdej chwili mogą się odrodzić i odzyskać wpływy, a punktem odniesienia i naturalnym sojusznikiem są dla nich siły demokratyczno-liberalne w Europie.

W erze globalizacji obie strony Atlantyku są powiązane milionem niewidocznych nici, a wszystko to, czego Trump w amerykańskiej rzeczywistości organicznie nie znosi i uznaje za zagrożenie – ośrodki akademickie, wielkie metropolie, elity naukowe, artystyczne, kulturalne, hollywoodzkie, środowiska lewicowe – znajduje duchowe i polityczne wsparcie w Europie.

Jeśli więc odbierzemy Europę liberalnym demokratom i oddamy ją w ręce prawicowych populistów – myślą zapewne stratedzy MAGA – osłabimy też zagrożenie na naszym własnym podwórku.

Rok porażek Trumpa

Wiele wskazuje jednak na to, że populistyczna prawica w Europie może nie doczekać się desantu MAGA, o którym marzy. Pierwszy rok prezydentury Donalda Trumpa okazał się nie pasmem zwycięstw, lecz ciągiem porażek, z których ostatnią, bardzo spektakularną, był wyrok sądu obalający jego cła. Ale przecież nie jedyną.

Samo ograniczenie imigracji jest przez Amerykanów postrzegane jako sukces prezydenta, lecz łapanka na imigrantów w Minneapolis okazała się katastrofą – funkcjonariusze zastrzelili dwoje przykładnych obywateli, bynajmniej nie imigranckich przestępców. W efekcie oddziały ICE zostały z miasta wycofane, a notowania Trumpa się pogorszyły.

Wojna w Ukrainie miała się zakończyć w jeden dzień, potem Trump wyznaczał kolejne nieprzekraczalne terminy, mówiąc, że Ukraińcy nie mają dobrych kart i muszą ustąpić. A wojna trwa. Ukraińcy dzielnie i skutecznie się bronią, czasem nawet kontratakują.

Rada Pokoju miała być drugim ONZ, a nawet czymś od ONZ lepszym i ważniejszym. Powstało ciało skupiające garstkę drugorzędnych przywódców z niezbyt istotnych krajów. Już widać, że nie odegra ono istotnej roli poza firmowaniem jakiegoś planu odbudowy Gazy, jeśli w ogóle do tego dojdzie.

Trump oświadczył, że przejmie Grenlandię, jeśli trzeba, to nawet siłą. Nie przejął i nie przejmie, sam już zaczął się rakiem wycofywać z buńczucznych zapowiedzi.

Zabiegał o Nobla. Nie dostał go, a teraz, po ataku na Iran i zabiciu jego przywódców, wiadomo już, że nie dostanie.

Owszem, porwał przywódcę Wenezueli, ale nie wiadomo po co, skoro dawny reżim utrzymał się u władzy.

A jesienią Amerykanie będą wybierać Kongres USA. Ciekawe, czy po tych wyborach posłowie PiS znów założą czerwone czapeczki, czy raczej głęboko je pochowają. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: KULTURA WSTYDU. SKĄD SIĘ BIERZE TEN KOBIECY BRAK AKCEPTACJI? CZYJ TO GŁOS TAK NAPRAWDĘ?

JOANNA BRODZIK: Nie boję się odsłonić i pokazać swojego miękkiego brzucha

PSCYHOLOGIA: Karanie ciszą, Obrażanie się jest zgubną strategią. Obniża satysfakcję z relacji i może prowadzić do jej rozpadu

wysokieobcasy extra

Numer dostępny z prezentem: skarpetkami złuszczającymi Silcatil lub maseczką w płacie SKU FaceBoom – SUPERSTAR

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

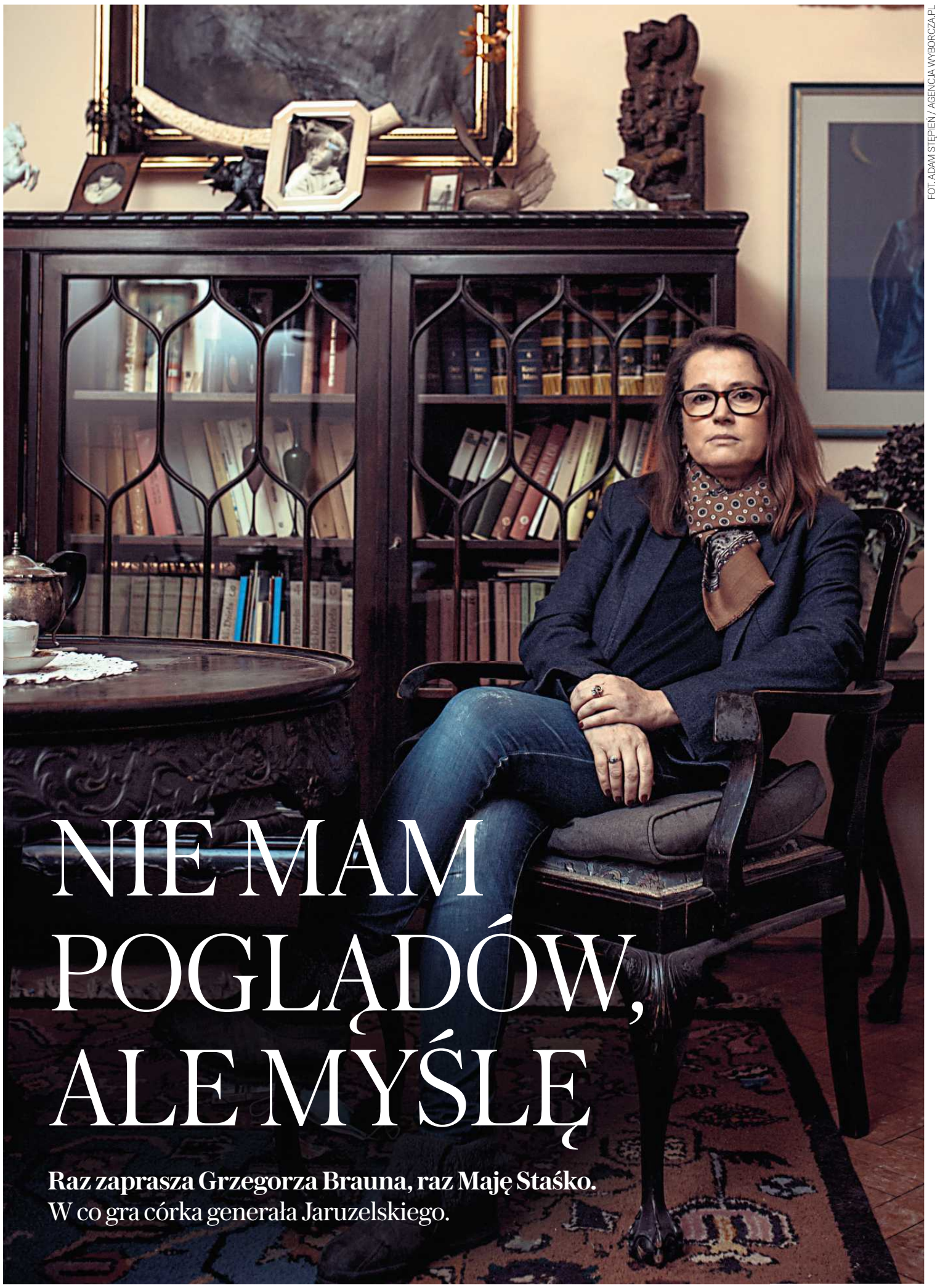

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

NIE MAM POGLĄDÓW, ALE MYŚLĘ

Raz zaprasza Grzegorza Brauna, raz Maję Staśko. W co gra córka generała Jaruzelskiego.

Dominika Wielowieyska

Grzegorz Braun rozsiada się w dawnym fotelu generała Jaruzelskiego w słynnej willi na ulicy Ikara. Tej, pod którą co roku odbywały się demonstracje w rocznicę stanu wojennego. Gospodyni nalewa herbatę do generalskiej filiżanki, częstuje śliwkami w czekoladzie, uśmiecha się i pozwala gościowi wygłaszać monologi. Odzywa się rzadko, Braun peroruje, a ona kiwa głową.

Ona – Monika. Córka ascetycznego peerelowskiego generała, który wprowadził stan wojenny, a potem wspólnie z antykomunistyczną opozycją pogrzebał Polskę Ludową. W latach 90. celebrytka, współtwórczyni i bohaterka lifestyle'owej prasy kobiecej, stylistka. A od paru lat kontrowersyjna youtuberka prowadząca kanał „Towarzyszka panienka", obecnie „Monika Jaruzelska zaprasza".

A zaprasza nie lada postaci. Byli u niej: „kamrat" Wojciech „Jaszczur" Olszański, demaskujący „kłamstwo jedwabieńskie" Wojciech Sumliński, eksksiądz nacjonalista Jacek Międlar, prorosyjski kandydat na prezydenta Maciej Maciak. Ale także: liberalny filozof Jan Hartman, ceniony politolog Rafał Chwedoruk, Joanna Senyszyn, lewicowy działacz miejski Jan Śpiewak...

•

Jest jedyną córką germanistki Barbary Jaruzelskiej i generała Wojciecha Jaruzelskiego – nastoletniego szlachcica zesłanego na Syberię, który został bohaterem wojennym w armii Berlinga, dowódcą Ludowego Wojska Polskiego, przejął władzę w PRL w trakcie wolnościowego karnawału „Solidarności", a potem go zdusił, wprowadzając stan wojenny. Próbował reanimować obumierającą Polskę Ludową. Po czym zgodził się na rozmowy z demokratycznym podziemiem, przystał na wolne wybory i na chwilę został pierwszym prezydentem wolnej Polski.

Polityczna działalność i pozycja ojca naznaczyły mocno jej życiorys. Wprowadzenie stanu wojennego w 1981 roku było dla niej szokiem, 17-latka uciekła z domu, choć generał podkreślał, że raczej wyprowadziła się na pewien czas.

A potem w wolnej Polsce jak lwica broniła ojca, z którym zawsze była bardzo blisko.

Wszyscy moi rozmówcy opowiadają, że gdy media ostro traktowały generała, chwytała za słuchawkę i nie szczędziła wymówek tym czy innym dziennikarzom i ich przełożonym. Była oburzona i dała temu wyraz, gdy w 2009 roku w TVN w programie „Teraz my!" Andrzeja Morozowskiego i Tomasza Sekielskiego Jaruzelski został skonfrontowany z wypowiedziami rodzin ofiar stanu wojennego. – Pamiętam tę rozmowę. Niedługo potem na Charytatywnym Balu Dziennikarzy złapał mnie prezydent Lech Kaczyński i powiedział: „Nie lubię Jaruzelskiego, ale muszę powiedzieć, że potraktowaliście go bardzo brutalnie" – wspomina w rozmowie ze mną Morozowski. I dodaje, że w stacji mówiło się o interwencjach Moniki Jaruzelskiej u przełożonych dziennikarzy.

Po latach, w 2020 roku, Jaruzelska, prowadząc „Towarzyszkę panienkę", program na kanale „Super Expressu", zaprosiła Sekielskiego. Pod koniec rozmowy wypomniała mu tamtą rozmowę z generałem. Sekielski przyznał: „Wiem, że była pani na nas wściekła, docierały do mnie informacje". Jaruzelska: – No tak, z Andrzejem Morozowskim byłam na „ty", po tym programie jesteśmy już na „pan, pani".

I dodała: – Było mi strasznie przykro... Tak jest, jak się kogoś kocha, najbliższą osobę.

Za bycie córką autora stanu wojennego długo płaciła wysoką cenę, bo musiała brać na barki winy ojca. A jednocześnie w wolnej Polsce była znaną i lubianą postacią warszawki. Zajęła się modą, jako popularna stylistka słynęła ze świetnego gustu. Współtworzyła lifestyle'owy „Twój Styl", pierwszy po transformacji rynkowej luksusowy magazyn dla kobiet, pełniła kierownicze funkcje w firmie mającej w portfolio W. Kruka i Deni Cler. Gdy rozmawiałam z nią kilkanaście lat temu i pytałam, czy faktycznie moda, pokazy projektantów i świat pism kobiecych to jej główna pasja, zamyśliła się i po chwili powiedziała, że nie, bo tak naprawdę fascynowały ją polityka i sprawy społeczne, ale ze względu na ojca nie ma szans na aktywność w tej sferze.

W opisie drogi Moniki Jaruzelskiej opieram się na rozmowach z nią i z jej przyjaciółmi, z których nikt nie chciał występować pod nazwiskiem. Głównie dlatego, że nie chcą jej ranić, a jednocześnie są zgnębieni, a nawet przerażeni, że stała się ikoną skrajnej prawicy.

•

– Monika miała szerokie grono przyjaciół, wielu znajomych, była rozpoznawalna, ale w głębi serca pokutowało w niej przekonanie, że wszyscy patrzą na nią nieufnie, przez pryzmat jej ojca. To było bardzo obciążające psychicznie, w jakimś stopniu ją blokowało w relacjach z innymi ludźmi, była w niej jakaś nieufność wobec otoczenia – słyszę.

Ale jednocześnie zdecydowała się na zmonetyzowanie swojej skomplikowanej biografii. Jej pierwsza książka, „Towarzyszka panienka", w 2013 roku była bestsellerem. Monika postanowiła iść za ciosem. Skoro ta pozycja przyniosła niezły dochód, opublikowała kolejne trzy. Jedna z nich doprowadziła do kłótni z „Newsweekiem". Jaruzelska oskarżyła tygodnik o manipulację. Zgodziła się na rozmowę o książce „Rodzina", bo myślała, że to będzie wywiad – a ukazał się tekst „Tajemnice domu Jaruzelskich", który dotyczył między innymi problemów małżeńskich rodziców generała i jego żony. Jaruzelska krytykowała, że w tekście znalazły się „kłamliwe wypowiedzi rzekomo »osoby dobrze znającej rodzinę« i cytaty z tabloidów". „Newsweek" tłumaczył, że nikt nie obiecywał, iż opublikowany będzie jedynie wywiad, że preten-

eprasa.pl 738f82d54d

sje Jaruzelskiej mają na celu wypromowanie książki.

Ale głównym problemem były inne wywiady – te Barbary Jaruzelskiej, w których zarzucała mężowi wieloletni romans z inną kobietą. – Monika wtedy bardzo cierpiała, chciała chronić rodziców przed tabloidami. Nie zawsze się udawało, bo jej mama nie do końca zdawała sobie sprawę z konsekwencji swoich decyzji, była wykorzystywana przez dziennikarzy w sposób bardzo brutalny – uważa jeden z przyjaciół. Kiedy pytałam ją w wywiadzie z serii „Crashtest", czy nie ma oporów, by opowiadać o sobie i życiu rodziny, odpowiadała, że niektórzy właśnie zarzucają jej, że za mało się otworzyła i zbyt skąpo zdradza szczegóły z życia prywatnego.

Kolejny olbrzymi stres dotyczył oskarżeń związanych z domem Jaruzelskich przy Ikara. Willa po śmierci generała przeszła w ręce jego córki. Wtedy doszło do politycznej awantury. Spadkobiercy przedwojennych właścicieli starali się odzyskać nieruchomość. W sukurs przyszli im posłowie PiS. Jan Mosiński i Paweł Lisiecki – ówczesny członek komisji weryfikacyjnej do spraw reprywatyzacji – oraz stołeczny radny Jacek Ozdoba złożyli zawiadomienie do prokuratury. Prawica ostro atakowała Jaruzelską, z szeregu wyłamał się Rafał Ziemkiewicz, dziennikarz i pisarz, gwiazdor prawicowej publicystyki, z którym Jaruzelska chodziła do liceum i studiowała polonistykę. Byli w relacjach tak dobrych, że był nawet pomysł, by razem prowadzili program w Polsacie, także dlatego, iż Ziemkiewicz – dziś zagorzały antykomunista – w PRL od opozycji antykomunistycznej trzymał się z daleka.

Monika ciężko zniosła historię z willą i potem mówiła, że Ziemkiewicz był jedną z nielicznych osób, która ją wspierały. Ostatecznie sąd w 2021 roku uznał ją za jedyną spadkobierczynię nieruchomości. Przeniosła się do rodzinnego domu i jakby na zasadzie prowokacji właśnie tam przeprowadza wywiady z czołowymi postaci skrajnej prawicy.

•

Ale wiele lat wcześniej była w kręgu Sojuszu Lewicy Demokratycznej wywodzącego się ze środowisk PZPR, peerelowskiej partii władzy, której pierwszym sekretarzem przez całe lata 80., aż do przełomowych czerwcowych wyborów w 1989 roku, był jej ojciec.

Gdy PiS masowo odbierał emerytury PRL-owskim mundurowym, Jaruzelska stanęła w ich obronie i w 2018 roku zaangażowała się w akcję protestacyjną. Cztery lata po śmierci generała zdecydowała się zaangażować w politykę. Wystartowała w wyborach samorządowych z listy SLD Lewica Razem i została radną. Lewicowi działacze z samorządu wspominają, że nie była zbyt aktywna i nie paliła się choćby do popierania inicjatyw związanych z prawami osób LGBT+.

Jakie miała wtedy poglądy? Z rozmów z dziennikarzami „Wyborczej" wyłania się taki obraz: jest za liberalizacją ustawy i wyborem kobiet, ale odkąd urodziła, nie głosi hasła „aborcja na życzenie", bo to etycznie i emocjonalnie bardzo złożona sprawa. Jest za związkami partnerskimi, ale uważa, że zgoda na adopcję przez pary homoseksualne może się przyczynić do tego, że dzieci z takich rodzin będą miały ciężkie życie w naszym społeczeństwie. Choć, jeśli ktoś by ją zapytał, co woli: czy w razie jej śmierci syn Gustaw miałby się znaleźć w domu kochającej i dbającej o niego pary homoseksualnej czy w domu dziecka, to oczywiście wybiera to pierwsze.

Gustaw, jej jedyne dziecko, ma 22 lata. Jaruzelska mówi o sobie jako matce samotnie wychowującej syna, deklarowała, że nie zamierza wychodzić za mąż. – Synowi nie brakuje ojca. Z Fedkiem [Dariusz Fedyniak, lekarz anestezjolog] jestem już z przerwami 20 lat. Widzimy się codziennie. Nie mieszkamy razem, nie dogadalibyśmy się. Problem w tym, że ja też jestem trochę samcem alfa, nasz syn również. Dlatego dobrym wyjściem jest bycie razem, ale niekoniecznie pod tym samym dachem. Bez walki o terytorialną dominację – opowiadała wiele lat temu w „Wyborczej".

Jest sceptyczna wobec genderowych projektów czy perspektyw zakładających mieszanie ról płci, zacieranie tożsamości płciowej, przebieranie chłopców za dziewczynki czy narzucanie lub promowanie unifikacji płciowej w strojach. Mówi, że metroseksualny mężczyzna nie weźmie odpowiedzialności za rodzinę, za swoją żonę czy partnerkę. Nie może być przedstawiony jako dominujący wzór męskości. Tożsamość płciowa jest ważna i nie ma powodu jej niszczyć, choć każdy człowiek ma wolność wyboru i jeśli chce, niech wychodzi poza ramy tej tożsamości.

Jaruzelska uznała, że skoro osiągnęła niezły wynik w wyborach samorządowych, to czas powalczyć o Sejm. Szykowała się do startu w wyborach w 2019 roku, liczyła na dobre, biorące miejsce w Warszawie. Ale nie dostała żadnego. Działacze SLD twierdzili, że chciała jedynki, a to nie było możliwe, bo pierwsze miejsce było zarezerwowane dla Partii Razem jako warunek lewicowej koalicji. Przyjaciele Jaruzelskiej zaprzeczali: „Nie, po prostu chciała być na liście w Warszawie".

– Ja nie mam żadnych wątpliwości, że Monika Jaruzelska z każdego miejsca zdobyłaby o wiele więcej głosów niż Anna Maria Żukowska. Dlatego Czarzasty ją wyciął. Chociaż mu mówiłem: Włodek, zobacz to oczyma wyobraźni. Posłanka Jaruzelska zmierza w stronę mównicy. PiS dostawałby za każdym razem szału. Sam fakt, że córka generała byłaby w Sejmie, poniósłby Lewicę, bo stawiałby ją w centrum politycznego sporu – mówi „Wyborczej" Leszek Miller, u schyłku PRL wysoki działacz partyjny, a w początkach stulecia premier wprowadzający Polskę do Unii Europejskiej.

Żelazny Kanclerz dziś jest w sporze i z przewodzącym Nowej Lewicy marszałkiem Sejmu, i z pełniącą funkcję partyjnej harcowniczki Żukowską, a co więcej, przeszedł na pozycje Konfederacji w sprawie Ukrainy oraz programu gospodarczego. I chętnie wpada na herbatę do willi generała, by udzielić wywiadu córce dawnego przełożonego. Choć zastrzega, że nie zamierza startować z list Konfederacji ani Brauna. – Cieszyłem się, gdy dostała się do samorządu, ale już wtedy mi mówiła, że jest w SLD wyobcowana, że czuje niechęć ze strony kierownictwa partii – dodaje Miller.

Monika Jaruzelska jesienią 2019 roku w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" mówiła: „Wszyscy twierdzą, że to osobista decyzja Włodzimierza Czarzastego, bo bliższa jego sercu jest Anna Maria Żukowska. Mężczyźni w kryzysie wieku średniego robią takie rzeczy...".

Żukowska dostała drugie miejsce na liście za Zandbergiem. I odpowiedziała koleżance na platformie społecznościowej: „Rok temu na wspólnym kampanijnym spacerze z psami na Polu Mokotowskim z kandydatem na prezydenta Warszawy Andrzejem Rozenkiem pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją (wysterylizowaną, więc to dziwne) sunię. Kiedy ją wzięłam na kolana, podszedł i mi nasikał do butów. Jaki pies, taki pan". Wkrótce skasowała ten wpis, natomiast Jaruzelska w RMF FM stwierdziła, że „ktoś musiał powiedzieć to, co wszyscy wiedzą". Gdy dziś pytam posłankę Żukowską o tę sprawę, nie chce się wypowiadać, ale ma żal za insynuacje dotyczące jej życia prywatnego.

Gdyby Monika Jaruzelska była na dalszym, niebiorącym miejscu na liście, to pewnie znalazłaby się w Sejmie, ponieważ Zandberg wykręcił bardzo dobry wynik w Warszawie i lewica dostała w tym okręgu trzy mandaty, choć spodziewano się tylko dwóch. Do Sejmu dostały się Żukowska i Magdalena Biejat.

Wycięta z listy, rozgoryczona Jaruzelska postanowiła wystartować do Senatu – samodzielnie, poza paktem senackim, który tworzyła demokratyczna antypisowska opozycja. Gra szła o to, by opozycja odbiła z rąk Jarosława Kaczyńskiego przynajmniej Senat. Jaruzelska zderzyła się więc z oskarżeniami, że rozbija jedność opozycji. – Ja jej wtedy mówiłam, że bardzo ją lubię oraz szanuję i w innych okolicznościach na pewno bym na nią zagłosowała, ale akurat wtedy ważne było to, by nie rozbijać głosów, by PiS nie wygrał w tym okręgu – mówi jedna z moich rozmówczyń.

Przy starciu dwóch gigantów z partyjnym zapleczem Jaruzelska nie miała szans. Choć osłabiła pakt senacki, rozdrabniając elektorat antypisowski, dzięki 160 tysiącom głosów mandat zdobyła Barbara Borys-Damięcka z KO. Następny był Lech Jaworski z PiS z 81 tysiącami głosów. Na Jaruzelską postawiło 58 tysięcy wyborców.

Po kongresie Brauna oświadczyła, że nie startuje z list Korony. Zresztą odczuła na KINGS, jak ciężkie może być życie kandydata na posła czy senatora, bo trzeba z ludźmi sobie robić selfie, ściskać dłonie

Warto zwrócić uwagę na wyniki w tym okręgu w październikowych wyborach w 2023 roku, które odsunęły PiS od władzy. Małgorzata Kidawa-Błońska zyskała ponad 200 tysięcy głosów i zmiażdżyła kandydata PiS. Więc kiedy dziś Braun proponuje Jaruzelskiej start w Warszawie do Senatu, to tak, jakby ją skazywał na pewną porażkę, i to nawet w układzie, w którym jego Konfederacja Korony Polskiej, Konfederacja Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena oraz PiS stworzyły prawicowy pakt senacki na wzór tego, który za PiS tworzyła obecna Koalicja 15 Października. Dlatego Jaruzelska mówi, że nie jest tym zainteresowana, ale między słowami pojawia się sugestia, że gdyby oferta była inna, bardziej korzystna, to kto wie.

Ale na pewno nie ma ochoty iść na ścięcie, bo porażkę w 2019 roku mocno przeżyła. Jeden z widzów zapytał ostatnio, czy czuje się spełniona. Odpowiedziała z wahaniem, że nie może tak powiedzieć, ale też jest zmęczona i podejmowanie nowych wyzwań za bardzo jej nie pociąga.

•

Skoro wejście do polityki się nie udało, trzeba było pomyśleć o jakiejś alternatywie. W listopadzie 2019 we współpracy z tabloidem „Super Express" uruchomiła kanał na YouTubie pod nazwą „Towarzyszka panienka". To tam odbyła się pierwsza rozmowa z Grzegorzem Braunem.

Spotkanie miało miejsce w willi generała Jaruzelskiego, o którym Braun pisał i wypowiadał się bardzo źle – jego ocenę streszcza dokument „Towarzysz generał" z 2009 roku. Jaruzelski występuje tam jako „sowiecki agent, zdrajca, dyktator, kat narodu". Krytycy produkcję Brauna określili jako ideologiczną poligramotę, paradoksalnie przypominającą PRL-owskie agitki, tyle że ze skrajnie prawicowym imaginarium. W porównaniu z Braunem Morozowski z Sekielskim byli łagodni niczym baranki. Jednak teraz Braunowi nie przeszkadza zasiadanie w dawnym fotelu szefa „komunistycznej junty" i popijanie herbaty z filiżanki, która niegdyś należała do „polskiego Pinocheta", jak nazwano generała po wprowadzeniu stanu wojennego. A Jaruzelskiej nie przeszkadza dawna działalność Brauna dokumentalisty.

Niemniej pierwsza rozmowa nie była łatwa. Gospodynię dotknęło twierdzenie Brauna, że willa nie należy do niej. A jeszcze bardziej opowieść Brauna o wizycie Jaruzelskiego w Nowym Jorku na sesji ONZ w 1985 roku. Wedle Brauna generał spotkał się tam z przedstawicielami rodziny Rockefellerów, by ustalić z nimi zasady kapitalistycznej transformacji Polski i otworzyć polski rynek na żywność genetycznie modyfikowaną z USA. To jeden z nielicznych momentów całej perory Brauna, kiedy Jaruzelska wyraziła zdziwienie, stwierdzając, że ona była wtedy w Nowym Jorku z ojcem i takiego spotkanie nie miało miejsca. Ale Braun się nie przejął i dalej przekonywał, że w efekcie tego spotkania Polską rządzą mafie i „różne loże".

Spotkanie rzeczywiście się odbyło – tyle że przywódca komunistycznej Polski nie knuł z potomkami potężnego rodu nafciarzy, przemysłowców, bankierów rozprzedania narodowego majątku ani przedzierzgnięcia się komunistów w biznesmenów wskutek złodziejskiej prywatyzacji. Jaruzelski dzięki Zbigniewowi Brzezińskiemu spotkał się w Nowym Jorku z ważnymi finansistami, by zabiegać o pożyczki, od których wolny świat odciął PRL po zdławieniu opozycyjnej „Solidarności", i o amerykańskie inwestycje mogące uratować dysfunkcjonalną, zadłużoną gospodarkę. A David Rockefeller, wnuk twórcy Standard Oil, był po prostu najważniejszą postacią na styku amerykańskiej finansjery i polityki – udziałowcem bankowego giganta Chase Manhattan Bank, szefem kładącej podwaliny globalizacji Komisji Trójstronnej i wpływowego w Waszyngtonie think tanku Council on Foreign Relations w jednym.

Wśród gości Jaruzelskiej byli także Rafał Ziemkiewicz, Paweł Kukiz czy Stanisław Michalkiewicz – współzałożyciel Ligi Polityki Realnej, pierwszej partii Janusza Korwin-Mikkego, potem jeden z czołowych publicystów mediów radiomaryjnych. Gdy przyszła pandemia, kanał zamarł, ale „towarzyszka panienka" rozpoczęła nowy projekt już bez „Superaka" pod nazwą „Monika Jaruzelska zaprasza". I znów pojawiła się plejada przedstawicieli skrajnej prawicy: Michalkiewicz ze swoimi antysemickimi wstawkami i dobry kolega Rafał Ziemkiewicz oraz Marcin Rola – twórca medium wRealu24.pl, w którym, jak opisywał w „Wyborczej" Piotr Głuchowski, ogłaszał, że COVID to „spisek multimiliardera Billa Gatesa", oraz namawiał, by dzieci migrantów „poddać reedukacji w sierocińcach". Wiosną 2022 roku, po inwazji Rosji na Ukrainę, stronę wRealu24.pl wraz z kilkoma innymi znanymi z szerzenia dezinformacji i rosyjskiej propagandy serwisami zablokowały polskie służby, a w sierpniu YouTube usunął wszystkie materiały filmowe z kilku kanałów prowadzonych przez Rolę.

W willi Jaruzelskich ponownie zjawił się też Braun ze swoją tezą o „kondominium rosyjsko-niemieckim pod żydowskim zarządem powierniczym". Po tym wywiadzie Jaruzelska trafiła do „Brunatnej księgi", gdzie od począt-

eprasa.pl 738f82d54d

ku lat 90. dokumentuje się przypadki przemocy ksenofobicznej w Polsce. „Jaruzelska nie reagowała na nienawistne treści głoszone przez Brauna, przeciwnie – wyrażała aprobatę, przytakując, i podpowiadała mu argumenty rozwijające antysemickie i homofobiczne wątki" – głosi wpis.

●

Goście w willi na ulicy Ikara snują swoje opowieści bez żadnej kontry pani domu. Również ci spoza skrajnej prawicy, bo Jaruzelska zaprasza wszystkich, którzy wydają się jej interesujący, od Szymona Hołowni przez Karolinę Korwin-Piotrowską po biografkę Gombrowicza i społeczniczkę badającą rosyjskie powiązania katolickich fundamentalistów Klementynę Suchanow – ale takie akurat wywiady z reguły nie cieszą się tak dużym powodzeniem.

Znawca Chin i Azji Radosław Pyffel czy Jan Hartman odnotowali kilkanaście tysięcy odsłon, badaczka sztucznej inteligencji profesorka Aleksandra Przegalińska przekroczyła 20 tysięcy, profesor Jerzy Bralczyk dobija do 30 tysięcy. Są wyjątki, ale wówczas, gdy rozmówca budzi kontrowersje, jest uznawany za postać nie do końca mainstreamową czy prowokacyjną – jak feministyczna działaczka i publicystka Maja Staśko, która znacznie przekroczyła 100 tysięcy. Natomiast występy polityków skrajnej prawicy, narodowców, faszystów, antyszczepionkowców, zwolenników odjechanych teorii spiskowych oraz wulgarnych antysemitów mogą sięgać 200-700 tysięcy odsłon.

Nie można określić precyzyjnie, jaki zysk przynoszą, bo zarobki na YouTubie zależą także od tego, jak długo widz wytrwa i ile, oraz jakiej jakości reklam zostanie wyświetlonych, ale można przypuszczać, że przy 300 tysiącach odsłon zysk wynosi kilkadziesiąt tysięcy złotych. Specjalista od obsługi kanałów na YouTubie zastrzega jednak, że nie wiemy, czy w przypadku niektórych wywiadów nie następuje „demonetyzacja", czyli wyłączenie reklam. Jaruzelska wspominała, że to się może zdarzyć ze względu na nieakceptowalne przez platformę treści – na przykład jedna z rozmów z Ziemkiewiczem została zdjęta.

– Nie jestem w stanie tego zrozumieć, ona wręcz spoufala się z ludźmi o neofaszystowskich poglądach. Nie wiem, czy to brak ideologicznego kręgosłupa, zawiedzione nadzieje na polityczną karierę czy wyrachowanie. Ona szarga pamięć ojca. Generał był człowiekiem idei, ona zmienia poglądy dla potencjalnych profitów, bo nie zdziwię się, jeżeli konfederaci wezmą ją na listy. Smutne jest to, że ci, którzy pluli na mundur generała, dziś są gośćmi w jej programie, są wynoszeni na piedestał. To nurkowanie w szambie – mówił „Wyborczej" kilka lat temu lewicowy działacz, który chce pozostać anonimowy. Ta opinia w lewicowych środowiskach nadal jest aktualna.

Ludzie niechętni Jaruzelskiemu i pryncypialnie krytyczni wobec Polski Ludowej formułują inną tezę: – Może odezwał się w niej duch PZPR-owskiego nacjonalizmu spod znaku „narodowego komunisty" Mieczysława Moczara. Przecież to jej ojciec organizował czystki antysemickie w wojsku w 1968 roku.

●

„Wyborcza" pytała ówczesną radną Jaruzelską, czy boli ją porównywanie jej do Magdaleny Ogórek, która też była związana z SLD, nawet kandydowała z tej partii na prezydenta, a stała się dyspozycyjną propagandystką w prorządowych mediach i upartyjnionej przez PiS telewizji publicznej.

– Nie boli. Kiedyś byłam gościem u niej w programie w radiu. To była miła rozmowa. Ale porównywanie mnie do niej jest niezasadne. Ona zmieniła poglądy albo te prawicowe zawsze były jej bliższe. A ja nie mam poglądów. Posiadanie poglądów jest tunelowym myśleniem, to racjonalizacja emocji – tłumaczyła. – Kiedy odrzucimy poglądy, czujemy się niekomfortowo, przeżywamy dysonans poznawczy. Wtedy jednak każdą sytuację musimy weryfikować. Nie mam poglądów, ale myślę. Otwieram się na to, że mogę się z kimś zgadzać w jednej sprawie, a w innej – nie. Poglądy nas ograniczają, mogą zaszufladkować. To gotowiec. Nie pozwalają usłyszeć drugiej strony.

W ramach otwierania się na rzeczy niekomfortowe w grudniu 2022 roku Braun u „towarzyszki panienki" tłumaczył swój atak gaśnicą na świece chanukowe w Sejmie i na lekarkę, która próbowała go przed tym powstrzymać. Opowiadał o społeczności „talmudystów" i satanistycznym kulcie, odwołując się do antysemickich resentymentów z teorią, że cały judaizm miał powstać z nienawiści do chrześcijan, na czele. Tego samego dnia, gdy rozmowa była emitowania, Jaruzelska otrzymała informację o zawieszeniu programu „Gwiazdozbiór Jaruzelskiej", który równolegle prowadziła w „Super Expressie".

Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych postanowił działać: „Oświadczamy, że złożyliśmy zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Grzegorza Brauna, który znieważał Żydów, oraz przez blogerkę Monikę Jaruzelską, która te treści rozpowszechniała". Organizacja precyzuje, że chodzi o znieważanie społeczności żydowskiej i osób o żydowskich korzeniach. Zapytaliśmy rzecznika prasowego Prokuratury Okręgowej w Warszawie Piotra Skibę, co dzieje się z tą sprawą. Owszem, prokuratura prowadzi postępowanie, ale z wypowiedzi rzecznika wynika, że najprawdopodobniej Jaruzelską się nikt nie zajmie. Prokurator koncentruje się na wypowiedziach Brauna.

●

A Monika Jaruzelska nie zmienia kursu. Zaprasza po raz kolejny Brauna niedługo po tym, jak europoseł w alt-rightowym, bliskim PiS Radiu Wnet zanegował istnienie komór gazowych. „Mord rytualny to fakt, a dajmy na to Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fake" – powiedział na antenie. Wówczas prowadzący audycję Łukasz Jankowski na znak sprzeciwu przerwał rozmowę.

Ale Jaruzelska Brauna wpuściła na antenę. Przed programem mówiła, że chciała uniknąć tematu komór, bo nie chce się wdawać w tę dyskusję, a poza tym inne tematy są ważne. I faktycznie – najpierw słuchacze wysłuchali historii o tym, że prowokatorem jest banderowski Kijów, Zełenski i jego reżim, który setkami posłał Ukraińców do ziemi. Europa to podżegacze wojenni. Sikorski jest zdrajcą, mainstream dąży do wojny z Rosją i Białorusią, wmawia ludziom, że za atakiem dronów stoi Rosja, a przecież to nie jest powód, by uderzać w tam-tamy wojenne. „Czy to jest polityka?" – pyta europoseł, a Jaruzelska odpowiada: „Nie, powinno się podpisywać jakieś traktaty o nieagresji". Braun przestrzega przed realizacją niepolskiego scenariusza, który ma doprowadzić do zaangażowania Polaków w wojnę. A gospodyni: „To bardzo słuszne, co pan mówi, jak nie doprowadzić do wojny".

Jednak temat komór gazowych wypływa. Według Brauna ich historia nie jest oparta na świadectwach i wiarygodnych badaniach. „Kto nam dostarczył dowodów na istnienie komór? Prokuratorzy sowieccy i anglosascy". A skoro są rozpowszechniane „kłamstwa żydowskie" o Jedwabnem, to pewnie Żydzi kłamią też na temat Holokaustu. Jaruzelska przyjmuje te wywody ze spokojem, niczego nie prostuje. I tylko wzdycha: „No jednak ten temat nas zdominował".

Tuż przed Wigilią Braun znów jest gościem. Tym razem trzy razy namawia Jaruzelską na start do Senatu w Warszawie, apeluje do widzów, by w komentarzach „prosili o to panią redaktor". – Pani redaktor ma doświadczenie polityczne, pani redaktor ma żołnierski genotyp i to kwalifikuje panią, żeby działać dla ojczyzny ratowania nie tylko ochotniczo, dorywczo, amatorsko, ale też formalnie.

Jednocześnie europoseł się skarży, że jest atakowany, że dostaje groźby. Gospodyni się z nim solidaryzuje. Najwidoczniej, choć jest i była zaangażowaną obserwatorką spraw publicznych, nie pamięta, jak Braun przed wielu laty sam miotał groźby karalne na spotkaniu w Klubie Ronina, miejscu spotkań radykalnie prawicowych intelektualistów, twórców i autorytetów, gdzie kiełkowały idee i metody „dobrej zmiany", wykorzystywane przez rządy PiS po 2015 roku. „Wiara, że tu można cokolwiek załatwić, jak nie zostaną w sposób nagły, drastyczny wyprawieni na tamten świat z tuzin redaktorów »Wyborczej« i ze dwa tuziny drugiej gwiazdy śmierci mediów centralnych – TVN. Nie wspominam o etatowych zdrajcach ze starego reżimu [brawa na sali]. Jeśli się nie rozstrzela co dziesiątego, to znaczy: hulaj, dusza, piekła nie ma. Jeżeli nie karze się śmiercią za zdradę, to co?" – pytał Braun.

Jaruzelska zszokowała też opinię publiczną zaproszeniem przywódcy ruchu Braci Kamratów Wojciecha Olszańskiego, pseudonim „Jaszczur", patostreamera karanego sądownie za mowę nienawiści wobec Ukraińców i Żydów, podżeganie do przemocy oraz nawoływanie do zgwałcenia jednej z posłanek.

Lubujący się w mundurowych stylizacjach i furażerkach „Jaszczur" jest znany z wulgarnych występów. W trakcie jednego z nich krzyczał, że „sra na Biblię, starą żydowską kurwę". Razem ze swym towarzyszem „Ludwiczkiem" nazywali różnych polityków „alfonsami" i „insektami". Ale u Jaruzelskiej niespełniony aktor i rekonstruktor historyczny był grzeczny, nie było nic o „sraniu", gwałceniu posłanek i zabijaniu ludzi określonej narodowości. Może został ostrzeżony, że jeśli będzie się tak zachowywać, to YouTube włączy demonetyzację albo wręcz zdejmie film z kanału. „Jaszczur" opowiadał za to kłamstwa, że jak u Polaka znajdzie się narkotyki, to Polak idzie do więzienia, a jak u Ukraińca, to ten pozostaje bezkarny. Opisywał spisek: struktury „banderowskie" i ludzie o ukraińskich korzeniach stworzą sieć i przejmą Polskę w przyszłości, a teraz są uśpionymi agentami Ukrainy. Wywiad obejrzało 350 tysięcy widzów, liczba polubień – 23 tysiące.

Rozmowa doczekała się wielu komentarzy. „W ciągu pierwszych 3 minut tego programu pan Wojciech „Jaszczur" Olszański zdążył opowiedzieć, że w 2016 roku Polska miała napaść na Białoruś i powstrzymały nas Chiny. A potrzebowała tej wojny Clinton do kampanii wyborczej. Po co legitymizować takie bzdury?" – skomentował Andrzej Kohut, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich. „Jaruzelska podaje Jaszczurowi nóżkę, by wyszedł z kanału do rynsztoka. Słucham już drugą godzinę, 80 procent to prorosyjskie tyrady przerywane naiwnymi półsłówkami. Dezinformacja 100 procent" – dodał Wojciech Mucha z „Gazety Polskiej".

Symptomatyczne, że politycy PiS u Jaruzelskiej nie bywają.

Za to pojawił się inny człowiek od Brauna – Sebastian Pitoń, który już wcześniej ogłosił, że „woli ruski mir niż amerykańskie porządki", gdyż spisek amerykańsko-izraelsko-brukselski ma na celu wyniszczenie narodu polskiego. Ekscentryczny architekt antyszczepionkowiec z Kościeliska, któremu marzy się likwidacja Tatrzańskiego Parku Narodowego, snuł swoją opowieść: kontakt z Zachodem i ten świat kolorowy zaczął nas niszczyć, wymieramy, nie ma dzieci, przedtem tak nie było, a Rosja i Putin tego Zachodu nie chcą i słusznie, bo zapobiegają wymieraniu narodu, dlatego powinni być nam bliscy. Niestety Jaruzelska nie zapytała, jak to jest, że w Rosji współczynnik dzietności systematycznie spada i jest podobny do tego w Polsce. Wcześniej Pitoń zasłynął opinią, że masakra w Buczy to inscenizacja ukraińska. Wszystkie dowody wskazują na Rosjan, i uznane organizacje międzynarodowe, i zespoły dziennikarskie prestiżowych gazet przeprowadziły własne śledztwa i nie ma wątpliwości, że za mordy oraz gwałty w podkijowskiej miejscowości odpowiada armia rosyjska. Ale o tym niczego z kanału Moniki Jaruzelskiej się nie dowiemy. Za to Jaruzelska „serdecznie" pozdrawia Kamratów i staje w obronie innego sojusznika Brauna, Mateusza Piskorskiego. Zauważa, że mainstream mówi, że Piskorski był szpiegiem rosyjskim, a przecież wcale nim nie był.

Piskorski, były poseł Samoobrony oraz współzałożyciel i lider prorosyjskiej partii Zmiana, w maju 2016 roku został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji i Chin. Przebywał w areszcie przez trzy lata, w końcu wypuszczono go za kaucją. A utajniony proces wciąż trwa.

●

Wszystkie wspomniane postacie goszczące w willi przy Ikara pojawiły się też w Łochowie na KINGS – imprezie organizowanej przez Brauna. Kongres Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządowych zgromadził w lutową sobotę niemal 750 gości. Otwierając Kongres, Braun przedstawił się jako „prezes jednej z wiodących partii na polskiej scenie politycznej". Mówił w imieniu „polskich patriotów", którym wojnę już w 1926 roku wydał Komintern bolszewickiej Rosji. – Ta dyrektywa jest nadal realizowana. Oto trzecie czy piąte pokolenie kominternowskiej żydokomuny walczy z trzecim czy piątym pokoleniem niedorżniętych polskich patriotów – przywitał zebranych zwolenników „frontu gaśnicowego", jak sami o sobie mówią sympatycy Konfederacji Korony Polskiej.

Pojawiła się tam także córka generała Jaruzelskiego, aby wziąć udział w debacie o wolności słowa. W panelu wzięli udział Marcin Rola, Paweł Lisicki – redaktor naczelny „Do Rzeczy", chrześcijański publicysta i autor takich książek, jak „Dżihad i samozagłada Zachodu", „Imperium Sodomy i jego sojusznicy" czy powieści „Epoka Antychrysta", w której papież Judasz w tęczowej piusce jest duchowym przywódcą europejskiego super-

Brunatny reflektor

17 lat
• miała Monika Jaruzelska, kiedy uciekła z domu po tym, jak jej ojciec wprowadził stan wojenny

58 tys. głosów
• dostała w 2019 roku startując jako kandydatka niezależna do Senatu. Nie dostała się – wyprzedzili ją kandydaci KO (160 tys. głosów) i PiS (81 tys. głosów)

66 tys. odsłon
• zebrał wywiad Moniki Jaruzelskiej z Mają Komorowską na YouTube

116 tys. odsłon
• zebrał wywiad Jaruzelskiej z Tomaszem Lisem

119 tys. odsłon
• zebrał wywiad Jaruzelskiej z Mają Staśko

132 tys. odsłon
• zebrał wywiad Jaruzelskiej z Maciejem Maciakiem, prorosyjskim kandydatem na prezydenta, bojkotowanym przez większość redakcji i youtuberów

200-700 tys. odsłon
• zbierają wywiady Jaruzelskiej z politykami skrajnej prawicy, narodowcami, faszystami, antyszczepionkowcami i zwolennikami teorii spiskowych

Przy 300 tys.
• odsłon szacunkowy zysk z materiału na YouTube wynosi kilkadziesiąt tysięcy złotych

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

państwa, które za herb przyjęło zielony sierp i młot – oraz Jan Pospieszalski, niegdyś mocno prawicujący gospodarz popularnego talk-show „Warto rozmawiać", którego PiS wyrzucił z TVP za szerzenie teorii antyszczepionkowych w czasie pandemii. Wszyscy paneliści zgadzali się, że media głównego nurtu ograniczają debatę, stosują swego rodzaju cenzurę i nie pozwalają na swobodną wypowiedź takich ludzi, jak na przykład zwolennicy „frontu gaśnicowego".

Udział Jaruzelskiej w imprezie Brauna ponownie rozgrzał sieć. Ona sama nagrała krótki komentarz. Opowiadała, że Wojciech Czuchnowski z „Wyborczej" pojawił się „w paszczy lwa". Komplementowała go za odwagę i za kontrowanie Lisickiego i Pospieszalskiego. Jaruzelska zaprosiła dziennikarza śledczego „Wyborczej" do swojego programu, ale podziękował i odmówił. Oświadczyła też, że nie startuje z list Brauna. Zresztą odczuła na KINGS, jak ciężkie może być życie kandydata na posła czy senatora, bo trzeba z ludźmi sobie robić selfie, ściskać dłonie, a ona po jakimś czasie – wobec wielkiego zainteresowania tłumu, przed którym bronił ją „Marcin", producent programu – poczuła się zmęczona i przeprasza zwolenników Brauna, że nie ze wszystkimi się przywitała i nie ze wszystkimi zrobiła sobie zdjęcie.

W innym komentarzu z tego roku pod tytułem „Czy jestem łachudrą i czy jest mi wstyd" Jaruzelska czyta pytania widzów: gdy w jednym znalazły się wulgaryzmy pod adresem jej oraz generała, spokojnie poucza, że widz popełnił błąd ortograficzny przy okazji popularnej nazwy penisa. Kolejny widz pyta, czy Jaruzelska poniesie odpowiedzialność za to, że promuje bzdury, kłamstwa i nienawiść rasową. Na co odpowiada, że bardzo „serdecznie" zachęca go, aby zgłosił się do Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych.

Na pytanie, czy nie wstydzi się, że jest niekompetentna, nie ma odpowiedniej wiedzy, przez co nie kontruje oczywistych kłamstw, odpowiada spokojnie: „Tak, jest mi wstyd".

Widzowie zwracają uwagę, że lubiany przez skrajną prawicę, również zapraszający osobliwe postacie Bogdan Rymanowski, choć też pozwala gościom się wypowiedzieć, jednak zadaje kontrujące pytania, „a pani tylko przytakuje". „Kiedy ktoś do mnie mówi, a ja kiwam głową, to jest to tylko zachęcenie gościa do kontynuowania, ale to nie znaczy, że się z daną osobą zgadzam" – tłumaczy Jaruzelska. „Wyraźnie zaznaczam, że idea tego kanału jest taka: nie przerywać, dawać gościom możliwość długiego monologu".

Monika Jaruzelska: Otwieram się na to, że mogę się z kimś zgadzać w jednej sprawie, a w innej – nie. Poglądy nas ograniczają, mogą zaszufladkować. To gotowiec. Nie pozwalają usłyszeć drugiej strony

Często padają pytania o generała Jaruzelskiego. „Nie identyfikuję się politycznie ze wszystkim, co robił mój ojciec, ale brak identyfikacji nie oznacza odcinania się albo też jakiegoś wstydu. Generał Jaruzelski zawsze powtarzał: »Całą odpowiedzialność za wszystkie decyzje biorę na siebie«, co różni go od innych polityków" – mówi córka. I wspomina, że generał gościł w swoim domu różnych ludzi, byli bardzo mili, chętnie dyskutowali, chwalili gospodarza, a potem szli do mediów i opowiadali o Jaruzelskim zupełnie inne, negatywne rzeczy.

●

Po siedmiu latach działalności kanał Moniki Jaruzelskiej zgromadził ponad 200 tysięcy subskrybentów. Tam też możemy przeczytać jej przesłanie.

„Szanowni Państwo, kochani Przyjaciele, niezłomni Wrogowie i Hejterzy. Ten program powstał z powodu mojego sprzeciwu wobec treści i formy obecnych w mediach. Tak trudno znaleźć rozmowy, w których słucha się gościa, nie przerywa mu i nie ponagla. Politycy i media podzielili nas tak skutecznie, że niełatwo o bezstronność i analizy przyczynowo skutkowe. Poza bardzo nielicznymi przypadkami, dziennikarze próbują narzucić swoje poglądy, w zależności od redakcji, którą reprezentują. Ten program powstaje wspólnie z Wami, wykorzystując moją umiejętność słuchania i szacunek do każdego rozmówcy. W moim programie przy herbacie rozmawiamy »jak człowiek z człowiekiem«. Tylko tyle i aż tyle... Zasadą jest, że moim gościom przeszkadzać może tylko mój jamnik – Lolek, wraz z którym serdecznie zapraszam Was do oglądania, komentowania i subskrybowania kanału".

Pytam Leszka Millera, jak to możliwe, że córka generała Jaruzelskiego stała się idolką skrajnej prawicy. – Skoro lewica ją odrzuciła, to co miała robić? – odpowiada pytaniem. – Jest krytykowana za sposób prowadzenia rozmów, ale czy jest obowiązek, aby wszystko kontrować, na wszystko mieć ripostę? Można dać ludziom się wypowiedzieć.

Gdy zauważam, że Jaruzelska nie reagowała na opowieści Brauna, że komory gazowe są wymysłem, z ociąganiem Miller przyznaje, że tu akurat jednak mogła coś powiedzieć, przedstawić fakty, zaznaczyć, że nie zgadza się z Braunem.

Pytam, jakie poglądy dziś ma Monika Jaruzelska. – Jest raczej zamknięta w sobie. Nie ujawnia swoich poglądów, nie tylko w czasie audycji. Bardzo ją lubię, ale to nie jest zażyła znajomość – mówi Miller.

A czy powinna wystartować z list Brauna? – Jeśli dalej traktuje swoje pragnienia poważnie, to tak, choć może jej nazwisko nie jest już takim magnesem jak przed laty.

W czasie rozmów i w autorskich komentarzach Jaruzelska nie zdradza swojego zdania na ważne czy polaryzujące tematy, ale jedna jej wypowiedź mnie, nomen omen, zmroziła. Ostatnio mówiła o tym, że w Polsce zbiera się pieniądze na agregaty prądotwórcze dla Ukrainy, bo w najsurowszym momencie zimy Rosja z większą niż zwykle siłą zaatakowała infrastrukturę energetyczną, dzień w dzień prądu i ciepła nie ma w dziesiątkach tysięcy budynków, ludzie potwornie marzną. – No bardzo ładnie – stwierdziła. – No ale przecież – dodała – także w Polsce ludzie cierpią z powodu mrozów. Tak jakby nie widziała przepaści między sytuacją Ukraińców a Polaków.

– Bo ona jednak nasiąka poglądami innych jak gąbka – mówi mi jedna z osób, które ją znają.

Wielu moich rozmówców zaznacza, że ich kontakty z Moniką się rozluźniły. – Nawet proponowałam spotkanie, ona mówiła, że tak, że oczywiście, ale nic z tego nie wychodziło – słyszę.

Na jednej z kolacji z przyjaciółmi pojawiło się delikatne, nienatarczywe pytanie: „dlaczego?". Nie odpowiedziała, mówiła jedynie, że po przyjaciołach nie spodziewała się, iż dołączą do chóru jej krytyków.

– Nie rozumiem tego, nie wiem, dlaczego to robi, włos się jeży na głowie, jestem zdruzgotana i zmartwiona – opowiada niegdyś bliska jej osoba. Inna moja rozmówczyni stwierdza: – Ona zrobi wszystko, aby zaistnieć.

Kolejny przyjaciel zastrzega, że na pewno nie będzie zrywał znajomości, choć jest bardzo krytyczny wobec promowania nienawiści rasowej. Jest trochę zdenerwowany i pyta: – A może zapytajmy, dlaczego z „Wyborczej" czy TVN-u wychodzą ludzie, którzy potem sprzyjają PiS czy skrajnej prawicy?

Tylko jeden z jej znajomych zgadza się wypowiedzieć pod nazwiskiem.

– Monikę Jaruzelską lubię i cenię jej inteligencję, choć faktycznie dawno z nią nie rozmawiałem. Nie chcę jej ostro krytykować, choć chodzi o nazwisko – co tu ukrywać – pierwszoligowe. Pamiętam naszą dawną rozmowę z medioznawcą profesorem Wiesławem Godzicem. Ona już wtedy prorokowała, że radykalizm zdominuje sieć i stanie się mainstreamem. A media tradycyjne osłabną – wspomina Kuba Wojewódzki, który siedem lat temu publicznie wsparł Jaruzelską w kampanii senackiej. I mówi: – Może realizuje to, co wówczas przewidywała. A może próbuje znów zaistnieć w polityce. Pojawienie się w kręgu Brauna gwarantuje silny strumień światła skierowany właśnie na nią. Brunatny, ale czytelny. Być może właśnie o to jej chodziło.

Poprosiłam Monikę Jaruzelską o rozmowę, ale nie odpisała. ●

REKLAMA

Kraj/34423010

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

ŚWIAT

TERAZ BOJĄ SIĘ JUŻ WSZYSCY

Trump w dwa miesiące dokonał rzeczy, które przez lata jego poprzednikom i armii waszyngtońskich dyplomatów wydawały się niemożliwe.

Mateusz Mazzini

„Wiem, że zawsze się tak mówi, ale musisz mi uwierzyć. Tym razem będzie inaczej. Pierwszy raz od dawna reżim, już osłabiony ubiegłoroczną wojną, musi mierzyć się z tyloma kryzysami jednocześnie. Zaczęło się od protestów handlarzy na bazarze, a przecież wcale nie wygasły niepokoje wśród studentów. Wściekłe, i to od dłuższego czasu, są kobiety, bo ten reżim je prześladuje. Protesty po śmierci Mahsy Amini w 2022 roku wcale nie rozładowały tej energii, ona wciąż buzuje. Ludzie są wściekli z różnych powodów, a ich gniew koncentruje się na ajatollahach."

Simone Rodan już od kilku tygodni przekonywała mnie, że obserwujemy właśnie ostatnie tchnienia irańskiej zamordystycznej teokracji. Przekazywała mi informacje od irańskiej, wrogiej wobec kleryków diaspory mieszkającej w Paryżu.

Jej komentarze, choć przydatne, brałem jednak ze sporym dystansem, bo Rodan pracowała do niedawna jako dyrektorka zarządzająca francuskiego oddziału American Jewish Committee, jednej z najbardziej wpływowych proizraelskich organizacji na świecie. AJC ma biura w kilku miastach w Europie, a w Stanach Zjednoczonych jest ważnym podmiotem w życiu publicznym i politycznym. Więc to oczywiste, że Rodan krytykowała reżim w Teheranie w pewnym stopniu rytualnie.

Tym razem jednak wszystko wskazuje, że miała rację. Gdy nad ranem w sobotę 28 lutego Stany Zjednoczone i Izrael rozpoczęły intensywne bombardowania, to już nie punktowo, np. instalacji nuklearnych, lecz na całym terytorium Iranu. Ładunki spadały na kompleks rządowy w Teheranie, na bazy lotnicze Irańskiej Gwardii Rewolucyjnej w głębi kraju, a nawet na porty czy infrastrukturę marynarki wojennej na dalekim południu, przy cieśninie Ormuz, przez którą codziennie przepływa ponad 1/5 całego globalnego wolumenu ropy naftowej (tej w legalnym obiegu).

Wieczorem tego samego dnia Reuters, powołując się na anonimowe źródła w irańskiej administracji, poinformował, że zginął Ali Chamenei, najważniejszy człowiek tamtejszej teokracji, lider polityczny i duchowy, bezpośredni spadkobierca Ruhollaha Chomeiniego, twórcy islamskiej rewolucji z 1979 roku.

Krótko mówiąc, Trump autentycznie, w ciągu kilkunastu godzin, obciął głowę irańskiego potwora. Można i jest za co amerykańskiego prezydenta krytykować – od gwałcenia na różne sposoby prawa międzynarodowego

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

• Iranki z sił paramilitarnych Basidż podczas ćwiczeń w Teheranie. Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej i Basidż, odegrały znaczącą rolę w tłumieniu protestów, które wybuchły w Iranie w styczniu 2026 r.
FOT.MAJID SAEEDI/GETTY IMAGES

po umizgi do Putina, o przemocowej, dewastującej instytucje, momentami rasistowskiej polityce wewnętrznej nie wspominając – ale nie można już ignorować faktu, że dokonał rzeczy, które przez lata jego poprzednikom i armii wykwalifikowanych waszyngtońskich dyplomatów wydawały się niemożliwe.

Najpierw z wenezuelskiej dyktatury wyciągnął jej kluczowy element, czyli samego Nicolása Maduro. Co nie znaczy, że obalił reżim, bo miejsce miernego następcy charyzmatycznego Hugo Chaveza zajęła jego prawa ręka, Delcy Rodriguez, która nadal trzyma tysiące więźniów politycznych za kratami.

Teraz wyeliminował Chameneiego. Aż dwa ważne elementy międzynarodowej autokratycznej osi zła w ciągu dwóch miesięcy utraciły przywódców, którzy wydawali się nieusuwalni.

Nie oznacza to oczywiście, że cała antyzachodnia koalicja została sparaliżowana. Ani też, że po upadku Maduro, Chameneiego czy wcześniej Baszara Al-Asada przyjdzie pora na Władimira Putina, nie mówiąc o Xi Jinpingu. Przeciwnie, wbrew obiegowym opiniom ewentualny koniec Islamskiej Republiki i władzy ajatollahów jedynie wzmocni oś Pekin-Moskwa.

Chiny były przez ostatnie lata głównym rynkiem zbytu dla objętej zachodnimi sankcjami irańskiej ropy. Według analiz firmy doradczej Kepler do Państwa Środka trafiało dziennie 1,4 miliona baryłek irańskiego surowca, czyli 80 proc. całego eksportu z tego kraju. Chiny ropy nadal potrzebują, a bez ajatollahów nie mają skąd jej wziąć. Przecież nie zwrócą się do Amerykanów czy Saudów. Pozostają Rosjanie.

Trzeba będzie przełknąć nieco dumy, ale w sumie Pekin wyjdzie na plus. Bo Rosjanie trochę na tym zyskają, gdyż ceny „czarnego złota” skoczą, niemniej Putin dalej nie będzie mógł sprzedawać po cenach rynkowych, a Xi będzie trzymał go na dystans, chwilowo wzmocnionego, ale nie na tyle silnego, żeby zerwać się z łańcucha – a w dłuższej perspektywie tylko bardziej uzależnionego od chińskiej kroplówki.

Co jednak nie zmienia faktu, że bierność Rosji wobec ataku na Iran, było nie było sojusznika z BRICS – bloku wschodzących i odradzających się mocarstw kwestionujących przywództwo Zachodu, który pierwotnie skupiał Brazylię, Rosję, Chiny, Indie i RPA, a teraz poszerza się o kolejne kraje dawnego Trzeciego Świata – nie powinna nikogo dziwić. Putinowi umierać za Chameneiego zwyczajnie się nie opłacało. Co dalej?

•

Tu zaczynają się problemy. Trump nie wydaje się zainteresowany demokratyzacją Iranu, a już na pewno nie przy użyciu amerykańskich zasobów. Dał to do zrozumienia już w sobotnim przemówieniu, kiedy ogłaszał rozpoczęcie wojny. Zwrócił się bezpośrednio do irańskiego społeczeństwa, wzywając Irańczyków do powstania przeciwko teokratycznej, coraz brutalniejszej i bezradnej władzy – i na tym poprzestał. Żadnych, choćby mglistych sugestii, co planuje Waszyngton i kogo popiera z irańskiej diaspory. A może wcale nie z diaspory? Bo tak jak w Wenezueli, Trump najbardziej chciałby znaleźć kogoś ze środka reżimu, kto zgodziłby się na częściowe, zwłaszcza ekonomiczne, otwarcie w stosunkach z USA.

Od początku tej kadencji tak wygląda preferowany przez Biały Dom model dyplomatyczny. Oferujemy negocjacje, ale na naszych warunkach. Jeśli idą źle, grozimy interwencją wojskową. Partner nie ogłasza kapitulacji? Angażujemy siłę militarną, ale zdalnie, bez wysyłania naszych chłopców na śmierć – bo jednak wyborcy Trumpa, a nawet jego współpracownicy, jak J.D. Vance, który jako marines w Iraku – co prawda w służbie tyłowej – zasmakował realiów wolnościowej i stabilizacyjnej misji USA na Bliskim Wschodzie, są krytyczni wobec tak zwanych „wiecznych wojen” w Afganistanie i Iraku.

Czy Dubaj przestanie być nowym Saint-Tropez i Monte Carlo w jednym, gdy nagle wszyscy uświadomią sobie, że ten emirat jest częścią arabsko-persko-izraelskiego węzła gordyjskiego?

W Wenezueli się udało. Od kilku tygodni sekretarz stanu Marco Rubio próbuje powtórzyć ten sam manewr na Kubie, rozmawiając z wnukiem Raula Castro. Ale Iran to nie Wenezuela czy Kuba. Reżim w Teheranie jest, owszem, osłabiony, być może najbardziej chwiejny od rewolucji z 1979 roku. Jasne, kraj trawi kilka kryzysów jednocześnie, a poparcie społeczne kleryków jest niskie jak nigdy. Niemniej to wciąż ponad 90-milionowe państwo, zróżnicowane etnicznie, zajmujące potężny obszar i przede wszystkim uzbrojone po zęby. Nie mówiąc o tym, że władzy nie sprawują tam wyłącznie duchowni.

Bronwen Maddox, brytyjska analityczka i dyrektor zarządzająca prestiżowego think-tanku Chatham House, już w sobotę rano zauważyła, że świat musi teraz obserwować, co zrobi Gwardia Rewolucyjna. To więcej niż tylko zbrojne ramię reżimu, to wręcz państwo w państwie. Gwardziści pilnują porządku, w tym przestrzegania cnót religijnych i moralnych, ale stanowią też coś na kształt równoległego wojska. Mają oddziały lotnictwa i marynarki, prowadzą działania wywiadowcze. Łącznie, jak szacuje Chatham House, pod bronią w szeregach Gwardii znajduje się 190 tysięcy mężczyzn. Zachowując wszelkie proporcje – mają status taki jak w Trzeciej Rzeszy SS względem Wehrmachtu.

Analogii jest więcej, bo na monopolu na przemoc ich pozycja się nie kończy – i nad tym trzeba się pochylić, żeby zrozumieć ewentualną dynamikę zmian w Teheranie.

Irański reżim już od lat nie opiera się na głębokim poparciu narodu dla rygorystycznych zasad religijnego fundamentalizmu. Duża część pierwotnego entuzjazmu czasu islamskiej rewolucji – który zresztą też wiązał się tyleż z powrotem do religii po rządach laicyzującego, zapatrzonego w zachodnie nowinki szacha, ile z nadzieją na demokratyzację, kres państwowej przemocy i kleptokracji – już wyparowała. Pozostał – poza wielkimi miastami – naturalny dla prowincji, czy to irańskiej, czy polskiej, czy amerykańskiej, obyczajowy konserwatyzm i tradycjonalizm. A miejsce Gwardii Rewolucyjnej w szerszej strukturze władzy to kluczowy element odpowiedzi na pytanie, co dalej. Dzisiejszy Iran to bowiem klasyczna zmilitaryzowana autokracja, w której satrapa utrzymuje się na szczycie tak długo, jak długo jest w stanie dystrybuować korzyści materialne pomiędzy wąską grupę oligarchów, kontrolując jednocześnie aparat przymusu i siły zbrojne.

Dokładnie dzięki temu mechanizmowi tyle lat u władzy utrzymywał się Maduro. Wenezuela była od dawna w katastrofalnej sytuacji ekonomicznej, ale pieniędzy starczało, żeby wojskowi mieli uprzywilejowaną pozycję. Z tego względu pozostawali wierni prezydentowi, realizując represje na każde jego żądanie.

Tak samo jest w Iranie, gdzie najważniejsi gwardziści stworzyli potężną kastę. Dowodzą wielkimi oddziałami, ale mają też ogrom pieniędzy – kontrolują całe gałęzie gospodarki, od eksportu ropy po fabryki samochodów – dostęp do importowanych dóbr luksusowych, możliwość wysłania swoich dzieci na studia do USA czy Wielkiej Brytanii bez konsekwencji politycznych. Trudno sobie wyobrazić, że dobrowolnie się tego wszystkiego pozbywają. Albo, że nie wezwą podwładnych, nie tak uprzywilejowanych, lecz cieszących się stabilizacją bytową, bezcenną w kraju nękanym kryzysem i sankcjami, do brutalnej pacyfikacji ewentualnej oddolnej opozycji. Łatwiej taki, w którym grono konserwatywnych, ale niekoniecznie zafiksowanych religijnie dowódców dochodzi do wniosku, że skoro mułłowie są znienawidzeni w kraju oraz skompromitowani w oczach irańskich klientów i sojuszników, czemu by nie... Co w tej sytuacji zrobią Amerykanie?

•

– Prawdopodobieństwo bezpośredniej inwazji z udziałem amerykańskich żołnierzy jest bardzo niskie. Ale to nie jest całkowicie wykluczone – mówi dr Robert Mogielnicki, amerykański badacz stosunków bliskowschodnich związany z Instytutem Państw Arabskich Zatoki Perskiej (AGSI).

Jednocześnie tłumaczy, że wbrew pozorom Trump nie zdecydował się na atak z powodu fiaska negocjacji dyplomatycznych, które toczyły się od kilku tygodni.

Deklaratywnie głównym powodem niechęci Amerykanów i Izraelczyków wobec reżimu w Teheranie jest fakt, że Chamanei prowadził program wzbogacania uranu, który w teorii mógł dać Iranowi bombę atomową. Przy czym faktyczny stopień zaawansowania Irańczyków trudno było określić. Benjamin Netanjahu twierdzi, że ajatollahowie byli „kilka tygodni” od stworzenia w pełni funkcjonalnej broni nuklearnej. Problem w tym, że tę frazę Izraelczycy powtarzają od trzech dekad. Benjamin Rhodes, doradca Baracka Obamy, dzisiaj podkaster i felietonista „The New York Timesa” regularnie przypomina, że wystąpienie alarmujące przed „rychłym uzyskaniem przez Iran zdolności nuklearnej” Netanjahu po raz pierwszy wygłosił w Knesecie w 1995 roku. Te same okrągłe formułki o egzystencjalnym zagrożeniu dla państwa Izrael ze strony Teheranu powtarza w nieskończoność – kiedyś, by nabijać sobie punkty, ostatnio głównie po to, żeby zjednoczyć wokół siebie zmęczony jego arogancją i aferami naród i politycznie uciec do przodu, po raz kolejny odwracając uwagę od problemów w kraju jakimś „wyprzedzającym” atakiem. Nawet Amerykanie nie są do końca zgodni, czy i jak blisko bomby ostatecznie są Irańczycy. W ubiegłym roku Trump dołączył do izraelskiej interwencji, bombardując irańskie ośrodki nuklearne, choć jego własna szefowa służb wywiadowczych, znana z prorosyjskich wypowiedzi Tulsi Gabbard, autoryzowała raporty negujące irańskie zdolności nuklearne. Wtedy też wybuchła pierwsza wojna domowa w szeregach ruchu MAGA, bo przecież Trump obiecał Amerykę skoncentrowaną na sobie, a nie rozdającą kosztowne i ryzykowne – potencjalny odwet, terroryzm – kuksańce nieprzychylnym reżimom na drugim końcu globu.

W prawicowych mediach za oceanem uaktywniła się więc frakcja izolacjonistów, gwiazdor alt-rigtowej publicystyki Tucker Carlson emitował na swoim kanale program za programem, udowadniając, że ataki na Iran nie mają sensu – przynajmniej dla Ameryki i Amerykanów. Trump nie słuchał, głosy krytyki lekceważył, wymuszając entuzjazm dla interwencji militarnych nawet na największych sceptykach, jak J.D. Vance.

Od lipca ubiegłego roku temat Iranu wydawał się strzelbą ze sztuki Czechowa – nabitą, która tylko czeka-

eprasa.pl 738f82d54d

ła na to, żeby wystrzelić. Ale wielu ekspertów nie miało przekonania, że kiedykolwiek wypali. Przez kilkanaście dni poprzedzające sobotnie naloty na Teheran Amerykanie prowadzili z Irańczykami rozmowy na najwyższym szczeblu. Tradycyjnie przez pośredników, bo od czasów rewolucji 1979 roku Waszyngton i Teheran nie negocjują bezpośrednio, tylko wymieniają się wiadomościami przy użyciu jednego z dwóch państw neutralnych: Szwajcarii lub Omanu. Tym razem tematem rozmów były ograniczenia, które Waszyngton chciał nałożyć na irański program wzbogacania uranu. Ajatollahowie mieli móc go kontynuować, ale poniżej progu, który pozwoliłby im zbudować ładunki.

Innymi słowy, Trump chciał podpisać własną wersję tak zwanego JCPOA – porozumienia hamującego irańskie zapędy, które wynegocjował były sekretarz stanu John Kerry pod koniec drugiej kadencji Obamy. To o tyle ciekawe, że kiedy sprawował władzę po raz pierwszy, krytykował JCPOA na każdym kroku – a w ślad za nim robili to niemal wszyscy Republikanie, także ci mainstreamowi, wierni instytucjom, pamiętający w nich jeszcze czasy Ronalda Reagana – aż zerwał układ. Kiedy został prezydentem po raz drugi, poinstruował swoich ludzi, żeby znów siedli z przedstawicielami reżimu do stołu – i usiedli, długo potem przy nim siedząc. Co poszło nie tak?

– Nie powiedziałbym, że negocjacje zakończyły się fiaskiem – mówi dr Mogielnicki. – Wręcz przeciwnie. Nawet jeśli nie osiągnięto przełomu, to ze strony wszystkich uczestników płynęły pozytywne komunikaty. Amerykanie, Irańczycy i pośrednicy z Omanu dawali do zrozumienia, że sprawy idą w dobrym kierunku. Jako dowód niech posłuży fakt, że w tym tygodniu odbyć się miały dalsze rozmowy, i to na szczeblu technicznym, czyli konkretów. Gdyby strony wątpiły w możliwość dogadania się, nie robiłyby takich planów.

Prawdopodobnie Trump zdecydował się na atak z marszu, bo uznał, że reżim jest dziś najsłabszy w swojej historii. To akurat nie jest odosobniona opinia, do podobnych wniosków dochodzi mnóstwo analityków, ekspertów, byłych i obecnych dyplomatów.

Lecz Trump w tego typu kalkulacjach bierze pod uwagę specyficzny aspekt – do relacji z innymi państwami, wszystko jedno, sojusznikami, rywalami czy wrogami, przykłada miarkę personalną. Na dwa sposoby:

ocenia, z kim ma do czynienia po drugiej stronie, czy to „silny", „mądry" przywódca, czy „cienias" – ale przede wszystkim, w jaki sposób deal lub potrząśnięcie szabelką pomoże jemu samemu zapisać się na kartach historii.

Dobrze opisali to Nancy Youssef i Jonathan Lemire, reporterzy „The Atlantic", stwierdzając, że „Trump z każdym kolejnym ruchem coraz bardziej postrzega stosunki międzynarodowe w kategorii testu osobowości". A najbliższym współpracownikom powiedział, że obalenie ajatollahów będzie dla niego „perłą w koronie" osiągnięć w polityce zagranicznej.

Podejrzenie takiego powodu decyzji o ataku jest spójne z dwiema innymi permanentnymi cechami tej prezydentury: z obsesją na punkcie pokojowej nagrody Nobla, o której marzy Trump oraz z przekonaniem o własnej wybitności na tle całej 250-letniej historii Stanów Zjednoczonych.

Coraz częściej, również z waszyngtońskich korytarzy, dobiegają komentarze, że właśnie z tego względu lokator Białego Domu chciałby doprowadzić do upadku władzy socjalistycznej na Kubie – po to, żeby mógł powiedzieć, iż dokonał czegoś, co nie udało się nikomu, od Kennedy'ego po Bidena. Trump uderzył najpierw w Teheran, bo uznał, że ajatollahowie są już na kolanach. A chodzi o to, by – i do tej kalkulacji trudno się przyczepić – odnieść „wspaniałe zwycięstwo", nie ryzykując zbyt wiele, nie wikłając się w krwawą, kosztowną wojnę mogącą przerodzić się w niepopularną i obciążającą wizerunkowo kulę u amerykańskiej nogi.

1,4

MLN BARYŁEK
• **80 procent całego eksportu ropy z Iranu – kupowały Chiny**

Więc Trump poczuł krew, doprowadził do śmierci Chameneiego, Najwyższy Przywódca nie żyje. I co dalej?

•

– Obecną sytuację na tle wszystkich poprzednich protestów wyróżnia fakt, że po raz pierwszy od lat widzieliśmy na ulicach irańskich miast ludzi, którzy bez strachu, nie zakrywając twarzy, otwarcie wykrzykiwali imię Rezy Pahlaviego, syna ostatniego szacha, domagając się jego powrotu do kraju – mówi Simone Rodan. Jak to możliwe, skoro przy całej niechęci do ajatollahów zła pamięć rządów szacha jest wciąż żywa?

Pahlavi to postać bardzo kontrowersyjna. Irańczycy nie zapomnieli, że jego ojciec brutalnie represjonował przeciwników – hasło Sawak nawet młodszym pokoleniom kojarzy się tak, jak nam Stasi czy NKWD – że modernizował kraj, ale pod dyktando zachodnich, zwłaszcza amerykańskich, koncernów oraz ambasadorów, a uciekając, wywiózł z kraju gigantyczny majątek, z którego cała rodzina żyła przez dekady na monarszej stopie.

65-letni następca tronu uaktywnił się już tygodnie temu. W „Washington Post" napisał artykuł, w którym stwierdził, że „jego naród gotowy jest na demokrację", a „The Wall Street Journal" urządził z nim sesję pytań i odpowiedzi dla subskrybentów. W drugiej połowie stycznia Pahlaviego juniora było wszędzie pełno, przynajmniej jeśli chodzi o zachodnie media. W ten sposób, jak mawiają specjaliści od wizerunku, „nabrał ciężaru" i wielu sceptycznych rodaków uznało, że może i syn szacha, niegdysiejszy playboy, nie jest idealną opcją, ale skoro Amerykanie traktują go serio, to ma największe szanse na przejęcie władzy. A lepszy taki przywódca niż kolejny ajatollah lub generał.

Te wnioski potwierdzają moi rozmówcy. Amir Rashidi, irański ekspert od telekomunikacji i cyberbezpieczeństwa, mówi mi, że choć sam nie jest fanem Pahlaviego i nie chciałby powrotu monarchii czy jednowładztwa, to mimo wszystko roli syna szacha nie chce bagatelizować. – Nie chcę, żeby mój kraj znów miał króla, ale nie mogę też ignorować faktu, że wielu ludzi go słucha. Zobacz: on powiedział, że mają zostać na ulicach – posłuchali go. Wezwał do aktów oporu wobec ajatollahów – poszli za jego głosem, często przypłacając to życiem. Jest jakaś spora część społeczeństwa, która uznaje go za autorytet.

Rashidi, który krąży między Nowym Jorkiem i Paryżem, największym w Europie skupiskiem irańskich opozycjonistów, zauważa też, że tym razem przemiana zaszła wśród przeciwników ajatollahów. Kiedy w 2022 roku wybuchły masowe protesty po śmierci zakatowanej na komisariacie Mahsy Amini, opozycja była mocno podzielona – ale teraz mówi jednym głosem. To samo słyszę od Simone Rodan, blisko współpracującej z niektórymi irańskimi organizacjami we Francji.

– Wtedy naprawdę nie było ani jednego oświadczenia wydanego przez diasporę, po którym ludzie nie skakaliby sobie do gardeł. Monarchiści kłócili się z lewicą, feministki z działaczami politycznymi. Teraz tego nie ma. Może dlatego, że rośnie liczba przeciwników teokracji wśród najmłodszych – zastanawia się Rodan.

Dodaje, że w samym Iranie przybywa ludzi, którzy nie pamiętają czasów sprzed rewolucji, a samego szacha i monarchię postrzegają w kategoriach wręcz romantycznych, jak raj utracony. Ponadto coraz więcej młodych Irańczyków ma doświadczenie życia poza granicami kraju. Znają demokrację, zachodnie obyczaje, kulturę, łączą dumę z perskiej cywilizacji z poczuciem, że są częścią globalnego, cywilizowanego świata – i podobnie postrzegają Pahlaviego.

Problem w tym, że bez dalszego, już politycznego zaangażowania Amerykanów sama śmierć najwyższego przywódcy nie oznacza automatycznej demokratyzacji. Klerycy są na taką ewentualność przygotowani, lista potencjalnych następców Chameneiego jest gotowa i aktualizowana od lat. Trzeba też pamiętać, że wcale niemała część społeczeństwa mimo wszystko popierała teokrację, bo ma bardzo konserwatywny światopogląd.

Ci zaś, którzy chcą zmian, też nie do końca wierzą w szczere intencje „Wielkiego Szatana". Ze szkolnych podręczników historii XX wieku wiedzą o przewrotach pałacowych i zakulisowych interwencjach Brytyjczyków, a później Amerykanów zainteresowanych ropą oraz utrzymaniem Teheranu z dala od Związku Radzieckiego, który Iran próbował wykorzystać, by odbudować dawną pozycję w regionie. A historia ostatnich dekad też każe im zachować sceptycyzm co do skutków działań USA i innych zachodnich państw w tej części świata.

– Perspektywa amerykańskiej interwencji naprawdę mnie przeraża – mówi Amir Rashidi. – Nie mam złudzeń i co do ich intencji, i co do efektów. Wszyscy wiemy, czym to się kończy. Spójrz na Irak, Afganistan, Syrię, Libię. Wszędzie tam Amerykanie doprowadzali do upadku państwa, a potem było tylko jeszcze więcej przemocy. Jasne, nie chcemy już tej władzy. Jeśli nic nie zrobimy, oni będą dalej nas zabijać. Ale jako zwykły facet od komputerów, obywatel, a nie politolog, powiem ci, że nie widzę żadnego wyjścia z tego kryzysu. Cokolwiek się stanie, będzie albo katastrofą, albo dalszą eskalacją konfliktu.

•

Podobne obawy mają dzisiaj nie tylko Irańczycy. Zgodnie z przewidywaniami reżim ajatollahów, uzbrojony po zęby i utrzymujący się u władzy dzięki agresji, brutalności i nieustannej obietnicy odwetu wobec Zachodu, tym razem, przy tej skali nalotów i świadomości własnej słabości, już nie mógł pozwolić sobie na wstrzemięźliwość – kilka odpalonych rakiet czy dronów dla zachowania twarzy, z uprzednim dyskretnym powiadomieniem przeciwników. Zaczął ostrzeliwać cały Bliski Wschód. Jak zwykle oberwały amerykańskie bazy w regionie, bomby spadły na Tel Awiw, ale nowością jest to, że wybuchy słychać również w miejscach, które były enklawami bezpieczeństwa na oceanie bliskowschodniego chaosu.

Dubaj, Abu Dhabi, Doha. Miasta-państwa, wykwity późnego kapitalizmu, coraz bardziej wielbione przez europejskich biznesmenów, celebrytów i influencerów, także tych z Polski. Rzekomo za doskonałe warunki dla przedsiębiorców, połączenia z całym światem, komfort życia i zaawansowanie technologiczne – a tak naprawdę z powodu nieistniejących podatków, bliskości Europy i poczucia wyższości, które daje bycie białym człowiekiem w kraju, w którym niebiali imigranci są traktowani jak podludzie.

Dotychczas choćby nie wiadomo co działo się na Bliskim Wschodzie, największą szkodą, jaką odczuwali mieszkańcy Dubaju, były przełożone lub przekierowane loty. Dzisiaj w tamtejsze hipernowoczesne budynki, w tym takie symbole dubajskiej wyższości, dobrobytu i aspiracji, jak ikoniczny hotel wieżowiec Burdż Al-Arab, uderzają irańskie drony. Czy to koniec iluzorycznej nietykalności tych miejsc? Dubaj przestanie być nowym Saint-Tropez i Monte Carlo w jednym, nagle wszyscy uświadomią sobie, że ten emirat jest częścią arabsko-persko-izraelskiego węzła gordyjskiego?

– Nie wydaje mi się, że wizerunek miast, a nawet całych krajów jako relatywnie bezpiecznych został całkowicie zniszczony – mówi dr Mogielnicki. – Ale przez irańską kontrofensywę świat przypomniał sobie, że Dubaj czy Doha są położone w bardzo niebezpiecznym regionie. Arabskie państwa Zatoki Perskiej włożyły w ostatnich latach bardzo dużo wysiłku, żeby odizolować się od regionalnych zagrożeń – i sporo im się udało. Zbudowały silne, niezależne, zaawansowane technologicznie gospodarki. Ale to, co się teraz dzieje, jest dla nich fatalne marketingowo. Biznesmeni, turyści, ludzie, którzy tu jeszcze nie zapuścili korzeni i niewiele ich łączy z Bliskim Wschodem, już zaczynają nowe kalkulacje strategiczne. I dlatego właśnie te państwa wykonają najwięcej ruchów prowadzących do szybkiej deeskalacji.

Zdaniem Mogielnickiego pełnowymiarowa, wielopaństwowa wojna obejmująca cały Bliski Wschód jest mało prawdopodobna. Konflikt będzie rozprzestrzeniać się punktowo, w kilku miejscach jednocześnie – tam gdzie krzyżują się interesy państw i grup zbrojnych wrogo do siebie nastawionych.

Narażone są nie tylko Arabia Saudyjska, Izrael, Emiraty czy Katar, ale też Egipt, którego gospodarka mocno zależy od żeglugi przez Morze Czerwone – a ten akwen znów mogą sparaliżować Huti, jedna z grup uzbrajanych przez Teheran i działających na polecenie ajatollahów. A lekceważyć ich nie można – wciąż są nazywani rebeliantami, lecz w istocie od lat rządzą częścią Jemenu. Saudowie boją się o swoją infrastrukturę energetyczną, państwa Lewantu – czy Iran nie wykorzysta zależnych bojówek w Iraku do kolejnej destabilizacji tej części półwyspu. W kwestii tego, co dalej z Bliskim Wschodem jest teraz cała masa pytań – i żadnych odpowiedzi.

•

Przede wszystkim jednak nie ma ich odnośnie samego Iranu. Zastanawiając się, co może się wydarzyć w tym kraju i z tym krajem, warto wrócić do klasyka polskiego reportażu. „Szachinszach" Ryszarda Kapuścińskiego to książka o najlepszej kompozycji literackiej spośród wszystkich jego dzieł. W kapitalnym wstępie Kapuściński streścił całą rewolucję 1979 roku na zaledwie kilku stronach, przy pomocy jednej sceny i dwóch słów. Oto po pustych ulicach Teheranu fruwają gazety, które wielkimi kapitalikami donoszą, że WYJECHAŁ – to o Szachu. Chwilę potem fruwają gazety, które kapitalikami wołają, że WRÓCIŁ – to o ajatollahu Chomeinim. I po zabawie.

Ten wstęp może posłużyć jako lakoniczny przewodnik po tym, co dalej z Iranem. Bo o ile NIE ŻYJE – to o ajatollahu Chameneim – to nikt w jego miejsce NIE POWSTAŁ, NIE WRÓCIŁ, NIE OBJAWIŁ SIĘ. Jedna władza odeszła, ale żadna nowa, konkretna, nie zajęła jej miejsca. Jest próżnia. Ktoś odpala rakiety na Kuwejt, ktoś decyduje o celach odwetu, ktoś wydaje rozkazy policji, szkoły, szpitale, urzędy działają nie tylko siłą rozpędu. Ale kto?

Być może władzę przejmie Gwardia Rewolucyjna. Może pojawi się nowy, oddolny lider. Ale równie dobrze może skończyć się tak, jak w Libii, Afganistanie, Iraku, Syrii. Nie tylko załamanie reżimu, ale upadek całkiem stabilnego, wydolnego państwa.

To byłaby katastrofa, bo zły rząd da się w tej części świata przeżyć. Braku rządu – już nie. Na razie więc Iran jest w połowie własnego, nowego wstępu do kolejnej książki. Pozostaje pytanie, kto napisze drugą połowę. ●

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

SEN PREZESA ŚWIATA

FOT. REUTERS/ELIZABETH FRANTZ

Nie przypadkiem wyznaczeni przez Trumpa negocjatorzy najpoważniejszych konfliktów światowych są biznesmenami, a nie dyplomatami.

Robert Stefanicki

Marzec 2028 roku. W Budapeszcie na gali Prawdziwej Pokojowej Nagrody Nobla, którą już po raz drugi z rzędu członkowie Rady Pokoju przyznali przez aklamację Donaldowi Trumpowi, ogłasza on zakończenie wojny w Ukrainie. Po osiemnastu miesiącach negocjacji pod nadzorem komisarzy Rady Pokoju udało się sfinalizować „wielki swap terytorialny".

Ukraina jako podmiot restrukturyzowany dokonała dywestycji (odsprzedaży) Donbasu i Krymu na rzecz nowo powstałego holdingu Great Trump Eurasia Buffer Zone, w którym 51 proc. udziałów objęły spółki powiązane z Kremlem, a 49 proc. trafiło do funduszy amerykańskich i saudyjskich.

W zamian za zrzeczenie się roszczeń terytorialnych oraz zawarcie z firmami z USA umów na eksploatację surowców Ukraina otrzyma inwestycje w infrastrukturę hi-tech i przemysł zbrojeniowy na zachód od Dniepru. Sankcje wobec Rosji zostają zniesione.

Polska i Rumunia zostają wynajęte do ochrony kapitału inwestującego w odbudowę Ukrainy; ich wojska mają zielone światło do interwencji w przypadku ponownej rosyjskiej agresji. Ponadto w przypadku naruszenia warunków pokoju depozyty strony naruszającej w Banku Rady Pokoju w Mar-a-Lago zostaną natychmiastowo przejęte.

Trump – dyrektor ds. restrukturyzacji

To wycinek nowego ładu światowego ze snu Trumpa. Nowojorski deweloper przeniósł swoje doświadczenie i metody z biznesu do polityki międzynarodowej; do handlu, sojuszy i bezpieczeństwa międzynarodowego podchodzi tak jak do zarządzania rodzinną firmą. Nie przypadkiem wyznaczeni przez niego negocjatorzy najpoważniejszych konfliktów światowych są biznesmenami, a nie dyplomatami.

W tym modelu Departament Stanu USA zmienia się w dział rozwoju biznesu, a polityka zagraniczna w zarządzanie łańcuchem dostaw. Trump jest dyrektorem ds. restrukturyzacji, z nieskrywanymi ambicjami na stanowisko prezesa świata.

Ambicjami, dodajmy, uzasadnionymi nie tylko władzą wynikającą z kierowania największym supermocarstwem, ale też sprytem, bezgraniczną chciwością i brakiem skrupułów, które to przymioty sprawiają, że rodzina Trumpów i powiązani oligarchowie bogacą się w szybkim tempie, korzystając z okazji tworzonych w tym celu przez głowę państwa.

Pokój jest towarem

Książka „Art of the Deal" z 1987 roku nie jest podręcznikiem politologii, ale stała się dla Trumpa konstytucją jego prezydentury. Napisał tam: „Najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić, jest negocjowanie z pozycji siły, a dźwignia to największa siła, jaką masz".

To wyjaśnia jego podejście do NATO czy pomocy dla Ukrainy. Dla Trumpa gwarancje bezpieczeństwa nie są obowiązkiem wynikającym z traktatu. Obowiązek to słabość. Są dźwignią. Jeśli państwa chcą ochrony, muszą coś zaoferować w zamian: kontrakty, bogactwa naturalne, uległość handlową. Pokój staje się towarem, na który USA mają monopol, a sojusznicy są klientami płacącymi abonament.

„Nigdy nie przywiązuję się zbyt mocno do jednej transakcji lub jednego podejścia. Trzymam wiele piłek w grze, ponieważ większość transakcji i tak kończy się niepowodzeniem" – napisał Trump w swojej książce. To klucz do zrozumienia jego nieprzewidywalności.

Jednego dnia potrafi nazwać Putina geniuszem, a drugiego zagrozić mu zbombardowaniem Moskwy. To nie jest szaleństwo – to strategia negocjacyjna. W modelu korporacyjnym zobowiązania są produktem chwili. Traktat to tylko list intencyjny, który można podrzeć, jeśli pojawi się lepsza oferta.

Po wycofaniu USA z 66 organizacji międzynarodowych Trump ogłosił podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, że świat potrzebuje nie „dyskusji bez końca", lecz „zarządu, który dowozi wyniki".

Takim zarządem ma być Rada Pokoju, która odbyła swój inauguracyjny szczyt 19 lutego. Zgodnie z mandatem Rady Bezpieczeństwa ONZ Rada Pokoju ma się zająć wyłącznie odbudową i tymczasowym zarządzaniem Strefą Gazy, zrównaną z ziemią w izraelskich nalotach, ale Trump nie ukrywa, że to tylko wstęp.

Powołanie Rady Pokoju i przyznanie sobie samemu władzy absolutnej stanowi próbę marginalizacji ONZ i zastąpienia jej koalicją państw wybranych przez Trumpa i gotowych zapłacić za wpływy.

– Rada Pokoju będzie niemal nadzorować Organizację Narodów Zjednoczonych i upewniać się, że funkcjonuje ona prawidłowo – stwierdził Trump na zebraniu inauguracyjnym w Waszyngtonie.

Jared Kushner ma wizję „nowej Gazy"

„Strefa Gazy przede wszystkim jest traktowana już nie jako byt polityczny aspirujący do suwerenności, lecz jako przedsiębiorstwo w tarapatach wymagające restrukturyzacji" – pisze w „Asia Times" Ronny P. Sasmita, analityk z Indonesia Strategic and Economics Action Institution, think tanku z siedzibą w Dżakarcie.

„Ta inicjatywa nosi wszystkie cechy charakterystyczne dla stylu rządzenia Trumpa: transakcyjnego, sceptycznego wobec tradycyjnych instytucji wielostronnych i skoncentrowanego na widocznych, mierzalnych rezultatach".

Upadła Gaza jest teraz administracyjnie przejmowana pod zarząd komisaryczny, oczyszczana z ideologicznych pozostałości i przygotowywana do przekształcenia w sprawnie funkcjonujące przedsiębiorstwo nadzorowane przez USA. To dyplomacja dewelopera, gdzie sukces mierzy się wskaźnikami ekonomicznymi, a nie sprawiedliwością historyczną.

W Davos Jared Kushner – zięć prezydenta i deweloper – przedstawił swoją wizję „nowej Gazy", która zakłada transformację zniszczonego terytorium w nowoczesny, nadmorski ośrodek turystyczno-przemysłowy. Są tam lśniące wieżowce, luksusowe hotele, centra danych i nowoczesne strefy przemysłowe, z portem i lotniskiem, przedzielone dużymi parkami i obiektami sportowymi.

Skromna przestrzeń mieszkalna dla Palestyńczyków sugeruje, że znaczna część z 2,2-milionowej populacji Strefy się z niej wyprowadzi. Plan został opracowany bez konsultacji z Palestyńczykami mieszkającymi w Gazie.

Kiedy wizja „Riviery Bliskiego Wschodu" pojawiła się po raz pierwszy jakiś rok wcześniej, gdy jeszcze w izraelskich nalotach codziennie ginęły dziesiątki ludzi, budziła śmiech i zażenowanie. Zresztą sam Trump przedstawił ją w formie bliskiej satyrze: na wideo wygenerowanym przez sztuczną inteligencję na tle krajobrazu przypominającego Dubaj pokazał swój złoty pomnik w Gazie i palestyńskie dziecię trzymające balon w kształcie złotej głowy Trumpa.

eprasa.pl 738f82d54d

Dziś nikt się nie śmieje. Mimo że na razie nie położono ani jednej cegły, a smutną rzeczywistość Strefy Gazy obrazuje nie liczba nowych budynków, ale 61 milionów ton gruzu, które trzeba usunąć. Co i tak jest znaczącym postępem, bo jeszcze niedawno podstawowym wskaźnikiem była liczba trupów.

Całkowity koszt odbudowy organizacje międzynarodowe szacują na 70 miliardów dolarów, a na razie Trump pochwalił się zebraniem 7 miliardów z wpisowego od państw, które zgodziły się wstąpić do jego Rady Pokoju. Izrael, powołując się na odmowę rozbrojenia przez Hamas, dalej blokuje import cementu i prętów stalowych – kluczowych materiałów budowlanych.

Artykuł 5. – subskrypcja premium

Jeśli Gazę uda się przemienić w drugi Dubaj, Trump stwierdzi, że korporacyjne podejście do geopolityki jest uzasadnione. Co będzie miało dalsze konsekwencje. Bo Gaza to tylko laboratorium rodzącego się porządku, którego siłą napędową mają być już nie bloki ideologiczne, lecz technologiczne łańcuchy dostaw i przepływy kapitału. Produktem końcowym jest świat jako globalny holding.

W tej wizji państwa dzielą się na udziałowców, podwykonawców i klientów. Odnotujmy, że udziałowcami – czyli pełnymi członkami Rady Pokoju – są na razie państwa niesłynące z poszanowania demokracji: Kazachstan, Azerbejdżan, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Maroko, Bahrajn, Katar, Arabia Saudyjska, Uzbekistan i Kuwejt.

Podwykonawcą jest np. Indonezja, która chce wysłać 7 tysięcy żołnierzy do Gazy w ramach międzynarodowych sił stabilizacyjnych (ISF). Jak wyjaśnia Ronny P. Sasmita, ma to być strategiczny barter: „Dostarczając wysokiej jakości personel bezpieczeństwa, Dżakarta zapewnia sobie gwarancje ekonomiczne i zacieśnioną współpracę dwustronną z Waszyngtonem".

Sojusz Północnoatlantycki miałby działać na podobnej zasadzie co firma dostarczająca usługi chmurowe w abonamencie. Artykuł 5. już nie gwarantuje wspólnej obrony, staje się subskrypcją premium. Przykładowo, państwa płacące mniej niż 3 procent PKB na obronność, dostałyby dostęp do pakietu podstawowego: wywiad i logistyka. Pełna ochrona parasolem atomowym wymagałaby dopłaty do funduszu modernizacyjnego USA.

Pokój w Ukrainie jest gwarantowany nie przez traktat, ale przez to, że BlackRock i Saudi Aramco będą współwłaścicielami linii frontu. Pokój w Gazie gwarantują wieżowce Trump Organization. W tej logice można rozwiązać również dylemat z obroną Tajwanu. Waszyngton i Tajpej podpisałyby umowę, zgodnie z którą większość produkcji najnowocześniejszych chipów zostaje przeniesiona do fabryk w Arizonie i Ohio. W zamian USA potraktują wyspę jak strategiczną filię korporacji, której nie można pozwolić przejąć konkurencji, czyli Chinom.

Biznesowe podejście jasno widać w wojskowych interwencjach za prezydentury Trumpa. Obalenie Nicolasa Maduro miało na celu położenie ręki na wenezuelskiej ropie. Trump nie może się nachwalić, ileż to pieniędzy zarobił w ten sposób dla Ameryki.

Atak na Iran – usunięcie blokady

Atak na Iran niesie poważniejsze konsekwencje. Eliminacja Alego Chameneiego i paraliż dowództwa w Teheranie w podręcznikach biznesu należałoby opisać jako „wrogie przejęcie przez likwidację zarządu". Warto nadmienić, że dzień wcześniej Trump powiedział, że być może dojdzie do „przyjaznego przejęcia" Kuby, tzn. w porozumieniu z częścią rządzących elit w Hawanie...

Atak na Iran nie jest wojną o wartości, lecz radykalnym usunięciem blokady, która uniemożliwiała domknięcie największych transakcji na Bliskim Wschodzie. Tolerowanie reżimu ajatollahów było kosztowne. Iran finansował swoich podwykonawców: Hamas, Huti, Hezbollah, którzy zakłócali łańcuchy dostaw, atakowali Izrael i bazy amerykańskie w regionie, co obniżało m.in. wycenę projektu Riviery w Gazie.

Bez centralnego ośrodka finansowania zagraniczni sojusznicy Teheranu stracą płynność finansową. Dla USA usunięcie tego zagrożenia oznacza możliwość wycofania tysięcy żołnierzy i miliardów dolarów z regionu.

Są też inne przesłanki stojące za uderzeniem na Iran. Logika wydarzeń i deklaracji padających z otoczenia Trumpa wskazuje, że Waszyngton chce stworzyć bliskowschodni blok gospodarczo-energetyczny, który byłby największym partnerem handlowym USA w sytuacji wojny celnej z resztą świata.

Obalenie dyktatury Chameneiego otwiera drogę do budowy rurociągów i szlaków handlowych łączących Indie z Europą przez Izrael i Emiraty. USA stają się gwarantem i architektem tego układu, czerpiąc zyski z kontraktów technologicznych i zbrojeniowych.

Dalej: Iran posiada pokaźne złoża gazu i ropy, które przez lata były częściowo „zamrożonym aktywem" z powodu sankcji. Jeśli władzę w Teheranie przejmie frakcja bardziej uległa wobec Waszyngtonu, otworzy się gigantyczny rynek do zagospodarowania. Amerykańskie firmy energetyczne mogą wejść do Iranu jako operatorzy i modernizatorzy. To dałoby USA niemal całkowitą kontrolę nad globalnymi cenami energii, a zarazem wpływ na koszty produkcji w Chinach.

W końcu śmierć Chameneiego to potężny sygnał dla innych „trudnych kontrahentów", np. Kim Dżong Una, ale też dla UE. Jeśli się okaże, że Trump potrafi doprowadzić do zmiany reżimu w dowolnym średnim kraju, jego pozycja negocjacyjna się wzmocni.

Za wcześnie oceniać, czy ten pozytywny dla Trumpa scenariusz się zrealizuje. Zamiast „nowego zarządu" w Teheranie USA mogą dostać „pożar w magazynie" – wojnę domową, radykalizację frakcji wojskowych, zamachy terrorystyczne – co zamiast zysków wygeneruje gigantyczne koszty stabilizacji. I wtedy się okaże, że Amerykanie dostali nowy Afganistan albo Irak.

Atak na Iran umożliwi Trumpowi domknięcie największych transakcji na Bliskim Wschodzie

A tamte krytykowane przez Trumpa interwencje z perspektywy „Art of the Deal" były fatalnymi inwestycjami z nieograniczonym ryzykiem i zerowym zwrotem. Natomiast jego model zakłada, że USA wycofują się z miejsc, gdzie koszty (życie żołnierzy, dolary podatników) przewyższają zyski.

Trump chełpi się tym, że widzi zysk tam, gdzie inni go nie dostrzegają – niczym ten totemiczny wysłannik fabryki butów w przykładzie wałkowanym przez studentów biznesu, który w Afryce dostrzegł bonanzę, bo wszyscy tam chodzili boso.

Prawie wszyscy mają coś cennego do zaoferowania.

Nawet zrujnowana Strefa Gazy ma plaże pod kurorty i gaz pod dnem morskim, a maleńka Armenia, którą Waszyngton właśnie po cichu włączył do swojego holdingu, ma atut w postaci strategicznego położenia między Turcją a Azerbejdżanem.

Ale są terytoria, które w języku biznesu należałoby nazwać aktywami osieroconymi. Logistycznie zbędne, bo nie leżą na żadnym szlaku – np. środek Sahelu bez surowców, w permanentnej wojnie domowej, gdzie koszt wysłania sił stabilizujących byłby wyższy niż wartość posiadanych przez nie złóż, z ogromnym deficytem kapitału ludzkiego i bez infrastruktury.

Inwestycje są tam nieopłacalne. Sudan Południowy czy Republika Środkowoafrykańska mogą zostać po prostu wykreślone z arkusza kalkulacyjnego. Rada Pokoju nie wyśle tam pomocy humanitarnej, nie zaangażuje się w negocjacje pokojowe, bo nie znajdzie biznesowego uzasadnienia.

SpaceX ważniejszy od ONZ

Jak znaleźliśmy się w tak ponurym miejscu? To w zasadzie pytanie o przyczyny sukcesów populizmu i samego Trumpa, który przy całej swojej osobliwości jest odpowiedzią na zapotrzebowanie społeczne. Wielu ludzi nie przekonuje idea dzielenia się ze słabszymi.

Pomysł, że zamiast „dać się doić na zasiłkach" i „oddawać całe dzielnice" naszych bogatych, chrześcijańskich, białych miast, można by „obcych" odgrodzić murem tam, gdzie ich miejsce, i na nich zarabiać, jest kusząca.

Nakłada się na to erozja wpływu ONZ wynikająca z wadliwej, zabetonowanej struktury tej organizacji: dożywotnie członkostwo VIP dzieli między siebie garstka skłóconych ze sobą państw demokratycznych i satrapii, a cała reszta teoretycznie równych państw może sobie podyskutować i wyrazić oburzenie tym czy owym, ale w niewielkim stopniu przekłada się to na sytuację w terenie.

W powszechnej opinii ONZ jest nieskuteczna. Każda alternatywa, która „działa", niechby i brutalna, może zostać powitana z ulgą. Czy nie lepiej do niestabilnego regionu wysłać restrukturyzatorów zamiast obserwatorów, którzy napiszą raport o łamaniu praw człowieka?

Trzecim powodem korporyzacji relacji międzynarodowych jest wzrost znaczenia kapitału prywatnego. Firmy takie jak SpaceX czy giganci AI mają już teraz większy wpływ na kierunki rozwoju świata, w tym na przebieg konfliktów, niż ONZ.

Jednak na razie przedstawiony scenariusz jest utopią. Z kilku powodów.

Po pierwsze, model korporacyjny zakłada, że wszyscy gracze są racjonalni i chcą maksymalizować zysk, a historia uczy, że tak nie jest. Narody to nie korporacje. Jeśli Ukraińcy czy Palestyńczycy uznają, że ich tożsamość i godność są ważniejsze niż dywidenda z pokoju, nie przyjmą oferty Trumpa, tak jak nie przyjęli ofert Putina i Netanjahu.

Wymiana suwerenności na obietnice prosperity nie znika, ale jedynie odracza aspiracje polityczne. Ideologie, religie i nacjonalizmy nie dają się łatwo wycenić w Excelu. Dla męczennika gotowego oddać życie za sprawę, w którą wierzy, zwrot z inwestycji nie ma znaczenia.

Po drugie, trzeba też pamiętać, że Pekin i Moskwa mają własne ambicje imperialne, które nie sprowadzają się do prostego bilansu zysków i strat. Chiny budują swój system BRICS+, który jest konkurencją dla „holdingu" Trumpa.

Wydaje się, że Trump byłby gotów wciągnąć Władimira Putina i Xi Jinpinga do swego rodzaju rady dyrektorów zarządzającej światem, ale takie przedsięwzięcie jest obarczone znacznie większym ryzykiem niż kierowanie marionetkową Radą Pokoju. Zamiast jednej wielkiej korporacji możemy więc dostać wojnę handlowo-militarną w duopolu.

Po trzecie, w biznesie, gdy kontrahent łamie umowę, idzie się do sądu. W geopolityce nie ma sądu poza tym ostatecznym, można co najwyżej iść na wojnę. System transakcyjny może się rozpaść w momencie pierwszego poważnego kryzysu płynności lub załamania na rynkach surowców. Pierwszym stress-testem byłaby zmiana administracji USA z trumpistowskiej na demokratyczną.

Lecz choć jego wizja przypomina domek z kart, to wcale nie ma pewności, że po Trumpie świat wróci do starego paradygmatu. ●

Kraj/34414015

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

Poradnik psychologiczny

EKSPERCI ODPOWIADAJĄ CZYTELNIKOM

Małżeństwo, rozwód, uzależnienia, samotność

Poradnik zdrowotny

Czy będziesz mieć cukrzycę. Możesz to wiedzieć lata wcześniej

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

KULTURA I OBYCZAJE

Pożegnalne selfie

Byłem zszokowany, że właśnie to zdjęcie dostało Pulitzera.
Myślałem, że chociaż wyróżnili ujęcie, jak ludzie dają chleb i mortadelę czołgistom

• **Zdjęcie, nagrodzone Pulitzerem Sokołowski zrobił w Moskwie w sierpniu 1991 r. w czasie nieudanego puczu Janajewa**
FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

Z FOTOGRAFEM AP **CZARKIEM SOKOŁOWSKIM,** JEDYNYM POLSKIM LAUREATEM NAGRODY PULITZERA ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

Widzę, że nigdzie nie ruszasz się bez aparatu fotograficznego. To Sony?
– Sony. Pamiętam w latach 80. sklep w Alejach Niepodległości, ludzie stali w kolejce, nie po to by kupić kolorowy telewizor, tylko by obejrzeć transmisję z olimpiady w kolorze. Kto by wtedy pomyślał, że będą takie aparaty.

Czym wtedy robiłeś zdjęcia?
– Enerdowską Praktica. To był mój pierwszy aparat, z nim przyszedłem w 1981 r. do pracy w agencji Associated Press. Pojechałem do hotelu Solec robić zdjęcia Lechowi Wałęsie. Czekałem na niego w tłumem innych reporterów. Aparaty położyliśmy na stole.

Dziennikarz AP, z którym pracowałem podszedł do stołu rozejrzał się i zapytał zdziwiony: „Czarek, na czym ty pracujesz?" Bo na stole leżały Nikony i Canony. I moja Praktica z NRD. Pojechaliśmy do biura AP, otworzył szafę i dał mi Nikona. Do dziś go mam.

Ale wtedy byłem szczęśliwy. Wracałem do hotelu czekać na Wałęsę i zastanawiałem się, jak to będzie działać. Bo Nikon miał silnik do przewijania filmu, nie trzeba było tego robić ręcznie. To był inny świat.

Ciężko było się przestawić?
– Nie. Ciężko to mi było przejść po 26 latach pracy z Nikona na Canona, bo tam wszystko działa na odwrót. Ostrość na obiektywach ustawia się w lewo, a nie w prawo.

A Sony?
– To zupełnie nowa generacja. Tylko niewiele na tym korzystam, bo ja używam tylko trybu manual. Zawsze ustawiam parametry ręcznie. Chcę mieć kontrolę nad fotografię. No i auto-focus pomaga. Ale generalnie to mnie nie interesuje, co jest w środku. Żartuję, że jak naciśnie się przycisk, to wyskoczy prysznic w czasie robienia zdjęć.

Jest też jeszcze jedna zaleta: jest bezgłośny. Gdy robi się zdjęcia w filharmonii, nie denerwuje się melomanów.

Robisz zdjęcia komórką?
– Zrobiłem i wysłałem do agencji tylko jedno. Gdy w 2020 r. autobus spadł z mostu na Wisłostradę w firmie strasznie nalegali, by dać im od razu zdjęcia. Presja była tak duża, że musiałem robić zdjęcie telefonem. Dzisiaj jakoś jest taka, że nikt tego nie zauważył.

Komórki nie zabiją fotografii?
– Mam nadzieję że nie. Ludzie po obejrzeniu dziesiątek zdjęć w telefonie, albo na komputerze, są zmęczeni. Później chcą zobaczyć porządne fotografie, dobrze skadrowane, spokojne, przemyślane. Takie zdjęcia dając więcej.

Dlatego czasami wcinam się ludziom, których spotykam na Starym Mieście, gdy robią komórkami zdjęcia. No stoi taki, jak sto lat temu, sztywny, do tego kadr ucięty, widać tylko kawałek wieży Zamku Królewskiego.

Mówię mu: uśmiechnij się, weź tę panią na ręce albo na odwrót, zróbcie jakąś głupią minę. Nie obcinaj nóg, po co tyle nieba?

Pewno są wdzięczni za rady profesjonalisty
– A gdzie tam. Zwykle patrzą na mnie, jak na wariata. I jeszcze każę im zdjęcia robić w poziomie, a oni nauczeni robić w pionie, bo tak to chodzi na instagramie i innym tik-toku. Ale wtedy chociaż uśmiechają się na zdjęciach

Kiedyś nie wystarczyło umieć zrobić zdjęcia, trzeba było umieć je wywołać
– Przeszedłem przez ten etap. Zaczynałem od pracy w laboratorium w Centralnej Agencji Fotograficznej (CAF). Pamiętam jak w 1979 roku pojechałem na mistrzostwa Europy w lekkoatletyce juniorów do Bydgoszczy. Dali mi wielką walizę. Było w niej wszystko: powiększalnik, butelki z wywoływaczem i utrwalaczem, miarki, pojemniki, paczki papieru światłoczułego. Jechałem jako pomocnik fotoreportera. On robił zdjęcia, ja wywoływałem, opisywałem i wysyłałem do Warszawy.

Ile to trwało?
– Samo wywołanie filmu około 10 minut, potem jakiś kwadrans na utrwalanie, płukanie, wysuszenie. Na końcu robiło się odbitki, potem odbitkę trzeba wysuszyć, opisać i wrzucić na bęben do transmitera. Przesłanie jednego zdjęcia trwało 15 minut.

Transmiter? Taki radiowy?
– Nie, wysyłało się linią telefoniczną. Mieliśmy krokodylki, by się podpinać do kabli. By się do nich dostać trzeba było w hotelu rozkręcić, jak agent J-23 słuchawkę telefonu. A gdy były duże zakłócenia odkręcało się telefoniczną puszkę.

eprasa.pl 738f82d54d

Z Bydgoszczy mam dobre wspomnienia. Fotograf pewnego wieczora lekko zabalował i kazał mi iść na finały. Zrobiłem zdjęcia, wróciłem do Warszawy, a w siedzibie CAF zawoła mnie pani Olga Czaplicka, z działu zagranicznego i mówi, że moje zdjęcia z finałów wysłała do Associated Press. Pękałem z dumy.

A jak zostałeś fotografem Associated Press?
– Też dzięki pani Oldze. W styczniu 1981 r. wysłała mnie do kawiarni „Kameralnej" na Foksalu na spotkanie z fotografem AP, który przyjechał z Finlandii. Nie powiedziała mi, o co chodzi. Na miejscu dowiedziałem się, że AP wybrali mnie na swojego człowieka w Warszawie, który fotografowałby Wałęsę.

Rozmawiali o tym z panią Olgą, ona przekazała im kilka nazwisk, wybrali mnie, bo byłem najmłodszy, miałem 23 lata. Zamierzali mnie nauczyć roboty po swojemu, wychować.

Pierwsze zlecenie?
– Już następnego dnia. Dali mi bilet lotniczy do Rzeszowa na szóstą rano, kazali jechać na strajk rolników, na którym miał pojawić się Wałęsa. Samolot powrotny miałem o 18. Nigdy wcześniej nie latałem. Przywiozłem materiał do CAF-u, wywołałem, wysłali i tak się zaczęło.

Co wtedy fotografowałeś?
– Podstawą był Wałęsa. To był gorący czas. Ciągle przyjeżdżał na rozmowy do Warszawy, zawsze mieszkał w hotelu Solec i jeździł do siedziby Episkopatu. A ja za nim, raz nawet uderzyłem w jego samochód na rogu Tamki i Kopernika. Nawet się opłaciło, bo zrobiłem zdjęcia, jak Wałęsa i Wachowski wyskoczyli z auta i sprawdzali, czy dzwon jest duży.

Teraz, gdy przeszedłem na emeryturę i zrobiłem sobie pożegnalne selfie, to nawet Danuta Wałęsowa napisała, że życzy mi powodzenia.

Jacy Wałęsowie byli w bezpośrednim kontakcie?
– Dla mnie byli super. Pamiętam sytuację, gdy Wałęsa miał wrócić z internowania. Razem z innymi fotografami siedziałem na klatce schodowej w ich bloku w Gdańsku. Wychodzi Wałęsowa, pokazuje na mnie i mówi: „chodź pomożesz mojemu synowi w matematyce". No dobra, poszedłem

Który to był syn?
– Bogdan. Ona chyba wychodziła specjalnie, żeby poczuć tą niesamowitą świąteczną atmosferę na korytarzu. Cieszyła się, że Lechu wraca. Potem wyszła z dywanem i mówi, że musi go wytrzepać. No to wszyscy fotoreporterzy poszli za nią. Pomagali go wytrzepać.

Zdjęcia Wałęsy naprawdę sprzedawały się w świecie?
– Tak. Wtedy Polska była w centrum zainteresowania. Sama AP miała w Warszawie trzech dziennikarzy. Inne wielkie media również od „Washington Post" i „New York Times", po prasę z Japonii. Pisali o Polsce, a że nie mieli swoich fotoreporterów, to brali nasze zdjęcia.

Jak fotografowi zagranicznej agencji prasowej pracowało się w Polsce w stanie wojennym?
– Pierwszy miesiąc chodziłem bez aparatu. Gdy dowiedziałem się o wprowadzeniu stanu wojennego wsiadłem do fiata 126p i pojechałem do warszawskiego biura. Mijałem transportery opancerzone.

Szef od razu powiedział: „oddawaj mi aparaty, wszystkie". I zapowiedział, że nie wolno mi zrobić ani jednego zdjęcia. Na szczęście, jak jechałem do roboty, to zrobiłem trochę zdjęć. Szef się bał, że nas pozamykają. Nikt nie wiedział, co będzie. Po miesiącu się uspokoił.

Fotografowie tracili pracę, bo robili drobny retusz. To daje gwarancję, że te zdjęcia są prawdziwe

Czołgi i transportery opancerzone widziałeś też w Moskwie, w 1991 r. podczas puczu Janajewa
– To była szalona wyprawa. O tym, że mam tam jechać dowiedziałem się przed południem. Do biura przyszedł teleks. Potem okazało się, że w Warszawie międzylądowanie będzie mieć samolot KLM z Amsterdamu do Moskwy.

Kolejne teleksy, załatwiliśmy bilety. Gdy wsiadłem do samolotu okazało się, że jest pusty. Z Amsterdamu do Moskwy leciały dwie osoby. Były przerażone. Ja też. Nie miałem pojęcia, co będzie po przylocie, jak nas przyjmą, czy w ogóle przyjmą, a może od razu zamkną. Wylądowaliśmy, a tam Rosjanie mówią: zapraszamy.

Gdy dotarłem do wielkiego biura AP na Kutuzowskim Prospekcie, od razu kazali mi iść z aparatem pod Biały Dom, pod gmach rządu. Dali mi dwóch miejscowych pomocników. Od razu zaoferowali, że będą nosić mi torbę. Początkowo miałem opory, ale potem uległem.

Po Moskwie chodziłem ciągle ruszając ramieniem. Taki tik nerwowy od ciągłego podrzucania torby. No i poszedłem w miasto. Koledzy z AP mówili, żeby uważać, że jakby coś, to ci pomagierowie będą mnie ewakuować, ale pierwszy dzień był w miarę spokojny. I kolejne też.

Pracowałem od rana do nocy. Jeden z pomocników odbierał ode mnie filmy i zanosił do biura. Tam stała wielka maszyna do wywołania. Siedzieli edytorzy.

Miałeś wtedy świadomość, że zrobiłeś zdjęcie, które zdobędzie Nagrodę Pulitzera?
– A gdzie tam. Dowiedziałem się o tym po roku. Wróciłem wtedy z Oświęcimia – zdjęcia z Auschwitz to był drugi po Wałęsie mój obowiązkowy temat – przychodzi do mnie dziennikarka i mówi, że przyszedł faks, bym pozdrowił Moskwę, bo Pulitzera dostaje.

Mówię jej: „Sorry, ale ja muszę nadać zdjęcia, Napisz, że bardzo ich pozdrawiam, całuję i tak dalej". A ona za dwie godziny przychodzi znowu i mówi: „Czarek, ale oni piszą też, że to ty dostałeś też Pulitzera". A ja nie miałem pojęcia, co to ten Pulitzera jest.

Szef przyjechał z domu, bo też się dowiedział, otworzył szampana i wszystko wytłumaczył. No to go pytam za które zdjęcie? Dwa dni czekaliśmy, żeby nam to zdjęcie z USA przysłali faksem. Nagrodę dostała seria pięciu fotografii. W tym moja.

Zdziwiłeś się ich wyborem? Na twoim zdjęciu widać żołnierza stojącego na transporterze opancerzonym i prężącego muskuły niczym Rambo.
– Powiem więcej, byłem nawet zszokowany. Fotograf lubi robić fajne zdjęcia kwiatków, pszczółek, ale już, jak się dostaje nagrodę, to za coś

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

◀ **Ówczesny prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew, składa wieniec na Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich w Warszawie podczas wizyty w Polsce, 7.12. 2010 r.** FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

▶ **Lech Wałęsa, ks. Henryk Jankowski, Adam Kinaszewski, słuchają Radia Wolna Europa, relacji z Oslo, gdzie Danuta Wałęsowa odbiera w imieniu męża Nobla. Kościół św. Brygidy w Gdańsku, 10.12.1983 r.** FOT. CEZARY SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

▲ **Kobieta stoi razem policjantami podczas wielkopiątkowej procesji na Drodze Krzyżowej w centrum Warszawy, 9.04.2004 r.** FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

▲ **Premier Jarosław Kaczyński na konferencji prasowej przedstawia osiągnięcia swojego rządu w przededniu pierwszych 100 dni urzędowania. Warszawa, 20.10.2006 r.** FOT. CZAREK SOKOŁOWSKI/AP/EAST NEWS

▲ **Fotoreporterzy podczas wizyty premiera Benjamina Netanjahu w Synagodze im. Nożyków w Warszawie, 24.04.1998 r. Czarek Sokołowski – pierwszy z prawej** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

▲ **Selfie fotoreportera – Czarek Sokołowski na Placu Zamkowym w czasie obchodów 25-lecia częściowo wolnych wyborów do Sejmu 4 czerwca 1989 r. Warszawa, 4.06.2014 r.** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

poważnego. Na przykład za zdjęcia płonącego czołgu koło Arbatu. Myślałem, że chociaż wyróżnili zdjęcie, jak ludzie dają chleb i mortadelę czołgistom na tym rondzie.

Później do Warszawy przyjechał główny szef fotografów AP, który wybierał zdjęcia i mi tłumaczył, że to super zdjęcie. Symboliczne. Nie ma żadnych strzałów, a zawalił się Związek Radziecki.

Dziś w Moskwie byś już zdjęć nie zrobił. Nie mówiąc o Iranie. Ale są za to dziesiątki obrazów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję.

– W tej sprawie trzeba krzyczeć, bo to poważne zagrożenie. Ostatnio na socialach wyświetlają mi się filmy z siedzącymi obok siebie Gajosami, młodym i starym. Gdybym zobaczył to rok temu, nie pomyślałbym, że to AI. Jak ludzie chcą, to niech się bawią. Ale niech nie udają, że to prawdziwe.

Kilka lat temu zobaczyłem zdjęcie z Marszu Niepodległości widzianego z wnętrza pokoju hotelu Nowotel. Dziewczyna siedzi przy oknie, a na rondzie tłum ludzi z racami. Mówię sobie: cudowne, ale zaczynam się przyglądać i coś mi nie gra.

Potem dotarła informacja, że autorka złożyła dwa zdjęcia. Fotografia jest tak fantastycznym zajęciem, że można się bawić na każdy sposób, ale trzeba o tym jasno informować, że to kolaż, że pomagał doktor photoshop. Wtedy będę na to zdjęcie inaczej patrzeć.

Ale my, jako fotoreporterzy nie możemy w zdjęcia ingerować. Dam przykład. Na początku lat 90., gdy zdjęcia obrabiało się w komputerze, kolega użył wyrównania poziomu kolorów. I wyleciał z roboty.

Przecież automatyczne poziomy to standardowa procedura

– Potem nam pokazano, jak wyglądało surowe zdjęcie, i jak całkowicie zmieniło się po obrobieniu. Zwolniono go z AP, bo było powiedziane, że zdjęcia nie wolno dotykać. Zdarzało się, że fotografowie tracili pracę, bo robili drobny retusz. To daje gwarancję, że te zdjęcia są prawdziwe.

Nie boisz się, że mimo wszystko fotoreporterzy wymrą jak dinozaury? Bo ludzie chcą ładnych, a nie prawdziwych zdjęć?

– Nie, bo ktoś musi pokazać ludziom, jak naprawdę wygląda świat.

Ale co pokażesz, skoro reporterów się już nie wpuszcza do wielu miejsc?

– Nawet w stanie wojennym mogłem przychodzić do Sejmu i robić zdjęcia na sali obrad. Potem po 1989 roku zaczęli nas przeganiać. Dziś jak wchodzę w sejmowe kuluary, to już czuję intruzem, już mnie ganiają.

Przed zaprzysiężeniem prezydenta Nawrockiego prosiłem w Sejmie, by wpuścili choć kilku z nas za drzwi sali obrad tylko na ten moment. W ogóle nie było o tym ma rozmowy

Czyli fotograf stał się intruzem.

– Niestety tak. Wałęsa przy fotoreporterach swobodnie palił papierosy. Dziś to nie do pomyślenia. ●

eprasa.pl 738f82d54d

ŚMIECH HISTORII

Dlaczego Wajdzie nie wychodziły komedie

FOT. MARZENA HMIELEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Andrzej Wajda na planie „Zemsty" (2002), ekranizacji komedii Aleksandra Fredry, z aktorami: Januszem Gajosem (Cześnik) i Danielem Olbrychskim (Dyndalski, sługa Czesnika)**

Jakub Majmurek

Wybitny historyk filmu Tadeusz Lubelski, zastanawiając się kiedyś nad tym, jakie polskie filmy nie tylko cieszyły się wielkim powodzeniem w chwili premiery, ale także po dekadach są ciągle żywo odbierane przez widownię, budząc nieustannie pozytywne emocje, wskazał osiem komedii – od przedwojennej „Zapomnianej melodii" (1938) przez „Samych swoich" (1967) i „Misia" (1981) po „Dzień świra" (2002).

Ta refleksja ukazała się w tomie „Kino polskie jako kino narodowe" i Lubelski analizował najbardziej kanoniczne polskie komedie właśnie jako przykład kina narodowego, poprzez śmiech wypowiadającego się na temat stanu narodowej wspólnoty. Filmy Stanisława Barei, Marka Koterskiego czy „Rejs" (1970) można też uznać za „kino narodowe" także w tym sensie, że stały się częścią wspólnie dzielonego przez Polaków kulturowego kodu, przeniknęły do potocznego języka i raczej nie funkcjonują poza ściśle polskim kontekstem – humor na obce języki tłumaczy się najciężej.

A jednocześnie pierwszym skojarzeniem, jakie wywołuje hasło „kino narodowe" nie jest raczej żadna z komedii, tylko coś z Wajdy.

Nie ma bowiem w historii polskiego kina innego reżysera, którego twórczość – rozciągająca się na przestrzeni sześciu dekad – jest tak mocno uwikłana w tematykę narodową, w debaty narodowej wspólnoty na temat jej historii i tożsamości.

Co ciekawe, przy tym wszystkim ten element narodowej wspólnoty, jaką jest wspólne poczucie humoru i komizmu, umyka kinu Wajdy. Nasz laureat Oscara kręcił wielkie kino historyczne, wystawne adaptacje literackiej klasyki i współczesne dramaty polityczne, ale w rejony komedii zapuszczał się bardzo rzadko i na ogół ze średnio udanym skutkiem. Dlaczego Wajdzie nie udało się nigdy nakręcić popularnej „narodowej komedii" i jaką właściwie rolę odgrywał u niego śmiech?

•

W całej filmografii Wajdy można tak naprawdę znaleźć tylko trzy komedie: telewizyjnego „Przekładańca" (1968), „Polowanie na muchy" (1969) i „Zemstę" (2002).

Środkowy tytuł Wajda sam uważał za nieudany. Historia całkowicie zdominowanego przez żonę skromnego księgarza, który ucieka z domu tylko po to, by poddać się manipulacyjnemu wpływowi atrakcyjnej, ambitnej studentki, która z rusycysty bez dyplomu pragnie zrobić uznanego tłumacza i pisarza po to, by u jego boku zapewnić sobie samej miejsce w artystycznej elicie stolicy, dziś przede wszystkim razi podejściem do tematów genderowych, widoczną niechęcią do zmieniającego się w Polsce schyłkowego Gomułki kontraktu płci i kobiecej emancypacji.

Humor tego filmu, złośliwe obserwacje modnej „warszawki" pochodzą przy tym w całości od scenarzysty, Janusza Głowackiego – i jego literacka wrażliwość nie do końca znajduje na ekranie chemię z reżyserskim idiomem Wajdy. „Polowanie na muchy" nigdy nie zajęło w historii polskiego tak eksponowanego miejsca, jak kolejne spotkanie Głowackiego z kinem – „Rejs", do którego pisarz napisał scenariusz wspólnie z Markiem Piwowskim.

Za udaną komedię trudno też uznać „Zemstę". Literacki materiał Fredry wydaje się samograjem, Wajda zgromadził na planie wspaniałych aktorów – na czele z Januszem Gajosem w roli Cześnika Raptusiewicza i Andrzejem Sewerynem jako Rejentem Milczkiem – a jednak mimo śmiechu, jaki wywołują niektóre sceny, coś tu nie gra. Mamy wrażenie, jakby przygotowana z najwyższym artyzmem komiczna maszyna nie mogła ruszyć.

Przygotowując się do pracy nad swoją adaptacją, Wajda obejrzał wersję Antoniego Bohdziewicza z 1956 roku. W notatnikach stwierdza, że film, choć nie pozbawiony ciekawych pomysłów inscenizacyjnych jest fatalnie zrobiony. „Może trzeba było obejrzeć go wcześniej, bo nie zachęca on do nowej filmowej wersji. Oglądając pomyślałem jednak, że młodzi reżyserzy mają do mnie po »Panu

eprasa.pl 738f82d54d

Tadeuszu« i ewentualnie przyszłej »Zemście« taki sam stosunek, jaki ja miałem do Bohdziewicza: stary ramol!".

Recepcja „Zemsty" w dużej mierze potwierdziła te obawy Wajdy. A jednocześnie jego „Zemsta" jest najciekawsza właśnie w tym, co w niej nie działa jako w filmowej komedii. Komizm oryginału przytłacza tu bowiem poczucie melancholii, utraty, żałoby za światem niezdolnym przetrwać wobec powodzi historii – wszystkie te tematy wracają nieustannie w „poważnym" kinie Wajdy i są kluczowe dla jego rozumienia polskiego losu.

●

Melancholię wprowadza już otwierająca scena: Papkin przedzierający się pieszo przez zaśnieżony krajobraz. Ubrany jest w strój rodem z kina płaszcza i szpady, ale mocno już znoszony i wysłużony, nie dający ochrony przed zimową pogodą. Mimo szpady u pasa, wskazującej na szlachecki status, idzie pieszo, jakby gdzieś utracił konia – być może w przegranej bitwie. Odtwarzany przez Romana Polańskiego Papkin kojarzyć się może z bohaterami „Popiołów", którzy w finale filmu Wajdy z 1965 roku przez nieskończoną, zaśnieżoną równinę próbują wrócić do Polski z armią napoleońską spod Moskwy. Albo z odtwarzanym także przez Polańskiego Alfredem z „Nieustraszonych pogromców wampirów" (1965) – pomocnikiem profesora Abronsiusa, z którym dociera do położonej na krańcu cywilizowanego świata wioski żyjącej w cieniu złowrogiego zamczyska hrabiego von Krolocka.

Zamek z filmu Wajdy przypomina zresztą zamki z filmów o wampirach. Z zewnątrz tak bardzo wygląda na ruinę, że dziwimy się, że w środku żyją w ogóle jacyś ludzie. Podstolina i Klara odtwarzane przez Agatę Buzek i Katarzynę Figurę mają zgodnie z osiemnastowieczną modą tak bardzo wybielone twarze, że spokojnie moglibyśmy uznać je za wampirzyce albo widma nawiedzające zamkową ruinę.

Oglądając rozgrywającą się w na wpół zrujnowanym zamczysku komiczną intrygę, zastanawiamy się, który właściwie mamy rok, w jakiej rzeczywistości historycznej toczy się akcja. Fredro oparł „Zemstę" na historii sporu między rodzinami Firlejów i Skotnickich z XVII wieku, akcję przeniósł jednak ostatecznie ponad wiek później, w sztuce pojawiają się odniesienia do konfederacji barskiej. Akcja toczy się więc w okresie upadku Rzeczpospolitej albo zaraz po nim.

W filmie Wajdy, choć nie ma żadnych odniesień do historii, daje się odczuć przytłaczający ciężar epoki zmierzchu szlacheckiej Polski. Sarmacka komedia bohaterów zmienia się mimowolnie w elegię za odchodzącym w przeszłość światem, który dożywa swoich dni, funkcjonując w pożyczonym czasie. Końcowe zburzenie muru dzielącego zamkowy dziedziniec i pogodzenie zwaśnionych rodzin figurą ślubu nie są w stanie przynieść autentycznego poczucia ulgi, podnieść widzów na duchu. Mamy bowiem poczucie, że wesele Klary i Wacława ostatecznie zmieni się w chocholi taniec, który Wajda tak przekonująco pokazał w finale „Wesela". Ślub pary nie stanie się figurą narodowej zgody, bo naród traci właśnie na ponad wiek własne państwo, polityczną formę swojego istnienia.

●

„Zemsta" wchodzi do kin pod koniec wielkiej fali ekranizacji klasyków polskiej literatury. Filmowcy szukają w ten sposób kontaktu z masową publicznością, błędem byłoby jednak interpretować wysyp tych produkcji na przełomie wieków tylko w kontekście hasła „szkoły pójdą". To „polskie kino dziedzictwa" – jak interpretowała je Ewa Mazierska, polska filmoznawczyni pracująca w Wielkiej Brytanii – oferowało widzom także pewną tożsamościową propozycję: wizję polskiej kultury i tożsamości kojarzoną z szlachecko-inteligencką kulturą, w której wychodzące z transformacji i wchodzące do

FOT. AFP/EAST NEWS

• **Kadr z adaptacji epopei Adama Mickiewicza „Pan Tadeusz" (1999). Telimena (Grażyna Szapołowska) i Tadeusz (Michał Żebrowski) w słynnej scenie z mrówkami w „świątyni dumania"**

Wśród polskich filmów, które przetrwały próbę czasu i widzowie żywo je odbierają po latach, jest osiem komedii. Ale pierwszym skojarzeniem, jakie wywołuje hasło „kino narodowe", nie jest żadna z nich, tylko coś z Wajdy

Unii Europejskiej społeczeństwo powinno rozpoznać istotną dla siebie współcześnie propozycję i przyjąć ją jako swoją.

Wajda, uzasadniając w autobiografii „Kino i reszta świata" (2000) decyzję ekranizacji „Pana Tadeusza", w zasadzie wprost sięga po podobne argumenty: „Myślałem więc o »Panu Tadeuszu« jako o pięknym, bezinteresownym utworze, który pozwala zanurzyć się w dzieciństwie – a każdy chce dzisiaj zanurzyć się w dzieciństwie. Skoro mamy iść do Europy, każdy chce wiedzieć, jak się nazywa, jakim mówi językiem, kim byli jego rodzice, jaka jest jego przeszłość – choćby po to, by się troszeczkę od innych odróżniać, gdy już do tej Europy wejdziemy".

Jak jednak reżyser przyznawał dalej, gdy na planie zobaczył, jak w ustach takich aktorów jak Olbrychski czy Seweryn ożywia mickiewiczowski język, zrozumiał, jak bardzo aktualne są diagnozy poety, bo przecież „ciągle oglądamy wokół siebie te same cechy polskiego charakteru, które nas gubią".

W podobny sposób Wajda uzasadniał w wywiadach sięgnięcie po tekst Fredry: „Kiedy włącza się telewizor, co się widzi? Dokładnie takich samych ludzi jak u Fredry. Spór o dziurę w murze to jest spór, który prowadzą dzisiaj stronnictwa polityczne. »Zemsta« to utwór nieśmiertelny, zawsze będzie wracać".

Język Fredry – inaczej niż Mickiewicza w „Panu Tadeuszu" – nie chce jednak ożyć na ekranie, sprawia sztuczne, „teatralne" wrażenie. Podkreśla to jeszcze zakończenie, gdy poszczególne postaci wychodzą na scenę w teatrze i kłaniają się widzom. Język Fredry jest tak samo niewygodny dla współczesnego odbiorcy, jak na wpół zrujnowany zamek jest niewygodny jako siedziba, miejsce do zamieszkania – sam Cześnik mówi: „tu mieszkamy jakby sowy".

„Przeszłość to obcy kraj". Te słowa otwierające „Posłańca", powieść L. P. Hartleya i jej wybitną ekranizację Josepha Loseya – w których dorosły bohater wspomina wydarzenia z dzieciństwa, z wakacji, jakie spędził w majątku ziemskim szkolnego przyjaciela – są szczególnie prawdziwe w państwach o historii tak pełnej zerwań i dziejowych katastrof, jak polska.

Kino Wajdy wielokrotnie podejmowało temat tego, jak katastrofa narodowej wspólnoty oddziela ją od jej własnej przeszłości. W tym interpretacyjnym kluczu można też czytać najbardziej udaną komedię Wajdy, nakręconego dla telewizji „Przekładańca".

Pozornie ten film nie ma nic wspólnego z polską historią, typowymi tematami Wajdy i jego wizualnymi obsesjami. Scenariusz napisał Stanisław Lem, akcja rozgrywa się w przyszłości – na początku XXI wieku.

Bohaterem jest odnoszący sukcesy kierowca rajdowy Ryszard Fox, który w wyniku kolejnych wypadków zaczyna składać się w większości z organów przeszczepionych od innych osób – co rodzi prawne spory na temat jego tożsamości, a nawet samego istnienia. Film podejmuje znany od starożytności problem „statku Tezeusza": czy statek, w którym wraz z gniciem drewna stopniowo wymieniano wszystkie deski, wiosła, maszty, pozostaje tym samym statkiem, czy staje się innym zupełnie innym obiektem? – pytał Plutarch.

Powojenna Polska po katastrofie drugiej wojny, Zagładzie Żydów, przesunięciu granic, powojennej rewolucji społecznej wywracającej stosunki własnościowe i tworzącej nową elitę, wymuszonej modernizacji, mogła wydawać się spadkobiercom szlachecko-inteligenckiej formacji „historycznym statkiem Tezeusza". I kino Wajdy w swoich największych osiągnięciach zadaje te same pytania wobec Polski, jakie w „Przekładańcu" prawo stawia wobec pokiereszowanego i poskładanego na nowo Ryszarda Foxa.

●

Foxa z tematyką wielkiego historycznego kina Wajdy łączy odtwarzający go aktor. W filmach Szkoły Polskiej z przełomu lat 50. i 60. Bogumił Kobiela był obsadzany w rolach postaci komicznych, próbujących konformistycznie płynąć z nurtem wydarzeń i dostosować się do niego. Jego bohaterowie ukazywali groteskowy wymiar tragifarsy polskiej historii.

U Wajdy w „Popiele i diamencie" postać odtwarzana przez Kobielę – sekretarz prezydenta miasta Drewnowski – stanowi przeciwwagę dla heroicznego Maćka Chełmickiego. Jednocześnie tragizm powojennej rzeczywistości, jak pokazuje ją Wajda, polega na tym, że nie można w niej dokonać dobrych wyborów. Przegrywają wszyscy: Maciek, Drewnowski, komunista Szczuka. Historia w takim samym sposób okrutnie kpi sobie z wysiłków, pragnień i złudzeń ich wszystkich.

Ten okrutny śmiech historii jest czymś, co wraca w całym kinie Wajdy. Historia śmieje się bezlitośnie z polskim żołnierzy Wielkiej Armii pod Moskwą i z ambicji trzech młodych przyjaciół marzących o wielkich pieniądzach w przemysłowej Łodzi „Ziemi obiecanej". Z Mateusza Birkuta, wyniesionego i strąconego z cokołu przez stalinowskie państwo w „Człowieku z marmuru" i z gości bronowickiego „Wesela" uwięzionych w chocholim tańcu. Kino Wajdy nie ulega temu śmiechowi, nie kpi ze swoich bohaterów, ukazuje całe ich piękno i tragizm w starciu z okrutnym rechotem historii. Tragiczna polska historia nigdy nie była tak piękna, jak na ekranie u Wajdy.

I właśnie to szczególnie uwrażliwienie na okrutny śmiech historii czyni Wajdę twórcą mającym istotny problem z komedią – która jako gatunek powinna wszak przynosić szczęśliwe zakończenie, podniesienie na duchu i pogodzeniem ze światem.

Być może najbliżej tego jest „Pan Tadeusz", film pełen wspaniale narysowanych komicznych postaci drugiego planu, gdzie tak jak na komedię przystało, małżeństwo kończy rodzinny konflikt i oglądamy obraz narodu przynajmniej przez chwilę pogodzonego ze sobą samym i swoim istnieniem w historii.

Ale Wajda przenosi ten paryski epilog na początek filmu. Tak pokazuje, że do tej szczęśliwej rzeczywistości nie ma powrotu, to przeszłość, kraj lat dziecinnych, to obcy kraj. ●

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 738f82d54d

NIE WIEDZIAŁAM, ŻE POTRAFIĘ TAŃCZYĆ

Z AKTORKĄ **JULIETTE BINOCHE** *
ROZMAWIA **KUBA ARMATA**

Tegoroczne Berlinale zaczęło się od sporej kontrowersji związanej z wystąpieniem przewodniczącego jury Wima Wendersa, który mówił, że kino powinno być wolne od polityki. Spotkała go za to krytyka ze strony mediów, ale również innych twórców, jak chociażby Tildy Swinton czy Javiera Bardema. Co pani o tym sądzi?
– Wim Wenders nie jest politykiem i ma pełne prawo mówić to, co naprawdę czuje. Nasze życie bazuje dzisiaj na osądach, a reakcje ludzi są niezwykle surowe. Artyści zawsze solidaryzują się z cierpiącymi. Przecież właśnie to najczęściej wyrażamy w filmie, teatrze, literaturze, muzyce. Wierzymy, że poprzez sztukę możemy sięgnąć po jeszcze większe pokłady człowieczeństwa, zbliżyć się do tego, co ludzie naprawdę przeżywają.

Uważam, że wszędzie potrzebujemy sztuki, także jako narzędzia komunikacji, poznania różnych punktów widzenia. Dlatego ten osąd Wendersa wydał mi się bardzo ostry i niepotrzebny. Powiedziałabym nawet, że trochę głupi. Te słowa padły w odpowiedzi na pytanie dziennikarza związane z sytuacją w Strefie Gazy.

Oczywiście chodzi również o to, że Wim jest Niemcem. W Niemczech czuje się odpowiedzialność za przeszłość i bardzo trudno jest tam cokolwiek powiedzieć na temat Żydów. Niemniej artyści – także Niemcy – stoją po stronie tych, którzy cierpią. Zawsze jesteśmy po tej stronie.

Dla reżyserów, aktorek, aktorów otwarte mówienie o swoich poglądach, zwłaszcza politycznych, i bycie szczerym stało się w ostatnich latach bardziej ryzykowne. Serwisy społecznościowe nie dość, że wiele rzeczy potrafią rozdmuchać do gigantycznych rozmiarów, to jeszcze często wyrywają coś z określonego kontekstu. Czy to sprawia, że jest pani ostrożniejsza, kiedy ma przed sobą mikrofon?
– Prawdziwą rolą artystów, zwłaszcza kiedy się o nas mówi, jest wybieranie filmów, które zmienią świat, poruszą ludzkie serca, wpłyną w jakiś sposób na życie innych. Nie chodzi wcale o posiadanie opinii. Nie po to tu jesteśmy. Chcemy, również za sprawą naszych zawodowych wyborów, stać się częścią świata, wzbogacać go, inspirować. To jest nasz główny cel. Nie wygłaszanie opinii. A jeśli w coś naprawdę wierzysz, to działaj, jedź tam, rusz się i pomóż na miejscu.

Artyści mają jednak dużą siłę przebicia, przez co niektóre ich działania mają wymiar symboliczny. Pani na przykład jakiś czas temu obcięła włosy, solidaryzując się z kobietami z Iranu. Miała pani jakieś obawy z tym związane?
– Kiedy obcięłam włosy na znak solidarności z kobietami protestującymi w Iranie, nie bałam się, ale też nie mieszkam tam. Nie wiem, jakbym się zachowała, gdybym była Iranką.

Łatwiej jest jednak, kiedy znajdujesz się po drugiej stronie granicy. Takie gesty to jedno, ale my artyści nie jesteśmy politykami. Jesteśmy zupełnie innym gatunkiem, który stoi po stronie tych słabszych. Rolą artysty jest przepuszczenie ludzkiego doświadczenia przez formę artystyczną. Sztuka to siła. Sztuka to intencja. Kiedy oglądasz filmy Wima Wendersa, to nie tylko dostajesz jakieś informacje o świe-

• **Festiwal Filmowy W Berlinie. Premiera filmu „Queen at Sea" (17.02. 2026)**

FOT. DOMINIQUE CHARRIAU/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

cie. One wzbogacają twoje życie, czynią cię lepszym, bardziej ludzkim.

Wydaje mi się, że podobnie może być w przypadku filmu, który prezentowała pani w tym roku na Berlinale, choć nie sposób nazwać go politycznym. „Queen at Sea" jako przejmująca opowieść o demencji czy seksualności w podeszłym wieku, przełamuje społeczne tabu wokół tych tematów.
– Przyciągnął mnie sam temat, ale też bardzo spodobał mi się scenariusz, który dostałam od Lance'a, bo zostawiał otwartą przestrzeń. Mogłam realnie włączyć się w proces twórczy. Opowiedziałam mu o pewnym momencie z mojego życia. Mój ojciec był wtedy ciężko chory, a dzieci wchodziły właśnie w okres nastoletni. Odkrywały zupełnie inne życie, uczucia, seksualność. To wszystko działo się w tym samym czasie. Czułam wtedy, że żyję pomiędzy dwoma światami, dwoma generacjami.

Pamiętam, jak budziłam się w nocy z nerwów i zadawałam sobie pytania, jak to wszystko udźwignąć.

Na Lance ten obraz bycia osaczonym przez dwie potężne, przeciwstawne siły zrobił wrażenie. Z jednej strony nowe, rozkwitające dopiero życie, z drugiej to, które powoli odchodzi, żegna się ze światem. Może po to, by zacząć coś innego? Na pewno jednak kończy ten etap. To był dla mnie bardzo trudny moment w życiu. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam wtedy, jak sobie z nim poradzić.

Nie obawia się pani demencji na pewnym etapie życia?
– Mam pewne obawy z tym związane. Moi rodzice chorują na otępienie z ciałami Lewy'ego, czyli coś, co jest bardzo blisko spokrewnione z Alzheimerem. To trudne, bo czasami mam takie momenty, obiekcje przed pójściem do nich. Opiekuję się jednak nimi, staram się robić, co w mojej mocy przy tym trybie pracy. Gram w różnych miejscach na świecie, ciągle jestem w podróży, mam dzieci. Na szczęście mam rodzeństwo, więc nie decyduję o wszystkim sama.

W filmie podjęty jest też temat domu opieki. To jest bardzo trudna decyzja. I nigdy nie wiesz, czy właściwa.

Czy praca nad takim filmem skłania do zadania sobie pytań o własne życie i o to, jak się ono zakończy?
– Myślę o tym prawie codziennie. To naturalny temat, który stale powraca w moim życiu.

Od czasu, kiedy byłam małą dziewczynką, towarzyszą mi te wielkie, egzystencjalne pytania pokroju, dlaczego tu w ogóle jestem.

I jak pani na nie odpowiada?
– Że to część mojej drogi. Wierzę w kontynuację.

Czy to znaczy, że nie boi się pani śmierci?
– Tego nie powiedziałam (śmiech). Uważam, że kluczowe jest życie w świadomy sposób. Stałe zadawanie sobie pytania – czy to jest życie, które chcę prowadzić? Wydaje mi się, że przygotowujesz swoją śmierć właśnie przez to, jak wybierasz życie. To jest jego sednem, co wymaga większego wysiłku i świadomości. Życie stawia przed nami pewną możliwość, propozycję. Jak stać się człowiekiem, którym naprawdę chcemy być.

Wartości ewoluują i popełniamy błędy. Uczymy się na tych błędach. Staramy się przepracować trudne doświadczenia. Na szczęście mamy na to czas.

W „Queen at Sea" towarzyszy pani dwójka starszych aktorów wcielających się w role pani ekranowej matki oraz ojczyma – 88-letni Tom Courtenay i 79-letnia Anna Calder-Marshall, za co zresztą nagrodzeni zostali Srebrnym Niedźwiedziem. Jakie to było dla pani spotkanie?
– Lance Hammer urządził nam coś na kształt warsztatów w domu, gdzie później kręciliśmy film. Byliśmy tam tylko w czwórkę – Lance, Tom, Anna i ja. To idealna sytuacja dla aktorów, by móc zbudować między sobą więź. Ten czas pomógł zacieśnieniu relacji, co później przełożyło się na film, który musieliśmy nakręcić tylko w pięć tygodni. Bardzo dobrze się dogadywaliśmy. Nawet kiedy zaczęliśmy zdjęcia, większość czasu spędzaliśmy w tym domu. Gdy inni wychodzili na lunch, my wraz z Anną i Tomem tam zostawaliśmy.

Śmialiśmy się dużo, naprawdę świetnie się bawiliśmy. Pewnie też w ten sposób odreagowywaliśmy trudny temat filmu, krążący wokół tego, czy osoba chora na demencję jest świadoma aktu seksualnego i wydaje na niego zgodę. Ten wspólny czas, w przerwach między zdjęciami, kiedy na przykład zbieraliśmy się w kuchni, bardzo nas do siebie zbliżał.

Dylemat, o którym pani wspomniała, odnosi się do jednej z pierwszych scen filmu. Pani bohaterka „przyłapuje" swoich bliskich na intymnym zbliżeniu. Jest przekonana, że jej ojczym wyrządza krzywdę cierpiącej na demencję kobiecie. Dzwoni na policję i zgłasza zdarzenie – i cała machina rusza. Trudno rozwiązać tę sytuację, bo ścierają się dwie perspektywy – czy to dawanie komuś przyjemności, szczęścia czy krzywdzenie go. Pojawia się pytanie o zdolność do wydania zgody.
– Chodziło nam też o to, by podzielić się wszystkimi możliwościami, które niesie ta sytuacja. By pokazać, jak bardzo dotyka to niemal każdego z nas, gdy nadchodzi demencja. Jakie są reguły, prawa, instytucje, które się zajmują rozpatrywaniem takich sytuacji. Również jak sobie radzić z tym w życiu prywatnym, w obrębie rodziny, ale również w kontakcie ze światem zewnętrznym. Lance chciał postawić te wszystkie pytania przed nami, nie dając przy tym żadnych moralizujących odpowiedzi. Uważam, że to było bardzo mądre z jego strony, bo to naprawdę trudny, bardzo kontrowersyjny temat. Trudno jednoznacznie określić, po której stronie stanąć.

Prawdziwą rolą artystów, jest wybieranie filmów, które zmienią świat, poruszą ludzkie serca, wpłyną jakoś na życie innych

Patrząc na pani filmografię, mam wrażenie, że lubi pani ryzykować jako artystka. Myślę tu chociażby o ubiegłorocznym reżyserskim debiucie – dokumencie opowiadającym o eksperymencie artystycznym z 2007 roku, kiedy wraz z brytyjskim choreografem i tancerzem Akramem Khanem stworzyliście spektakl taneczno-teatralny. To był powrót do tego materiału po prawie dwóch dekadach. Skąd ten pomysł?
– Kiedy robiłam ten spektakl, przeżywałam coś naprawdę niezwykłego. To było bolesne doświadczenie, ale jednocześnie pełne życia i pasji. Już wtedy pomyślałam, że chciałabym z tym coś zrobić, żeby po światowym tourze spektaklu nie poszło to w zapomnienie.

Chciałam zostawić po tym eksperymencie jakiś ślad, bo już sam fakt, że tańczę, brzmi jak kompletne szaleństwo.

Kiedy byłam w Nowym Jorku, na spektakl przyszedł Robert Redford i tuż po nim wpadł do mojej garderoby. Wciąż jeszcze byłam w kostiumie scenicznym. Zamknął za sobą drzwi, chwycił mnie za rękę i powiedział: „Musicie zrobić z tego film".

Tak się zatem zaczęło?
– To miało miejsce już pod koniec tournée, więc poprosiłam siostrę, żeby sfilmowała siedem ostatnich pełnych spektakli. Trzymałam te taśmy u siebie przez piętnaście lat. Trzy lata temu spotkałam w Cannes producentki, które się tym zainteresowały. Najpierw myślałam o samym spektaklu, ale potem doszłam do wniosku – i poczułam to bardzo mocno – że potrzebujemy dokumentu, który będzie jak najbliżej całego aktu tworzenia. Chciałam, żeby widz sam mógł doświadczyć, jak to jest być w napięciu, w radości, w zadyszce, w tym ciągłym niepokoju.

Czy to wiele pani dało?
– Nie wiedziałam na przykład, że potrafię tańczyć. Kocham ruch i kiedy gram w filmach, on we mnie jest. Wywołuje go emocja, uczenie się tekstu, współpraca z innymi.

Niemniej ruch na scenie to było dla mnie prawdziwe odkrycie. Przerażające, bolesne i fascynujące zarazem. Kiedy tracisz oddech, naprawdę myślisz, że umrzesz.

Każdej nocy, zanim wyszłam na scenę, byłam przekonana, że padnę i mnie to zabije. Nie znasz tak naprawdę swoich granic, nie wiesz do końca, na co cię stać. To wszystko wymaga odwagi i pokonania własnego strachu.

Czy radzenie sobie ze strachem to coś, co nierozerwalnie związane jest z aktorstwem?
– Myślę, że tak. Z wiekiem przyzwyczajasz się trochę do stresu, wyzwań, oczekiwań. Choć w przypadku tego spektaklu, po stu przedstawieniach na całym świecie, poczułam, że już nic nie jest takie samo. To był taki skok w nieznane. Czasami chciałam uciec. Pamiętam niektóre poranki, kiedy bardzo wcześnie szłam na charakteryzację, przygotowanie fryzury i powtarzałam sobie – po co ja to robię? Jednak później, na scenie zmienia się perspektywa. Nagle to nabiera głębokiego sensu. Dzielisz się czymś prosto z twojego wnętrza. Powrót po latach do tych taśm i praca nad dokumentem były dla mnie kolejną podróżą w głąb siebie i lekcją, że w sztuce może być wiele siły i intencji. ●

• Z choreografem Akramem Khanem. Kadr z dokumentu „In-i in Motion"

FOT. MK2 FILMS

FOT. REUTERS/MARYAM MAJID

• Berlinale. W czasie promocji filmu „Queen at Sea" z aktorami grającymi jej matkę i ojczyma: Anną Calder-Marshall i Tomem Courtenay'em (luty br.)

*Od czterech dekad w kinie

• **JULIETTE BINOCHE** (rocznik 1964) to jedna z najbardziej cenionych francuskich aktorek. Zadebiutowała w 1985 r. na Festiwalu w Cannes w „Rendez-vous" André Téchinégo i ten film uczynił ją gwiazdą we Francji. Współpracowała z wieloma znanymi reżyserami m.in. Michaelem Hanekem, Abbasem Kiarostamim, Leosem Caraxem, Olivierem Assayasem czy Krzysztofem Kieślowskim. Jej filmografia obejmuje zarówno kino artystyczne, jak i produkcje bardziej mainstreamowe. Wśród licznych nagród ma m.in. Ceasara za rolę w „Trzy kolory: Niebieski" (1993), Oscara za rolę drugoplanową w „Angielskim Pacjencie" (1996), nominację do Oscara za „Czekoladę" (2000) oraz nagrodę aktorską w Cannes za „Zapiski z Toskanii" („Certified Copy", 2010).

• W 2024 r. została wybrana nową prezydentką Europejskiej Akademii Filmowej, zastępując na tym stanowisku Agnieszkę Holland. W 2025 r. była przewodniczącą jury 78. Festiwalu w Cannes, przejmując tę funkcję po Grecie Gerwig (to było wydarzenie historyczne, bo drugi raz z rzędu jury kierowała kobieta).

• W 2025 r. na festiwalu w San Sebastián zadebiutowała jako reżyserka. Pokazała tam swój dokument „In-I in Motion" o kulisach przygotowanego kilka lat wcześniej wspólnie z choreografem Akramem Khanem spektaklu tanecznego „In-I" oraz emocjonalnych i fizycznych wyzwaniach, które wiązały się ze światowym tournée (w sumie zagrano 100 przedstawień „In-I").

• Binoche była w lutym br. gwiazdą festiwalu Berlinale promując swój film „Queen at Sea" (2026). Dramat w reżyserii Lance'a Hammera, to historia kobiety (Binoche) mierzącej się z postępującą demencją swojej matki. W rolach jej matki i ojczyma wystąpili Anna Calder-Marshall i Tom Courtenay. Film zdobył Srebrnego Niedźwiedzia – Nagrodę Jury oraz nagrody za drugoplanowe role Courtenaya i Calder-Marshall. Nie wiadomo jeszcze kiedy będzie miał premierę w polskich kinach.

eprasa.pl 738f82d54d

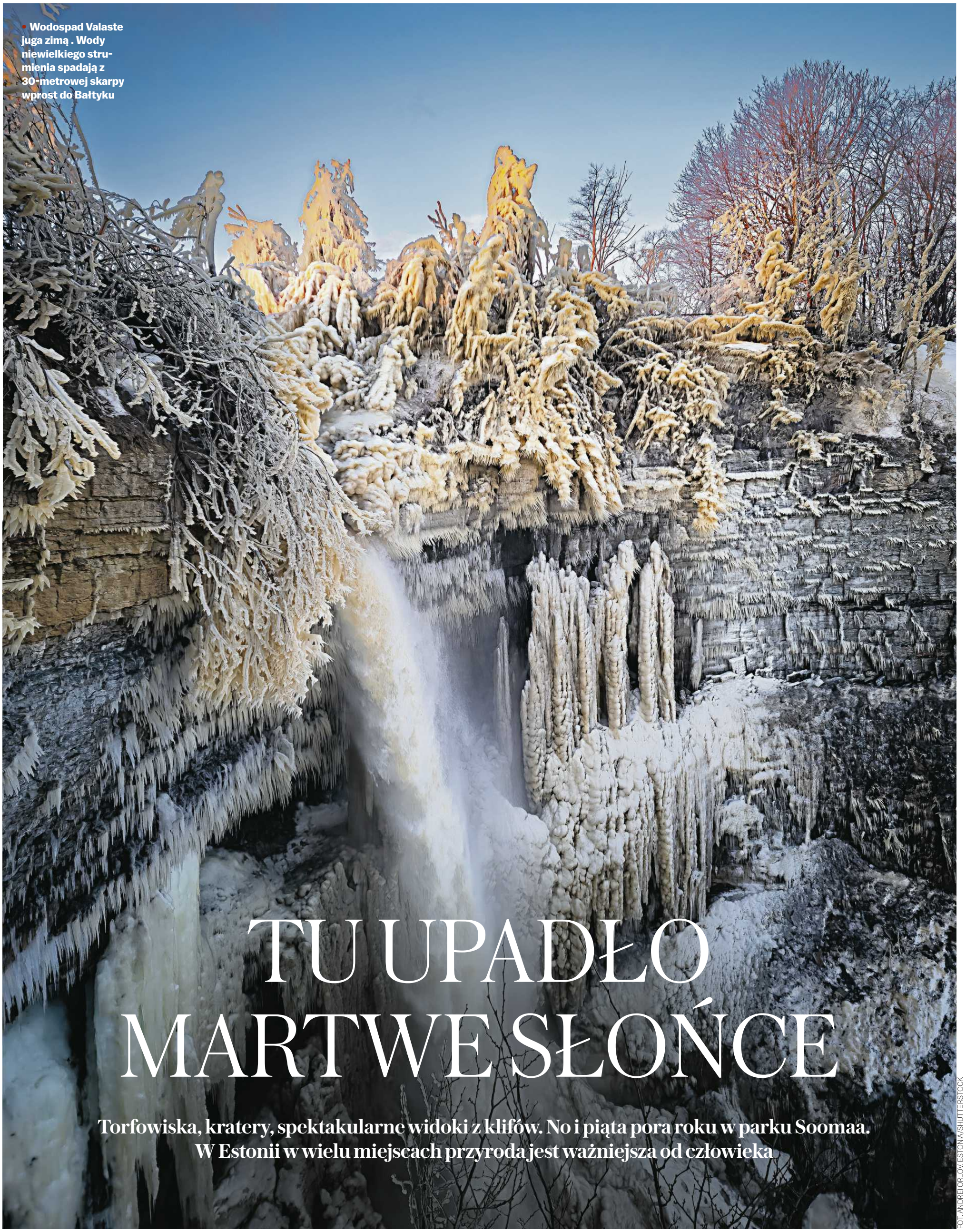

Wodospad Valaste juga zimą . Wody niewielkiego strumienia spadają z 30-metrowej skarpy wprost do Bałtyku

TU UPADŁO MARTWE SŁOŃCE

Torfowiska, kratery, spektakularne widoki z klifów. No i piąta pora roku w parku Soomaa. W Estonii w wielu miejscach przyroda jest ważniejsza od człowieka

FOT. ANDREI ORLOV, ESTONIA/SHUTTERSTOCK

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

Jakub Zygmunt *

Hiuma i Sarema – dwie największe wyspy Estonii – zyskały nowe, nietypowe połączenie drogowe. Jak poinformował w połowie lutego miejscowy urząd transportu, pokrywa lodowa na morzu stała się na tyle gruba, że można było otworzyć 17-kilometrową przeprawę po zamarzniętym Bałtyku dla samochodów i pojazdów do 2,5 tony. Droga połączyła wioski Tärkma i Triigi. Estońskie media donosiły, że już pierwszego dnia do „wjazdu na morze" ustawiła się długa kolejka kierowców.

Z perspektywy Polaka taka sytuacja wydaje się egzotyczna, choć skute lodem morze oglądaliśmy w tym roku także na naszym wybrzeżu, ale rzeczywiście Estonia ma o wiele mroźniejsze zimy. Nie jest to jednak tylko kraina śniegu i lodu z pejzażami jak z Arktyki.

Wszystkie nasze parki narodowe

Estonia – najmniejsza i najbardziej wysunięta na północ republika bałtycka – jest prawie siedem razy mniejsza od Polski (ma ponad 45 tys. km 2 / Polska – ponad 312 tys. km 2). Mieszka tu ponad 1,3 miliona osób, a gęstość zaludnienia to ok. 30 osób na kilometr kwadratowy (u nas to 123 osoby na km kw.) Tak słabo zamieszkany obszar jest domem dla niezliczonych gatunków roślin i zwierząt, a przyrodnicze bogactwo zasobów dodatkowo wspierają liczne działania proekologiczne Estończyków. Blisko 1/5 kraju znajduje się bowiem pod jedną z kilku form ochrony. Są tu: 6 parków narodowych, 242 rezerwaty przyrody, 140 parków krajobrazowych i ponad 1000 pomników przyrody.

Pędząc drogą z Rygi do Tallinna, często nie mamy świadomości, jak niezwykły świat kryje się za szpalerem przydrożnych drzew i krzewów. Estonia to kraina lasów i torfowisk. To też kraina wodospadów, rzek i jezior. Można tu znaleźć liczne kratery po uderzeniu meteorytów, a w Parku Narodowym Soomaa doświadczyć piątej pory roku.

Wspomniane Hiuma i Sarema to niejedyne wyspy w Estonii. Tych doliczono się aż 1520, choć niektóre źródła podają jeszcze większą liczbę! Estończycy są związani z morzem, o czym świadczy choćby długość ich linii brzegowej – 3794 km. To kraj, gdzie w wielu miejscach przyroda jest ważniejsza od człowieka.

Lasów ci u nas dostatek, choć nie zawsze tak było

W tym północno-wschodnim zakątku Europy dominują lasy mieszane z brzozami, sosnami czy świerkami. Nie jest to jeszcze strefa występowania tajgi, ale struktura gatunkowa w znacznym stopniu już do niej nawiązuje. Podczas wędrówki przez leśne ostępy spotkamy m.in.: sarny, jelenie, łosie, dziki, borsuki i lisy. Bardzo dobrze ma się w Estonii populacja największego z europejskich drapieżników – niedźwiedzia brunatnego. Najnowsze szacunki (z sierpnia 2025 roku) wskazują, że żyje tu około 1000 osobników tego gatunku, podczas gdy np. w Polsce doliczono się niespełna 400. W najbardziej odosobnionych regionach Estonii możemy się też spotkać z watahami wilków.

Ale nie zawsze Estonia była tak zalesiona. W XIX wieku i pierwszej połowie XX wieku Estończycy wycinali lasy na potęgę, żeby zwiększyć areał rolny. W 1930 roku lasy stanowiły tylko 1/3 powierzchni kraju. Po II wojnie światowej zaczęto jednak stopniowo odbudowywać zasoby aż do dzisiejszego poziomu. Opuszczone pola uprawne zaczęły zarastać i doszło do naturalnej sukcesji roślinnej.

Obecnie lasy są ważnym źródłem drewna, a gospodarka leśna pełni istotną funkcję w rozwoju kraju. Wielu Estończyków twierdzi, że w ostatnich latach wycinanie lasów przyspieszyło i mamy do czynienia z działalnością rabunkową. Czy tak jest, trudno rozstrzygnąć. Estońskie lasy wciąż jawią się jako ostoja dzikiej przyrody i dom wielu zwierząt. Szczególnie możemy tego doświadczyć podczas wędrówki po jednym z wielu torfowisk, z których ten kraj słynie.

Wędrujemy po Estonii – śladami przyrody

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

FOT. KRIVINIS/SHUTTERSTOCK

• **W Estonii można wędrować szlakiem kraterów po uderzeniu meteorytów. Jeden z najsłynniejszych – krater Kaali – znajduje się na wyspie Sarema (est. Saaremaa)**

FOT. JULIA KUZNETSOVA/SHUTTERSTOCK

• **Wieża widokowa na Suur Munamägi – najwyższej górze w Estonii (318 m n.p.m). Zudowano ją w 1939 r. i ma 25 m wysokości**

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Zabagniony kraj

Estonia jest jednym z najbardziej zabagnionych krajów na świecie, jeśli porównamy całkowitą powierzchnię kraju do tego, ile w nim zajmują tereny podmokłe i torfowiska – w Estonii to 1/5 obszaru (20-22 procent). Wyżej w takim rankingu są tylko Finlandia, Kanada i Rosja.

Płaska, pusta, bezdrzewna przestrzeń pełna oczek wodnych, porośnięta jedynie mchem torfowcem i karłowatymi roślinami to ekosystem stosunkowo nowy w estońskiej przyrodzie. Torfowiska zaczęły powstawać dopiero 8-9 tysięcy lat temu po ustąpieniu ostatniego lądolodu.

Potężne masy lodu przez całą epokę plejstocenu (od 2,5 miliona lat do 11 tysięcy lat temu) dokonywały erozji podłoża. Lądolód nie składał się wyłącznie z zamarzniętej wody, ale transportował dużo materiału skalnego głównie z północnych regionów Europy. Śladami dawniejszych procesów glacjalnych są chociażby gigantyczne głazy narzutowe, które można spotkać w wielu miejscach w Estonii. Rzeźba terenu nie jest tu płaska i monotonna. Na południu znajdują się wzgórza morenowe zbudowane ze skał przywleczonych w plejstocenie. Tam, gdzie powstały zagłębienia, dzisiaj mamy jeziora polodowcowe. Niektóre z nich kilka tysięcy lat temu zaczęły zarastać, co spowodowało wytwarzanie się torfu i powstawanie mokradeł.

Piąta pora roku w Soomaa

Najlepiej bogactwo podmokłego ekosystemu zobaczymy w Parku Narodowym Soomaa (nazwa oznacza „krainę bagien") w południowej Estonii, w połowie drogi pomiędzy miastami Parnawą i Viljandi. Pod ochroną znajduje się tutaj 390 km kw torfowisk, podmokłych lasów i meandrujących rzek. Park zajmuje niewielką nieckę, dzięki czemu wczesną wiosną można tutaj obserwować zjawisko nazywane przez Estończyków piątą porą roku.

W dużym uproszczeniu to regularne wielkie powodzie, które najczęściej występują tu pod koniec marca i na początku kwietnia (a mogą się też zdarzyć jesienią). Podczas roztopów tak podnosi się stan wody w czterech zbiegający się tu rzekach, że tworzą się rozlewiska o powierzchni nawet 150 km kw. Pola, łąki, lasy i drogi są pod wodą, a jedynym środkiem transportu do odległych gospodarstw jest... tradycyjne czółno haabjas lub kajak. To zjawisko stało się też estońską atrakcją turystyczną, bo można na canoe safari pływać sobie nad koronami drzew zalanego lasu.

Soomaa to także kilka kilometrów drewnianych kładek rozrzuconych po torfowiskach. Wędrowanie po nich to wyjątkowe doświadczenie. Za budowę, konserwację i udostępnianie miejsc przyrodniczych turystom odpowiada RMK (Riigimetsa Majandamise Keskus) – takie tutejsze Lasy Państwowe. Ta instytucja dba o dostęp do szlaków turystycznych, zarówno w formie kładek na torfowiskach, jak i ścieżek leśnych, a także o wieże widokowe, tablice informacyjne, mapy i miejsca piknikowe z ławami i wiatami. Nie musimy koniecznie jechać do Soomaa, żeby korzystać z tych udogodnień. Praktycznie w każdym zakątku Estonii możemy wędrować po torfowiskach i lasach, piknikować i rozbijać namiot.

Oaza staroobrzędowców

Wyjątkowym doświadczeniem jest także wizyta nad największym z estońskich jezior – Pejpusem. Wraz z sąsiednimi jeziorami Lämmijärv i Pskowskim tworzą jeden zbiornik o powierzchni ponad 3,5 tys. km kw., który zarazem stanowi piąte pod względem wielkości jezioro w Europie (pierwsze cztery to sąsiedzi: Ładoga i Onega w Rosji, Vänern w Szwecji i Saimaa w Finlandii). Pejpus na wschodzie Estonii tworzy naturalną granicę państwową z Rosją. Nie jest to głęboki akwen: średnio 8 m, a w najgłębszym miejscu 17,6 m. Linia brzegowa jest

eprasa.pl 738f82d54d

• **Park Soomaa. Zjawisko nazywane piątą porą roku czyli sezonowe powodzie, których oglądanie stało atrakcją turystyczną**

FOT. WIRESTOCK COLLECTION/SHUTTERSTOCK

Podcast
Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Alicja Dąbrowska rozmawia z autorem tekstu Jakubem Zygmuntem, (blogerem znanym jako Sądecki Włóczykij), autorem „Inspiratora podróżniczego. Litwa, Łotwa, Estonia".** Czy Estonia to kraj spacerowiczów? A może kraj prezydentek i premierek, skoro często rządzą nim kobiety? Jak wyglądają relacje Estończyków z naturą? Skąd się bierze ich wiara w moc drzew i dlaczego nie chcą ich nadmiernie wykorzystywać? Jakie ślady – w naturze, folklorze i literaturze – odcisnął meteoryt, który spadł na estońską wyspę tysiące lat temu? Dlaczego aż 10 proc. Estończyków śpiewa w chórach? I wreszcie – czy stąd pochodzi tradycja huśtania?

słabo rozwinięta, a sam brzeg w większości porośnięty sitowiem.

Inaczej wygląda krajobraz w najmniejszym estońskim miasteczku Kallaste, gdzie zobaczymy wybrzeże klifowe zbudowane z czerwonego piaskowca, który ma ponad 400 milionów lat i pochodzi z epoki dewonu. Malownicza formacja to pozostałość po pradawnym środowisku olbrzymich rzek roztokowych płynących w gorącym klimacie półpustynnym.

Kallaste jest ciekawe także ze względu na swoich mieszkańców. Na zachodnim brzegu Pejpusa od XVII wieku osiedlali się staroobrzędowcy, którzy uciekali tutaj przed represjami ze strony władz carskich i hierarchów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Obecnie szacuje się, że w Kallaste i kilkunastu innych miasteczkach nad Pejpusem żyje około 15 tysięcy staroobrzędowców, z czego tylko 2,5 tys. praktykuje swoją wiarę i modli się w molennach. W Kallaste warto też odwiedzić cmentarz, gdzie zobaczymy stworzone w jednakowym stylu metalowe krzyże nagrobne – niezwykle zdobione i pomalowane na wiele kolorów.

Klify najdłuższe na świecie

Spokojne wybrzeże Pejpusa to nie jest jedyne miejsce, gdzie spotkamy klify. Na północy Estonii spektakularnych widoków dostarczy nam wybrzeże Zatoki Fińskiej. W niewielkiej wiosce Ontika, niedaleko Kohtla-Järve, znajdziemy najwyższy klif w tym kraju (56 metrów wysokości) oraz najwyższy wodospad w państwach bałtyckich – Valaste juga. Wody niewielkiego strumienia spadają tu z 30-metrowej skarpy wprost do Morza Bałtyckiego. A przy zwiększonych opadach deszczu huk spływającej z impetem wody słychać nawet z odległości kilkuset metrów.

Wybrzeże w okolicach wioski Ontika jest częścią większej struktury terenowej o nazwie klint bałtycki. Pod tym terminem kryje się ogromna krawędź skarpowa (klifowe, wapienne i dolomitowe ściany), która ciągnie się od szwedzkiej Gotlandii, przez dno Morza Bałtyckiego, północną krawędź Saremy, aż po wybrzeże Zatoki Fińskiej. Na terenie Estonii klint bałtycki liczy aż 300 km długości i niektórzy naukowcy uważają, że to najdłuższy klif na świecie.

Najstarszy, największy i najbliżej

Kolejny przykład klifowego, skalistego wybrzeża znajdziemy w Lahemaa – najstarszym i największym estońskim parku narodowym. Został założony w 1971 roku i wtedy był to pierwszy park narodowy w całym ówczesnym ZSRR. Pod ochroną znajdują się tutaj liczne torfowiska, nadmorskie jeziora oraz największe w kraju nagromadzenie głazów narzutowych.

Lahemaa jest też parkiem położonym najbliżej Tallinna. To sprawia, że latem jest tu tłoczno – według oficjalnych danych w ostatnich latach odwiedziło go około 200 tysięcy turystów. Na powierzchni ponad 700 km kw. wytyczono kilkanaście szlaków turystycznych o łącznej długości ponad 120 km. Najwięcej chętnych przyciąga spacer po drewnianych kładkach do bagna Viru – torfowisko z niewielkimi stawami w sercu sosnowego lasu jest tu jedną z największych atrakcji.

Szlak magicznych meteorytów

Od dawna bagnom, skałom czy lasom miejscowa ludność przypisywała magiczne znaczenie i nadludzkie moce. Podobnie było z kraterami po meteorytach, których jest w Estonii sporo. Najsłynniejszy – krater Kaali – znajduje się na wspomnianej już wcześniej wyspie Sarema (Saaremaa). Nie sposób tej struktury nie zauważyć podczas podróży przez tę największą z estońskich wysp. Znajduje się około 20 km na północ od stolicy regionu – Kuressaare – i składa się z kilku kraterów różnej wielkości. Największy ma 110 m średnicy i 22 m głębokości. Centralną część Kaali stanowi jeziorko otoczone lasem.

Przypuszcza się, że meteoryt mógł uderzyć w Saremę już w starożytności, około roku 1500 p.n.e. i był to prawdopodobnie odłamek ważący 450 ton. Uderzenie musiało być na tyle silne, że wyzwoliło energię porównywalną do energii bomby atomowej zrzuconej w 1945 roku na Nagasaki. Ustalono także, że eksplozja spowodowała pożar lasu na obszarze około 6 kilometrów na północny zachód od krateru.

Opowieści o upadku meteorytu pojawiają się w wierzeniach i kulturze pradawnych społeczności zamieszkujących wyspę. Folklor estoński (z eposem narodowym „Kalevipoeg" na czele) jest pełen opisów zjawisk będących zapewne skutkami tego wydarzenia. Pierwszy prezydent Estonii po odzyskaniu niepodległości w 1991 roku – Lennart Meri – wysunął tezę, że legendarna wyspa Ultima Thule opisywana przez starożytnych pisarzy to właśnie Sarema. Grecki geograf i podróżnik Pyteasz z Massalii podczas jej eksploracji miał zobaczyć „grób, gdzie upadło martwe Słońce", który pokazali mu miejscowi.

Na południowym wschodzie, niedaleko wioski Ilumetsa, znajduje się podobne zagłębienie po uderzeniu meteorytu, ale sprzed 7 tysięcy lat. Znacznie młodszych struktur należy szukać w gminie Väike-Maarja, gdzie jest krater Simuna powstały w 1937 roku. W tym przypadku odłamek kosmicznej skały nie był imponujących rozmiarów, bo zagłębienie ma średnicę 9 m i 2 m głębokości.

Kompletnie inną pamiątką po uderzeniu meteorytu jest struktura, którą zobaczymy na wyspie Hiuma. Niedaleko miasteczka Kärdla znajduje się krater o średnicy 3 kilometrów, który powstał 455 milionów lat temu, w epoce ordowiku. Był to okres, w którym jedyne formy życia istniały tylko w morzach, a lądy przypominały pustynie. Meteoryt wielkości 200 m uderzył w płytkie morze, przebił się przez wodę i eksplodował w podłożu skalnym, wyrzucając tony materiału na odległość nawet 30 km. Krater po tym wydarzeniu jest dzisiaj widoczny tylko w pojedynczych miejscach, gdzie odsłaniają się skały z tamtej epoki.

Widok z wielkiego jaja

Potęgę tutejszych lasów i pól poczujemy najdobitniej, kiedy wybierzemy się na południowy wschód Estonii, w okolice urokliwej miejscowości Haanja, gdzie znajduje się Suur Munamägi, najwyższa góra w kraju. Ta nazwa w luźnym tłumaczeniu to „góra wielkie jajo" i nie jest to bynajmniej jakiś żart. Wzgórze ma kształt kopuły i od dawien dawna tutejszym mieszkańcom kojarzyło się z jajkiem. Zresztą podobnie wyglądających wzniesień w tej część Estonii jest dużo i wiele z nich nazywa się podobnie.

Suur Munamägi ma 318 m n.p.m. i jest nie tylko najwyższą górą w Estonii, ale też w ogóle w państwach bałtyckich. Droga na szczyt nie należy do wymagających. Do pokonania jest ledwie 60 m różnicy terenu, i to po wygodnych schodach.

Na szczycie w 1939 roku zbudowano betonowo-szklaną wieżę widokową według projektu Artura Jürvetsona, popisowy przykład estońskiego funkcjonalizmu w architekturze. Ma 25 m wysokości, a przy dobrej widoczności można oglądać okolicę w odległości nawet do 50 km. To krajobraz polodowcowy pełen lasów, wzgórz morenowych, z pojedynczymi domostwami, wąskimi dróżkami, sporadycznie przedzielony polami uprawnymi. Świadczy o tym, że południowo-wschodnia Estonia jest regionem odludnym i dziewiczym, gdzie to człowiek musi się ukłonić naturze.

Szacunek do przyrody Estończycy mają nawet zapisany w konstytucji, która jasno wskazuje, że mają chronić to dziedzictwo. Zasoby naturalne uznawane są za dobro narodowe, a każdy człowiek ma obowiązek dbać o środowisko naturalne i naprawiać ewentualną szkodę, którą mu wyrządzi. Patrząc, jak bogate i zróżnicowane pod względem przyrodniczym jest to niewielkie państwo, można spokojnie stwierdzić, że Estończycy traktują zapisy z konstytucji bardzo poważnie. ●

FOT. WESTENDO61/GETTY IMAGES

• **Park Narodowy Lahemaa niedaleko Tallinna. Szlaki turystyczne mają tu w sumie ok. 120 km. Najpopularniejszą trasą jest spacer po drewnianych kładkach do bagna Viru**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Jakub Zygmunt

• Z wykształcenia geolog, z zamiłowania geograf, dziennikarz, animator kultury, przewodnik turystyczny oraz bloger, znany w sieci jako Sądecki Włóczykij. Pasjonat Sądecczyzny, z której pochodzi oraz Estonii, do której wraca, odkąd spędził tam rok (2016-17) jako wolontariusz EVS w Viljandi. Regularnie odwiedzia wszystkie państwa bałtyckie. Mówi po estońsku, angielsku, rosyjsku i łemkowsku.

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

ADAM MICHNIK POLECA

PISARZ, PRZED KTÓRYM OSTRZEGAŁ MIŁOSZ

Nie interesowały go książki, które się czyta przy ciepłym świetle po pracy w wygodnym fotelu. Literatura miała wstrząsać, pulsować, oddychać

Sebastian Słowiński

Choć Henry Miller urodził się w Nowym Jorku w 1891 roku, dom w Ameryce odnalazł dopiero pół wieku później. Musiał najpierw bez grosza przy duszy i bez znajomości języka wyjechać na dekadę do Francji, a potem przejechać wzdłuż i wszerz „klimatyzowany koszmar", jak nazywał Amerykę.

Na pierwszy rzut oka odnajdujemy w jego prozie tylko antyamerykańskie diatryby, naiwne pacyfistyczne odezwy i modernistyczny sprzeciw wobec cywilizacji. Krytyka feministyczna zaszufladkowała go jako mizogina i atakowała za przedmiotowe przedstawianie kobiet, inni krytycy sugerowali mu faszystowskie i antysemickie sympatie, niektórzy także egzaltację i grafomanię.

A jednak, gdy wejdziemy nieco głębiej w prozę Millera, zobaczyć możemy w nim kontynuatora wielkiej amerykańskiej tradycji filozoficznej transcendentalizmu, witalizmu Bergsona czy surrealistycznej poezji. Przede wszystkim zaś pisarza, który poważnie traktował życie i nie bał się żyć według własnych zasad.

Kim był pisarz, przed którym czytelników ostrzegał sam Czesław Miłosz?

•

W 1930 roku 39-letni Miller ze zmiętym dziesięciodolarowym banknotem w kieszeni marynarki uszytej przez ojca, który prowadził zakład krawiecki w Brooklynie, wsiadł na pokład transkontynentalnego promu płynącego do Europy. Cel: Paryż, zostać pisarzem.

Henry miał za sobą dziesiątki dorywczych prac, które wykonywał, aby utrzymać siebie, swoje dziecko, żonę, potem także drugą żonę. Pozornie przeciętne życie everymana. Wcześniej próbował pisać i miał nawet za sobą napisanie trzech powieści do szuflady, ale poza opublikowaniem kilku opowiadań, nie miał żadnego dorobku i uznania.

W drodze miał przy sobie także 32-stronicowy dokument zatytułowany od imienia drugiej żony i miłości życia: „June" (Juliet Edith Smerth). Napisał go w 1927 roku na zapleczu nowojorskiego wydziału zieleni, gdzie przez chwilę pracował jako urzędnik.

Maszynopis składał się z notatek, nazwisk, miejsc i skrótów myślowych; Henry wypisał tam wszelkie szczegóły ze swego dotychczasowego życia, notując dokładnie nazwy miejsc, obrazy, wspomnienia, inspiracje. Stworzył wtedy klucz do całej swojej twórczości, która koncentrowała się na jego dotychczasowym życiu w Nowym Jorku, dorastaniu na Brooklynie w wielojęzycznym tyglu, pierwszych miłościach i tej jednej miłości – June.

Była ona tajemniczą fordanserką pochodzącą z Bukowiny; Miller rozwiódł się z nią po dziesięciu latach burzliwego małżeństwa. To właśnie dzięki niej zaczął myśleć o pisaniu na poważnie i to ona zmusiła go do wyjazdu do Paryża, gdzie narodził się na nowo, tym razem jako pisarz.

Na podstawie tego dokumentu powstały niemal wszystkie jego powieści: „Czarna wiosna", „Zwrotnik Koziorożca", a także pisane przez niemal 30 lat trzytomowe „Różoukrzyżowanie". Ale mówiąc precyzyjnie, Miller przez całe dekady pisał tylko jedną powieść – księgę życia, jak sam mówił.

Jedynym materiałem jego powieści było to, co sam przeżył, a jego jedynym bohaterem literackim – on sam. Wściekał się zresztą, gdy krytycy mówili o „narratorze" czy „bohaterze" w jego twórczości, nie pozwalał zaszu-

• **Pisarz Henry Miller (1891-1980) na zdjęciu w czerwcu 1969 roku** FOT. BRENNAN /DAILY MIRROR/MIRRORPIX VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 738f82d54d

fladkować swojej pracy jako „literatury". – To ja, a nie żaden literacki twór! – protestował.

Z precyzją opisywał ludzkie typy, historie, anegdoty. Ale ostatecznie ciężko jest znaleźć w jego powieściach jakąś fabułę. „Ludzie – pisał w „Sexusie" – przywiązujący nadmierną wagę do klarowności wypowiedzi i logiki często stają się niezrozumiali".

Nie ma ani centrum, ani rozdziałów, a losy występujących tam bohaterów nie są oparte na związkach przyczynowo-skutkowych. Ani to surrealizm, ani postmodernizm; trochę klasyczny modernizm, a trochę filozofia spod znaku transcendentalistów i poezji Whitmana. Przede wszystkim jednak Miller był eseistą, w tym najbardziej precyzyjnym, renesansowym znaczeniu tego słowa.

Nie tylko pisał wyśmienite i arcydzielne eseje, ale także na samą jego twórczość powieściopisarską można spojrzeć jak na zlepek eseistycznych fragmentów, który spajają te same imiona, nazwy czy miejsca. Ostatecznie nie to jest ważne, nie forma dzieła, ale jego materia, a ta u Millera jest niezwykła niczym ludzka tkanka wzięta pod mikroskop.

●

Przed wyjazdem do Europy Miller nie tylko nie był pisarzem poważanym, ale wedle całkiem obiektywnych kryteriów w ogóle pisarzem nie był. Miał wtedy już prawie 40 lat i pracował zamiast tego na zmywaku, był śmieciarzem, kelnerem, tramwajarzem, bojem hotelowym, copywriterem, redaktorem, a także pracownikiem towarzystwa ubezpieczeniowego czy stacji benzynowej.

Henry mógł mieć dobre życie w Ameryce – pewnego dnia całkiem przypadkowo zdobył wysokie stanowisko menedżerskie w Western Union, instytucji, którą w swojej prozie unieśmiertelnił pod nazwą Kosmodemonicznego (lub Kosmopenisowego) Towarzystwa. Ta posada zapewniała mu zarówno całkiem wysokie i stabilne dochody, jak i powszechne społeczne uznanie.

Mógł spokojnie żyć, ubierać się w dobre garnitury, pić drogi alkohol, pisać do szuflady lub nawet aktywnie szukać wydawcy i pewnie w ostateczności wydać kilka powieści. Ale nie – „jeśli nie możesz tworzyć, nie możesz pracować", pisał, przykładając ogromną wagę do tego, aby literatura była przedłużeniem życia, żeby była samym życiem.

Nie interesowały go książki, które się czyta przy ciepłym świetle po pracy w wygodnym fotelu czy w łóżku tuż przed zaśnięciem. Literatura musiała wstrząsać, pulsować, oddychać. Do rzucenia dobrze płatnej pracy namówiła go June i odtąd poświęcał każdą sekundę swojego życia tylko jednej rzeczy: literaturze. Ale ją Miller rozumiał ogromnie szeroko, wychodziła za każdym razem poza marginesy kartek i mieszała się z życiem.

Dziesięcioletni pobyt w Paryżu pozwolił Millerowi odciąć się od Ameryki, której nienawidził. Lub raczej: nienawidził amerykańskiej kultury białych kolonizatorów: fabryk, samochodów, pieniędzy, wieżowców, korporacji. Brzydził się rasizmem, uprzedzeniami, małostkowością.

Wyczuł logikę dojrzewającego kapitalizmu neoliberalnego, którego naczelną zasadą jest wzrost i zysk. Wszystko to odziera człowieka z godności, dlatego właśnie Miller uciekł, aby odnaleźć na drugim kontynencie człowieczeństwo. I w Paryżu istotnie je znalazł, z dala od rodzinnych problemów, przemocowej, jakbyśmy dziś powiedzieli, matki, zaborczej żony, bezsensownej pracy i pogrążającej się w kryzysie gospodarczym Ameryki.

W Paryżu poznał Anaïs Nin, Lawrence'a Durrella czy Alfreda Perlèsa, przyjaciół, z którymi na Villa Seurat na Montparnassie urządzili otwarty dom literacki. Niewielka kamienica mieszcząca się na ślepej uliczce kipiała od pomysłów, dyskusji i śmiechu.

Tam Miller nauczył się, że literatura tworzy się w gwarze i doświadczeniu. Choć miał rygorystyczny stosunek do samego pisania przy maszynie, wiedział, że nie może ona powstawać w oderwaniu od życia. „Na ulicy się uczysz, kim naprawdę są ludzie; w przeciwnym razie sam sobie ich wymyślasz. To, co się nie dzieje na środku ulicy, jest czymś fałszywym, wtórnym, jednym słowem literaturą" – pisze w „Czarnej wiośnie".

●

W Paryżu dzięki wysiłkom przyjaciół wydał swoją pierwszą książkę, „Zwrotnik Raka", w 1934 roku, potem „Czarną wiosnę" i w 1939 roku „Zwrotnik Koziorożca". Powieści przesiąknięte przemocą, szpetotą, brudem ulicy i seksem.

Ale uważny czytelnik dostrzeże, że w tej literackiej erupcji migocą także elementy zachwycające szczerym, naiwnym i prostodusznym optymizmem. „Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi" – zaczyna „Zwrotnik Raka" i niejako na wspak opisywanemu w książce rozkładowi kończy powieść afirmatywnym obrazem spaceru wzdłuż Sekwany: „Słońce zachodzi. Czuję, jak rzeka przepływa przeze mnie – jej przeszłość, jej wiekowa ziemia, zmieniający się klimat. Wzgórza okalają ją pierścieniem: jej bieg jest ustalony".

Wydawcą Millera został słynny z publikowania „nieprzyzwoitej" literatury Jack Kahane, szef Obelisk Press, które później, po II wojnie światowej, zostało przejęte przez jego syna, Maurice'a Girodiasa, i przemianowane na Olympia Press. Girodias promował odważną literaturę, bo oprócz Henry'ego Millera do jego autorów należeli Nabokov, Burroughs czy Beckett.

Warto zaznaczyć, że historia Millera to równolegle historia bezkompromisowych wydawców i prekursorów wolnego słowa. Jednym z jego pierwszych amerykańskich wydawców był fizyk jądrowy, zagorzały pacyfista, Bern Porter, który poznał się z Millerem, gdy ten mieszkał już w Kalifornii.

Dość ironiczna postać, bo pracował w Manhattan Project przy budowanie bomby atomowej, a w międzyczasie wydał własnym sumptem antywojenny esej Millera „Zamordować morderców". Po zrzuceniu bomb na Hiroszimę i Nagasaki Porter zrezygnował z dalszych prac, ale trzeba przyznać, że to dość egzotyczne połączenie.

W owym eseju Miller podnosi pacyfistyczne larum, krytykuje ludzi zaangażowanych w konflikt po stronie alianckiej i obwieszcza, że „ci, którzy namawiają do zabijania, nie należą do przyszłego świata – należą do przeszłości". Jest w tym szlachetna słuszność, acz hasła o nieangażowaniu się wojnę, ponieważ przed Hitlerem i po Hitlerze też będą potwory, mogą co najmniej budzić politowanie, jeśli nie poważniejsze oskarżenia.

To moralny relatywizm, wyzbycie się odpowiedzialności. Znamy te argumenty przecież i zasłanianie się pokojem na rzecz podsycania globalnych konfliktów. Można byłoby powiedzieć, że to wygodna i cyniczna obojętność wobec cierpienia domagającego się protestu. Tyle że przedmiotem protestu Millera nie stanie się nigdy żadna konkretna wojna, lecz logika, która umożliwia prowadzenie jednej po drugiej w imię abstrakcyjnego „pokoju".

Nie kierują nim żadne nieczyste intencje polityczne, wierzy najszczerzej, banalnie, być może w sposób nie do obronienia w dzisiejszych czasach, że odmawiając udziału w walce po którejkolwiek ze stron, naprawdę można przyczynić się do pokoju – do pokoju we własnym sercu, bo tylko to jest warunkiem do zapanowania królestwa człowieka na ziemi.

Literacko powtarzał gest Henry'ego Davida Thoreau z „Obywatelskiego nieposłuszeństwa", kiedy amerykański filozof przeniósł się do samotni nad stawem Walden w stanie Massachusetts i przyjął karę więzienia za niezapłacenie podatku, stając się ponadczasowym symbolem biernego oporu i humanizmu. Zabijać, nawet w imię pokoju i walki ze złem, nie można. To logika prowadząca do kolejnej wojny, przyzwyczajająca nas do siły i przemocy jako metod działania.

„Jeśli odmowa zabijania bliźnich – pisał – jest zdradą, to tak, jestem zdrajcą". Ale na jednym wydechu obwieszczał, że jest patriotą – jego ojczyzną był cały świat i przywiązanie do demokratycznego dziedzictwa amerykańskich odszczepieńców, którzy szli pod prąd.

●

Poza Porterem w Ameryce miał u swego boku dwóch niestrudzonych, ważnych redaktorów: Jamesa Laughlina z New Directions Publishing i Barneya Rosseta z Grove Press. Ten ostatni zdecydował się na wydanie „Zwrotnika Raka" i „Różoukrzyżowania" na amerykańskim rynku, biorąc na siebie wszelkie prawne działania konieczne do walki z polityczną i moralną cenzurą. W 1961 roku, po niemal 30 latach od francuskiej premiery, ukazał się „Zwrotnik Raka" i wywołał trwającą do 1964 roku batalię sądową.

Po długich trzech latach Sąd Najwyższy uznał ostatecznie, że powieść nie nosi znamion obsceniczności i w związku z tym nie może podlegać cenzurze. W ciągu tych kilku lat przez całe Stany Zjednoczone przetoczyły się dziesiątki procesów i nalotów policji na księgarzy handlujących tą książką. W 1962 roku nowojorski prokurator oskarżył nawet Millera i jego wydawcę o zmowę, mającą na celu rozpowszechnianie pornografii; wydano nakaz aresztowania Henry'ego. Na ekstradycję nie zgodziły się jednak władze Kalifornii.

Sądy stanowe wydawały jeden wyrok za drugim. W uzasadnieniu do jednego z nich, uznających powieść Millera za obsceniczną, sędzia przekonywał, że „książki takie jak »Zwrotnik Raka« powodują erozję społeczeństwa", i przestrzegał: niechaj moralność nasza nigdy nie zniży się do poziomu tej książki.

Pozwy i protesty przychodziły z każdej strony: we Francji został oskarżony o szerzenie pornografii przez ultrakatolicką organizację Le Cartel d'action sociale et morale. Gdy jednak w obronę Millera zaangażowali się m.in. André Breton, Albert Camus, Jean Paul Sartre czy André Gide, oskarżenia ustały.

Problemom nie było końca: pomijając sprawy toczące się w Stanach, pod koniec lat 50. w Norwegii dwóch księgarzy zostało oskarżonych o obrót pornografią – chodziło o sprzedawanie „Sexusa", pierwszego tomu „Różoukrzyżowania". Zarzuty przedstawiono także Millerowi. Odpowiedział na nie w liście, przekazanym przez jego prawnika sędziemu Sądu Najwyższego w Norwegii, który miał na wokandzie jego sprawę.

Jest to jeden piękniejszych tekstów przeciwko cenzurze; jego tytuł – „W obronie wolności czytania". Pisarz przekonywał w nim, że jego literatura w porównaniu z bombą atomową jest życiodajna, a wszelkie przedstawione tam niegodziwe i budzące sprzeciw zachowania są elementem życia każdego z nas. Ja – mówił Miller – tylko napisałem to, co my, ludzie, czynimy i jacy jesteśmy.

●

Do Stanów Miller wrócił w 1939 roku, uciekając z Europy przez wojną. W 1940 roku wyruszył dziewięcioletnim buickiem w podróż po „klimatyzowanym koszmarze", jak zatytułował później swoją książkę dokumentującą ten objazd Ameryki.

Z Nowego Jorku ruszył trasą przez Karolinę Północną i Południową, Georgię, Florydę i Luizjanę, w drugiej części podróży przejechał zaś przez Cleveland, Detroit i Chicago. Podróż zakończył na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie dzika, niemalże dziewicza przyroda, klimat tak różny od nowojorskiego pejzażu, urzekły Millera, który w 1944 roku przeniósł się na stałe do Kalifornii. Wpierw pomieszkiwał po przyjaciołach, a w ostateczności osiadł w domku przy Partington Ridge w Big Sur.

Big Sur znajduje się u zboczy gór Santa Lucia, które piętrzą się nad Pacyfikiem. Na stokach monumentalnego pasma górskiego wije się wąska droga Coast Highway, łącząca znajdujące się na skrajnych końcach stanu dwie metropolie, San Francisco i Los Angeles.

Nie ma jeszcze wtedy w Big Sur ani elektryczności, ani telefonu. Prawdziwy Dziki Zachód, jeszcze bardziej na zachód niż nowojorska giełda i polityczne zawirowania w Waszyngtonie. W powietrzu unosi się charakterystyczny zapach iglaków, pochodzący od gęsto rosnących tu sekwoi; gdy świeci słońce, czuć drewno, sól z oceanu i słychać cykady. Ale region ten jest nieprzewidywalny, w jednej chwili znad oceanu może nadciągnąć gęsta i zimna mgła, całkowicie ograniczając widoczność na krętej drodze i zmieniając pogodę.

I to Millerowi się podobało: nieprzewidywalność i żywioł, a jednocześnie dosłownie rajski klimat. To było jego Walden, w którym odnalazł światło i spokój amerykańskiej ziemi. Nauczył się patriotyzmu, który piętnował militaryzm, nacjonalizm i szowinizm. Big Sur stało się jego rajem i stamtąd promieniował optymizmem i pacyfistyczną wiarą w człowieczeństwo.

●

7 czerwca 1948 roku Henry Miller odpisuje na list przebywającego wówczas na placówce dyplomatycznej w Ameryce Czesława Miłosza. Miłosz, który akurat podróżuje po Kalifornii z Wandą Telakowską z jej wystawą sztuki ludowej, zabiega o spotkanie z pisarzem owianym legendą.

Miller przesłał Miłoszowi wskazówkę, jak trafić do jego znajdującego się na odludziu miejsca zamieszkania: „Na poczcie lub stacji benzynowej w Big Sur może się pan dowiedzieć, jak znaleźć nasz dom". Do spotkania jednak doszło znacznie później i przypadkiem, w 1952 roku w Paryżu.

Wiemy, że Miłosz wraz z Telakowską musiał w pośpiechu opuszczać Zachodnie Wybrzeże z uwagi na pilne wezwanie artystki do Nowego Jorku. Sytuację tę później Miłosz wyjaśniał jednak w listach zupełnie inaczej: chciał tam pojechać, ale Miller mieszkał na takim odludziu, że w końcu nie dotarł. W tym samym roku Miłosz, pod pseudonimem Żagarysta, na łamach „Odrodzenia" opublikował bezlitosną i miażdżącą krytykę Millera.

1 RP

Jedynym materiałem jego powieści było to, co sam przeżył, a jego jedynym bohaterem literackim – on sam. Wściekał się, gdy krytycy mówili o „narratorze"

eprasa.pl 738f82d54d

Tekst nosił znamienny tytuł: „Henry Miller, czyli dno”.

„Miller jest szczery w sposób potworny, przede wszystkim jednak szczery w gwałtownym podkreślaniu, że nie uznaje żadnej moralności” – pisze. To pierwszy ważny tekst w języku polskim, w którym pojawia się nazwisko Millera.

Miłosz omawia w nim pokrótce jego życie i twórczość, ale po kilku złośliwościach (np. dotyczących nieukończenia college'u czy liczby żon) przechodzi do frontalnego ataku. Oskarża Millera o uprawianie „świnologii”, pornografii, moralne bankructwo naiwnego buntownika, który staje „poza dobrem i złem”. Świat Ameryki, który wyłania się z jego prozy, to świat pozbawiony sensu, a jednostki wrzucone w ów bezsens mogą jedynie nurzać się w jarmarcznym seksie.

Kolejnym zarzutem Miłosza jest, można powiedzieć, zarzut polityczny: podczas gdy Miller opisuje marność jednostki wobec kapitalistycznego i alienującego systemu społeczno-gospodarczego Ameryki, nie wytwarza żadnej czynnej postawy. Odrzuca bowiem każdy rodzaj aktywności, która mogłaby zmienić status quo.

Rozwiązania Miller szuka w anarchizmie, powiada Miłosz, i sytuuje pisarza obok Arthura Rimbaud, protosurrealisty Lautréamonta czy w końcu samego ojca tego awangardowego ruchu i autora surrealistycznych manifestów André Bretona.

I dalej Miłosz wymienia Hermanna Keyserlinga, niemieckiego filozofa irracjonalistycznego, Dostojewskiego i Nietzschego. Zestawiając Millera z tymi nazwiskami, jesteśmy blisko, choć dla Miłosza Miller może co najwyżej pretendować do obecności pośród tych nazwisk. Prawda od fałszu w literaturze różni się nieraz o włos, pisze Miłosz i zarzuca Millerowi pozerstwo.

Tak! Miller to w oczach Miłosza zręczny pozer. Zapewne widziałby ucieleśnienie etyki Millera w „czynie bezzasadnym”, gdy Lafcadio Wluiki, bohater „Lochów Watykanu” Gide'a, bez żadnego powodu wyrzuca z pędzącego pociągu bogu ducha winnego staruszka.

Oto stawka tej prozy i jej niebezpieczeństwo: indywidualistyczna anarchia, która pod płaszczykiem literatury i filozofii truje umysły młodych ludzi. „My to wszystko już znamy”, pisze Miłosz, jakby widząc mroczną i niebezpieczną konsekwencję tego typu postaw.

Ponad 20 lat później, w 1969 roku, Czesław Miłosz wróci do Millera w wydanych przez paryski Instytut Literacki „Widzeniach nad zatoką San Francisco”. Przyszły noblista wyznaje, że być może surowa ocena Millera była wynikiem jego przesądów. Jakie to przesądy? Wiara w święty niemalże charakter literatury, który Miller podważa swoim „wulkanicznym bełkotem”.

Choć to właśnie słowa Miłosza rzuciły cień na twórczość autora „Zwrotnika Raka” w Polsce, istnieje alternatywna, jeszcze mniej znana historia. Millera próbowali zadomowić na gruncie polskiej kultury ludzie z pokolenia odwilży październikowej i emigracyjna inteligencja.

•

To właśnie we „Współczesności”, piśmie założonym w okresie odwilży, w 1957 roku ukazało się pierwsze tłumaczenie prozy Millera. Było to króciutkie opowiadanie „Mademoiselle Claude”, w którym pisarz podejmował wątek relacji romantycznej z prostytutką. Opowiadanie to jest o tyle znaczące, że to właśnie nim, w ścisłym tego słowa znaczeniu, pisarz zadebiutował w Paryżu.

Jest rok 1931, Miller jest dopiero od niedawna w stolicy Francji, ale udało mu się na tyle rozszerzyć siatkę znajomości, że opowiadanie trafiło do Samuela Putmana, redaktora nowo powstałego pisma publikującego awangardowych artystów. Tekst potem został włączony do antologii pisarzy amerykańskich (gdzie Miller znalazł się obok Hemingwaya, Dos Passosa czy Ezry Pounda), potem zaś do „Cosmological Eye”, pierwszej eseistycznej książki Millera wydanej w Ameryce; trzeci przedruk miał miejsce w wydanej dziesięć lat później zbiorówce „Noce miłości i śmiechu” (w Polsce wydanej w 1988 roku w tłumaczeniu Juliusza Kydryńskiego).

W tym niepozornym opowiadaniu Miller znajduje odpowiednią tonację dla swojego literackiego głosu: przede wszystkim pisze bezpośrednio, bez ogródek, w pierwszej osobie, bez cenzury. Jest szczery, być może za szczery, wystawia się na śmieszność.

Podnosi tam kwestię miłości, jednego z najważniejszych wątków swojej twórczości, ale miłości, można powiedzieć, postromantycznej, wychodzącej daleko poza ramy ciasno ustanowione przez instytucję małżeństwa i konserwatywną etykę. Poza tym dosłyszeć możemy w „Mademoiselle Claude” potrzebę i tęsknotę za innym światem: „Powinniśmy wydostać się z tej brudnej dziury i żyć gdzieś w słońcu, w pokoju z balkonem, widokiem na rzekę, ptakami i kwiatami, i żeby życie przez nas przepływało, i tylko ona, ja i nic więcej”.

Jak się okaże w późniejszej jego twórczości, ów pokój z balkonem stanie się ważnym tropem, rodzajem utopii, postulatem i potrzebą wiary i nadziei na lepszy świat. Paradoksalnie stan ten znajdzie na powrót w Ameryce. Nie wierząc jednak w żadne polityczne partie, organizacje i ruchy, Miller wrzaśnie: „Pierdolę wasze komunistyczne społeczeństwo i wasze faszystowskie społeczeństwo, to jednostka mnie interesuje”.

Millera drażni polityka – wszystkich, którzy głosują w wyborach, czy to na demokratów, czy republikanów, nazywa „pojebami”, czyli każdego „normalnego faceta, który uczciwie zarabia na życie”. Jednak to przekonanie i wiara w indywidualną niezależność daleko wykracza poza wąskie liberalne rozumienie tego słowa. Jednostka to nie mieszczanin zabarykadowany w swoim pięknym domu na amerykańskich przedmieściach, to fuzja wrażliwości, spotkania z innymi, doświadczenie wielości.

To coś, co jest polityczne, ale daleko wykracza poza horyzont instytucji, partii i programów. „Musimy umrzeć jako jaźnie i odrodzić się w roju, nie jako byty osobne i poddane autohipnozie, lecz indywidualne i spokrewnione” („Sexus”). To dowolny człowiek, którym jest każdy z nas pod powłoką ról społecznych.

I Miller naprawdę wierzy, że właśnie w tę specyficzną, najintymniejszą przestrzeń człowieka może trafić i z niej wyrosnąć literatura. To specyficzne rozumienie jednostkowości idealnie oddaje fragment z Rimbauda: „ja to ktoś inny”. Poeta ten zresztą zajmował specjalne miejsce w sercu Millera, który próbował przełożyć na angielski jego „Sezon w piekle”, a następnie poświęcił mu całą książkę – „Time of Assassins”.

Po „Mademoiselle Claude” szybko pojawił się kolejny tekst. Tym razem w emigracyjnych „Wiadomościach” Grydzewskiego. Był to esej „Nieprzystojność w literaturze”, który poruszał ważny dla Millera problem przekraczania literackich i społecznych konwenansów.

Bronił się tam przed zarzutami o pornografię i obsceniczność, udowadniając, że naturalistyczna strona jego prozy bierze się przede wszystkim z renesansowej tradycji europejskiego humanizmu, z Rabelais'go, autora skandalizującej powieści o losach gigantycznych potworów, „Gargantui i Pantagruela”.

Wśród swoich inspiracji Miller wielokrotnie także wskazywał na Whitmana, Thoreau, Dostojewskiego – długa jest lista nazwisk pisarzy, których tradycję Miller kontynuował. I zdaje się, że zostało to, choć bardzo po cichu, dostrzeżone. Miller bowiem należał do ulubionych pisarzy Jerzego Giedroycia, Juliusza Kydryńskiego czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który poświęcił Millerowi uwagę w „Dzienniku pisanym nocą”.

Millera czytywał i Stanisław Lem, i Mieczysław Jastrun, poeta, którego kojarzymy z hermetyczną, symbolistyczną poezją, a który w chwilach przygnębienia sięgał do książek Millera i zachwycał się z zazdrością jego niepohamowanym, życiodajnym optymizmem.

•

Dziś książki Millera niemal w całości są dostępne w języku polskim – kurzą się na antykwarycznych półkach w dziale „erotyka”. W kilku podręcznikach literatury amerykańskiej wspomina się o nim nieśmiało i poza pojedynczymi przykładami jest pisarzem całkowicie w Polsce nieznanym. Nie inaczej wygląda sytuacja w Stanach Zjednoczonych czy nawet we Francji.

Ale taka jest natura mistrzów, że przez wiele lat pozostają ukryci w cieniu i czekają na swoich odkrywców. W przypadku Millera może być jednak tak, że nigdy nie doczekamy się jego renesansu – jest to pisarz na tyle intymny i szczery, że może zaskarbić sobie jedynie prywatną sympatię odważnych i wrażliwych ludzi.

Miller zostawił świat tak samo paskudny i piękny zarazem, jakim był wcześniej. Na pewno zmienił oblicze literatury – w pewnym sensie był nawet prekursorem: podróż po Ameryce z piórem w ręku powtórzyli po nim Jack Kerouac, Tom Wolfe czy John Steinbeck.

Swoją paryską twórczością wniósł wkład w rozwój literatury modernistycznej, a twórczością eseistyczno-polityczną wpisał się w linię pacyfistycznych radykałów. Przede wszystkim jednak Miller istnieje poza literaturą, trochę jak mędrzec, którego widok uspokaja i raduje niemogących wytrzymać „klimatyzowanego koszmaru”. ●

Cytaty z dzieł Henry'ego Millera w przekładach Marka Cegieły, Lesława Ludwiga i Juliusza Kydryńskiego.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Nelly Sachs*

WY, WIDZOWIE

Na oczach których zabijano,
Tak, jak się czuje czyjeś spojrzenie na plecach,
Czujecie na swoim ciele
Spojrzenia umarłych.

Ile gasnących oczu spojrzy na was,
Kiedy będziecie zrywać fiołek z ukrycia?
Ile błagalnie uniesionych rąk
W męczeńsko powykręcanych konarach
Starych dębów?
Ile wspominania rośnie we krwi
Zachodzącego słońca?

O, niezaśpiewane kołysanki
W nocnym nawoływaniu turkawki –
Niejeden mógłby ściągnąć na dół gwiazdy,
Teraz stara studnia musi to czynić za niego!

Wy, widzowie,
Którzy nie podnosiliście morderczej ręki
Ale którzy nie otrząsnęliście z waszej tęsknoty
Prochu,
Którzy zatrzymaliście się tam, gdzie on przemienia się
W światło.

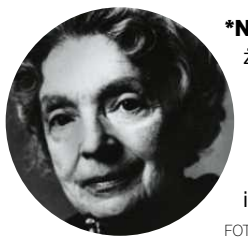

***Nelly Sachs** - 1891-1970, niemiecka poetka i dramatopisarka pochodzenia żydowskiego, od 1940 r. na emigracji w Szwecji. Jej twórczość pokazuje m.in. martyrologię Żydów w czasach III Rzeszy, odzwierciedla też osobisty dramat pisarki, szukającej drogi do zrozumienia sensu życia w mistyce żydowskiej i chrześcijańskiej. W 1966 r. otrzymała literacką Nagrodę Nobla. Wiersz za: Nelly Sachs**, „Rozżarzone zagadki / Glühende Rätsel”,** wybór i przekład Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2006.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Jeśli odmowa zabijania bliźnich – pisał – jest zdradą, to tak, jestem zdrajcą”. Ale na jednym wydechu obwieszczał, że jest patriotą: jego ojczyzną był cały świat

eprasa.pl 738f82d54d

ALE HISTORIA

• Maryna Trzcińska „Monia" i Jan Bytnar „Rudy" na zdjęciu wykonanym podczas jednej z wycieczek przez Andrzeja Zawadowskiego „Grubego"
FOT. ARCHIWUM BARBARY WACHOWICZ

O czym milczą „KAMIENIE NA SZANIEC"

Nawet, jeżeli przyjmiemy, że Rudy i Zośka byli homoseksualnymi mężczyznami, mało prawdopodobne, by zdawali sobie z tego sprawę.

Z DR KORNELIĄ SOBCZAK ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

EMILIA DŁUŻEWSKA: Miejmy to za sobą: Rudy i Zośka byli gejami czy nie byli?
DR KORNELIA SOBCZAK, AUTORKA KSIĄŻKI „ZOŚKA I RUDY. O MIŁOŚCI, PRZYJAŹNI I POLSCE”:
Nie da się jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Jaki dowód miałby być rozstrzygający? Przecież nie seks. Ludzie sypiają z osobami, których nie kochają, i kochają ludzi, z którymi nie sypiają. A środowisko bohaterów „Kamieni na szaniec” było specyficzne i, mówiąc dosadnie, chłopcy z dziewczętami też raczej nie uprawiali seksu, choć tworzyli pary.

Wstrzemięźliwość była dla nich ważna ze względu i na – poważnie traktowaną – religijność, i na normy obyczajowe (było to środowisko głównie inteligenckie), i harcerskie wychowanie kładące nacisk na „czystość”. Więc jeśli jako dowód w sprawie potraktujemy kontakt erotyczny, to takiego dowodu nie będziemy mieli również w przypadku par hetero – nie tylko Alka i Basi, ale też Rudego i Moni czy Zośki i Hali.

Nawet, jeżeli przyjmiemy, że Rudy i Zośka byli homoseksualnymi mężczyznami, jest bardzo mało prawdopodobne, by zdawali sobie z tego sprawę. Jeszcze mniej prawdopodobne, by byli w stanie to sobie zakomunikować. I niekoniecznie mieliby zresztą taką potrzebę, bo homospołeczna rama przyjaźni dawała im dużo możliwości do bycia razem.

Homospołeczna rama, czyli co?
– Taki sposób urządzenia społeczeństwa, który pozwala mężczyznom spędzać razem bardzo dużo czasu, a jednocześnie przekonuje, że najważniejszą częścią ich życia jest to, co robią z innymi mężczyznami – praca społeczna, patriotyczna, przyjaźnie, przygody, więź intelektualna – a kobiety są do tego suplementem. Homospołeczne środowiska to na przykład wojsko, kluby sportowe.

Relacja Rudego i Zośki w „Kamieniach na szaniec” jest przedstawiona nie tylko jako najważniejsza i centralna dla tej historii, ale też jako najsilniejsza więź w ich życiu. Natomiast ciekawszym dla mnie pytaniem od tego, co byłoby wystarczającym dowodem, jest pytanie, dlaczego w ogóle oczekujemy jakichś dowodów. Dlaczego tak bardzo zależy nam na tym, żeby dookreślić tę relację, zamknąć w bezpiecznych definicjach?

Może dlatego, że wiele osób sugestię homoseksualności Zośki i Rudego odrzuca. Kiedy kilkanaście lat temat podniosła badaczka z PAN Elżbieta Janicka, wybuchł skandal.
– Złożyło się na to kilka kwestii. „Kamienie na szaniec” są opowieścią o bohaterach, patriotach, najpiękniejszym pokoleniu w historii dwudziestowiecznej Polski. Do tego lekturą szkolną, przez co o Rudym i Zośce myślimy jako o nastolatkach, a nie dwudziestoletnich, dorosłych mężczyznach. Mamy poczucie, że w kontekście Boga, honoru i ojczyzny o „takich rzeczach” myśleć nie wypada, bo to naruszenie świętości. Bohaterowie mogliby ewentualnie być czule opłakiwani przez niewinne sanitariuszki.

Nasza kultura jest heteronormatywna, to znaczy, że domyślnym ustawieniem w relacjach między płciami jest miłość mężczyzny i kobiety oraz przyjaźń, zwłaszcza między chłopakami. Jednak nad mężczyznami wisi nieustanny, niemal paniczny lęk przed posądzeniem, że ich przyjaźń z innymi mężczyznami mogłaby oznaczać miłość albo – o zgrozo! – pożądanie. A takie posądzenie jest społecznie poniżające. Więc bardzo ostro pilnuje się tej granicy.

Poza tym w 2013 roku kwestie związane z seksualnością były już wpisywane w kontekst wojen kulturowych, optykę zagrożenia nadciągającego z Zachodu, „marksizmu kulturowego”, cokolwiek miałoby to znaczyć.

Dziś byłoby inaczej?
– Być może. To znaczące, że w 2013 roku większość debaty skoncentrowała się na odparciu „zarzutów” o homoseksualność, choć w tym samym wywiadzie pojawił się wątek antysemityzmu. Janicka zwróciła uwagę, że w Batorym, elitarnej szkole, do której uczęszczali bohaterowie „Kamieni na szaniec”, były silne wpływy narodowe, że Józef Zawadzki, ojciec Zośki, jako rektor Politechniki podpisał rozporządzenie wprowadzające getto ławkowe i że autor książki Aleksander Kamiński pominął w niej kwestię powstania w getcie warszawskim.

Myślę, że kilka lat później reakcje byłyby inne. W 2018 roku, przy okazji rocznicy Marca’68, w debacie publicznej bardzo wyraźnie uruchomiły się antysemickie klisze, temat „żydowskiej niewdzięczności” za polską dobroć, powstał projekt nowelizacji ustawy o IPN postulujący karanie za mówienie, że Polacy jakkolwiek przyłożyli się do zagłady Żydów. W tym kontekście sugerowanie, że polscy patrioci mogli być antysemitami, wzbudziłoby dużo większe oburzenie, bo uderzałoby w polską politykę historyczną i w autostereotyp Polaków jako niewinnych ofiar Niemców i bohaterów ratujących Żydów.

Kornelia Sobczak – doktor kulturoznawstwa (praca doktorska pisana w Instytucie Kultury Polskiej UW dotyczyła właśnie „Kamieni na szaniec”), publicystka, współautorka książki „Chopinowskie igrzysko. Historia Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina 1927-2015”. Członek Zespołu Badań Pamięci o Zagładzie oraz Pracowni Studiów Miejskich przy IKP UW.

W tym samym roku Robert Winnicki chwalił się, że Rudy był przed wojną w ONR.
– Czyli w Obozie Narodowo Radykalnym, organizacji programowo antysemickiej, odpowiadającej za pobicia Żydów i przeciwników politycznych, otwarcie nawołującej do przemocy oraz – co często pomijane – również programowo antydemokratycznej. A jednak to stwierdzenie nie wzbudziło takiej histerii jak potencjalna „dewiacja homoseksualna” Zośki i Rudego. Częściowo pewnie dlatego, że środowiska prawicowe mają dużo skuteczniejsze mechanizmy mobilizacji, organizowania protestów, wysyłania listów itp. A im takie stwierdzenie nie przeszkadzało. W swojej książce usiłuję zbadać kwestię przynależności Rudego do ONR i przyglądam się źródłom tej informacji.

Wracając do „sprawy Janickiej” – przy całej ówczesnej burzy mało kto sięgał do książki, a jeśli już, to do konkretnych fragmentów, które wskazywała badaczka. Bardzo niewiele osób podjęło próbę potraktowania propozycji Janickiej i samej książki Kamińskiego poważnie, spojrzenia na nią w kontekście historycznym.

W jakich więc okolicznościach powstały „Kamienie na szaniec”?
– W skrócie: jest 1943 rok, w okupowanej Warszawie działają oddziały harcerskie, które wchodzą w skład Armii Krajowej. Jeden z harcerzy, Rudy, zostaje aresztowany, jest bardzo brutalnie przesłuchiwany przez Gestapo. Rudy ma wielu przyjaciół i należy do jednego z najlepszych oddziałów konspiracyjnych Warszawy. Jego najbliższy przyjaciel Zośka postanawia, że ten oddział odbije go z rąk Niemców.

W tamtych realiach to misja niemożliwa, plan budzi więc opór przełożonych, a jednak udaje się taką akcję zorganizować. Z pewnych względów dochodzi do niej nie w dniu aresztowania Rudego, ale dopiero trzy dni później. Akcja pod Arsenałem to wielki sukces: jedna z najbardziej zuchwałych, spektakularnych akcji bojowych przeprowadzona w okupowanym mieście w biały dzień. Udało się uwolnić Rudego i innych więźniów z transportu. Warszawa tym żyje. Ale Rudy jest już wówczas tak ciężko pobity, że po kilku dniach umiera. Umiera też Alek, ranny w trakcie akcji, przyjaciel Zośki i Rudego, trzeci bohater „Kamieni...”. Zośka jest w fatalnym stanie psychicznym, więc bliscy sugerują, by spisał wspomnienia związane z przyjacielem. Początkowo nie ma na to ochoty, ale ostatecznie się zgadza. Pisze nie tylko o Szarych Szeregach, o akcjach bojowych, ale też o przyjaźni z Rudym, ich wzajemnej fascynacji, długich rozmowach, telefonowaniu do siebie co wieczór, wspólnych wycieczkach za miasto.

Zapiski czyta jego przyjaciel i współkonspirator Jan Rossman. Dostrzega, że to wielka rzecz, coś, co warto upublicznić. I tu na scenę wchodzi Aleksander Kamiński.

Kim był w tej historii?
– Kimś, kto miał wszelkie możliwości, aby uczynić z tej opowieści okupacyjny bestseller. Po pierwsze: znał się z harcerzami, bo działali w prowadzonej przez niego organizacji Wawer, po drugie: był redaktorem naczelnym „Biuletynu Informacyjnego”, największej konspiracyjnej gazety, i po trzecie: szefem warszawskiego okręgu Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej.

Słowo „propaganda” może się kojarzyć negatywnie, ale dzisiejszym językiem nazwalibyśmy tę działalność PR-em albo rzecznictwem prasowym, wytwarzaniem odpowiednich narracji. Kamińskiemu podlegały tajne zakłady wydawnicze, organizował wydawanie konspiracyjnych tekstów, książek, broszur. Był też ważną postacią przedwojennego harcerstwa, wybitnym – bardzo postępowym – wychowawcą, autorem książek i artykułów dla dzieci i młodzieży. Władze Szarych Szeregów sugerowały, że to właśnie on powinien napisać jakąś lekturę dla młodych konspiratorów, coś ku pokrzepieniu serc.

Zapiski Zośki okazały się idealną kanwą dla takiej książki. Kamiński napisał „Kamienie na szaniec” bardzo szybko. Sam mówił że był nie autorem, ale „medium piszącym”, przez które mówi historia zmarłych chłopców. W istocie jednak Kamiński miał bardzo wyrazisty styl. Nadał tej historii autorski rys i odpowiednią interpretację, sens.

Zmienił osobiste wspomnienia w narzędzie propagandowe?
– Raczej w narzędzie wychowawcze. „Kamienie na szaniec” kładą duży nacisk na wizję nowej Polski i nowego Polaka. Kamiński przedstawił swoich bohaterów nie jako konspiratorów z ułańską fantazją, ale ludzi, którzy dążą do ciągłego samodoskonalenia, dla których patriotyzm oznacza pracę społeczną i którzy walczą o kraj demokratyczny, a na pewno bardziej demokratyczny niż II RP pod rządami sanacji.

Wizja wychowawcza Kamińskiego, silnie zakorzeniona w jego rozumieniu harcerskich ideałów, była bardzo ciekawa, choć może budzić wątpliwości. Jest nieco protekcjonalna, bo zakłada, że silniejsi powinni pomagać słabszym w imię rycerskich ideałów. Bywa niepokojąca – w pierwszym wydaniu „Kamieni...”

Kamiński pisze, że Zośka i Rudy mieli naturalny »instynkt wodzowski«. W późniejszych wydaniach zmienił to na »naturalne zacięcie przywódcze«, co nie zmienia faktu, że jest to według niego cecha, z którą niektórzy się rodzą i są predestynowani do tego, by przewodzić innym.

Można też krytykować to, w jaki sposób Kamiński ignoruje systemowe warunki wykluczenia – bo jego zdaniem to ostatecznie silna wola i praca nad sobą jednostki decyduje o jej losie. Dziś można powiedzieć, że brzmi to „neoliberalnie”, ale pamiętajmy, że celem tej pracy nie miał być indywidualny sukces, bogactwo czy pozycja, ale budowa nowego, sprawiedliwszego i harmonijnego społeczeństwa. Jest w tym założeniu bardzo silny etos społecznikowski i wiara, że ulepszony w wyniku pracy nad sobą indywidualny charakter człowieka przełoży się na doskonalszy charakter narodowy Polaków. W tym rozumieniu osoba jest służebna wobec wspólnoty, a wspólnota jest definiowana jako państwo, ojczyzna.

To wizja, o której można i trzeba dyskutować. Tyle że na taką dyskusję nie ma właściwie miejsca do dziś. „Kamienie na szaniec” to najbardziej niedoczytana książka w Polsce. Jej program polityczny – nie w rozumieniu polityki partyjnej, ale pomysłu na urządzenie społeczeństwa – jest kompletnie pomijany czy wręcz wymazywany. W powszechnej świadomości „Kamienie na szaniec” to książka o dzielnych chłopcach walczących i umierających za ojczyznę.

A jak została przyjęta zaraz po wydaniu?
– Bardzo gorąco. Wywołała wielkie poruszenie, była rozchwytywana, przepisywana ręcznie, kolportowana w różnych częściach kraju, dyskutowano o niej. W podziemnej prasie ukazywały się recenzje, także polemiczne. Barbara Szacka w autobiografii przywołuje scenę, kiedy, odnosząc pożyczony egzemplarz „Kamieni na szaniec”, usłyszała, że niedaleko trwa łapanka. Zaczęła desperacko myśleć, jak książkę ukryć. Nie przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby ją wyrzucić, choć ryzykowała wiele.

Pierwsza wersja „Kamieni na szaniec” ukazała się w lipcu 1943 roku w nakładzie 2 tysięcy egzemplarzy. Miesiąc później w akcji pod Sieczychami zginął Zośka. Kamiński dopisał wówczas dwa rozdziały – to mniej więcej ta wersja, która jest lekturą współcześnie. Drugie wydanie ukazało się w roku 1944, tuż przed wybuchem powstania warszawskiego.

To była okazja, by uzupełnić też inne wątki, choćby los warszawskiego getta i jego mieszkańców. Tak się jednak nie stało. Dlaczego?
– Los getta jest w „Kamieniach...” rzeczywiście potraktowany zdawkowo, Kamiński wspomina o powstaniu i o tym, że chłopcy mieli wziąć udział w akcji pomocy dla walczącego getta, do czego jednak nie doszło. Pisze, że szczególnie Alek przeżywał boleśnie los uwięzionych w getcie Żydów. Jednak historie polska i żydowska się nie przeplatają.

To rozdzielenie cierpienia Żydów i Polaków jest dość typowe. Do dziś myślimy o żydowskim męczeństwie, jakby było jakimś osobnym wątkiem, podrozdziałem w podręczniku o historii Polski w czasie II wojny światowej. Nie znając kontekstu historycznego i realiów okupowanej Warszawy, czytelnicy się nie zorientują, że akcja dzieje się w mieście, w którego środku urządzono wielkie więzienie pod gołym niebem. Albo że w czasie, gdy Rudy, Zośka i Alek malowali na murach kotwice i zrywali flagi, trwała wielka akcja likwidacyjna, w wyników której zginęła większość mieszkańców getta.

eprasa.pl 738f82d54d

Czemu Kamiński o tym nie napisał? Elżbieta Janicka sugerowała, że choć sam nie był antysemitą, antycypował antysemityzm swoich czytelników. Być może wolał przemilczeć żydowskie cierpienie i bohaterstwo, żeby ich nie zniechęcać. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się jednak, że mimo sympatii dla umęczonej ludności żydowskiej i nienawiści do przedwojennego antysemityzmu Polaków – także wśród działaczy harcerskich – po prostu nie uważał historii żydowskiej za część historii polskiego oporu i walki.

W „Kamieniach na szaniec" prawie nie ma też kobiet.
– Jest ich naprawdę mało, a co gorsze – występują jedynie jako tło, dodatek do chłopaków. Hala, sympatia Zośki, a później uczestniczka powstania warszawskiego, opisana jest w jednym akapicie jako „koleżanka siostry Zośki", która „miała zawsze gorącą herbatę i cukier". Sympatii Rudego, Moni – aresztowanej tuż po odbiciu Rudego i wywiezionej do Auschwitz – nie ma w ogóle. Kamiński pisze nieco więcej o relacji Alka z Basią, ale o samej Basi też niewiele. Oczywiście możemy szukać wytłumaczeń: Kamiński pokazuje Zośkę i Rudego jako młodzieńców wybitnych, zainteresowanych samodoskonaleniem i walką o Polskę, relacje z dziewczynami byłyby w tym kontekście czymś „błahym". Co oczywiście pokazuje, jak były postrzegane kobiety w kulturze, w której wzrastał i pisał.

Ale Kamiński pomija nie tylko sympatie, ale też udział kobiet w konspiracji.
– I to mnie jednak zastanawia, bo Kamiński wiedział o udziale kobiet w walce podziemnej, blisko współpracował z wieloma kobietami. To nie był jakiś historyk wojskowości albo generał, który widział tylko czołgi i umundurowane wojsko i w którego horyzoncie rzeczywiście nie było żadnych kobiet. Wręcz przeciwnie. Trzon „Biuletynu Informacyjnego" stanowiły kobiety, sekretarzem redakcji była Maria Straszewska, za kolportaż odpowiadały kobiety, dziewczęta brały udział w akcjach małosabotażowych.

Jednym z wytłumaczeń tego pominięcia mogłyby być względy konspiracyjne: gdyby książka wpadła w ręce Niemców, zaczęliby zwracać większą uwagę na kobiety, którym – mimo wszechogarniającego terroru – łatwiej było się poruszać po mieście z meldunkami czy bronią niż młodym mężczyznom, z zasady podejrzanym. Być może o działalności niektórych dziewcząt albo o ich relacjach z chłopcami po prostu nie wiedział, tłumaczyłoby to również, dlaczego nie wspomina o sympatiach Zośki i Rudego. Z tym że miał przecież mnóstwo okazji po wojnie, żeby coś dopisać, uzupełnić – zmarł w 1978 roku, a po 1945 książka miała jeszcze sześć wydań.

No i jest wytłumaczenie trzecie, które mówi nam już nie tyle o Kamińskim, ile rzeczywistości kulturowej, w jakiej pisał.

Czyli?
– Że żył w świecie, w którym atrakcyjna historia to historia o chłopakach chwytających za broń. Do jakiegoś stopnia nadal żyjemy w takim świecie. A to sprawia, że nasza kultura ma ślepe plamki. Łatwo nam przeoczyć rzeczy, na które nie uczymy się patrzeć – jak na przykład praca kobiet. Zwłaszcza taka, która nie jest uznawana za tak atrakcyjną – na przykład praca opiekuńcza.

Moim zdaniem Kamiński, bardzo inteligentny, wybitny działacz, był mentalnie dzieckiem swoich czasów i nie był w stanie tego przeskoczyć. I to pomimo tego, że sam przez lata zajmował się właśnie pracą opiekuńczą! Całe życie do wybuchu wojny przepracował jako wychowawca w różnych bursach i internatach, na koloniach i obozach, współpracował m.in. z zakładem wychowawczym Nasz Dom Janusza Korczaka i Maryny Falskiej, zakładał ruch zuchowy. Od września 1939 do zimy 1940 roku kierował prowizorycznym internatem dla dzieci i młodzieży. I nie było to

• **Tadeusz Zawadzki „Zośka" z siostrą Hanką na przedwojennym zdjęciu**
FOT. ARCHIWUM BARBARY WACHOWICZ

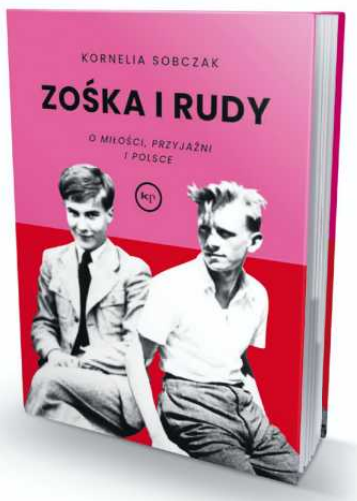

Zośka i Rudy. O miłości, przyjaźni i Polsce

Kornelia Sobczak
Krytyka Polityczna

siedzenie w gabinecie: palił w piecu, wycierał nosy, walczył z wszawicą. Wykonywał całą tą niewdzięczną pracę, którą do dziś niemal z automatu przypisujemy kobietom.

Tym bardziej mnie to boli i tym bardziej próbuję go zrozumieć. Bo – chcę to podkreślić – Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec" oraz ich bohaterowie byli i są dla mnie bardzo ważni, bliscy. Ta książka miała na mnie ogromny wpływ, jej lektura skłoniła mnie, żeby zapisać się do harcerstwa. Cały mój krytyczny namysł bierze się z tej miłości, która powoduje potrzebę szczerego przedyskutowania tej książki, przyjrzenia się temu, co w niej jest.

Choćby po to, by zadać sobie pytanie, jakiej herstorii potrzebujemy. I czy wystarczy nam martyrologiczny patriotyzm z udziałem dziewczyn, czy może jednak warto powalczyć o inną wizję wspólnoty, opartą nie na walce z bronią w ręku, ale na solidarności i opiece.

Hala, sympatia Zośki, w „Kamieniach na Szaniec" opisana jest w jednym akapicie jako „koleżanka siostry Zośki", która „miała zawsze gorącą herbatę i cukier". Sympatii Rudego, Moni, nie ma w ogóle

W takim alternatywnym świecie bohaterką „Kamieni na szaniec" mogłaby być siostra Zośki Hanka Zawadzka.
– Fascynująca postać, której w książce Kamińskiego nie ma prawie w ogóle. Z bratem łączyła ją na pewno ogromna charyzma. Jej harcerki – była drużynową – opisują ją jako surową, poważną, a jednocześnie absolutnie uwielbianą, wspominają, że „wszystkie chciały być takie jak ona".

Hanka – a właściwie Anna, tak się to imię wówczas zdrabniało – niechętnie patrzyła na to, że niektóre z jej podopiecznych angażują się w Mały Sabotaż. Polskie harcerki w większym stopniu niż harcerze skupiały się na kwestiach społecznych. Już od 1938 roku przygotowywały się do wojny i wiedziały, że najbardziej bezbronną, potrzebującą opieki grupą będą dzieci. Nie tylko sieroty, ale też dzieci, których rodzice żyli, ale zostali aresztowani i wywiezieni albo nie mieli czasu, by się nimi zajmować. Harcerki łączyły opiekę nad dziećmi z przeciwdziałaniem ich wynarodowieniu, uczyły polskiego, historii, geografii. Dla Hanki Zawadzkiej to była kluczowa sprawa. Poniekąd na własną prośbę odsunęła się od działalności, która mogłaby przenieść ją do legendy. Uznała po prostu, że są rzeczy ważniejsze.

Hanka przeżyła wojnę, zmarła w 2004 roku. Nie sądzę, by miała poczucie niesprawiedliwości, pominięcia. Uważam natomiast, że sposób, w jaki Kamiński „zapomniał" o łączniczce Zośki Dance Zdanowicz-Rossman albo o pobycie w więzieniu Irki Kowalskiej, jest jednocześnie i niesprawiedliwy, i symptomatyczny dla czasów, w których pisał.

Jak wąską perspektywę pokazują „Kamienie na szaniec", widać, gdy opisujesz innych więźniów odbitych podczas akcji pod Arsenałem. Wraz z Rudym jechali: przyszła dyrektorka elitarnego liceum, przyszły szef UB w Poznaniu, zadenuncjowane żydowskie rodzeństwo, weteran powstania wielkopolskiego, działaczki narodowe i działaczka komunistyczna, współpracujący z AK inżynier, a zarazem członek loży masońskiej. A także, najprawdopodobniej, brytyjska agentka. Tyle historii!
– Oczywiście Kamiński nie wiedział tego w momencie pisania, ustalenie tych nazwisk trwało długo. Ale nie zmienia to faktu, że „Kamienie na szaniec" są nie uniwersalną opowieścią o okupacji, ale jedynie wąskim jej wycinkiem, opowieścią o bardzo konkretnym środowisku wywodzącym się z warszawskiej inteligencji. To jest zarzut nie do Kamińskiego, ale do jego współczesnego odczytania czy może właśnie niedoczytania. W samej tylko akcji pod Arsenałem mieści się mnóstwo mikrohistorii prowadzących nas w różne strony. Polskie doświadczenie okupacji jest o wiele większe i bardziej zróżnicowane niż historia Rudego i Zośki.

Czego jeszcze w „Kamieniach na szaniec" nie ma?
– Pełniejszego spojrzenia na problemy II Rzeczpospolitej. Bohaterowie „Kamieni..." rozmawiają o biedzie, gospodarczych niedoborach, ale nie mówią o przedwojennym antysemityzmie, antyukraińskości, ograniczaniu swobód demokratycznych albo o skali przemocy politycznej.

Na początku książki Kamiński pisze o tym, jak w czerwcu 1939 roku po maturze harcerze pojechali na wycieczkę. „Po wspaniałym, słonecznym dniu na Baraniej Górze ruszyli autobusem na Zaolzie do Trzyńca, zwiedzać wielkie huty żelaza". W 1943 roku kontekst tego zdania był raczej zrozumiały, ale czytane dziś – zwłaszcza przez uczniów, którzy jeszcze się o zajęciu Zaolzia nie uczyli – może brzmieć jak zwykła, miła wycieczka do Czech. Tymczasem chodzi o to, że oni pojechali zwiedzać ziemie odebrane Czechosłowacji w momencie, gdy padała ona ofiarą zaborczości Hitlera. Zajęcie Zaolzia nie jest chlubną kartą w historii II RP. Mnie też zajęło dużo czasu, żeby się zorientować, o co chodzi z tą wycieczką do Trzyńca. Takich znaczących szczegółów jest w książce bardzo dużo.

Oczywiście Kamiński musiał łagodzić obraz Polski przedwojennej, bo pisał ku pokrzepieniu serc. W czasie wojny ogromnie ważne było podtrzymanie wiary w ciągłość polskiej państwowości, w to, że Polacy są zdolni do samodzielnego rządzenia się. Ale dzisiaj możemy przecież – i powinniśmy – zadawać pytania o te przemilczenia i dopowiadać sobie ich kontekst. Chociaż bywa to bolesne.

Dla mnie informacja o tym, że mój ulubiony bohater Rudy mógł być w ONR, była wstrząsem. Ostatni rozdział książki to w zasadzie historia mojego radzenia sobie z tym przypuszczeniem. Podobnie bolesne jest dla mnie myślenie o tym, co by było, gdyby wojna nie wybuchła we wrześniu 1939, a Zośka i Rudy poszli na Politechnikę, gdzie ojciec Zośki wprowadził getto ławkowe – raczej dla świętego spokoju niż z powodu prywatnych przekonań, ale to kwestia drugorzędna. Protestowaliby? Słuchali wykładu na stojąco w geście solidarności z żydowskimi studentami? Czy Zośka wystąpiłby przeciw własnemu ojcu, a może z Rudym uznaliby, że porządek i karność są ważniejsze? To nie są dla mnie pytanie retoryczne.

Jak pogodzić lojalność wobec bliskich z lojalnością wobec państwa i szacunkiem dla przełożonych? Albo jak pogodzić lojalność wobec państwa i prawa z etyką miłości bliźniego? Co, jeśli to nasza ojczyzna jest okrutna tak jak przedwojenna Polska wobec obywateli pochodzenia żydowskiego? Albo bierze udział w rozbiorze innego państwa jak w przypadku Czechosłowacji? To są dylematy ciągle aktualne choćby w kontekście sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, w kontekście traktowania uchodźców, migrantów, mniejszości. Czy patriotyzm powinien być zawsze najwyższą wartością?

To bardzo trudne pytania i musi tak być, bo na wojnie po prostu nie ma dobrych etycznie wyjść. Nie da się zachować moralnej nieskazitelności. Wojna jest straszna i powinniśmy się zastanawiać, jak kształtować naszą kulturę i system wartości, by do niej nie dopuścić. Jeanette Rankin, pierwsza kobieta w Kongresie Stanów Zjednoczonych, powiedziała: „Nie można wygrać wojny, tak jak nie można wygrać trzęsienia ziemi". I może to właśnie powinno być dziedzictwem „Kamieni na szaniec". ●

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

Historia krzepi

Zapluty karzeł pręży muskuły

Po czterech latach od odzyskania niepodległości Piłsudski widział w sejmie już nie wyraziciela woli społeczeństwa, tylko targowisko.

Nałęcz

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-2005 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Zbliżająca się setna rocznica zamachu majowego na pewno odnowi dyskusję na temat przyczyn tego najważniejszego zwrotu w dziejach II Rzeczypospolitej. Powróci pytanie, co sprawiło, że główny architekt niepodległości Józef Piłsudski w ciągu zaledwie kilku lat tak radykalnie zmienił poglądy na demokrację i parlamentaryzm.

Jesienią 1918 roku był on bowiem gorącym zwolennikiem takiego ustroju. Wierzył, że demokracja zapewni siłę odradzającemu się państwu. Dlatego jako tymczasowy jego naczelnik dołożył starań, by jak najszybciej przekazać swoją władzę sejmowi wyłonionemu zgodnie z najbardziej postępową w Europie ordynacją wyborczą. „Czuję się szczęśliwym – mówił 10 lutego 1919 roku na inauguracyjnym posiedzeniu – że przypadł mi w udziale zaszczyt otwierać Sejm polski, który znowu będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem”.

Po czterech latach postrzegał sejm zupełnie inaczej. Widział w nim już nie wyraziciela woli społeczeństwa, tylko targowisko, na którym partie polityczne egoistycznie zabiegają o własne profity, kupcząc interesami kraju.

Najostrzej Marszałek krytykował endecką prawicę. W słynnej mowie wygłoszonej 3 lipca 1923 roku w Hotelu Bristol nazwał ją „zaplutym karłem” zdeprawowanym przez moskiewską niewolę. Oskarżył o zamordowanie prezydenta Gabriela Narutowicza i o „powrót do starych narowów”, które zgubiły Rzeczpospolitą w XVIII wieku.

Do tak stanowczej reakcji skłoniło Piłsudskiego przejęcie przez endecję władzy. Było ono konsekwencją wygranych przez nią wyborów parlamentarnych w listopadzie 1922 roku. Zdobyła najwięcej, bo 38 proc., posłów. Partie lewicowe posiadały ich 22 proc., a mniejszości narodowe – 20 proc. O tym, kto obejmie rządy, przesądził lokujący się w centrum PSL Piast mający 16 proc. posłów. Wybrał prawicę, bo była najsilniejsza, bliższa mu programowo i wspierana przez poważane na wsi duchowieństwo.

Porozumienie opóźniła burza polityczna towarzysząca w grudniu 1922 pierwszym wyborom prezydenckim. Jednak już w maju 1923 powstał rząd kierowany przez lidera Piasta Wincentego Witosa, politycznie zdominowany przez endeków. Piłsudski demonstracyjnie odszedł z wojska i stanął na czele antyendeckiej krucjaty.

Walczył z ogromną determinacją, bo był pewien, że rządy endecji zagrażają bezpieczeństwu i stabilności państwa. Chciała ona bowiem kraju zdominowanego przez etnicznych Polaków i spojonego nacjonalizmem, co jedną trzecią mieszkańców będących innej narodowości czyniło obywatelami drugiej kategorii. Opór przeciwko takiej degradacji groził bezustannym konfliktem. Dlatego Piłsudski, wspierany przez demokratów i lewicę, forsował alternatywne rozwiązanie. Była nim Rzeczpospolita, w której każdy obywatel korzystał z takich samych praw bez zważania na to, jakim kto mówi językiem, jaką religię wyznaje, jakiej jest płci i jakie ma przekonania.

Bój z rządzącą endecją trwał ponad pół roku i skończył się w grudniu 1923 upadkiem gabinetu Witosa. Jednak nie oznaczało to zwycięstwa Piłsudskiego i jego sojuszników. Ratunku wymagały bowiem rozstrojona gospodarka i katastrofalny stan budżetu państwa. Uzdrowić też trzeba było walutę zdewastowaną przez hiperinflację. Aby zapobiec krachowi, obie zwaśnione strony zgodziły się na rząd Władysława Grabskiego mający dokonać wielkiego remontu kraju.

Trwał on blisko dwa lata i im lepsze przynosił efekty, tym śmielej dwaj najwięksi adwersarze szykowali się do kolejnej rozgrywki. Endecy intensywnie pracowali nad odnowieniem sojuszu z Piastem. Potrzebowali go nie tylko do sformowania rządu, ale i do ugruntowania własnej pozycji w państwie, dzięki wspólnemu znowelizowaniu konstytucji i ordynacji wyborczej.

Skonsultowany po cichu z Piastem endecki projekt nowych zasad głosowania został zgłoszony do laski marszałkowskiej 22 marca 1926 roku. Forsował zmniejszenie liczebności sejmu i senatu, bo to w tym akcie prawnym, a nie w konstytucji, regulowano tę kwestię. Zmniejszano też liczbę posłów wybieranych w poszczególnych okręgach, co w oczywisty sposób premiowało endecję i Piasta. Miało to zapewnić endecko-piastowskiemu aliansowi zdominowanie przyszłego parlamentu i wprowadzenie endeckiego modelu państwa przesiąkniętego nacjonalizmem. W tym kierunku zmierzał też projekt zmiany konstytucji zgłoszony wspólnie 26 kwietnia 1926 przez kluby endecji, chadecji, Piasta i Narodowej Partii Robotniczej.

Endecy demonstracyjnie prężyli muskuły, czego Piłsudski i jego zwolennicy nie mogli pozostawić bez odpowiedzi. ●

Okruchy historii

Szeptycki i Szuchewycz

Greckokatolicki metropolita Andrzej Szeptycki działalność UPA uważał za bezcelowy przelew krwi.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

W lipcu 1944 roku w powiecie Sambor obradowała Ukraińska Główna Rada Wyzwoleńcza (UHWR). To jakoby ponadpolityczne ciało faktycznie zdominowali banderowcy, czyniąc jego sekretarzem generalnym – odpowiednikiem premiera – dowódcę UPA Romana Szuchewycza. Co ważne, w trakcie obrad skrytykowano greckokatolickiego metropolitę Andrzeja Szeptyckiego, gdyż „wydał odezwę do wiernych, nie patrząc na to, że polski biskup niczego nie wydał”.

Oburzenie banderowców wywołało „Posłanie do duchowieństwa i wiernych »Pokój w Panu (O zabijaniu kapłanów)«”. Sędziwy metropolita już przed 1939 rokiem potępiał terrorystyczne akcje OUN. W latach 1942-1943 przeprowadził całą duszpasterską krucjatę, wzywając wiernych do poszanowania piątego przykazania: „Nie zabijaj”.

Ogłoszone w 1944 roku posłanie „Pokój w Panu” jednoznacznie potępiało dyskryminację kogokolwiek z powodu wyznawanego katolickiego obrządku. Bo „kto swoim postępowaniem rozdziela i sprzeciwia się jedności dwóch katolickich wyznań, które różnią się jedynie obrzędem [...], ten zadaje Cerkwi uderzenie w najbardziej istotną jej cechę wszystko obejmującej braterskiej miłości”. Dalej było jeszcze mocniej: „Nawet pogańskie narody uważały za niegodną człowieka zbrodnię i hańbiący czyn dla mężczyzny zabijanie bezbronnych. Przeciwko tym zbrodniom protestujemy [...], nie przestaniemy przestrzegać przed nimi wiernych”.

Słowa te broniły też prześladowanych rzymskich katolików, a tym samym w sposób oczywisty potępiały antypolskie czystki prowadzone wtedy w Galicji Wschodniej przez UPA. I dlatego właśnie zirytowały banderowców.

Dowodzący UPA Szuchewycz już w wieku 19 lat uczestniczył w terrorystycznym zamachu na kuratora oświaty we Lwowie Stanisława Sobińskiego. Należąc do czołówki OUN, walczył w 1939 roku z Węgrami na Ukrainie zakarpackiej, a w latach 1941-1942 służył w oddziałach ukraińskich podporządkowanych Niemcom. W maju 1943 zszedł do konspiracji i stanął na czele OUN-B. Można się spierać, czy Szuchewycz miał wpływ na ludobójcze czystki prowadzone na Wołyniu, jednak pewne jest, bo przyznają to sami banderowcy, że udał się tam jesienią 1943 roku na inspekcję i odtąd stał się „wiernym obrońcą wołyńskiej taktyki”. Tak dalece, że jako dowódca UPA nakazał rozszerzenie antypolskich czystek na Galicję Wschodnią.

W czasie obrad UHWR Szuchewycz wyjawił, że na Wołyniu miała miejsce „likwidacja ludności polskiej [...], która zakończyła się latem 1943 roku”. Jak często bywa w wypadku czystek etnicznych, Szuchewycz odpowiedzialnością za nią obarczył same ofiary. Jego zdaniem polska policja i „polski element rozproszony na Wołyniu w pełni paraliżował ruch UPA”. A po „likwidacji” Polaków „rozwinęła się UPA”.

Wprost też przyznał, że w Galicji w 1944 roku „dowództwo UPA wydało rozkaz wysiedlenia Polaków, jeśli sami się nie przesiedlą. Ataki są kontynuowane. [...] Tworzymy dla siebie wygodne pozycje, których nie można osiągnąć przy zielonych stołach rozmów. Nie damy się oszukać”.

Metody stosowane przez UPA wywołały oburzenie metropolity Szeptyckiego, dlatego odmówił spełnienia prośby Szuchewycza, by skierować do leśnych oddziałów grekokatolickich kapelanów. Księża, którzy trafili do partyzantki – prawdopodobnie było to kilkunastu z kilku tysięcy wyświęconych grekokatolickich duchownych – wspierali ruch banderowski na własny rachunek, bez zgody biskupów. Wątpliwości arcybiskupa budził już sam fakt walki partyzanckiej. Szeptycki nie widział w niej sensu, uznając ją za bezcelowy przelew krwi.

Arcybiskup Szeptycki zmarł 1 listopada 1944 roku. Nieco ponad rok później komuniści zlikwidowali Cerkiew grekokatolicką. Dopiero tuż przed rozpadem Związku Sowieckiego grekokatolicy uzyskali swobodę wyznawania swojej religii. W przetrwaniu okresu prześladowań niewątpliwie pomógł im przykład arcybiskupa.

Szuchewycz po wejściu Sowietów jeszcze przez kilka lat kierował walką podziemia. Zginął z bronią w ręku 5 marca 1950 roku osaczony w swojej kryjówce. Dom, w którym się ukrywał, w niepodległej Ukrainie zamieniono na muzeum – 1 stycznia 2024 roku zniszczył go specjalnie w tym celu wysłany rosyjski dron kamikaze.

Zarówno arcybiskup, jak i dowódca UPA są dziś na Ukrainie uznawani za bohaterów. O ich odmiennym podejściu do zabijania niewinnych ludzi można znaleźć informacje w opublikowanych dokumentach, rzadko kto jednak po nie sięga. ●

eprasa.pl 738f82d54d

NOTATKI Z NAGONKI

– Więc moje dziecko ktoś kiedyś nazwie parszywym Żydem? Zastanawiam się. – W tym kraju na pewno – mówi matka.

Krystyna Kurczab-Redlich

ULICA PIOTRKOWSKA, Łódź, październik 1967

Z sali, do której drzwi są otwarte, słychać brzęk szkła i toast: – Za siódmego czerwca! – Ktoś woła: Chodź do nas!... Siódmego czerwca? Co się stało siódmego czerwca? I o który rok chodzi?... Znowu niedouczona! Znowu coś przegapiłam! Nie idę więc świętować z kilkoma kolegami, bo nie wiem, co świętują. Ktoś zapytany o to na schodach spojrzał podejrzliwie: – Przecież to Żydzi, świętują zwycięstwo Izraela nad Arabami. Co ty, nie wiesz?! – Ależ wiem. Lecz żeby aż świętować tamtejsze zwycięstwo...

Wracamy na salę. Na końcu długiego stołu Anioł-Hubert K., specjalista od spraw niemieckich, nagle krzyczy, że wreszcie pora potępić tego wroga, co się rozpanoszył w naszym kraju. Poruszenie na sali. Niemcy się panoszą? – myślę. Jedni mu przyklaskują, inni wstają i wychodzą, jeszcze inni ich gonią, tłumacząc, że Anioł-Hubert ma przecież „siedemnastkę" (ograniczenie poczytalności) i nie ma się co przejmować.

Istotnie Anioł-Hubert przestaje zaciskać szczęki. Wszystko wraca do normy, więc nie zadaję pytań. Nie zadaję pytań i dlatego, że czuję, iż nie wiem. Nie wiem czegoś ważnego i oczywistego, o co nie mogę pytać, nie narażając się na śmieszność. Poczucie niewiedzy. Poczucie rzeczywistości w półsłówkach i niedomówieniach umykającej przede mną. Ale... nie bardzo ją ścigałam. Wyrosła pod portretami Bieruta, Gomułki, w milczącym domu rodzinnym, myślałam, że jest, jak jest, bo tak być powinno.

A zresztą mam dwadzieścia lat i o wiele bardziej od rozszyfrowania niedomówień obchodzi mnie, kto wczoraj wieczorem wyśpiewywał pod hotelowymi drzwiami: spodobały mi się tej dziewczyny cysie...

KRAKÓW, listopad 1967

Anioł-Hubert K. w Studenckim Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ (SSPONZ) działa o wiele wcześniej niż ja. Jest starszy. Jest mądrzejszy. Więc gdy mówi: – To zdumiewające, że profesor Aleksandrowicz w swoich wspomnieniach z partyzantki wspomniał o moim ojcu – nie pytam, dlaczego zdumiewające. – Twój ojciec się z nim przyjaźni – mówi do mnie Anioł-Hubert, więc gdy spotkasz profesora, to mu powiedz, że jestem mu wdzięczny. – Sam mu powiedz! – odpowiadam. – Ja? Jemu!

KRAKÓW, 13 marca 1968

Planty pod uniwersytetem. Stoimy. Śpiewamy „Jeszcze Polska nie zginęła". Stoimy i śpiewamy w sprawie konstytucji i wolności słowa. Żeby dano przynajmniej to, co przyrzeczono.

Samochód po samochodzie, w równych odstępach, niekończącą się kawalkadą, jechały ku nam od strony Wawelu. Zmartwiali przyjmowaliśmy tę defiladę z koszmarnego snu. Snu o Hitlerze. Więc krzyk: „Gestapo! Gestapo!...". Nie krzyczałam: ta straszność dla mnie była inna.

Potem upadłam pod strumieniem ze strażackiego wozu, potem był gaz w tej samej sali, z której w zamierzchłej epoce przed moim narodzeniem wyprowadzano krakowskich profesorów na śmierć. Później prawdziwe życie znowu toczyło się poza mną, której szeptano: „Nie mieszaj się, nie bądź kozłem ofiarnym...".

•

U rodziców było pięknie, jasno i czysto, a wtedy jeszcze i tłumnie. Coraz to ktoś inny przyjeżdżał się pożegnać. Czarnowłose Maryśki i Marianny, podekscytowane, mówiące gęsto i głośno o tym, że w Warszawie aresztują, że ich dzieci i dzieci ich przyjaciół nie nocują w domach, że są śledzone, że ich samych z pracy w ministerstwie to tak – z dnia na dzień... Im głośniej oni mówili, tym bardziej cichli moi rodzice. Cichli i szarzeli. Szare kamienie przydrożne pośród ludzkiego potoku.

Różnica między matką a Mariannami była taka, że matce komunizm przeszedł już w 1937, niedługo po ich wspólnej celi w więzieniu świętego Michała, a im oto właśnie przechodził. I taka również, że w zamożnym domu, w którym się wychowała, chyba nie obchodzono nawet szabasu, a w ich domach, jak choćby i w domu ojca, gdzie śledzia dzielono na piątkę dzieci – świętowano wszystko, co Jahwe przykazał.

Ale przecież wtedy, zatrzaskując drzwi za kolejną Maryśką, tego nie wiedziałam, i do dziś pamiętam zdumienie, kiedy na moje: – Tak nie wolno! Wyjeżdżać nie wolno! Uciekać jak szczury! Trzeba zostać i się bronić! – matka z jakąś zaciętością mruknęła: – Daj spokój, to bardziej skomplikowane... Gdyby się nie panoszyli...

Żydom, którzy życie wynieśli z wojennej Polski, pozostał jeden nawyk: milczenia. A milczenie nie jest dobrym drogowskazem w doganianiu rzeczywistości. Półsłówka i niedomówienia...

• **Protest studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego pod akademikiem „Żaczek" w Krakowie w marcu 1968 roku**

FOT. ZE ZBIORÓW IPN

Coraz to ktoś inny przyjeżdżał się pożegnać. Czarnowłose Maryśki i Marianny, podekscytowane, mówiące gęsto i głośno o tym, że w Warszawie aresztują

Nie miałam nawet klucza do tego szyfru. To z wolna zawstydzało. Udawałam więc, że wiem, i puszczałam oko, gdy trzeba. Czy tylko ja zresztą? Czy tylko mnie kłamstwa rozkrzyczały się prawdą o wiele później? A najgłośniej dopiero w osiemdziesiątym pierwszym...

•

Więc wyjeżdżali tamci. Ale dlaczego i ten siedzący za stołem facet o strasznie chudych nogach, Kołakowski Leszek, nie Żyd chyba? I profesorowie Lange i Brus...

•

Gdyby za wcześnie nie opanowała mnie bez reszty radosna głupota młodości, gdybym z rodzinnego domu nie wyfrunęła, kiedy wreszcie nastała pora rozszyfrowywania niedomówień, rychlej portrety potopiłyby się w błocie i krwi, a orzeł zatrzepotał sparaliżowanymi skrzydłami. Nic takiego się jednak nie stało. Na kładce łączącej twierdzę ojca i matki z obozem, w którym ja się okopałam, mieściły się zaledwie małe prawdy codziennego bytowania. Na całą Polskę nie było tam miejsca.

Kwiecień 1968

Znowu sesja SSPONZ. Anioł-Hubert z pianą na ustach krzyczy na cały stolik: – Takich jak ty, to na pęczki i do gazu!!!

Wszyscy zrywają się, mój mąż, czysty Aryjczyk, były komandos, załatwia rzecz po męsku. To wszystko. Bożenka, na której ślubie miałam być świadkiem, przeprasza, ale ja chyba rozumiem: ona przecież nie wiedziała, nawet przypuszczać nie mogła...

Maj 1968

Do szpitala, gdzie leżę po operacji i z rozpoznaniem (także) „nerwica wegetatywna", przychodzi Staszek P., później wysoki funkcjonariusz ZSL, i Wiesiek K., niebawem wysoki urzędnik Rady Narodowej, przynoszą pomarańcze i proponują, bym zrezygnowała z mojej funkcji w SSPONZ. Rezygnuję z ochotą. Nie lubię składać podpisów flamastrem, a Wiesiek lubi.

11 listopada 1968

Z pogrzebowej Warszawy przywiało moją siostrę. Po drodze do Włoch. Nie do Szwecji, Danii, Holandii, a choćby Izraela ani nie przez Instytucję Emigracyjną „Joint" na zapewniony byt – jak wszyscy, lecz honorowo, żeby nie odcinać sobie powrotu do Polski. Szara kurtka siostry, szary samochód, do którego wsiada, szara twarz ojca, po której płyną łzy.

•

Mój ojciec wiedział chyba, kiedy jest Sądny Dzień, a kiedy Dzień Pojednania, lecz nie wiem, czy tego jako chłopak żałował, kiedy profesor o bardzo szanowanym w Krakowie nazwisku, błyskając mieczykiem w klapie, wypchnął go z sali wykładowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uniwersytet w Pradze natomiast obojętnie odnosił się do pochodzenia rasowego studentów, byleby płacili czesne. Ojciec płacił, ucząc się pilnie w hali poczty głównej, bo tam było wystarczająco jasno. A nocami, myjąc tramwaje.

Czterdzieści lat później, na Sławkowską 13, do Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów, przychodziliśmy czasem na flaki. Przy wejściu: ogłoszenie o nauce języka hebrajskiego. – Tato, będę się uczyła! – Zwariowałaś? Ucz się lepiej polskiego! – Uczyłam się. Recytowałam pięknie. Ksiądz bywał zachwycony.

•

– Więc i moje dziecko ktoś kiedyś nazwie parszywym Żydem? Zastanawiam się. – W tym kraju na pewno – mówi matka.

Ta sama, która po wizycie w Izraelu tuż przed owym siódmym czerwca powiedziała: – Gdy się tam słucha niektórych, szczególnie obolałych, można pomyśleć, że wojnę prowadzili Polacy przeciw Żydom. To prawda, ale w połowie. Bo aby przeżył jeden Żyd, ryzykowało śmiercią kilku Polaków, więc jeśli uratowało się bodaj kilka tysięcy Żydów, to jest tu kilkanaście tysięcy przyzwoitych ludzi. Czy więcej niż szmalcowników i donosicieli? Kto to policzy?

W rok później matka mówi: – Wyjeżdżaj! Tu nigdy nie dadzą ci zapomnieć.

•

– I pani chce się dostać na aplikację? – pani sędzia P. krzywi usta w uśmiechu. – A do jakich organizacji pani należy? – Do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami... Wolę to, niż pracować z takimi jak pani. – Mogę sobie pozwolić na bezczelność. Nie mam już nic do stracenia.

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

Nazywam się... Nazywam się? Do cholery – nie nazywam się! Jacyś świadkowie z prehistorii, jakieś podpisy, papiery. I ten świstek, kilka linijek, że nie jestem obywatelstwa polskiego. Jeśli serce to Serce – spadło właśnie na śmietnik. Siostra w Rzymie trzymała obywatelstwo polskie, jak długo się dało. Kilkanaście lat. Aż odebrali.

– Więc ty też?! – ucieszył się Wiktor W., syn sekretarza z Przemyśla. I szliśmy przez niedole urzędów i formalności, łokieć w łokieć, dopóki nie zagadał do mnie w tajemniczym języku przodków, którym porozumiewano się u niego w domu. Nie rozumiał, że ja nie rozumiem.

Jeszcze trzeba zapłacić za studia. Polka z Niemiec, poznana podczas wakacji, udziela pożyczki. Płacę i biegnę do WC obok dziekanatu, gdzie malowniczo mdleję w okolicach kibla. Jeszcze trzeba zbić skrzynię o przepisowych wymiarach. Matka szyje pościel...

Kolejka pod drzwiami ambasady holenderskiej załatwiającej sprawy emigracji Żydów. – Co ja tu robię? Co ja tu robię?! Tak trzeba!!! Za kolejnym razem uwierzyłam i na Starościńskiej 5 do ludzi w kolejce starałam się uśmiechać jak do znajomych. Kolejka jest długa. Nie – Żydzi biorą pospiesznie śluby z Żydami, żeby tylko wyjechać. Żyd w cenie! Do czasu. We wrześniu 1969 ktoś w kolejce mówi, że teraz już – zdaje się – małżeństw mieszanych nie wypuszczają. Nogi się pode mną uginają.

Ojciec szarzał do białości. Kiedy po raz któryś wyjeżdżałam „załatwiać sprawy”, zabrano go do szpitala.

Tym razem nie Starościńska 5, lecz Rakowiecka 2. Parter, korytarz. Nie jestem sama. Przed biurkiem mój mąż, Aryjczyk i ja, za biurkiem – ona. Ona mówi do niego, że przecież nie musi się nadal wiązać z Żydówką, niech ta sobie spieprza do Izraela, gdzie jej miejsce, a w Polsce jest przecież dość ładnych, prawdziwych Polek... Mój mąż, były komandos, obchodzi z wolna biurko i uderza ją w twarz. Uciekamy, pędzimy, śmiejemy się...

W tym czasie umarł ojciec.

Został po nim brelok, duża metalowa zawieszka. Z jednej strony jak nowa, z dziwnym lwem nad bramą. Z drugiej strony, gdzie napis po hebrajsku, metal starty od częstego dotyku. Co to za napis? W czym ojcu pomagał?

Mogę więc jechać, ale bez męża, co nie jest dobrą propozycją dla młodej mężatki. A zresztą... Zachód, już wcześniej poznany, nie prezentował mi się jako lepszy świat. Zapewne dlatego, że patrzyłam nań oczami zaślepionymi przez miłość. Do dziś nie wiem – do kogoś czy do czegoś... Tak czy inaczej, nie była to miłość dobra i twórcza.

Nie wiadomo zatem, co zrobić ze skrzynią specjalnie zbitą na dozwolone 20 kilogramów wywożonego dobytku. Okropnie zawadza w trzypokojowym mieszkaniu, które zajmujemy z mężem w 10 osób. Pościel natomiast się przydaje. Do dziś.

Pracę dostawało się wyłącznie po skierowaniu przez pełnomocnika do spraw pracy, który rezydował przy uniwersytecie. Ponieważ zapłaciliśmy za studia, wykreślono nas z ewidencji. Ponieważ wykreślono nas z ewidencji, nie podlegaliśmy pełnomocnikowi pracy. – Oni cierpią na laborofobię – dowcipkowali znajomi, o tym wszystkim przecież nie wiedząc. Dlaczego nie pracujemy – nawet matka nie pojmowała.

Nie wyjechałam, nie siedziałam w więzieniu, nie żegnano mnie łzami na dworcu, nic się właściwie nie stało. Nie mogłam dostać pracy w zawodzie prawnika, ale mogłam być sprzątaczką, sprzedawczynią, prostytutką... Nie istniałam. Były komandos (praca magisterska kwalifikowana jak doktorska) rozpił się w Spółdzielni Rymarzy.

Po czterech latach dostałam etat! Mogłam przekładać papiery w archiwum. A gdy już było dobrze i przestawałam być nikim, pewnemu panu przeszkadzały moje zbyt ciężkie powieki. – Nie przejmuj się! – mówili inni. Przejęłam się. Zmieniłam pracę. Na gorszą.

Zmieniłam męża. Zmieniłam miasto. Co jeszcze mogłam zmienić?

W Paryżu czy w Rzymie, w Berlinie czy gdzie indziej na zachód od Łaby, dokąd czasem wyjeżdżałam i nawet mogłam zostać, zawsze szybko zaczynał działać ten magnes. Magnes niedobrej miłości. Paraliżował. I przyciągał przez Odrę i Nysę Łużycką na wschód. Do siebie.

Do siebie?

PS W nowym mieście z nowym mężem zaczęłam nowe życie. Pewnego dnia dzięki pracy męża, wówczas korespondenta TVP, przeniosło się ono do Moskwy. Dziennikarką byłam od paru lat. Po następnych paru zostałam reporterką. Moim tematem stali się Rosjanie. Myślę, że przeżyte kiedyś upokorzenia łatwiej pozwoliły mi odczuć ich niełatwy los.

Powyższy tekst spoczywał od dawna gdzieś w annałach. Prawie zapomniany. Ale gdy niedawno usłyszałam, że tacy jak ja nie mają prawa do Polski, jakoś z tych annałów wychynął.

1 RP

Wspomnienie o prof. Marcie Petrusewicz

Wielka praca przyjaźni

Ogromnie interesował ją świat, przywiązana była do wielu krajów, w których mieszkała, oddana pracy intelektualnej i uczeniu. Ale jej główną zasadą postępowania była troska i lojalność wobec przyjaciół. Była wybitną historyczką, odeszła 4 lutego.

Irena Grudzińska-Gross

Przyjaciół miała wielu, choć nie zostawało się jej przyjacielem czy przyjaciółką całkiem automatycznie. Marta wysyłała życzenia na Thanksgiving (Święto Dziękczynienia). Listę tą nazywała „My preferred holiday” i w ten sposób obchodziła to święto. Nazwisk na liście było 108. Ten sam zestaw adresów mailowych tworzył listę urodzinową zatytułowaną „My annual birthday”: każdego 25 kwietnia Marta składała sobie życzenia, wysyłając maila do tejże grupy przyjaciół. Miałam szczęście dostawać corocznie oba te maile, zawsze mnie radowały. I rozśmieszały. Teraz oczywiście myślę o nich ze wzruszeniem. Nawet na odległość Marta była z nami, była z każdym z nas, ale także z nami jako grupą. Grupą w najszerszym znaczeniu tego słowa, grupą jako społeczność. Gdziekolwiek była, skupiała wokół siebie, budowała małą lub większą społeczność.

Bo jej przyjaźń była także społeczna. Widać ją było w jej zaangażowaniu politycznym, w tym, jak odnosiła się do swoich studentów, do ludzi, z którymi pracowała. Uwaga i życzliwość charakteryzowały uczenie, które było dla niej częścią misji społecznej. Tę samą misję widać w jej książkach. Jej „Latyfundium” przełamało stereotypy dotyczące „kwestii Południa”, wzięło w obronę tę część Włoch, która miała być odpowiedzialna za zapóźnienie i moralne kłopoty całego kraju. Znaczący jest tu podtytuł: „Ekonomia moralna i życie materialne dziewiętnastowiecznej peryferii”. Studium działania ogromnej własności ziemskiej kalabryjskiej rodziny Barracco. Książka ta pokazuje jej ekonomiczną sensowność i zakorzenienie w moralnych i kulturowych normach społecznych. Praca ta jest dedykowana mentorowi Marty na Uniwersytecie Warszawskim, profesorowi Witoldowi Kuli.

Prof. Marta Petrusewicz na Harvardzie w 1981 roku
FOT. DAVID L. RYAN/THE BOSTON GLOBE VIA GETTY IMAGES

Jej inna książka „Irlandzki sen. Życie Konstancji Markiewiczowej – komendantki IRA (1868-1927)” też dotyczy peryferii, tym razem irlandzkiej, i wyjątkowej kobiety, która usiłowała wcielić w życie wizję nacjonalizmu otwartego.

Tę książkę otwiera dedykacja dla Jacka Kuronia, najważniejszego chyba mistrza i inspiracji Marty. We wstępie pisze, że Kuroń przypomina Konstancję Markiewiczową „nie tylko kolejami życia, ale przede wszystkim tym, że zawsze stoi po stronie najsłabszych”. W innych publikacjach i w niestety niezrealizowanych planach wielkiej książki o peryferiach Europy stale schylała się nad tym co słabe, tym co wymaga ochrony. Takie były jej przekonania.

Ale była to także kwestia temperamentu. Już w szkole podstawowej należała do tak zwanego czerwonego harcerstwa, czyli walterowców prowadzonych właśnie przez Jacka Kuronia. Był to niewątpliwie formatywny okres jej życia, w którym nauczyła się stawać w obronie słabszych, być członkiem wspólnoty i dać upust spontaniczności. Na letnich obozach polubiła wspólne śpiewy: znała wszystkie słowa międzynarodowych pieśni, choć nie opanowała ich melodii. Ze swoją doskonałą pamięcią, odśpiewywała je z entuzjazmem do ostatniej zwrotki.

We wczesnej młodości brała czynny udział w dyskusjach zbuntowanej młodzieży szkolnej, na uniwersytecie ta działalność była już poważniejsza. W roku 1968 uczestniczyła w proteście przeciw przerwaniu przedstawień „Dziadów” Mickiewicza, została za to zatrzymana i skazana na grzywnę. Przed dalszymi szykanami uchroniło ją złamanie nogi i pobyt w szpitalu.

Ale i tak w wyniku tych wydarzeń poczuła się zmuszona do opuszczenia Polski. Uniwersytet Warszawski został oczyszczony ze zbuntowanych profesorów i studentów, szczególnie tych, którzy mieli żydowskie korzenie. Po Marcu, gdy moment ruchu młodzieżowego przeminął, uniwersytet był nie do poznania.

Po śmierci Marty wysłuchałam jej wypowiedzi do mieszkańców Rende w Kalabrii: jako radna od spraw kultury wygłaszała krótkie wykłady, zawsze świetnie sk onstruowane, żywe i ciekawe. A także osobiste: przedstawiała się w nich jako Żydówka polska. To była tradycja, w której się odnalazła, jej ulubioną postacią była Róża Luxemburg. Gdy wyjechała z Polski, miała 22 lata i choć w roku 1968 zderzyła się z antysemityzmem, własnego żydostwa nauczyła się, żyjąc wśród ludzi o rozmaitym pochodzeniu i historii.

Żyła i pracowała we Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i, krócej, w wielu innych krajach. W swoich publikacjach zawsze wpisuje na końcu przedmowy miejsce i datę ich powstania, jak gdyby zostawiając ślady swoich przemieszczeń. Mam u siebie jej książki powstałe w Arcacavata, Princeton, New Jersey, Inowrocławiu, Binghamton, Nowym Jorku. Ta mobilność nie wynikała tylko z losu, ale także z ciekawości, żywotności, z przyjacielskiego i życzliwego zainteresowania światem. Była wielojęzyczna, wszędzie czuła się dobrze. Ale wśród dedykacji na książkach, które od niej dostałam, jedna, napisana 32 lata temu na oryginalnym wydaniu „Latifondo”, brzmi dość dramatycznie:

„Irenko kochana, w nadziei, że sobie w końcu znajdziemy jakieś latyfundium, żeby tam wszyscy zamieszkać”. Podkreślam słowo „wszyscy”. Taka była natura przyjaźni, którą żyła Marta.

Profesor Marta Petrusewicz miała być gościem honorowym IV spotkania z cyklu „Ambasada Naukowców”, organizowanego z okazji Dnia Nauki Polskiej przez Stację Polskiej Akademii Nauk w Rzymie, we współpracy z Ambasadą RP w Rzymie, w dniu 20 lutego 2026 roku. Jednym z punktów programu miał być jej wykład pt. „Co to jest historia porównawcza? Do czego służy?”. Zmarła 4 lutego w wieku 78 lat.

eprasa.pl 738f82d54d

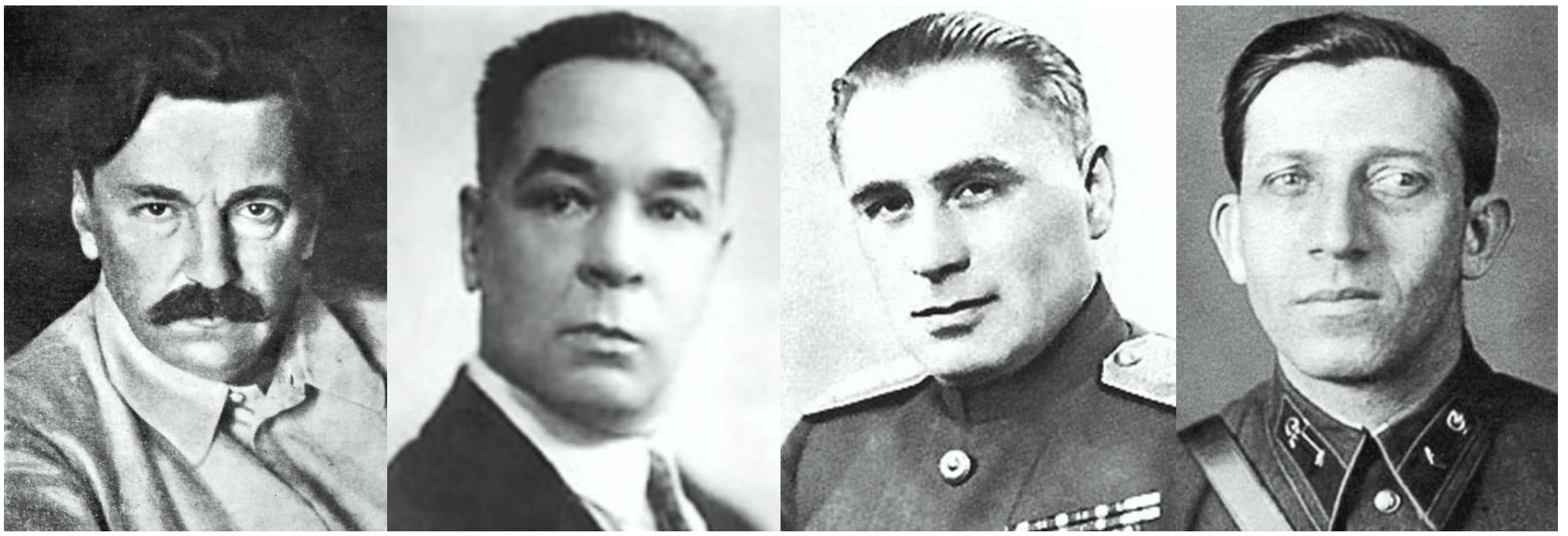

• **Sowieccy truciciele: Wiaczesław Mienżyński nadzorował pierwsze laboratorium trucizn, Ignatij Kazakow został oskarżony o otrucie Mienżyńskiego i w 1938 rozstrzelany, Paweł Sudopłatow uczestniczył w zamordowaniu Lwa Trockiego, a Grigorij Majranowski nazywany był Doktor Śmierć** FOT. GL ARCHIVE/ALAMY STOCK PHOTO, ALAMY STOCK PHOTO, WIKIMEDIA (2)

ZANIM OTRULI NAWALNEGO

Pierwsze w ZSRR laboratorium trucizn utworzono na polecenie Lenina. Wódz rewolucji był zafascynowany kurarą.

Grzegorz Przebinda

Gdyby szukać motywów grozy łączących putinowską Rosję z leninowskim i stalinowskim ZSRR, niewątpliwie trucie przeciwników politycznych należałoby do najbardziej rzucających się w oczy ogniw tego zbrodniczego łańcucha. O ile bowiem masowy terror lat trzydziestych – w Rosji putinowskiej mamy na razie terror ściśle punktowy – opierał się głównie na pokazowych procesach, łagrach i strzałach w potylicę, o tyle skrytobójcze eliminacje z użyciem trucizn, po 1945 również za granicą, stanowiły stały element repertuaru działań tajnych służb Ojczyzny Światowego Proletariatu.

POKÓJ SPECJALNY”

Znamienne, że najwcześniejsze laboratorium zajmujące się badaniem i produkcją trucizn powstało prawdopodobnie w ZSRR już w 1921 roku, a utworzone zostało na osobiste polecenie Lenina. Działalność placówki nadzorował przewodniczący OGPU, następca Feliksa Dzierżyńskiego Wiaczesław Mienżyński (1874-1934). Współczesny brytyjski historyk wywiadu Boris Volodarsky (były kapitan GRU) twierdzi, że pomysł powołania takiego laboratorium zrodził się u Lenina tuż po zamachu dokonanym na nim 30 sierpnia 1918 roku przez Fanny Kapłan. Wódz rewolucji został wówczas poinformowany – jak się później okazało, niesłusznie – że kule zatrute były śmiercionośną kurarą. Dlaczego więc – miał pytać – nie utworzyć „specjalnego gabinetu”, który zajmowałby się tym samym, tyle że wobec „wrogów ludu”?

Pisze Volodarsky: „Lenin dowiedział się, że kurara jest ciemną, żywiczną substancją otrzymywaną z kilku tropikalnych roślin Ameryki Południowej, zwłaszcza z Chondrodendron tomentosum lub niektórych gatunków Strychnos, oraz że sama nazwa »curare« jest zniekształceniem dwóch indiańskich słów z języka Tupi oznaczających »ptaka« i »zabijać«. Pnącze kurary było używane przez niektóre plemiona południowoamerykańskie do zatruwania grotów strzał. Przywódca bolszewików był zafascynowany. Trzy lata później, w 1921 roku, utworzono pierwsze laboratorium trucizn – bezpośrednio w sekretariacie Lenina, nazywanym wówczas »Pokojem Specjalnym« – pod kierownictwem profesora Ignatija Kazakowa. Od samego początku jego »produkty« miały być stosowane przeciwko »wrogom ludu«”.

Profesor Ignatij Kazakow kierował prawdopodobnie tym nieporadnym „instytutem” do 1937 roku, gdy sam padł ofiarą Wielkiego Terroru – został rozstrzelany w marcu 1938 roku po trzecim procesie moskiewskim razem ze swoim protektorem Gienrichem Jagodą.

TRWAŁY ORĘŻ ARSENAŁU PAŃSTWA

Ironią losu było to, że podczas tej rozprawy Kazakowa – w istocie szarlatana – oskarżono również o otrucie w maju 1934 roku na polecenie Jagody Mienżyńskiego, mimo że domniemany truciciel był jego ulubieńcem. Z kolei tegoż Jagodę – dotychczasowego naczelnika budzącego grozę NKWD (poprzednika KGB) – obwiniono o próbę otrucia swojego następcy Nikołaja Jeżowa. Oskarżenia te nie miały realnych podstaw, ale były elementem pokazowego procesu. Skoro jednak Jagoda rzeczywiście sprawował ogólny nadzór nad działalnością laboratorium trucizn, przekonanie o jego bezpośrednim udziale w takich zbrodniach łatwo się utrwaliło – tym bardziej że w realiach stalinowskiego systemu granica między prawdą, prowokacją a wymuszoną „spowiedzią” była totalnie zatarta.

No bo któż z nas nie pamięta dwóch tajemniczych gości pojawiających się w „Mistrzu i Małgorzacie” na Wielkim Balu u szatana, już w samym finale. Jeden z nich to zapewne „truciciel Jagoda”: „Po schodach pięła się do góry dwójka ostatnich gości. – To ktoś zupełnie nowy – najeżył się Korowiew, mrużąc oko zza szkiełka. – A, już wiem... Któregoś dnia odwiedził go Azazello i przy koniaku podsunął mu pomysł, jak pozbyć się człowieka, którego donosu tamten bardzo się obawiał. I natychmiast polecił znajomemu, właściwie swojemu podwładnemu, by niezwłocznie spryskał ściany gabinetu donosiciela silną trucizną”.

I choć w latach trzydziestych trucizny były tylko jednym z elementów terroru, a nie jego głównym mechanizmem, bo dominował aparat masowej represji, to Stalin po likwidacji Jagody i Kazakowa nie tylko nie zrezygnował z owego „oręża proletariatu”, lecz uczynił zeń trwały składnik arsenału państwa, który przetrwał do naszych dni.

SOWIECKI MENGELE

Po egzekucji profesora Kazakowa na czele trucicielskiej państwowej szajki stanął Grigorij Majranowski (1899-1964) szerzej znany jako Doktor Śmierć. Jak pisze Volodarsky, „był on biochemikiem, którego sadyzm znacznie przewyższał okrucieństwo jego nazistowskich odpowiedników”.

Nielepszy wcale odeń Paweł Sudopłatow (1907–1996) – biorący m.in. udział w zamordo-

eprasa.pl 738f82d54d

waniu Trockiego w sierpniu 1940 roku w Meksyku – wysuwa w swych późnych wspomnieniach przypuszczenie, że ów Doktor Śmierć brał udział w otruciu w lipcu 1947 w Moskwie na Łubiance Raoula Wallenberga, szwedzkiego dyplomaty obwinianego w stalinowskim ZSRR o to, że uczestniczył w rozpoczętych w 1945 roku tajnych, separatystycznych negocjacjach rozejmowych między przedstawicielami Niemiec, Anglii i USA prowadzonych za plecami Związku Radzieckiego. Ale dodajmy koniecznie, iż tenże Wallenberg, nim został aresztowany przez SMERSZ (kontrwywiad „Smiert’ szpionam”) w styczniu 1945 roku pod oswobodzonym od Niemców Budapesztem, uratował w stolicy Węgier podczas Holokaustu (od lipca 1944) życie dziesiątek tysięcy Żydów węgierskich.

Wracając zaś do „sowieckiego Mengelego” Majranowskiego, to on i jego grupa byli wykorzystywani do sprawdzania w swoim „laboratorium”, jak skutecznie działają różne trucizny, i testowali je na więźniach skazanych na karę śmierci.

„Kontrola przeprowadzona jeszcze za Stalina, po aresztowaniu Majranowskiego, a następnie za Chruszczowa w 1960 roku – w celach antystalinowskich demaskacji – wykazała, że Majranowski oraz członkowie jego grupy byli angażowani do wykonywania wyroków śmierci i likwidacji osób niewygodnych, wykorzystując w tym celu trucizny – w zgodzie z bezpośrednią decyzją rządu w latach 1937–1947 i w roku 1950. Jest mi wiadomo, że akcje podobnego rodzaju były realizowane przez nasz wywiad za granicą także w latach 1960 i 1970. Mówił o tym i pisał major KGB Oleg Kaługin”.

OTRUĆ STRZYKAWKĄ LUB PARASOLEM

Sudopłatow nadto twierdzi we wspomnieniach, że zna cztery przypadki likwidacji ludzi przy użyciu trucizny – wykonane w latach 1946–1947 – w których Majranowski brał bezpośredni udział (uczestniczył w nich także sam Sudopłatow):

Ołeksandr Szumski, jeden z czołowych przedstawicieli tzw. narodowego komunizmu ukraińskiego w latach 20., który w latach 1924-1927 jako ludowy komisarz oświaty sowieckiej Ukrainy aktywnie realizował zadekretowaną przez Lenina „politykę ukrainizacji” (otruty we wrześniu 1946 roku w wagonie sypialnym pociągu z Saratowa do Kijowa);

bł. Teodor Romża, biskup Ukraińskiej Cerkwi Greckokatolickiej, zmarły 1 listopada 1947 w Użhorodzie po podaniu mu trucizny w szpitalu przez pielęgniarkę (za wiedzą Chruszczowa i Stalina);

Samet, żydowski inżynier z Polski, internowany po 17 września 1939, a pracujący w 1946 roku przy tajnych projektach związanych z okrętami podwodnymi w Uljanowsku, który otrzymał śmiertelny zastrzyk kurary od samego Majranowskiego – po tym, gdy władze dowiedziały się o jego kontaktach z Anglikami i zamiarze wyjazdu do Palestyny;

Isaac Oggins, obywatel amerykański współpracujący z Kominternem, aresztowany w 1938 roku, który zmarł w 1947 po podaniu śmiertelnego zastrzyku przez Majranowskiego w szpitalu więziennym.

Już za Chruszczowa przyszła kolej na trucie w Monachium przebywających tam na wygnaniu ukraińskich działaczy i polityków.

12 października 1957 roku agent sowiecki Bohdan Staszynski zamordował w stolicy Bawarii ukraińskiego publicystę Lwa Rebeta, redaktora naczelnego pisma „Ukrajinśkyj Samostijnyk”. Bronią był pistolet-strzykawka wystrzeliwujący strumień trucizny, lecz za oficjalną przyczynę śmierci uznano zawał serca, gdyż trucizna nie pozostawiła śladów.

15 października 1959 roku ten sam Staszynski, używając identycznej broni, zabił przywódcę OUN Stepana Banderę w klatce schodowej jego domu w Monachium przy Kreittmayrstraße. O wszystkim opowiedział po ucieczce do Berlina Zachodniego w 1961 roku, kiedy oddał się w ręce władz RFN.

11 września 1978 roku w Londynie nagle zmarł 49-letni bułgarski dysydent Georgi Markow. Kilka dni wcześniej potknął się na ulicy i został ukłuty czyimś parasolem. Podczas sekcji zwłok ustalono, że w chwili ukłucia do jego nogi za pomocą mechanizmu pneumatycznego wszczepiono miniaturową kapsułkę z jadowitą rycyną.

• **Moskiewskie więzienie Lefortowo, w którym więziono m.in. otrutego w 2006 roku Aleksandra Aleksandra Litwinienkę**

FOT. WOJTEK LASKI/EAST NEWS

W latach 30. trucizny były tylko jednym z elementów terroru, Stalin nigdy nie zrezygnował z owego „oręża proletariatu”, lecz uczynił zeń trwały składnik arsenału państwa, który przetrwał do naszych dni

LITWINIENKO I INNI

W już putinowskich czasach został otruty talem w Moskwie 3 lipca 2003 roku Jurij Szczekoczichin, dziennikarz śledczy „Nowej Gaziety”. Niebawem późniejszego prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenkę, jeszcze w czasie kampanii prezydenckiej w 2004 roku, też podstępnie próbowano otruć dioksyną – jego twarz uległa trwałemu oszpeceniu po zatruciu, a badania potwierdziły w jego organizmie stężenie trucizny tysiące razy przekraczające normę.

W analogiczny sposób służby specjalne otruły Aleksandra Litwinienkę w Londynie w 2006 roku, gdzie z kolei zastosowano radioaktywny izotop polonu-210.

Ten „wzorzec postępowania” Rosji przywołuje nieuchronnie na myśl próbę otrucia Siergieja Skripala i jego córki Julii nowiczokiem w Salisbury w 2018 roku oraz używanie przez rosyjskie wojska broni chemicznej w wojnie przeciwko Ukrainie. My możemy dodać do tego jeszcze próby trucia prawdopodobnie tym samym nowiczokiem kolejno, dwukrotnie, Władimira Kara-Murzy (maj 2015 i luty 2017) i Dmitrija Bykowa (kwiecień 2019), a wreszcie nieudany jeszcze wtedy zamach na samego Aleksieja Nawalnego w sierpniu 2020 roku.

Na koniec wrócę jeszcze do przypadku profesora Kazakowa rozstrzelanego 15 marca 1938 roku po procesie „antyradzieckiego bloku prawicowo-trockistowskiego”. Był bowiem nie tylko lekarzem-trucicielem, lecz także twórcą teorii i praktyki lizatoterapii – metody odmładzania organizmu opartej na wstrzykiwaniu preparatów tkankowych (lizatów komórkowych).

Truł zatem z przekonaniem jedynie „wrogów ludu”, a jednocześnie leczył i odmładzał najwyższych funkcjonariuszy partyjnych i państwowych.

Paradoks stalinowskiego systemu polegał wszak na tym, że nawet i tak użyteczny „profesjonalista” w pewnym momencie stawał się zbyteczny.

KUMKANIE EKWADORSKIEJ ŻABY

W dzisiejszej natomiast Rosji ktoś o podobnych kwalifikacjach mógłby raczej liczyć na ochronę i apanaże, a nie na strzał w tył głowy w mrocznych podziemiach Łubianki. Szczególnie w sytuacji, gdy Putin wciąż marzy nie tylko o długowieczności, ale wręcz o życiu wiecznym jeszcze tu na ziemi. Oto podczas parady wojskowej w Pekinie, odbytej 3 września 2025 roku, zwrócił się następująco do chińskiego gospodarza Xi, stojąc wraz z nim na podium Placu Niebiańskiego Spokoju: „Biotechnologia stale się rozwija. Ludzkie organy mogą być przeszczepiane bez końca. Im dłużej człowiek żyje, tym młodszy się staje, a może on nawet osiągnąć nieśmiertelność”.

Szczególnie jeśli po drodze wytruje swoich największych konkurentów, do jakich należał bez wątpienia zamordowany 16 lutego 2024 w rosyjskiej Arktyce jadem tropikalnej żaby z Ekwadoru czterdziestosiedmioletni Aleksiej Nawalny.

Niezawodny Wiktor Szenderowicz napisał od razu na swoim Telegramie: „Znamy tę ekwadorską żabę, której jadem został zabity Nawalny. Znamy ją naocznie i pamiętamy każde jej noworoczne kumkanie spod zębatego muru. Myślę, że to imię bardzo by mu pasowało. I nikt, dalibóg, nie musiałby nawet pytać, o kim mowa”.

A my dodajmy jedynie, że ów zębaty mur stoi nie gdzieś w dżungli Amazonii, lecz znacznie bliżej – tam, gdzie biją kremlowskie kuranty, odmierzając kolejne lata tej zbrodniczej wojny i odliczając wciąż narastający legion jej ofiar. ●

Źródła: Boris Volodarsky, „The KGB’s Poison Factory From Lenin to Litvinenko”, Minneapolis 2010; Michaił Bułhakow, „Mistrz i Małgorzata”, przeł. Leokadia Anna Przebinda, Grzegorz Przebinda, Igor Przebinda, Kraków 2025; Paweł Sudopłatow, „Спецоперации. Лубянка и Кремль 1930–1950 годы:, Moskwa 1998; Wiktor Szendrowicz, Telegram, 14.02.2026, https://t.me/viktor_shenderovich/1028.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34422466

Skojarzenia nowa gra w APLIKACJI WYBORCZEJ

Szukaj w sekcji Rozrywka w aplikacji

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI ZE S. 7: ■ **Kojarzą się z puszką:** Areszt, Konserwa, Kwesta, Pandora ■ **Sygnały alarmowe:** Buczek, Dzwon, Gwizdek, Syrena ■ **Tytuły piosenek republiki:** Kombinat, Lawa, Mamona, Telefony ■ **Słowa zaczynające się nazwami części twarzy:** Nosze, Okopy, Uchodźca, Ustawa

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

weekendówka 195

WEEKENDÓWKA-ŚNIADANIÓWKA

Nie jadam śniadań, to wymysł producentów płatków śniadaniowych" – mówił w filmie „Miejsce na Ziemi" niejaki Kelvin „Kelley" Morse, kreowany przez Chrisa Kleina, którego z pewnością bardziej kojarzycie z serii filmów „American Pie".

„Kelley" wietrzył śniadaniowy spisek, ale przecież prawda jest taka, że człowiek śniadał od dawien dawna. W starożytnej Grecji po wschodzie słońca jadano posiłek zwany akratisma, najczęściej złożony z chleba jęczmiennego maczanego w winie, oliwek czy fig. U Egipcjan częstowano się falafelami, pastą z bobu, cebuli, czosnku i kolendry, zaś Rzymianie spożywali ientaculum – w menu były chleb, ser, oliwki, orzechy i rodzynki i mięsiwo na zimno, pozostałe z dnia poprzedniego.

W średniowieczu wprawdzie uważano, że śniadanie to posiłek biedoty, której niezbędny był do ciężkiej całodniowej pracy (szlachta, wiadomo, nie pracuje), ale już w wieku XVI zauważano, że jednak warto je jeść. Choć klasyka, jaką jest słynne angielskie śniadanie, złożone z kiełbasek, bekonu, jajek, fasoli, grzybów i tostów to już wynalazek XIX-wieczny.

I tu wracamy do teorii spiskowej „Kelleya" Morse'a i wynalazku płatków śniadaniowych. Bo pojawiły się na świecie właśnie w wieku XIX, za sprawą niejakiego Johna Harveya Kellogga.

Otóż Kellogg, w prowadzonym przez siebie sanatorium w Battle Creek w stanie Michigan wśród innych leczniczych praktyk, jak gimnastyka (z wykorzystaniem nawet urządzeń technicznych – siłownia!), rozmaite masaże wodne i zimne prysznice, czy lewatywa, zalecał m.in. specjalistyczną dietę. Kellogg był zwolennikiem wegetarianizmu, zalecał ścisłą wstrzemięźliwość jeśli chodzi o alkohol i palenie tytoniu, wreszcie sam eksperymentował kulinarnie. M.in. z płatkami zbożowymi. Szukał pokarmu, który byłby łatwy do strawienia dla jego pacjentów, a efektem poszukiwań było ciasto z owsa, pszenicy i kukurydzy, z którego powstawały okruszki, serwowane pod nazwą „granoli". W 1894 roku, nieco przez przypadek – Kellogg zostawił ciasto z pszenicy dłużej na ogniu, a potem, zamiast je wyrzucić, rozwałkował je i otrzymał drobne płatki, świetnie nadające się potem do pieczenia.

Stąd już tylko krok do tego, co znamy dziś jako śniadaniowe płatki kukurydziane. John Kellogg chciał, by pozostały formą dietetycznego, zdrowego posiłku, jego brat, William Keith Kellogg chciał wprowadzić je na rynek i zbić na nich majątek. Oba zamierzenia zrealizował, choć formułę Johna zmienił – w płatkach kukurydzianych pojawiły się substancje, o których starszy z Kellogów słyszeć nie chciał, m.in. cukier.

A jako że 7 marca obchodzimy nieformalne święto – Dzień Płatków Śniadaniowych, to dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcimy śniadaniu w najróżniejszych jego formach i odmianach. Smacznego! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

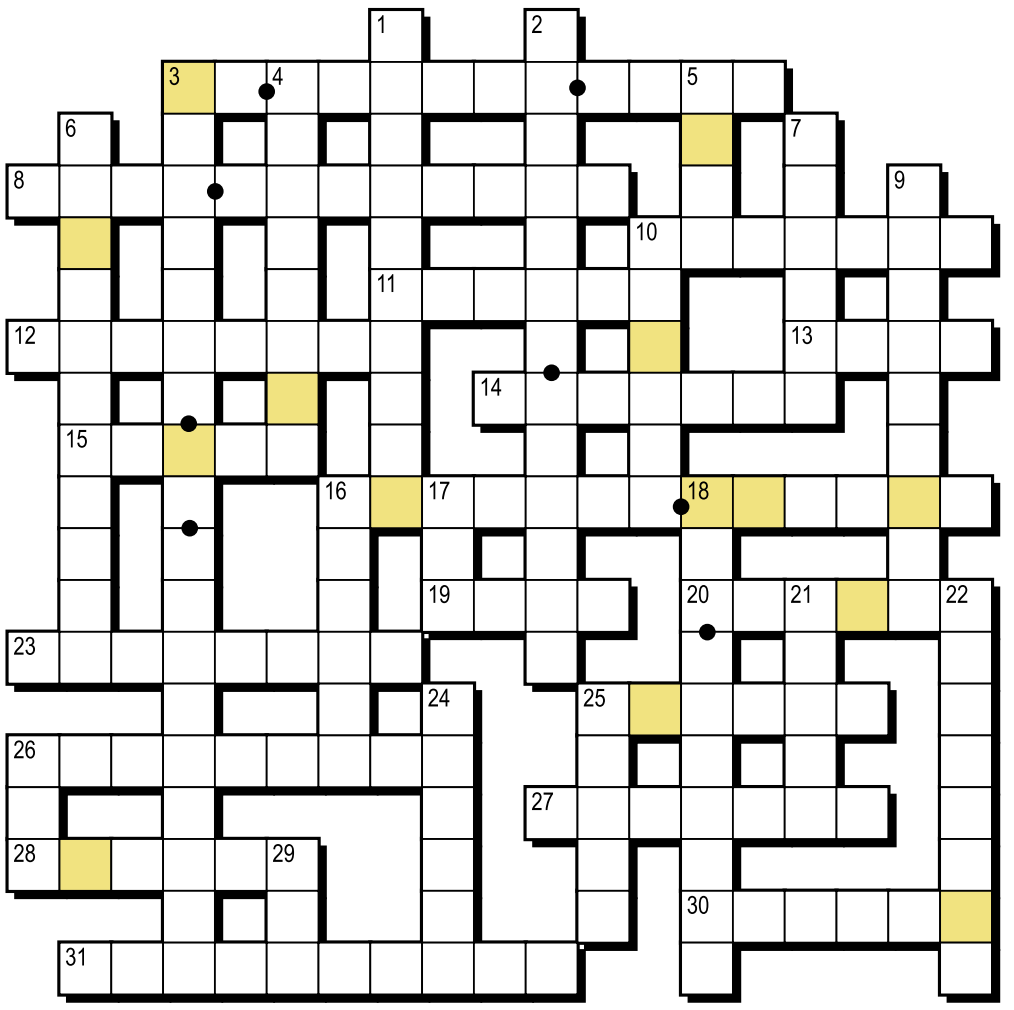

ŚNIADANIÓWKA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) piosenka, w której Kora śpiewa: „Rano zjedz ze mną śniadanie"
8) autor powieści „Śniadanie mistrzów, czyli Żegnaj, czarny poniedziałku"
10) drobiowy, do kanapki
11) ... sałaty, do kanapki
12) zakłady, w których śniadania (i inne posiłki) podają do łóżka
13) wyskoczył z opiekacza jak oparzony
14) Priscilla, wystąpiła w filmie „Śniadanie z Einsteinem"
15) nazwisko autora obrazu „Śniadanie na trawie"
16) trucizna, którą wstrzyknięto po śniadaniu jednej z bohaterek powieści Agathy Christie „I nie było już nikogo"
19) „Jak dobrze wstać skoro ..."
20) twarożek, jogurt, kefirek...
23) „... na śniadanie", piosenka zespołu Nocna Zmiana Bluesa
25) ... owsiane na mleku
26) doskonały dzień na śniadanie do łóżka
27) występuje w kawie i coca-coli
28) co po ile w śniadaniowni, bistro
30) pod filiżanką
31) cecha posiłku zawierającego dużo istotnych składników odżywczych

Pionowo:
1) płatki kukurydziane
2) francuski malarz impresjonista, autor obrazu „Śniadanie wioślarzy"
3) poranny program na antenie TVP2
4) papu zabierane na wycieczkę
5) w ofercie turystycznej: ... hotelowa ze śniadaniem – 300 zł
6) Stefek, który „patrzy, a tu jakieś zwierzę do śniadania mu się bierze"
7) w czasach przedsmartfonowych chętniej czytane do śniadania
9) komedia filmowa, w której Maks, Albert i Lamia jedzą śniadanie na tarasie willi Jej Ekscelencji
10) nagrał piosenkę „Śniadanie do łóżka"
16) Truman, autor powieści „Śniadanie u Tiffany'ego"
17) „... Fasola w pokoju 426", z zabawną sceną podczas hotelowego śniadania w formie stołu szwedzkiego
18) poemat z bogatym opisem śniadania w Soplicowie
21) jeden ze składników śniadania angielskiego
22) przyda się, by wygodnie zjeść jajko na miękko
24) owoc w śniadaniówce ucznia
25) imię głównego bohatera komedii „Śniadanie do łóżka" (rola Tomasza Karolaka)
26) „... albo Oczekiwanie na śniadanie", wiersz Edwarda Stachury
29) ... i koszyk z jedzonkiem, do zabrania na piknik

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 194 z 28.02:

Poziomo:
5) atlas 8) Lech Janerka 10) Państwo 11) Biała flaga 12) Indonezja 14) kod sygnałowy 17) góra 18) Norweg 20) Europa 21) Dorota 22) profan 27) Jerzy 28) piosenkarka 29) meta 31) Libia 33) Irak 35) głowa 36) tłum 37) kapitulacja 38) dwunastka

Pionowo:
1) kluby sportowe 2) harfa 3) Nepal 4) Ukraina 6) listek 7) Szwajcaria 9) czaszka 10) podnoszenie 13) Cypr 15) Dania 16) niebo 17) geografia 19) poczet 23) Republika 24) flota 25) emblemat 26) Jack 29) motyw 30) armia 32) młot 34) akcja

Hasło: PROPORCZYKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

wyborcza

KOBIETY W BIZNESIE

Sobota, 7 marca 2026 | Redaktor prowadząca **Kamilla Sierocka** wyborcza.pl

Women on Boards

Spółki muszą się dostosować

Dyrektywa Women on Boards jest po to, by zwiększyć udział kobiet w radach nadzorczych i zarządach największych spółek giełdowych w Unii Europejskiej. Zakłada, że do połowy tego roku spółki osiągną co najmniej 40 proc. udziału kobiet w radach nadzorczych albo 33 proc. w zarządach i radach nadzorczych łącznie

Sławomir Szymański

Ale właściwie to dlaczego taka dyrektywa w ogóle się pojawiła? – Powodem jej przyjęcia był utrzymujący się niski udział kobiet na najwyższych stanowiskach decyzyjnych mimo ich wysokich kwalifikacji i dużej aktywności zawodowej, a także znaczne różnice między państwami członkowskimi. W Polsce udział kobiet w zarządach wynosi ok. 24 proc., podczas gdy średnia w UE to 32 proc. – mówi prof. Dominika Hadro z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu.

Zauważa, że dobrowolne działania nie przyniosły oczekiwanych efektów: – Regulacja realizuje zatem jedną z podstawowych wartości UE, jaką jest równość kobiet i mężczyzn, a jednocześnie ma wymiar gospodarczy – pełniejsze wykorzystanie dostępnych talentów zwiększa konkurencyjność przedsiębiorstw i poprawia jakość zarządzania – podkreśla.

Powołuje się tu na liczne badania pokazujące, że większa różnorodność płci w organach spółek poprawia jakość nadzoru korporacyjnego, zwiększa aktywność członków rad oraz ogranicza ryzyko nadużyć. – Analizy empiryczne pokazują również pozytywny wpływ na przejrzystość raportowania, innowacyjność i długoterminową wartość przedsiębiorstw. W dłuższej perspektywie oczekuje się więc bardziej efektywnych i odpowiedzialnych procesów decyzyjnych, przełamania „szklanego sufitu" oraz pełniejszego wykorzystania potencjału wykwalifikowanych kobiet w gospodarce – zaznacza.

Prawie nikt nie jest gotowy

Najnowsze badanie przeprowadzone przez Fundację Liderek Biznesu (FLB) „Kobiety we władzach spółek giełdowych w Polsce. Gdzie jesteśmy po 10 latach? Indeks FLB", opublikowane w listopadzie 2025 r., pokazało, że Polska wciąż jest na dalekim miejscu w Europie, jeżeli chodzi o udział kobiet na najwyższych stanowiskach.

Pierwsze takie badanie FLB przeprowadziła w 2014 roku. Co wynika z porównania wyników? Dziesięć lat później istotna zmiana jest wciąż przed nami – kobiety są członkiniami zarządów 13,6 proc. organizacji, co oznacza wzrost o 2,1 punktu procentowego, oraz 18,7 proc. rad nadzorczych (wzrost o 5,7 punktu proc.).

– W wielu zarządach i radach nadzorczych spółek z GPW nie ma ani jednej kobiety – zauważa Anna Sirocka, prezeska Fundacji Liderek Biznesu. Badanie pokazało, że 107 spółek giełdowych będzie musiało dostosować swoje władze do wymogów dyrektywy Women on Boards (WOB). Są to wszystkie firmy znajdujące się w indeksie WIG20, 34 z indeksu mWIG40 i 53 z sWIG80.

– Póki co spełnia je tylko 12 największych z nich – dwie z indeksu WIG20 mają minimum 33 proc. udziału kobiet zarówno w zarządzie, jak i w radzie nadzorczej. W przypadku mWIG40 takich spółek jest 10. Żadna firma wchodząca w skład sWIG80 nie ma koniecznego udziału kobiet we władzach – mówi Anna Sirocka.

Zaznacza, że wdrożenie WOB do polskiego prawa powinno było nastąpić do końca 2024 roku, ale prace zatrzymały się na poziomie Rady Ministrów: – WOB nie jest jedyną dyrektywą „z opóźnieniem". Każde naraża Polskę na ryzyko dotkliwych sankcji finansowych narzucanych przez KE oraz TSUE – stwierdza.

Prezeska FLB również podkreśla, że opóźnienie we wdrożeniu tej dyrektywy to realnie tracona szansa na pełne wykorzystanie talentów przekładających się na wzrost konkurencyjności gospodarki.

Czy mechanicznie się wyrówna

– Dyrektywa Women on Boards ma zdecydowanie sensowne założenia, wyrównanie szans na rynku pracy powinno stanowić jedną z idei, którą powinniśmy się kierować – mówi dr Piotr Sieńko z Uniwersytetu WSB Merito w Bydgoszczy.

Zwraca uwagę na fakt, że nasz kraj nadal pozostaje poniżej unijnej średniej mimo oddolnego lobbowania za tego typu zmianami – np. przez Kongres Kobiet. A w zarządach ponad 70 proc. firm nie zasiada żadna kobieta. Przy czym ta liczba nie pokazuje różnic między branżami, a te są znaczące.

– Wydaje się, że najlepiej przygotowanymi branżami są te, które w stereotypowym modelu społeczeństwa zaakceptowały obecność kobiet, jak choćby zdrowie czy edukacja. Taka forma pracy wiąże się z opiekuńczością, czyli aktywnością, z którą kobiety są kojarzone od wieków – zauważa naukowiec.

Jego zdaniem, bardzo istotną rolę odgrywa tu czynnik ekonomiczny: – Widzimy, że kobiet jest mało tam, gdzie zarobki są jednymi z najwyższych, np. branża IT. Badanie Gender Equality Index opracowane przez European Institute for Gender Equality, którego celem jest zmierzenie stanu równości płci w krajach Unii Europejskiej, jasno wykazuje, że Polska plasuje się na dole unijnej tabeli i zmierza zdecydowanie wolniej w kierunku równości niż inne kraje członkowskie, a ten dystans najpewniej będzie wzrastał. Biorąc pod uwagę, że raport podejmuje m.in. obszar pracy, trzeba stwierdzić, że polskie firmy nie są należycie przygotowane – podkreśla dr Sieńko.

• **Regulacja realizuje jedną z podstawowych wartości UE, jaką jest równość kobiet i mężczyzn, a jednocześnie ma wymiar gospodarczy – pełniejsze wykorzystanie dostępnych talentów** FOT. SHUTTERSTOCK

Jak mówi, jedną ze strategii zmiany, dobrą praktyką mogłoby być powołanie pełnomocniczek/pełnomocników zarządów ds. równości: – Osób, które dbałyby o zabezpieczenie samej, liczbowej reprezentacji wśród władz, ale też potrafiły zaopiekować się tą różnorodnością wyzwań, przed którymi stoimy – tłumaczy.

Nie sądzi jednak, żeby samo mechaniczne wprowadzenie większej reprezentacji danej płci do zarządów zmieni wiele dla ogółu, szczególnie kobiet.

– Z licznych badań wynika, że płeć osoby zarządzającej nie musi wpływać na zredefiniowanie patriarchalnych standardów na bardziej przyjazne. Ponadto w dyrektywie, np. w punkcie czwartym, czytamy o „prawach socjalnych", a ten wątek pojawia się jedynie jako martwy zapis. Myślę więc, że dobrym krokiem byłoby przyjęcie perspektywy, która nazywa się w badaniach feministycznych intersekcjonalną. Uwzględnia ona różnorodność wszystkich płci, np. kwestie związane z niepełnosprawnościami, macierzyństwem/tacierzyństwem czy wreszcie pozycją zajmowaną w hierarchii danej organizacji – opowiada naukowiec.

Kluczowe jest wzmacnianie kobiet

Co właściwie oznacza wprowadzenie tej dyrektywy? Czego w praktyce można się spodziewać? – Obawiam się, że dyrektywa zostanie wprowadzona na zasadzie wymiany kilku mężczyzn na kobiety. Taki stan rzeczy niekoniecznie doprowadzi do wyrównania szans na rynku pracy i pozytywnych zmian w zakresie uwrażliwienia społeczeństwa na perspektywę feministyczną – stwierdza dr Piotr Sieńko.

Z innej perspektywy ocenia to prof. Dominika Hadro. – Ta dyrektywa nie wymusza automatycznego powoływania kobiet do organów spółek, lecz obowiązek stosowania przejrzystych i niedyskryminujących procedur rekrutacyjnych oraz pierwszeństwa dla osoby należącej do płci niedoreprezentowanej w przypadku równych kwalifikacji – wyjaśnia naukowczyni.

Anna Sirocka: – Obecność kobiet we władzach spółek to powinien być przede wszystkim efekt podejmowania decyzji o awansach na podstawie umiejętności, a nie stereotypów, zwłaszcza w trudnych momentach – firmy powinny świadomie sprawdzać, czy nie wybierają „bezpiecznej opcji" zamiast rzeczywistych kompetencji. Kluczowe jest wzmacnianie kobiet w trakcie całej kariery, dając im większą widoczność, świadomie kierując do zadań z odpowiedzialnością za wyniki finansowe i projektów, które budują doświadczenie, a także wspierając w momentach, gdy zawieszają życie zawodowe na rzecz rodzinnego, np. poprzez mentoring – podsumowuje. ●

eprasa.pl 738f82d54d

Coraz więcej polskich miast ma prezydentki czy burmistrzynie

Szklany sufit w samorządach pęka, ale nie z hukiem

W samorządach wiele zmienia się na lepsze, jeśli chodzi o liczbę kobiet na wysokich stanowiskach, ale niejedno trzeba jeszcze zmienić. Kobietom nadal jest trudniej niż mężczyznom, nadal muszą też bardziej się starać i udowadniać, że są kompetentne.

Sławomir Szymański

Dlaczego tak jest? Największą barierą jest może mentalność. I pewnie najtrudniejszą do zmiany.

– Dzisiaj mogę mówić z perspektywy osoby, która pełni wysoką funkcję publiczną – zweryfikowaną w najpełniejszy sposób, bo to funkcja pochodząca z wyborów. Nie ukrywam, że mam dużo wewnętrznej satysfakcji i poczucie siły. Ale pamiętam, że nie było mi łatwo w mojej karierze publicznej – mówi Agata Wojda, prezydentka Kielc.

Opowiada, że w ostatnich wyborach wiele osób mówiło jej o tym, że jest dobrze przygotowana do pełnienia tej funkcji, ale nawet osoby życzliwe potrafiły pytać: „czy Kielce są gotowe na kobietę prezydentkę?”.

Widać jak zmienia się podejście do barier, które kiedyś stanowiła płeć. Gdzie zmiany te widać najbardziej? W mojej ocenie w gminach, które wspierają potencjał, pozwalają na rozwój, inwestują w człowieka. I wszystkim paniom życzę, żeby takich gmin było jak najwięcej

ALEKSANDRA KRZESZEWSKA

– Co to jest w ogóle za pytanie? Ja rozumiem kontekst, ale fakt, że my się musimy zastanawiać, czy mentalnie jakaś grupa społeczna jest gotowa na to, żeby osoba płci żeńskiej sprawowała najwyższą funkcję w mieście, jest czymś absolutnie kuriozalnym – podkreśla.

Niejednokrotnie doświadczyła hejtu

Jeden z najwyższych w Polsce wskaźników reprezentacji kobiet we władzach miasta ma Legnica. Wśród radnych jest ich 48 proc., wiele kobiet w urzędzie miasta piastuje stanowiska dyrektorskie i kierownicze, a w samym zarządzie miasta są dwie panie. – Jest to dobra prognoza na przyszłość – mówi Aleksandra Krzeszewska, I zastępczyni prezydenta Legnicy, stwierdzając jednocześnie, że szklany sufit w samorządach pęka – ale nie z hukiem.

– Refleksja na dziś to moje osobiste doświadczenia, a te są już mniej pogodne. Niejednokrotnie doświadczyłam hejtu, który wiązał się właśnie z płcią i wiekiem. Niestety część osób wciąż uważa kobiety za „maskotki”, a nie osoby ciężko pracujące dla rozwoju społeczności lokalnej, co jest bardzo krzywdzące dla wszystkich kobiet w Polsce. Wszystkich tych, które muszą godzić ze sobą wiele życiowych ról i dają z siebie sto procent – opowiada Aleksandra Krzeszewska.

Dodaje jednak, że z perspektywy jej siedmioletniego doświadczenia pracy w samorządzie wiele się zmienia i już zmieniło na lepsze: – Widać jak zmienia się podejście do barier, które kiedyś stanowiła płeć. Gdzie zmiany te widać najbardziej? W mojej ocenie w gminach, które wspierają potencjał, pozwalają na rozwój, inwestują w człowieka. I wszystkim paniom życzę, żeby takich gmin było jak najwięcej!

Mentalność jak hamulec

O tym, że szklany sufit nie zniknął, mówi też prezydentka Kielc. – Tak naprawdę jesteśmy cały czas od wielu lat w pewnym procesie, który ma umożliwić kobietom równy rozwój kariery, ale jeszcze sporo przed nami. Najpierw, jeszcze kilka, kilkanaście lat temu, to były głównie ograniczenia o charakterze prawnym. Dzisiaj jest wiele osłon prawnych, które starają się kobiety wspierać, ale także jest wiele przepisów, które weryfikują, czy ta dyskryminacja nie następuje– mówi Agata Wojda.

Jej zdaniem, największy problem jest natomiast związany z mentalnością: wciąż postrzega się kobiety jako osoby, dla których nie jest „naturalne” pełnienie wysokich funkcji publicznych.

– Ale ten problem mentalnościowy moim zdaniem leży też w samych kobietach. To kobiety mają duży problem z przebijaniem szklanych sufitów, dlatego że nie mają takiej pewności siebie jak mężczyźni. Wielu mężczyzn ma przekonanie o swoich wysokich kompetencjach i predyspozycjach do pełnienia funkcji. Rzadko się zastanawiają, czy są wystarczająco kompetentni, czy są właściwie przygotowani merytorycznie – zauważa.

• **Aleksandra Krzeszewska** FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Agata Wojda** FOT. WOJCIECH HABDAS / AGENCJA WYBORCZA.PL

One muszą się starać bardziej niż oni

Agata Wojda zwraca uwagę, że te mentalne bariery widać w języku, m.in. w tym, jak postrzegane są w naszym kraju feminatywy. Wiele osób się z nich wyśmiewa, czy tę sprawę w ogóle lekceważy. Tymczasem feminatywy mają duże znaczenie.

– Jeżeli przez lata na wysokich stanowiskach mówi się „dyrektor”, a myśli się mężczyzna, mówi się „menadżer” i myśli się mężczyzna, to język robi swoje. Jeżeli będziemy mówić o dyrektorkach, menadżerkach, kierowniczkach, prezeskach, to w głowach wielu osób, szczególnie młodych kobiet, będzie funkcjonować przekonanie, że to jest absolutnie naturalne, że kobiety zajmują te stanowiska. To jest społeczna zmiana mentalności i dawanie kobietom czegoś, czego mają zdecydowanie mniej niż mężczyźni, a co jest kluczem w osiąganiu sukcesu – pewności siebie – podkreśla prezydentka Kielc.

Od wielu lat jesteśmy w procesie, który ma umożliwić kobietom równy rozwój kariery, ale jeszcze sporo przed nami. Najpierw, jeszcze kilka, kilkanaście lat temu, to były głównie ograniczenia o charakterze prawnym. Dzisiaj jest wiele osłon prawnych, które starają się kobiety wspierać, ale także jest wiele przepisów, które weryfikują, czy ta dyskryminacja nie następuje

AGATA WOJDA

Z jej wieloletniego doświadczenia wynika, że kobiety, żeby osiągnąć sukces, muszą zawsze bardziej niż mężczyźni.

– Muszą budować swoją powagę publiczną. Szczególnie młode kobiety, które często są deprecjonowane chociażby przez używanie zdrobnień ich imion, bez używania przy tym funkcji: radnej, przewodniczącej. To często wynika z sympatii, z przyzwyczajenia i tradycji, a nie ze złej woli – ale różnica jest widoczna: do młodej dziewczyny mówi się po imieniu, często zdrobnieniem, do młodego mężczyzny, który jest przewodniczącym rady, mówi się „pan przewodniczący”.

Jest to też kwestia charakteru

– Lubię wiedzieć, lubię być przygotowana w pewnych rzeczach zawodowych, jestem perfekcjonistką. Z perspektywy czasu wiem, że to mi pomogło. Pamiętam, że moi starsi koledzy radni często byli zdecydowanie mniej przygotowani do komisji czy sesji. Dla mnie nieprzygotowanie było źródłem wstydu. Widzę, że dla wielu mężczyzn nieprzygotowanie bywa standardem. Oczywiście nie chcę generalizować – pracuję z wieloma cudownymi, rzetelnymi mężczyznami – ale głębokie przekonanie, że kobietom jest trudniej, rosło we mnie wraz z tym, jak starałam się o bardziej odpowiedzialne funkcje – mówi Agata Wojda.

I dodaje: – Z czasem widziałam też, że kiedy szukano kandydatów na odpowiedzialne role, w pierwszej kolejności myślano o kolegach. Dopiero czasem – „z braku laku” – pojawiało się spojrzenie w moją stronę. Co innego w sytuacjach kryzysowych: gdy trzeba było coś zrobić ponad miarę, uratować w ostatniej chwili – wtedy bardzo często była „Agata” albo inna koleżanka, bo było wiadomo, że nie odpuści – opowiada.

Ocenia, że jesteśmy na dobrej drodze do równości szans między mężczyznami a kobietami: – Pewnie będą obszary, w których one nigdy się całkiem nie zatrą – to zależy od tego, w jakiej jesteśmy grupie społecznej i jaką mentalność reprezentuje środowisko. Natomiast zobaczmy też, mówiąc optymistycznie, jaką w ostatniej dekadzie przeszliśmy drogę. To jest krok milowy i niesamowita zmiana, z której powinnyśmy się cieszyć – zauważa.

Jak mówi, widzi to też w praktyce. – Nawet w ostatnich postępowaniach konkursowych: niedawno prowadziliśmy konkurs w spółce od zieleni i usług komunalnych – takiej „twardej”, komunalnej materii. Do ostatniej rundy przyszły dwie panie, świetnie przygotowane i bardzo kompetentne. Jedna z nich jest dziś prezeską. Mam wrażenie, że coraz mniej osób to dziwi – i to bardzo cieszy – podsumowuje prezydentka Kielc. ●

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

Mam duże zaufanie do własnej intuicji

Zbudowałam swój biznes od zera

– Wierzę, że siła lidera tkwi w połączeniu analitycznego spojrzenia ze stroną emocjonalną i szczerością mówi Karolina Kuklińska-Kosowicz, twórczyni i właścicielka marki kosmetycznej YOPE.

KAMILLA SIEROCKA: Jak widzi Pani siebie jako kobietę biznesu i liderkę? Jakie cechy predysponują do zarządzania firmą?
KAROLINA KUKLIŃSKA-KOSOWICZ: Widzę siebie jako liderkę, która ma wizję i potrafi zarażać nią innych. Bardzo dużo słucham: ludzi, kontekstu, danych/rynku. Zanim coś zdecyduję, najpierw przyglądam się sytuacji, zbieram, „zasysam" informacje i wyciągam wnioski. Potrafię podejmować odważne decyzje i bronić swojej perspektywy dobrą argumentacją, ale umiem przyznać rację innym, spojrzeć z większym dystansem i zmienić kierunek. Wierzę, że siła lidera tkwi w połączeniu analitycznego spojrzenia ze stroną emocjonalną i szczerością. Mam też duże zaufanie do własnej intuicji. To ona często podpowiada mi rozwiązania, zanim jeszcze przełożę je na liczby i argumenty. I mam wielkie szczęście pracować z ludźmi, którzy tę intuicję szanują, podążają za nią i wspólnie ze mną budują wartość firmy.

• **Karolina Kuklińska-Kosowicz** FOT. YOPE

A jak wyglądało przejście z wcześniejszej kariery do roli prezesa. To łatwy czy wymagający proces?
– Długi i wymagający, ale w tym pozytywnym aspekcie. To czysta edukacja z prowadzenia firmy i biznesu, i duży samorozwój. Właśnie dlatego, że zbudowałam swój biznes od zera, właśnie dlatego, że musiałam przejść przez ten proces, odbieram to jako coś pozytywnego, wartościowego, rozwijającego, poszerzającego moje horyzonty. I do tej drogi mam duży szacunek i pokorę.

Czy biznes może być pasją?
– Tak, zdecydowanie tak. U mnie tak jest. Przez całe życie wkładałam pełne zaangażowanie we wszystko czym się zajmowałam. I tak też jest w YOPE. Ważne, żeby interesować się tym, co robisz i chcieć poznawać swój biznes od podszewki. I go lubić.

Czy kobiety mają trudniej w biznesie? Jak połączyć np. rolę matki z zarządzaniem firmą?
– Myślę, że kobiety w biznesie często mierzą się z dodatkowymi wyzwaniami, zwłaszcza wtedy, gdy łączą rozwój zawodowy z rolą mamy. W prowadzenie swojej firmy jesteś zaangażowana 24 godziny na dobę. Jesteś kapitanem własnego statku, jednocześnie sterem i okrętem. Bardzo ważny jest balans, którego wszyscy szukamy i którego znalezienie to trudna łamigłówka, ale nie niemożliwa. Najtrudniej jest, kiedy dzieci są małe i naturalnie pojawia się poczucie winy, że nie jesteś z nimi tyle, ile byś chciała. Ale z perspektywy czasu widzę, że to, co robiłam miało sens. Zawsze chciałam być dla moich córek wzorem: pokazać im, że można wybierać siebie, spełniać się i czuć zadowolenie ze swojej pracy. Dziś widzę, że to w nich rezonuje. Imponuje im, że się realizuję i jestem konsekwentna w budowaniu swojej drogi. Widzą, że jestem szczęśliwa. To jest możliwe pod warunkiem, że masz przy siebie wspierającego partnera, dobrych ludzi i dużą samoświadomość. Chcę jeszcze dodać, że uwielbiam pracować z kobietami. Kobiety w biznesie to petardy – pełne siły, intuicji, empatii i determinacji.

Jak zmieniła się firma oraz rynek kosmetyczny od startu marki YOPE?
– Bardzo. Polski rynek jest dynamiczny, chłonny, wciąż nienasycony i z dużą konkurencją. Zdecydowanie bliżej mu do rynku amerykańskiego, który kocha nowości i jest na nie otwarty, niż do bardziej zachowawczego, przywiązanego do gigantów rynku zachodnioeuropejskiego. Byłam jedną z pierwszych, które wprowadziły nową jakość, estetykę i sposób myślenia o kosmetykach. I jestem dumna, że dziś jestem wymieniana jako przykład czy inspiracja dla innych – że mam wyczucie momentu, że czuję rynek. Po ponad 10 latach w YOPE mogę powiedzieć, że czuję się na tym rynku dość pewnie. To moje wody, mój basen. ●

Rozmawiała Kamilla Sierocka

REKLAMA

34422537

W zespole **WITKO** – polskiej firmy z ponad 35-letnim doświadczeniem w kompleksowym wyposażaniu laboratoriów naukowych i przemysłowych – kobiety odgrywają coraz ważniejszą rolę. To nie tylko kadra wspierająca działania administracyjne i sprzedażowe, ale także specjalistki aktywnie zaangażowane w rozwój innowacyjnych rozwiązań dla laboratoriów z branży biotechnologicznej, farmaceutycznej czy chemicznej.

W firmie, która łączy pasję do nauki z codzienną pracą zespołową, kobiety znajdują przestrzeń do realizowania swoich ambicji zawodowych – od współpracy z klientami i doradztwa produktowego, po udział w projektach technicznych i procesach związanych z wyposażeniem laboratoriów. Dzięki temu przyczyniają się zarówno do wzrostu jakości obsługi, jak i budowania pozytywnego klimatu organizacyjnego.

W środowisku, gdzie wiedza i precyzja są na wagę złota, ich umiejętności komunikacyjne, analityczne i organizacyjne stają się kluczowym atutem w realizacji codziennych wyzwań firmy. Kobiety w **WITKO** łączą techniczne kompetencje z kreatywnym podejściem do rozwiązywania problemów – co wpływa na sukcesy firmy na rynku krajowym i jej renoma w środowisku naukowym.

Jeśli chcesz się rozwijać razem z nami i masz wykształcenie kierunkowe chemiczne lub biotechnologiczne oraz znajomość języka angielskiego na poziomie co najmniej B2, aplikuj!

Zapraszamy kobiety i mężczyzn. Prosimy kierować CV na adres:
rekrutacja@witko.com.pl

Prosimy o dodanie klauzuli „Wyrażam zgodę na przetwarzanie i przechowywanie moich danych osobowych dla potrzeb niezbędnych do realizacji procesu rekrutacji, zgodnie z RODO oraz Ustawą z dnia 10. 05. 2018 r. o Ochronie Danych Osobowych; (Dz.U. 2018 poz. 1000)"

Informujemy, że skontaktujemy się tylko z wybranymi kandydatami.

WITKO to więcej niż miejsce pracy. WITKO to przede wszystkim ludzie pełni pasji, zaangażowania, którzy chcą w życiu czegoś więcej. WITKO to w pełni polska firma rodzinna. Od ponad 35 lat zajmuje się dostarczaniem kompleksowych rozwiązań dla laboratoriów z branży badań naukowych, farmaceutycznej, biotechnologii, przemysłowej, edukacyjnej, rządowej i opieki zdrowotnej. W WITKO wierzymy w fascynujące możliwości innowacji i rozwoju nauki zarówno dla ludzi, jak i dla środowiska.

Dołącz do naszego zespołu!

35 WITKO LAT

DOBRA FIRMA 2021 INNOWATOR

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

O strategii, intuicji i długofalowym myśleniu w biznesie

Czy kobieca intuicja może zwyciężyć z tabelą Excela?

Dlaczego dobry sprzedawca nie zawsze jest dobrym liderem? Jak budować wyniki bez ślepej presji – mówi Agnieszka Jemioło, Head of Route to Market w Philip Morris Polska.

• **Excel podpowiada kierunek. Intuicja podpowiada tempo. A dopiero połączenie jednego z drugim pozwala naprawdę iść do przodu** FOT. SHUTTERSTOCK

IGA HARNY: Pani życiorys zawodowy to praca w silnych, globalnych markach. Czy zawsze miało to związek ze sprzedażą?
AGNIESZKA JEMIOŁO: Można powiedzieć, że od zawsze byłam blisko rynku, ale nigdy nie patrzyłam na to jak na „sprzedaż" w takim klasycznym, dość wąskim rozumieniu. Bardziej pociągało mnie rozumienie ludzi, tego, jak podejmują decyzje i co sprawia, że wybierają jedno rozwiązanie zamiast drugiego. Zaczynałam w terenie, ale z czasem coraz bardziej fascynowało mnie to, jak łączyć świat danych, trendów i potrzeb konsumenckich. I nadal uważam, że to jest trochę jak nauka języka – im lepiej zrozumiesz, jak „mówi rynek", tym skuteczniej możesz odpowiadać na jego potrzeby.

Jaką funkcję pełni pani obecnym miejscu pracy?
– Odpowiadam za obszar tak zwanego „route to market", czyli za to, jak budujemy obecność naszych produktów na rynku oraz jak współpracujemy z detalistami. Route to market to takie kulisy, których zwykle nie widać, a które decydują o tym, czy wszystko działa sprawnie i odpowiedzialnie. Moja rola jest umiejscowiona w dziale Commercial Operations. Ale w naszej branży to znaczy znacznie więcej niż logistyka czy współpraca z partnerami handlowymi. To również upewnianie się, że wszystko co robimy odbywa się zgodnie z regulacjami i w absolutnej transparentności. Pracujemy w kategorii, która wymaga wyjątkowej odpowiedzialności – dlatego jednym z kluczowych elementów naszej działalności jest dbanie o to, by produkty nie trafiały do osób niepełnoletnich.

Czy bycie kobietą w tym obszarze pomaga, czy utrudnia wykonywanie zadań?
– Szczerze? Nigdy nie patrzyłam na swoją pracę przez pryzmat płci. W biznesie liczy się to, czy potrafimy słuchać, współpracować i grać do jednej bramki – niezależnie od tego, czy jesteśmy kobietą, czy mężczyzną. Ale jednocześnie widzę, jak ogromną różnicę robi środowisko, w którym ta równość nie jest tylko hasłem, ale realną praktyką. W PMI to naprawdę widać: 45 proc. stanowisk menedżerskich w Polsce zajmują kobiety. To nie jest statystyka do prezentacji, tylko codzienność, która zmienia sposób, w jaki funkcjonujemy jako organizacja.

I może właśnie dlatego tak mocno czuję kontrast między tym, jak wyglądała ta branża kiedyś, a tym, czym jest dzisiaj. Przez lata funkcjonował pewien bardzo mocny symbol silnego kowboja. Ikona niezależności, siły, męskości. On przez dekady „opowiadał" tę kategorię.

W dzisiejszym PMI ten obraz zupełnie nie przystaje do rzeczywistości. Bo jeśli miałabym wybrać symbol, który lepiej oddaje kierunek naszej transformacji, to byłaby to raczej kobieta w kitlu laboratoryjnym – naukowczyni pochylona nad mikroskopem, inżynierka pracująca z danymi, ekspertka od innowacji. I to nie dlatego, że tak „ładnie wygląda w narracji", tylko dlatego, że tak dziś wygląda realna praca setek osób w naszej organizacji.

Ten przeskok stworzył dla kobiet naturalną przestrzeń do rozwoju. Tu nie trzeba udowadniać, że ma się prawo być przy stole. Biznes przyszłości potrzebuje różnorodnych perspektyw, eksperckiej wiedzy i umiejętności współpracy, a to są kompetencje, które kobiety wnoszą w znaczącym stopniu. Dlatego kiedy ktoś pyta, czy bycie kobietą pomaga czy przeszkadza, to myślę sobie: jeśli organizacja jest nowoczesna, świadoma to płeć po prostu przestaje być tematem. Liczy się kompetencja.

Często mówimy o tak zwanej „kobiecej intuicji", czy jej posiadanie potrafi wygrać z tabelami?
– Uważam, że jedno nie istnieje bez drugiego. Sama ukończyłam finanse, które nauczyły mnie szacunku do liczb, logiki i analizy. Ale studiowałam również zarządzanie zasobami ludzkimi, które pokazało mi, że czasem jedno spojrzenie na rozmówcę mówi więcej niż czterdzieści wierszy w arkuszu Excela.

Kierowanie się wyłącznie intuicją bez wiedzy może być zbyt ryzykowne. Ale same liczby też potrafią być ślepe. W biznesie często masz momenty, kiedy cyferki mówią „nie", a doświadczenie mówi „poczekaj, tu jest coś więcej". Albo odwrotnie – wszystko wygląda idealnie, ale coś Ci podpowiada, że lepiej się zatrzymać. I właśnie to wyczucie, ta umiejętność czytania między wierszami – szczególnie w relacjach z ludźmi – często okazuje się decydująca. Bo nie każda informacja pojawia się w raporcie. Czasem najważniejsze rzeczy słychać właśnie w tym, czego druga strona nie mówi wprost.

Dlatego dla mnie intuicja i dane to idealny duet. Excel podpowiada kierunek. Intuicja podpowiada tempo. A dopiero połączenie jednego z drugim pozwala naprawdę iść do przodu.

A co panią skłoniło do podjęcia pracy w PMI? Jak firma przekonała panią do siebie?
– To, co mnie przekonało, to przede wszystkim poczucie, że wchodzę do organizacji, w której można naprawdę iść do przodu, a nie tylko „robić swoje na jednym stanowisku". Jak widać po moim poprzednim doświadczeniu – lubię się uczyć, zmieniać perspektywę, zaglądać za kulisy różnych procesów. I od samego początku miałam bardzo mocne wrażenie, że właśnie tutaj to tempo i przestrzeń do rozwoju są czymś naturalnym. W PMI nie przychodzi się „na fotel". Przychodzi się do organizacji, która pozwala przełączać biegi – próbować nowych ról, poznawać różne obszary biznesu, pracować z nowymi zespołami.

Wiele osób mówi, że choć mają jednego pracodawcę od kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu lat (tak, w PMI jest wielu długodystansowców!), to czują, jakby pracowali w kilku różnych firmach. I to jest prawda: rotacje, projekty, zmieniające się technologie, a do tego ogromna transformacja całej organizacji – to wszystko sprawia, że tu naprawdę nie ma monotonii. Ja jestem tu dopiero dziewięć miesięcy, ale mam poczucie, jakbym już zdążyła wejść w kilka różnych „światów" wewnątrz firmy.

Zdarzyło się pani kiedyś nie zrealizować celu sprzedażowego?
– Oczywiście, że tak. W sprzedaży nie ma prostych wykresów rosnących jak po sznurku. Czasem rynek skręca w prawo, gdy wszyscy spodziewali się skrętu w lewo. Czasem zmienia się otoczenie regulacyjne. A czasem po prostu rzeczywistość ma własne plany.

Biznes przyszłości potrzebuje różnorodnych perspektyw, eksperckiej wiedzy i umiejętności współpracy, a to są kompetencje, które kobiety wnoszą w znaczącym stopniu. Jeśli organizacja jest nowoczesna i świadoma to płeć po prostu przestaje być tematem. Liczy się kompetencja

Paradoksalnie właśnie ten etap lubię najbardziej. Bo sprzedaż – zwłaszcza w tak regulowanej i odpowiedzialnej kategorii – to nie jest sprint po liczby. To bardziej strategiczne myślenie, przewidywanie zmian, planowanie kilka kroków do przodu i upewnianie się, że działamy zgodnie z zasadami oraz z poszanowaniem wszystkich standardów odpowiedzialnej sprzedaży. W tej branży wygrywa nie ten, kto biegnie najszybciej, ale ten, kto potrafi najlepiej czytać zmianę.

Branża wyrobów nikotynowych jest silnie regulowana. Czy to utrudnia pracę?
– Branża wyrobów nikotynowych jest jedną z najmocniej regulowanych i bardzo dobrze, że tak jest. To kategoria, która wymaga wyjątkowej ostrożności, dlatego jasne i restrykcyjne zasady są tu absolutnie kluczowe. Regulacje nie utrudniają nam pracy – one nadają jej ramy. W takim otoczeniu nie ma miejsca na skróty ani uproszczenia. Zwłaszcza, że mówimy o produktach opartych na zaawansowanej technologii. Transformacja w stronę rozwiązań bezdymnych wymaga ogromnej precyzji, badań i edukacji dorosłych osób palących. I dlatego tak ważne jest, by z jednej strony działać zgodnie z regulacjami, a z drugiej wdrażać własne standardy odpowiedzialnej sprzedaży, jak chociażby program, który prowadzimy w PMI: Youth Access Prevention, który m.in. wspiera detalistów w zapobieganiu dostępowi osób nieletnich do wyrobów z nikotyną. To nie jest jednorazowa kampania, lecz systemowe podejście obejmujące technologię, edukację partnerów i odpowiedzialne standardy sprzedaży.

Jakie kompetencje są dziś kluczowe w pani branży?
– Po pierwsze – analityka. Rynek zmienia się szybko, więc trzeba umieć czytać dane, a nie tylko je raportować. Po drugie – myślenie strategiczne. Czyli patrzenie dalej niż na najbliższy miesiąc, szczególnie teraz, kiedy cała kategoria przechodzi ogromną transformację technologiczną. Po trzecie – inteligencja biznesowa i komunikacyjna. Bo w tej pracy chodzi o relacje, uważność i rozumienie partnerów, nie tylko o cyferki.

A jaki największy mit o liderach sprzedaży może pani zdekonstruować?
– Największy mit? Że dobry lider sprzedaży to ktoś, kto „potrafi wszystko sprzedać". Tymczasem prawdziwa sprzedaż wcale nie zaczyna się od mówienia. Zaczyna się od słuchania. Dla mnie kluczowe jest zadawanie właściwych pytań, rozumienie potrzeb partnerów i budowanie z nimi relacji, które przetrwają dłużej niż jedna transakcja. To jest zupełnie inna jakość pracy i zupełnie inny rodzaj przywództwa.

Technologia i AI bardzo nam pomagają. Usprawniają analizę, planowanie, przewidywanie scenariuszy, ale nadal uważam, że nic nie zastąpi rozmowy z człowiekiem i wyczucia sytuacji. Prawdziwe przywództwo w sprzedaży nie polega na przekonywaniu. Polega na rozumieniu.

W PMI wielki nacisk kładzie się choćby we wsparcie pracowników w ich rolach jako rodziców. Czy to jednak nie dezorganizuje pracy w takim dziale, jakim pani zarządza?
– W PMI wsparcie rodziców jest po prostu częścią kultury, a nie czymś „dodatkowym", co trzeba jakoś organizować wokół pracy. Mamy program Happy Parents, który daje pracownikom realną elastyczność i komfort, a zespołom... przewidywalność. Dzięki temu nic się nie sypie. Wręcz przeciwnie. Wszystko jest poukładane, zaplanowane i działa bez nerwowych zwrotów akcji. Gdy ludzie czują się zaopiekowani, pracują spokojniej i efektywniej. I to dokładnie widać w naszych zespołach. ●

Rozmawiała Iga Harny

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

34421927

eprasa.pl 738f82d54d

Świadome zarządzanie finansami

Zacznij iść, a droga się pojawi

– Tworzymy społeczność kobiet świadomych finansowo. Gotowych inwestować, rozwijać się i budować bezpieczeństwo finansowe dla siebie i swoich rodzin. Budujemy ruch, który daje wiedzę, odwagę i sprawczość – mówią Madina Turava i Maria Ożóg z Fundacji International Women's Finance and Education

• **Od lewej: Madina Turava i Maria Ożóg** FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KAMILLA SIEROCKA: Czym jest Finansowe Latte? Czy to fundacja, akcja społeczna czy może edukacyjna?
MADINA TURAVA: Finansowe Latte to inicjatywa edukacyjna i społeczność kobiet, która wspiera budowanie niezależności finansowej oraz długofalowego bezpieczeństwa finansowego. Nie zaczynałyśmy od wielkiej struktury ani gotowego planu. Najpierw był pomysł i odwaga, by zrobić pierwszy krok. Wierzę w zasadę: „zacznij iść, a droga się pojawi".

MARIA OŻÓG: Dziś tworzymy przestrzeń, w której kobiety uczą się świadomego zarządzania finansami – od budowania budżetu domowego, przez planowanie oszczędności, po inwestowanie i długoterminowe budowanie majątku. Naszym celem jest nie tylko przekazanie praktycznej wiedzy, ale również pomoc kobietom w przełamywaniu blokad finansowych oraz zrozumieniu mechanizmów, które sprawiają, że „koniec miesiąca wygląda tak samo" i jak skutecznie to zmienić.

Równolegle rozwijamy International Women's Finance & Education Foundation, której misją jest wyrównywanie szans dziewczynek i kobiet w dostępie do edukacji finansowej oraz budowanie długoterminowej niezależności ekonomicznej kobiet.

Tworzymy społeczność kobiet świadomych finansowo – gotowych inwestować, rozwijać się i budować bezpieczeństwo finansowe dla siebie i swoich rodzin.

Do kogo są skierowane Wasze działania? Czym się zajmujecie w tej chwili a jakie akcje macie za sobą?
MARIA I MADINA: Do kobiet, które chcą przejść od zarabiania do świadomego budowania niezależności finansowej. Nasza pierwsza konferencja i pierwsza finansowa domówka w Polsce spotkała się z bardzo dobrym odbiorem. W ciągu kilku tygodni bez żadnej promocji, z prostą stroną internetową zrobioną na wakacjach zapełniłyśmy salę w Klastrze Innowacji w Krakowie. Prelegentkami były uznane ekspertki z całej Polski, które wystąpiły pro bono, a cały dochód przekazałyśmy na edukację dziewczynek z domów dziecka. To wtedy zrozumiałyśmy, jak bardzo takie działania są potrzebne.

Zorganizowałyśmy bezpłatne spotkania networkingowe dla naszej społeczności w Warszawie i Krakowie. Marzec ogłosiłyśmy miesiącem z finansami. Ekspertki z całej Europy dzielą się wiedzą i narzędziami online: od myślenia o finansach, przez zarządzanie budżetem, po pierwsze kroki na giełdzie, czy zrozumienie rynku nieruchomości. Naszą kolejną inicjatywą na wielką skalę jest tworzenie i koordynowanie strefy Money Talks w ramach Women Tech Summit w Warszawie, największej konferencji technologicznej dla kobiet w Europie. Tworzą ją wspaniałe kobiety, wizjonerki. My wnosimy do tej przestrzeni aspekt finansowy, który naturalnie łączy się z technologią, bo w dzisiejszym świecie kapitał, dane i innowacje przenikają się, a rozumienie finansów staje się niezbędnym narzędziem świadomego uczestnictwa w tej rzeczywistości.

Nie pochodzimy z bogatych rodzin. Do wszystkiego doszłyśmy same, poprzez konsekwentne inwestowanie w rozwój, kompetencje i mądre lokowanie pieniędzy. Chcemy pokazać kobietom, że zarządzanie finansami nie jest zarezerwowane dla wybranych i nie zależy wyłącznie od wysokości zarobków. Pokazujemy, że wpadanie w spiralę długów czy kupowanie rzeczy tylko po to, by zrobić wrażenie na ludziach, na których tak naprawdę nam nie zależy, za pieniądze będące godzinami naszego życia nie buduje bezpieczeństwa, ani poczucia wartości.

Zachęcamy do zatrzymania się. Do powiedzenia „stop". Do świadomego spojrzenia na swoją przyszłość, emeryturę, sytuację za 10 lat, stabilność rodziny. Nie chodzi o skrajności, ani o presję typu „zero kawy na mieście". Chodzi o równowagę, decyzje podejmowane z poziomu świadomości, a nie impulsu i o budowanie majątku, który daje spokój, a nie chwilowe wrażenie. Wierzymy, że pieniądze to narzędzie wolności, a nie źródło stresu. Podczas wielu rozmów oraz zapytań o współpracę słyszałyśmy jedno zdanie najczęściej: „To jest dokładnie to, czego potrzebujemy."

Kobiety mówią nam, że temat świadomego zarządzania finansami jest dziś jednym z najważniejszych, a jednocześnie najbardziej zaniedbanych w edukacji. Co szczególnie istotne, potrzeba ta nie dotyczy wyłącznie dużych miast. Dlatego naszym celem jest docierać do kobiet wszędzie zarówno online, jak i poprzez mikro-eventy, kameralne warsztaty oraz tzw. „domówki finansowe", czyli spotkania w bezpiecznej, swobodnej atmosferze, gdzie można zadawać pytania bez wstydu i presji, oceniania.

Chcemy, aby edukacja finansowa nie była przywilejem dużych ośrodków miejskich, lecz realnym wsparciem dostępnym dla każdej kobiety niezależnie od miejsca zamieszkania, wieku czy punktu startowego. Budujemy ruch, który daje wiedzę, odwagę i sprawczość.

Kobiety w biznesie, polityce i działalności społecznej już mają swoje miejsce?
MADINA: Kobiety są współtwórczyniami systemu, a nie tylko jego uczestniczkami. Niezależność finansowa daje sprawczość i realny wpływ w biznesie, w życiu publicznym i w działaniach społecznych. Finansowe Latte nie jest inicjatywą zarobkową, dlatego rozwijamy fundację, by długofalowo wspierać edukację finansową kobiet oraz budować świadomą społeczność.

Nie miałyśmy kontaktów ani zaplecza. Wszystko zbudowałyśmy od zera. To także jest biznes – negocjacje, przekonywanie do swojej wizji, zdobywanie partnerów i szybkie działanie. To wymaga kompetencji, odwagi, szybkiego podejmowania decyzji i odpowiedzialności za nie. Przyciągamy wspaniałe osoby: ekspertki, partnerów, wolontariuszki, które mają energię do działania, otwarte umysły i wielkie serca. Wierzymy, że kiedy kobiety łączą biznesową skuteczność z misją społeczną, powstaje realna zmiana.

A jak pogodzić pracę zawodową z zadaniami w domu i rodzinie?
Maria: Bardzo wierzę w to, żebyśmy jako kobiety tworzyły swoje wioski wsparcia. Takie przestrzenie, w których nie musimy być perfekcyjne, tylko prawdziwe.

Sama długo uczyłam się odpuszczać perfekcjonizm. Zrozumiałam, że zrobione jest lepsze niż perfekcyjne. Nigdy nie będzie idealnie. I zawsze znajdzie się ktoś, dla kogo będę niewystarczająca. Dziś już mnie to nie zatrzymuje.

Widzę, jak wiele kobiet funkcjonuje na trzech etatach dom, praca i pasja. Ja też tego doświadczam. Są dni, kiedy po prostu padam. Ale wiem, że za 20 lat, kiedy będzie ciszej, będę tęsknić za tym chaosem. Za tym, że się działo. Że było intensywnie, głośno, żywo. Dlatego powtarzam sobie: życie jest tu i teraz. Dbam też o ciało i głowę. Czasem to zwykły spacer, czasem kilka podskoków w domu. Praktykuję wdzięczność. I morsuję i naprawdę to polecam. To uczy odporności, odwagi i pokazuje, że możemy więcej, niż nam się wydaje

MADINA: Nie wierzę w mit idealnej równowagi. Wierzę w świadome decyzje, partnerstwo i delegowanie. Od lat pracuję w IT, wcześniej działałam w sprzedaży, edukacji i marketingu, zawsze łączyłam wiele ról jednocześnie. ●

Rozmawiała Kamilla Sierocka

1 RP

eprasa.pl 738f82d54d

Kobiece przywództwo

Czas odpowiedzialnego biznesu

Współczesny biznes coraz częściej ocenia się nie tylko przez wyniki finansowe, lecz także przez sposób, w jaki firmy wpływają na ludzi, otoczenie i ład korporacyjny

Standardy ESG przestają być dodatkiem do strategii – stają się jej fundamentem. W tym modelu zarządzania coraz wyraźniej widać rosnącą rolę kobiet.

Według wielu obserwatorów rynku to właśnie kobiety częściej wnoszą do zarządzania element długofalowego myślenia, dialogu i odpowiedzialności społecznej. W praktyce oznacza to większą wrażliwość na kwestie pracownicze, relacje z lokalnymi społecznościami czy przejrzystość decyzji.

-Dziś biznes nie może być oderwany od rzeczywistości społecznej -mówi dr Sylwia Mokrysz, prokurent rodzinnej firmy Mokate. – Firma funkcjonuje w określonym środowisku: pracowników, partnerów, lokalnych społeczności. Jeżeli chce się budować trwałą markę, trzeba brać za to odpowiedzialność. ESG jest w pewnym sensie naturalnym rozwinięciem takiego myślenia.

Coraz częściej mówi się także o zjawisku określanym jako „stagility" -połączeniu stabilności i elastyczności. W realiach zmiennej gospodarki właśnie taka postawa okazuje się kluczowa. Liderzy muszą reagować na zmiany, nie tracąc jednocześnie wartości, na których opiera się organizacja.

• **Sylwia Mokrysz** FOT. MONIKA SZAŁEK

– Elastyczność nie oznacza braku zasad – podkreśla Sylwia Mokrysz. – Przeciwnie. Największą siłą organizacji są jasno określone wartości. Jeśli one są stabilne, można spokojnie reagować na zmiany rynku, technologii czy oczekiwań konsumentów.

Zmiany w podejściu do przywództwa wspierają również regulacje. Jedną z nich jest unijna dyrektywa Women on Boards, która ma zwiększyć udział kobiet w organach decyzyjnych spółek. Choć w wielu krajach proces ten trwa od lat, w Europie Środkowej dopiero nabiera dynamiki. Zdaniem części ekspertów nie chodzi jednak wyłącznie o liczby. Istotniejsza jest zmiana kultury organizacyjnej – otwarcie na różne style zarządzania i doświadczenia.

– Różnorodność w zarządach to nie kwestia symboliczna – mówi Sylwia Mokrysz. – To realna wartość dla firmy. Inne doświadczenia oznaczają inne spojrzenie na ryzyko, rozwój czy potrzeby klientów.

Podobną rolę kobiety coraz częściej odgrywają w życiu publicznym i samorządowym. W wielu miastach i regionach to właśnie liderki stoją za projektami społecznymi, inicjatywami edukacyjnymi czy działaniami na rzecz zrównoważonego rozwoju.

Równolegle powstaje coraz więcej programów wspierających przedsiębiorczość kobiet – od inicjatyw mentoringowych po międzynarodowe sieci współpracy. Ich wspólnym celem jest zwiększenie udziału kobiet w procesach decyzyjnych gospodarki.

– Najważniejsze jest budowanie środowiska, w którym kobiety mogą rozwijać swoje kompetencje i odważnie podejmować decyzje – zauważa Sylwia Mokrysz. – Wtedy korzystają na tym nie tylko firmy, ale całe otoczenie gospodarcze.

W tym sensie rosnąca rola kobiet w zarządzaniu nie jest już trendem wizerunkowym, lecz elementem realnej zmiany sposobu myślenia o biznesie. ● **agab**

Największą siłą organizacji są jasno określone wartości. Jeśli one są stabilne, można spokojnie reagować na zmiany rynku, technologii czy oczekiwań konsumentów

SYLWIA MOKRYSZ

REKLAMA 34422898

eprasa.pl 738f82d54d

YOPE

*Water*fully
głębia nawilżenia dla pięknej skóry

YOPE *Water*fully smooth
MIKROPEELINGUJĄCA PIANKA DO MYCIA TWARZY
+ SKUTECZNIE OCZYSZCZA
+ DELIKATNIE ZŁUSZCZA
+ ODNAWIA I PIELĘGNUJE
KWAS POLIGLUTAMINOWY 5x MOCNIEJ NAWILŻA NIŻ KWAS HIALURONOWY
3% AKTYWNE KWASY + ENZYMY + KOMPLEKS TREHALOZY

YOPE *Water*fully day
DEEPLY HYDRATING DAY CREAM

YOPE *Water*fully plump
FIRMING SERUM WITH PEPTIDES

100%
UCZUCIA NAWODNIENIA SKÓRY*
*Badania aplikacyjne, po 4 tyg. stosowania

Tylko w drogeriach
ROSSMANN
WWW.YOPE.ME

34421600
1

eprasa.pl 738f82d54d

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

04 / Reportaż
Myśliwe z Instagrama

24 / Psychologia
Zuzanna Ziomecka o mocy obecności

LIDIA BOGACZÓWNA

Moje dary od losu

– rozmowa Justyny Grochal

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 10 (1381) SOBOTA – CZWARTEK, 7-12 MARCA 2026

eprasa.pl 738f82d54d

To się ze sobą nie kłóci

KATARZYNA PAWŁOWSKA

To naprawdę piękna historia – mówi dziennikarka Justyna Grochal, podsumowując jedną z opowieści aktorki Lidii Bogaczówny. – Ale historie tworzymy sami – odpowiada rozmówczyni. – Ta nigdy by się nie wydarzyła, gdybym się nie odważyła.

Lidia Bogaczówna, z którą wywiad przeczytacie w tym wydaniu „Wysokich Obcasów", ma cenną umiejętność – rzeczy, które jej się wydarzają i które raczej uznalibyśmy za złe czy niesprzyjające, ona traktuje jako impuls do działania i dar od losu. Urodziła się ze zwichniętym biodrem i tak bardzo chciała je wyleczyć, że dzięki ćwiczeniom i opiece lekarskiej stała się niezwykle sprawna fizycznie. Ta wybitna sprawność była zresztą jednym z ważniejszych powodów, dla których przyjęto ją do szkoły aktorskiej.

Życie z trójką dzieci i mężem artystą nie zawsze było usłane różami. Aktorka przyznaje wprost, że czasem jej rodzinę dotykała bieda. Jednocześnie twierdzi, że była to dla nich wszystkich ważna lekcja życia – nie udałoby się jej nauczyć synów empatii i szacunku do drugiego człowieka w kryzysie życiowym, gdyby nie to, że sami znaleźli się w takiej sytuacji.

Zmienianie perspektywy i obracanie niedogodności życiowych w coś dobrego to wspaniała cecha. Ale ta zdolność naszego umysłu do tłumaczenia sobie samemu, że złe wcale nie jest takie złe, ma też inną, ciemniejszą stronę.

W tym numerze „Wysokich Obcasów" przeczytacie historie młodych kobiet, które polują. Nazywają siebie dianami, wrzucają na insta swoje zdjęcia ze strzelbami, psami i upolowanymi zwierzętami. Mówią, że polują, bo kochają zwierzęta, regulują porządek naturalny, przysługują się światu.

Uważają, że są bardziej humanitarne od mężczyzn. – W momencie, gdy lisica prowadzi młode, nie strzelam. Matka jest pod ochroną – opowiada jedna z nich.

– To ogromna odpowiedzialność, aby strzał był precyzyjny, śmierć natychmiastowa – mówi inna. – Adrenalina? – Też. Ale nie zabijam dla zabawy.

To, co mówią, świetnie pokazuje wspomnianą zdolność ludzkiego umysłu. Jest on w stanie wykonać najbardziej pokrętne ewolucje i pogodzić największe sprzeczności, żeby tylko można było pozostać w przekonaniu, że wszystko z nami w porządku. I że przecież chcemy dobrze.

Inna bohaterka zapewnia, że kocha zwierzęta. – Mam dwa psy, jestem czuła na piękno przyrody, inaczej bym nie została dianą. Niektóre moje koleżanki opłakują każde zwierzę, które zastrzelą. Nam się to ze sobą nie kłóci.

No właśnie. ▲

Katarzyna Pawłowska – zastępczyni redaktorki naczelnej „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

- **TEMAT NUMERU:** Kultura wstydu. Skąd się bierze kobiecy brak akceptacji i jak się go pozbyć?
- **NA OKŁADCE** Joanna Brodzik: Nie boję się odsłonić i pokazać swojego miękkiego brzucha.
- **PSYCHOLOGIA:** Obrażanie się jest zgubną strategią.
- **TWARZE:** Magdalena Steczkowska: Nie jestem numerem sześć.

„Wysokie Obcasy Extra" już w sprzedaży z prezentem – skarpetkami złuszczającymi skórę lub maską w płacie.

www.wysokieobcasy.pl | wysokieobcasy | wysokieobcasy.pl | listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Katarzyna Pawłowska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Katarzyna Seiler
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 10 (1381)
NA OKŁADCE:
LIDIA BOGACZÓWNA
FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/ AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 738f82d54d

W SPRZEDAŻY

wysokie obcasy extra

TEMAT NUMERU: KULTURA WSTYDU.
SKĄD SIĘ BIERZE TEN KOBIECY BRAK AKCEPTACJI?
CZYJ TO GŁOS TAK NAPRAWDĘ?

JOANNA BRODZIK: Nie boję się odsłonić
i pokazać swojego miękkiego brzucha

PSCYHOLOGIA: Karanie ciszą, Obrażanie się jest
zgubną strategią. Obniża satysfakcję z relacji
i może prowadzić do jej rozpadu

Numer dostępny z prezentem:
skarpetkami złuszczającymi Silcatil
lub maseczką w płacie SKU FaceBoom – SUPERSTAR

eprasa.pl 738f82d54d

POLSKIE MYŚLIWE

Ze śmiercią im do *twarzy*

Łowiectwo w Polsce coraz częściej ma twarz kobiety. Młodej, w modnych ciuchach, z rolkami z polowań w Internecie. Diany twierdzą, że polują etycznie. Chcą skruszyć pomnik myśliwego z wąsem

eprasa.pl 738f82d54d

TEKST **AGNIESZKA KAMIŃSKA**
KOLAŻ **JAGODA STĄCZEK**

Z

Z Moniką czujnie się sobie przyglądamy. Brunetka po trzydziestce, długie włosy, makijaż, zrobione paznokcie. – Nikt się nie spodziewa, że młoda, ładna dziewczyna po nocach biega z bronią po polach i strzela do dzików? – pyta, jakby czytała mi w myślach.

Wychowała się na obrzeżach średniej wielkości miasta na Pomorzu. Myśliwym nie był ani ojciec, ani dziadek. Kiedy na studiach kolega zapisał się na staż łowiecki, dołączyła z ciekawości. Ma za sobą siedem sezonów łowieckich. – Dzisiaj to więcej niż hobby, to styl życia – mówi. Na co dzień uczy w technikum weterynaryjnym, na lekcje przynosi wypreparowane organy – płuco, serce, tchawicę – zwierząt, które sama ustrzeliła. – Mama nie mogła tego zrozumieć. „Kochasz zwierzęta, jak możesz do nich strzelać?"

NIE ZABIJAM DLA ZABAWY

Na Monikę trafiam przypadkiem, w internecie. Jej profil linkuje do kolejnych: wystylizowane jak modelki, w lesie, ze strzelbą na ramieniu, niektóre w futrze. Mówią o sobie: diany. Od rzymskiej bogini łowów i przyrody.

Jedna z kobiet dumnie prezentuje „trofea": imponujące poroże daniela, martwy muflon ze śladami krwi. Podpisy pod zdjęciami: nie mogłabym być bardziej szczęśliwa, piękne polowanie. Pod postem dziesiątki komentarzy: wspaniały rogacz, gratulacje, darz bór.

Małgorzata, właścicielka konta, rozmawia chętnie. – Widzisz martwego byka i uśmiechniętą babę, a za tym zdjęciem kryje się tydzień chodzenia po lesie z bronią na plecach, szereg porażek. To moja kartka z pamiętnika. Chwalę się doświadczeniem, pięknymi łowami, nie tym, że odebrałam życie – mówi.

Lasy Dolnego Śląska zna od dziecka. Tata, leśnik i myśliwy, zabierał ją na wycieczki. Później dorabiała jako tłumaczka na komercyjnych polowaniach za granicą, ale nigdy jej nie korciło, aby samej pociągnąć za spust. Do czasu, kiedy jako stewardesa zamieszkała w Dubaju. – W tamtym sztucznym świecie poczułam, że chcę na nowo odnaleźć kontakt z przyrodą. Łowiectwo miało być powrotem do macierzy – mówi.

Kiedy upolowała pierwszego dzika, poczuła się dobrze. – To ogromna odpowiedzialność, aby strzał był precyzyjny, śmierć natychmiastowa. Sprawdzian własnych możliwości – mówi. – Adrenalina? – Też. Ale nie zabijam dla zabawy.

Zapewnia, że kocha zwierzęta. – Mam dwa psy, jestem czuła na piękno przyrody, inaczej bym nie została dianą. Niektóre moje koleżanki opłakują każde zwierzę, które zastrzelą. Nam się to ze sobą nie kłóci – mówi.

UWAŻAJĄ, ŻE TAK TRZEBA

Łowiectwo w Polsce coraz częściej ma twarz kobiety. Młodej, w modnych ciuchach, z rolkami z polowań w internecie. Diany twierdzą, że polują etycznie, chcą skruszyć pomnik myśliwego z wąsem. „To tylko pudrowanie krwawego skansenu" – uważają krytycy myślistwa.

Na stronie Polskiego Związku Łowieckiego to kobiety zachęcają do odbycia stażu łowieckiego. Promocja działa. – Udział kobiet w społeczności łowieckiej w Polsce rośnie z roku na rok – przyznaje Magdalena Mikulska, pełnomocniczka do spraw komunikacji z mediami. Jest już niemal sześć tysięcy dian, w ciągu pięciu lat ich liczba wzrosła o połowę. Wciąż stanowią jednak niewielki odsetek myśliwych – 4,5 proc., dla porównania – w Szwecji ten odsetek jest dwa razy większy. Ale trend widać też w innych krajach. W Estonii, której połowa powierzchni to lasy, zainteresowanie kobiet polowaniami w ostatniej dekadzie rośnie. Na Słowacji i w Czechach działają kluby kobiet myśliwych.

W PZŁ słyszę, że to efekt zmiany stylu życia kobiet: stawiają na aktywność fizyczną, w tym outdoorową i survivalową, dbają o formę i wytrzymałość organizmu, interesują się ochroną przyrody i zdrowym żywieniem. – Łowiectwo przyciąga kobiety szukające równowagi między tradycją, naturą i odpowiedzialnością – mówi Mikulska.

Moje rozmówczynie na pytanie, dlaczego polują, odpowiadają podobnie: pasja, miłość do przyrody, odkrywanie swojej siły, wytrwałości. Mają pewność co do legalnego zabijania dzikich zwierząt: tak trzeba. – Przyroda to nie jest bajka, a dzikie zwierzę to nie maskotki z filmów Disneya. Natura jest piękna i okrutna – przekonuje Małgorzata. Dlatego, jak mówi, zarówno życie, jak i śmierć, są jej nieodzowną częścią.

INFLUENCERKI

Młode myśliwe są aktywne w sieci. Ich internetowe profile to wyidealizowany świat łowczyń, prezentujących się z rozwianym włosem i psem myśliwskim u boku. Jeśli z porożem, to też w wystylizowanej pozie.

Firmy produkujące odzież outdoorową zwęszyły trend. Oferują taliowane kurtki, dopasowane spodnie, różowe wstawki. Najbardziej popularne w internecie diany współpracują z markami. Oprócz kodów zniżkowych na ubrania i akcesoria łowieckie oferują promocje na termowizję czy tzw. wabiki, przyrządy imitujące głosy zwierząt.

Małgorzata jest ambasadorką jednej z marek premium. – Czasem do zdjęcia lubię wystroić się w tradycyjnym stylu brytyjskich polowań: kaszkiet, tweedowa kamizelka, koszula w kratę, ale nie oszukujmy się, na polowaniu najważniejsza jest wygoda – mówi.

Paula, która na swój profil wrzuca zdjęcia w naturalnym futrze, romantyzuje polowanie, porównuje je do leśnej kąpieli. Dla niej czapka z jenota jest elementem łowieckiego lifestyle'u. – Na polowaniach zadaję szyku. Mało który myśliwy oddaje futra upolowanej zwierzyny drobnej do wyprawienia i szycia na czapki, etole. Garbarz czy kuśnierz to zawody ginące. Ponieważ biorę odpowiedzialność za każde zabite zwierzę, to dla mnie wyraz najwyższego szacunku, jeśli mogę wykorzystać je w całości – mówi.

eprasa.pl 738f82d54d

OD KUCHNI

Kobiety w myśliwstwie nie pojawiły się wczoraj. Historycznie polowania były rozrywką elity dworskiej, arystokracji, symbolem prestiżu utożsamianego z przywilejem właścicieli ziemskich, figurą „pana na włościach". Kobiety brały udział w polowaniach, ale tradycja przechodziła najczęściej z ojca na syna. W PRL, kiedy wprowadzono obowiązek przynależności myśliwych do struktur związkowych, łowiectwo się zmonopolizowało. Etos braterstwa broni konserwowany jest przez system ceremoniałów, insygniów, żargon, kult św. Huberta oraz „trofea" jako symbol łowieckiego sukcesu.

Średnia wieku w myślistwie wynosi 54 lata. To nadal mężczyźni są mentorami kobiet jako opiekunowie stażu, instruktorzy łowieccy, prowadzący polowanie. Diany często polują ze swoimi mężami, partnerami. Mężczyźni dominują też w strukturach władzy. Na 49 lokalnych zarządzających łowczymi okręgowymi są tylko trzy kobiety. Pytam jedną z nich, Urszulę Sokólską z Łomży, czy trudno było przebić się na szczyt w regionie. – Słabe kobiety nie polują – odpowiada. – A jeśli ktoś ma z nami problem, to chyba tylko słabi mężczyźni – dodaje.

– Emancypacja kobiet postępuje, w związku z czym wkraczają one w różne obszary, które do tej pory były zarezerwowane dla mężczyzn. Nie są to tylko obszary progresywnej działalności – zauważa socjolożka Elżbieta Korolczuk, wykładowczyni Ośrodka Studiów Amerykańskich na Uniwersytecie Warszawskim. Jej zdaniem rosnąca liczba kobiet w myślistwie świadczy przede wszystkim o tym, że organizacje łowieckie chcą zmienić wizerunek poprzez działania PR. – Chodzi o to, żeby za pośrednictwem atrakcyjnych młodych kobiet zburzyć powiązanie między maczomęskością a łowiectwem, złagodzić wizerunek myślistwa jako męskiego sportu – mówi. Podobną metodę stosują konserwatywne partie polityczne, z którymi myślistwo jest kojarzone i powiązane. – Kobiety stały się narzędziem promującym „nowoczesne oblicze prawicy", nie tylko w Polsce, ale w całym świecie zachodnim. Prezentowane są jako liderki, ale w rzeczywistości ich politycznym narzędziem jest zwykle kobiecość, utożsamiana z macierzyństwem, tradycyjnymi rolami pełnionymi w domu. To odpowiedź na współczesny kryzys małżeństwa, dzietności i rodziny – dodaje Korolczuk.

Moje rozmówczynie rzeczywiście dużo mówią o kuchni, karmieniu rodziny. Podkreślają, że polują dla mięsa – ich zdaniem najlepszego, najbardziej naturalnego. Pichcą: gulasz z dzika, pieczeń z jelenia, pasztet z zająca. Zdjęciami i przepisami dzielą się w internecie.

– Można by dostrzec tu polski odpowiednik amerykańskich tradwives, dla których wartością jest powrót do natury, karmienia i kuchni. Ale w amerykańskim modelu to mężczyzna jest żywicielem. W przypadku dian mamy do czynienia wręcz z przejęciem tradycyjnej roli męskiej: dostarczam rodzinie pożywienie, które sama upolowałam. Prezentują to jako kobiecą sprawczość, ale żyjemy w czasach, w których dążymy do minimalizowania cierpienia, w tym cierpienia zwierząt. Z punktu widzenia dobra społecznego, humanitaryzmu, polowanie dla mięsa postrzegam jako regres – uważa Elżbieta Korolczuk.

Dziki, jelenie, sarny – Monika w ostatnim sezonie łowieckim zastrzeliła trzydzieści. Trudno uwierzyć, że wyłącznie do własnej spiżarni. Skup tusz zwierząt łownych stanowi jedną z większych części przychodów kół łowieckich w Polsce. W 2021 r. wartość skupowanej dziczyzny wyniosła prawie 80 mln zł. Ale jej krajowe spożycie jest marginalne, nie ma żadnego znaczenia dla wyżywienia społeczeństwa; 95 proc. mięsa idzie na eksport. Polacy nie sięgają po dziczyznę, bo ich zdaniem jest trudno dostępna i droga. Etyka zajmuje trzecie miejsce (badania OPB Ariadna dla InfoWet, 2024 r.).

„ŻYCZĄ MI ŚMIERCI"

Diany nie chcą podawać swoich nazwisk ani upubliczniać wizerunku. Boją się hejtu. Choć dla brylujących w sieci to chleb powszedni. – Życzą mi śmierci, chorób, czytam, że jestem nienormalna. Piszą i mężczyźni, i kobiety – mówi Monika.

Małgorzata, która ma sześcioletniego syna, w internecie czyta komentarze: jesteś matką, a odbierasz życie zwierzęciu. – Piszą tak kobiety, które własnym dzieciom podają kotlety ze świni z masowego uboju. Są przekonane, że mają czyste ręce – mówi. Jej zdaniem nieetyczna jest przemysłowa hodowla zwierząt, zabijanie „w białych rękawiczkach", zwierzęta trzymane w klatkach, mięso naszpikowane przyspieszaczami wzrostu, ale ładnie prezentujące się na półkach marketów. Sama chce uczyć dzieci, skąd pochodzi to, co jedzą. Dużo czasu spędza z synem w lesie. Chętnie zabrałaby go na polowanie, na początek może na bażanty. Ale to niezgodne z prawem.

Od 2018 roku w Polsce osoba nieletnia nie może nawet przyglądać się polowaniu. Myśliwi mówią o jednym z najbardziej restrykcyjnych przepisów w Europie i dążą do zmian. Tymczasem aż 70 proc. Polek i Polaków jest zdecydowanie przeciwnych polowaniom z udziałem dzieci.

Paula, wychowana na wsi, jest pierwszą osobą w rodzinie zajmującą się myślistwem, z czego wielokrotnie musiała się tłumaczyć. – Przy stole słyszałam z ust miastowych ciotek: „O, przyszła nasza morderczyni zwierząt". A przecież morderstwo to przestępstwo. Prawdziwy myśliwy pasjonat to wrażliwy człowiek, który poprzez polowanie realizuje cele aktywnej ochrony przyrody. Takie sądy nas urażają – mówi. Jakie

„Kobiety polują inaczej - potrafią zdjąć palec ze spustu. *Gdy lisica prowadzi młode, nie strzelam"*

eprasa.pl 738f82d54d

są te cele? Np. ograniczanie liczebności rodzimych drapieżników czy przeciwdziałanie kłusownictwu.

Diany dużo mówią o etyce łowieckiej. Monice nie podoba się, że niektórzy idą do łowiectwa, żeby sobie postrzelać. Na takich mówi się „mięsiarze", dla nich liczy się wynik. Urszula na łowisku odpoczywa, resetuje się. – Mam ze sobą broń, ale oddanie strzału nie jest najważniejsze. Kobiety polują inaczej, potrafią zdjąć palec ze spustu – mówi. – W momencie, gdy lisica prowadzi młode, nie strzelam. Matka jest pod ochroną – dodaje.

Paula opowiada, że w sezonie potrafi przywabić kilkanaście jeleni szlachetnych, imitując ich głos godowy. – Upolowałam dotychczas jednego byka. Był tym właściwym, samcem, w odpowiednim wieku, z nietypowym porożem. Na polowaniu nie ulegam emocjom, zachowuję zimną krew – mówi. Nie wspomina, że jeleń na rykowisku nie ma szans na zimną krew – jest doprowadzony do szaleństwa zapachem łań, wydzielających feromony. Ofiarami takich polowań są najsilniejsze osobniki z najlepszymi genami, zakłócanie godów przekłada się na sukces reprodukcyjny i kondycję lokalnych populacji.

KOBIETY POLUJĄ INACZEJ?

Na portalach społecznościowych znajduję zdjęcia z polowań na Białorusi. To popularny kierunek turystyki łowieckiej, intratnego biznesu, którym zajmuje się wiele firm w Polsce, zachwalając „szczodre polowania" i „prawdziwą myśliwską przygodę". Za wschodnią granicą sezon łowiecki trwa praktycznie cały rok, wolno strzelać do żubrów, wilków, łosi – gatunków w Polsce chronionych – a za szczególną gratkę dla myśliwych uchodzi polowanie na głuszce i cietrzewie wiosną, w okresie godowym. Paula spełniła marzenie. „Wymarzone pióro na pokładzie", napisała na Instagramie, pod zdjęciem z martwym ptakiem.

Jak się to ma do etyki łowieckiej? Rozmawiam z rzecznikiem dyscyplinarnym jednego z okręgów łowieckich. – W dobie tzw. wojny hybrydowej, kiedy po obu stronach granicy giną ludzie, takie polowania to dostarczanie dewizy reżimowi. Tylko po to, żeby sobie popolować na gatunek, który tuż za miedzą jest krytycznie zagrożony. Jaki wizerunek łowiectwa tworzy taki myśliwy? – odpowiada pytaniem na pytanie.

O finansowanie reżimu Łukaszenki pytam Paulę. Pieniądze idą na walkę z kłusownictwem, tak im powiedziano. Na moją prośbę o oficjalne stanowisko w sprawie turystyki łowieckiej na Białorusi Polski Związek Łowiecki nie odpowiada.

PUDROWANIE „KRWAWEGO SKANSENU"

Diany nie czują się burzycielkami patriarchatu ani feministkami, otwierają tylko kolejne drzwi do męskiego świata. To dla nich normalna kolej rzeczy. Silnie wierzą jednak w to, że mogą zmienić postrzeganie łowiectwa w Polsce. – Społeczeństwo inaczej odbiera polującą kobietę. To zaproszenie do dyskusji z przeciwnikami łowiectwa otwartymi na dialog. Nie jesteśmy tylko kwiatkiem do kożucha. Mamy realny wpływ na wizerunek łowiectwa w Polsce – uważa Urszula Sokólska, łowczyni okręgowa.

Wtórują jej inne diany. – Jesteśmy dowodem na to, że myśliwi nie są bandą zwyrodnialców – twierdzi Małgorzata. – Rozwalamy system od środka – śmieje się Monika.

Pytam prof. Magdalenę Środę, filozofkę, etyczkę, feministkę, czy inaczej niż myśliwego postrzega dianę strzelającą do zwierząt. – Gdyby panią ktoś torturował, robiłoby pani różnicę, czy to kobieta, czy mężczyzna? Tortury to tortury, zabijanie niewinnych to zabijanie niewinnych, niezależnie od płci sprawców. Określenie „diana" nie zmniejsza w żaden sposób cierpienia zwierząt, nie zmniejsza ohydy mordowania bezbronnych istot – odpowiada bez ogródek.

Jej zdaniem więcej kobiet w myślistwie nie jest postępem emancypacji kobiet, odwrotnie – to wejście w agresywny patriarchat. – Źle jest, kiedy kobiety naśladują mężczyzn w tym, co najgorsze: w agresji, narcyzmie, bezwzględności w traktowaniu innych, w potrzebie zabijania – mówi. A miłość do natury, o której tak często mówią diany? – Mówienie o kontakcie z naturą, gdy w ręku ma się nowoczesną broń, jest banialuką. Uwierzę w to, jeśli „pierwotna łowczyni" pójdzie do lasu z nożem, a nie nowoczesną bronią wyposażoną w noktowizor – mówi Środa.

Przy Polskim Związku Łowieckim od 2015 roku działa Klub Dian. Od jego członkiń słyszę, że kobiety redefiniują wizerunek osoby polującej, wzmacniając akcent na takie cechy

eprasa.pl 738f82d54d

jak: cierpliwość, empatię i wytrwałość, co przyczynia się do tworzenia nowego obrazu łowiectwa.

Ale według krytyków myślistwa to tylko pudrowanie „krwawego skansenu". – Na razie kobiety nie pełnią żadnych funkcji decyzyjnych w strukturach PZŁ, więc nie obserwujemy zmian – mówi Izabela Kadłucka, prezeska Fundacji Niech Żyją!, koalicji kilkudziesięciu organizacji pozarządowych i osób prywatnych utworzona po to, aby w Polsce zaprzestano strzelać do ptaków. W 2024 roku przy Ministerstwie Klimatu i Środowiska powołano zespół ds. reformy łowiectwa, który ma wypracować rekomendacje zmian w przepisach. Wśród 15 przedstawicieli PZŁ jest tylko jedna kobieta.

ŻEBY NAS MNIEJ NIENAWIDZILI

Kadłucka uważa, że dzisiejsze łowiectwo to relikt PRL, a myśliwi są szczególnie uprzywilejowaną grupą społeczną. – Łowiectwo powinno opierać się na badaniach naukowych, podlegać ocenie oddziaływania na środowisko i być transparentne – mówi. Potrzebna jest gruntowna zmiana systemu. Fundacja postuluje konkrety, m.in. rezygnację z polowań zbiorowych i dewizowych, odejście od trofeistyki, zakaz polowań w otulinach parków narodowych, weryfikację gatunków łownych, zakaz dokarmiania i nęcenia dzikich zwierząt.

Większej kontroli myśliwych domaga się opinia publiczna. Ponad 80 proc. Polek i Polaków jest za wprowadzeniem obowiązkowych badań lekarskich i psychologicznych, wynika z badań przeprowadzonych w grudniu 2024 r. przez MKiŚ. – Ludzie nie czują się w lesie bezpiecznie, nie dziwię się, że domagają się regularnych badań – mówi Kadłucka.

Dyskusja o łowiectwie w Polsce ożywa, kiedy myśliwy zastrzeli człowieka. W latach 2015–2024 doszło do co najmniej 28 wypadków śmiertelnych z udziałem użytkowników broni łowieckiej. W 2025 r. na Lubelszczyźnie miały miejsce dwie tragedie, w sierpniu i w listopadzie. Zdaniem Moniki to czarne owce, które burzą opinię całego środowiska. – Ręce opadają. Angażuję się w edukację, tłumaczę, szukam dialogu, dużo mówię o etyce w myślistwie. Robię wszystko, żeby ludzie mniej nas nienawidzili – ubolewa.

Chcę wiedzieć, czy diany widzą potrzebę reformy myślistwa. Opinie są różne, ale przeważają te o większej potrzebie regulacji, choćby po to, aby uspokoić społeczeństwo. – Ostatecznie to my jesteśmy tymi, którzy pociągają za spust – mówi Monika.

CZYŃCIE SOBIE ZIEMIĘ PODDANĄ

Pytam Urszulę Sokólską, łowczynię okręgową w Łomży, o wartości, o dominację człowieka nad naturą. Jest wierząca, cytuje Biblię: czyńcie sobie ziemię poddaną. – Czy jako myśliwi pragniemy mieć władzę nad przyrodą? Chcemy żyć z nią w zgodzie, w myśl zasady: jak dbasz, tak masz. Przecież wszystkim nam zależy na tym samym: dbaniu o naturę – mówi.

Zaprasza mnie na polowanie. Poleca spróbować dziczyzny. Pudło. Od wielu lat nie jem mięsa.

– Szanuję to – słyszę. ▲

Bielenda PROFESSIONAL

SUPREMELAB

AZELAC DERM

TWOJA SKÓRA W RĘKACH PROFESJONALISTÓW

AZELAC DERM to specjalistyczne produkty stworzone z myślą o cerach problematycznych, a jednocześnie wrażliwych. Zawarte w nich **Kwas Azelainowy i Azeloglicina®** pomagają redukować niedoskonałości i przebarwienia.

ODKRYJ NOWOŚCI Z LINII AZELAC DERM!

CALM & CONTROL MILKY SERUM

Serum o delikatnej, mlecznej konsystencji wycisza i regeneruje skórę nadreaktywną, zmniejsza zaczerwienienia, silnie nawilża, a także reguluje wydzielanie sebum oraz rozjaśnia.

5% Azeloglicina®
Laktoferyna
Beta-Glukan
Bioaktywne Fermenty

CALM & CONTROL TREATMENT CREAM

Krem o silnym, ukierunkowanym działaniu - redukuje niedoskonałości, i zaskórniki, rozjaśnia, reguluje wydzielanie sebum, zmniejsza przebarwienia, także pozapalne. Ma jednocześnie silne działanie kojące i nawilżające.

10% Kwas Azelainowy
Seryna
Prowitamina B5

DOUBLE RELIEF ESSENCE

Kosmetyk o unikatowej, dwufazowej,piankowo-wodnej formule, który zapewnia efekt nawilżenia, ukojenia i złagodzenia. To doskonały kosmetyk dla każdego rodzaju skóry.

Witamina B12
Bioaktywne Fermenty
Prowitamina B5

Ekspert marki Supremelab Agnieszka Leśniak

W przypadku osób borykających się z niedoskonałościami różnego typu coraz częściej pojawia się problem jednoczesnego uwrażliwienia oraz przesuszenia skóry. W takiej sytuacji warto sięgnąć po specjalistyczne formuły, które będą skuteczne, a jednocześnie delikatne.

Dostępne w ofercie ROSSMANN Moja Drogeria

i na **bielenda.com**

SPRAWDŹ WSZYSTKIE PRODUKTY

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 738f82d54d

Mój największy *dar*

Jak wychowawczyni zapisywała, kto gdzie idzie, a ja powiedziałam, że szkoła teatralna, nastała cisza. A potem ona wybuchnęła takim ironicznym śmiechem.

LIDIA BOGACZÓWNA

(ur. 1957 r.) – aktorka, absolwentka PWST w Krakowie. Od 1982 r. w Teatrze Bagatela, od 1986 r. związana z Teatrem im. Słowackiego. Współpracuje z Teatrem Barakah i TR Warszawa, Teatrem STU. Wykładowczyni na Uniwersytecie im. Frycza Modrzewskiego. Można ją oglądać na scenie Teatru im. Słowackiego w siedmiu tytułach i najnowszym „Wyzwoleniu" w reż. Mai Kleczewskiej

Z **LIDIĄ BOGACZÓWNĄ**, AKTORKĄ, ROZMAWIA **JUSTYNA GROCHAL**
ZDJĘCIA **GRZEGORZ CELEJEWSKI**/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Urodziła się pani ze zwichniętym stawem biodrowym. Jak to wpłynęło na pani dzieciństwo?
– Zmieniło całe moje życie. Wbrew pozorom to największy dar, jaki dostałam od losu. Jestem wierząca i uważam, że Bóg jest dobry, niczego nie daje na złość. Muszę tylko odkryć, dlaczego coś mi się przytrafiło.

Byłam dużym noworodkiem. Koniec lat 50., nikt tego zwichniętego biodra nie zauważył. Trudno było to zdiagnozować. Od lekarzy mama słyszała, że jestem gruba albo: „taki chód, nauczy się". Do szpitala w Krakowie przyjęto mnie dość późno, miałam półtora roku. Zajął się mną wspaniały prof. Józef Bogusz. Spędziłam na oddziale pół roku, dostałam gips zmieniany co sześć tygodni.

Choć całe życie się borykam z tym biodrem, jest to coś, co jednocześnie mnie napędza. Bo nie daj Bóg mi powiedzieć, że czegoś nie potrafię, nie mogę albo nie powinnam! Dostałam zwolnienie z WF-u na całe życie. Nie wolno było tego tknąć, bo co jak mi noga wypadnie z biodra? A jako dziecko zachwyciłam się baletem. Stałam przed telewizorem i robiłam wszystko to, co tancerki. Kiedyś mama przyszła i mówi: „Lidka, nie wolno ci przecież! Nigdy w życiu nie będziesz tancerką". A ja sobie pomyślałam: akurat! Potajemnie zaczęłam chodzić na rytmikę, potem tańczyłam w zespole ludowym i ćwiczyłam na równoważni. Zupełnie podświadomie zrobiłam sobie rehabilitację. Lata później spotkałam się z prof. Boguszem, to jest nieprawdopodobna historia.

Opowie pani?
– Jak będę teraz płakać, to proszę się nie dziwić. Mama całe życie mówiła, że chodzę dzięki niemu. A miałam straszne perypetie z tym biodrem. Myślałam, że zwariuję z bólu. Miednica była już tak przekrzywiona po porodach. Od lekarza rehabilitanta usłyszałam: „Za cztery lata pani będzie miała wózek inwalidzki, proszę mi zwolnić miejsce, bo ja już z panią nic nie zrobię".

Ile miała pani wtedy lat?
– Trzydzieści dwa. Zabrałam papiery i powiedziałam: „Proszę pana, nie wierzę panu. I nie wolno tak mówić ludziom. Ja panu nie uwierzę i będę robiła swoje, natomiast ktoś uwierzy i zostanie kaleką". I wyszłam. Znalazłam rewelacyjnego masażystę. Po półtora roku ćwiczeń wszystko nagle mi się wyprostowało. Przestało boleć, nieprawdopodobne. A wcześniej usłyszałam: „U pani, przy tym biodrze, jedna ciąża to było ryzyko, druga to głupota".

A pani ma trzech synów. Ale wróćmy do historii o profesorze.
– Często o nim myślałam. Pewnego dnia siedzę w poczekalni u ginekologa, obok panie rozmawiają i nagle słyszę nazwisko Bogusz. Okazało się, że to on. Powiedziały mi, gdzie przyjmuje. W imieniny Józefa kupiłam ogromny bukiet kwiatów i stwierdziłam: idę. Zadzwoniłam do drzwi, myślałam, że mi serce wyskoczy.

Otwiera mi zdziwiony starszy pan. Mówię: „Wiem, że to strasznie dziwna sytuacja, ale byłam pana pacjentką trzydzieści parę lat temu". Zaprosił mnie do środka, ja z tym bukietem. Nie pamiętał mnie. Po krótkiej rozmowie kazał mi się przejść po gabinecie, po czym mówi: „Jak pani to zrobiła? Na pani można doktoraty pisać. Tak panią przepraszam, wtedy nie było rehabilitacji. Myśmy nie wiedzieli, jak to jest, baliśmy się. Zrobiliśmy dużo błędów". Zapytał, czy ktoś mi kazał tu przyjść. Może mama? „Nikt – mówię. – Chciałam panu po prostu podziękować. Całe moje życie jest związane z panem. To, że tańczę, jestem aktorką, mam dzieci, zawdzięczam panu".

> Stałam przed telewizorem i robiłam to, co tancerki. Kiedyś weszła mama i mówi: *„Lidka, nie wolno ci przecież!"*

I on się wtedy popłakał. Powiedział: „Każdy lekarz marzy o tym, żeby kiedyś do drzwi zapukał pacjent, którego nawet nie pamięta, i tak bezinteresownie powiedział »dziękuję«. Większość nigdy nie doczeka. A ja w tej chwili poczułem, że mogę umierać".

To było dla mnie tak mocne. Postanowiłam, że będę zawsze chodziła do niego w Józefa. Kiedyś mama przyjechała do mnie, siedziałyśmy w kuchni i nagle przypomniało mi się, że miałam pójść do profesora z życzeniami. Mówię: „Jutro to zrobię". Okazało się, że zmarł tego dnia, w którym to powiedziałam. Oczywiście być może wcale tak nie było, ale ja – dla mojego zamknięcia historii – wiem, że musiał wtedy o mnie pomyśleć. Może w kontekście tego, co mi powiedział: że może umierać.

To naprawdę piękna historia.
– Ale historie tworzymy sami. Nigdy by się nie wydarzyła, gdybym nie poszła, nie odważyła się. Gdybym nie myślała, że w życiu najważniejszy jest człowiek i że trzeba mu dziękować. Dlatego mówię, że to zwichnięte biodro to największy dar. On mnie ukształtował, inaczej pewnie nie byłabym zainteresowana tym, żeby to rozćwiczyć, tańczyć, pokazywać, że mogę. To mi dało sprawność fizyczną.

A aktorstwo skąd się wzięło?
– Wiadomo było, że moja siostra pójdzie w artystycznym kierunku, ja za to byłam okropnie zagubiona. Bardzo dobrze rysowałam, ale jestem odtwórcza. Kiedyś oglądałam „Hamleta" w Teatrze Telewizji. Bezczelność z mojej strony, ale rzucam do siostry: „Ja bym to inaczej zagrała". Zaczęłam mówić po swojemu, ona patrzy na mnie i rzuca: „Lidka, ja wiem! Ty powinnaś zostać aktorką". Oburzyłam się, bo aktorka mi się kojarzyła z takimi, co to można tu klepnąć, tu kwiatuszka dać, mówią cudzymi słowami, a w środku pustka. Takie miałam wyobrażenie.

Ale gdzieś to jednak padło i zaczęło kiełkować. Pomyślałam, że może rzeczywiście spróbuję. No i próbowałam cztery razy.

Uparła się pani.
– Zdawałam też na historię sztuki, którą uwielbiałam. Do egzaminu do szkoły teatralnej nie miał mnie kto przygotować. W Rudniku nad Sanem, skąd pochodzę, wszyscy się ze mnie śmiali. Usłyszałam: „Żeby takie paskudy aktorkami zostawały, no coś podobnego".

„Paskudy"?
– Tak. Jak wychowawczyni zapisywała, kto gdzie idzie, a ja powiedziałam, że szkoła teatralna, nastała cisza. A potem ona wybuchnęła takim ironicznym śmiechem.

Na tym pierwszym egzaminie poczułam się bardzo poniżona. Zobaczyłam, jaka jestem mała, co to znaczy być niezauważonym. Ciężko to zniosłam, dostałam depresji. Przytyłam 12 kilo, nie chciałam wychodzić z domu. Ale jedno z moich ukochanych powiedzeń brzmi: „Każdy ma prawo

MAKIJAŻ I FRYZURY JUSTYNA NIZIOŁEK

eprasa.pl 738f82d54d

upaść, ale nikt nie ma prawa podnieść się z pustymi rękami".

Spróbowałam drugi raz i przeszłam pierwsze eliminacje. Dla mnie był to sukces, bo oznaczał, że jednak się nie mylę. Na coś we mnie zwrócono uwagę. Odpadłam po drugim etapie, ale wtedy Teatr STU ogłosił nabór do studia teatralnego. Dostałam się głównie dzięki sprawności akrobatycznej.

„Szalona lokomotywa" w Teatrze STU to był pani pierwszy występ na dużej scenie?

– Pierwszy był „Gość gospodarz", też tam. Potem „Szalona lokomotywa", w której miałam nie grać. Ale na tym życie polega, żeby zaklinać rzeczywistość, tworzyć sytuacje.

Był czerwiec, Krzysztof Jasiński stworzył już ekipę, więc wysłał wszystkich na wakacje. Ja zostałam. Pierwszy polski musical, bardzo chciałam przy tym pracować. Powiedziałam, że mogę robić cokolwiek. No więc meldowałam Marylę Rodowicz, parzyłam kawę, szyłam kostiumy. Któregoś dnia krzątam się, a Anatol Kocyłowski, choreograf, pyta mnie: „Lidka, a dlaczego ty tu siedzisz? Przecież ty tańczysz". Mówię: „Tak, ale nikt mnie nie wziął". A on na to: „Im nas więcej, tym lepiej. Chodź na górę, będziesz tańczyć".

Kiedyś wysłał mnie do muzyków Anawy, żebym zapytała o jakieś dodatkowe nabicie w nagraniu; mieli próby na parterze, my na pierwszym piętrze. Byłam strasznie nieśmiała. Zapukałam, podszedł do mnie perkusista. Miał taki żółty T-shirt, jeansowe ogrodniczki, ciemne okulary. No i jego zapytałam. Przypadek? Nie sądzę, bo to z nim mam tę trójkę dzieci. A przecież gdybym wtedy pojechała na wakacje, gdybym nie była uparta, ciekawa...

I zdeterminowana. Chciała się pani uczyć.

– Chciałam się uczyć i dostałam bonus od losu. Czasem dostaję w życiu coś, co może miało nie być moim, ale ja przekonuję los, że jestem tego warta, warto mi zaufać. Zawsze tak patrzyłam na życie.

Spotkanie z perkusistą w żółtym T-shircie, czyli Andrzejem Popielem, to była miłość od pierwszego wejrzenia?

– Chyba nie, bo nie byłam wtedy na etapie uczuć i miłości.

Miała pani wtedy ile – 20 lat?

– Miałam 20 lat i straszne kompleksy. Myślałam, że jestem brzydka, nie podobałam się sobie. Może też trochę przez to biodro. W szkole dzieciaki mnie wyzywały, bo miałam piegi i byłam rok młodsza. Ale to mnie wzmocniło. Nie dałam sobie w kaszę dmuchać, nauczyło mnie to siły i walki o siebie.

Kształtujemy się do końca. Od nas zależy, ile z tego życia zrozumiemy. *I kim chcemy być*

Nie były pani w głowie romanse, ale jak to było z tym perkusistą?

– Czasem po imprezach lądowaliśmy razem na przystanku i czekaliśmy długo na tramwaj, bo takie były połączenia. Raz zaczęliśmy rozmawiać na takie, wtedy mi się wydawało, niesamowicie mądre tematy. Zaprosiłam go do mieszkania, które wynajmowałam z siostrą. Tak mi się rewelacyjnie z tym człowiekiem rozmawiało, że wtedy zwróciłam na niego uwagę. Bo mnie, proszę pani, kręci intelekt.

W lipcu zaczęliśmy próby do „Szalonej lokomotywy", a 17 sierpnia 1977 roku była premiera. Przyjechali moi rodzice, siostra Andrzeja. Po spektaklu mieliśmy jechać na bankiet. Garderoby były w takich kontenerach z metalowymi schodkami. Stoją tam wszyscy, ja wychodzę, patrzę, a na dole klęczy perkusista z dwiema stokrotkami i mówi: „Pani Lidziu, wyjdzie pani za mnie?". Potraktowałam to jako żart i mówię: „Ależ oczywiście!". No i tak w ten żart poszliśmy.

Ślub braliście w 1983 roku.

– Tak, ale wcześniej Andrzej wyjechał z zespołem na koncerty do Niemiec. Paru z nich zostało, on też. Myślał, że mnie ściągnie. Załatwiał nam wyjazd do Kanady, bo ma tam rodzinę. Ja robiłam wtedy dyplom. Miałam przyjechać po świętach na parę dni, żeby pomówić z nim osobiście, bo nie widzieliśmy się półtora roku.

Udało się spotkać?

– Stan wojenny, telefony zagraniczne odblokowali 22 lipca, na święto. Oznajmił, że nie wróci, nie ma do czego. Ja mu powiedziałam, że nie wyjadę, bo on może być w Niemczech niemym perkusistą, ja aktorką – nie. Nie znam języka, nie porzucę wszystkiego, o co tak walczyłam. Przeprosił mnie i powiedział: „Miłość miłością, ale jednak życie życiem. Daję ci wolność". No i rozeszliśmy się.

I co potem?

– Potem miałam wyznaczoną datę ślubu z innym. Był taki Kolega z Roku, wiedział, że mam chłopaka. Dawał mi kwiaty, tak po hollywoodzku traktował tę miłość. Zawsze mówił: „Ty i tak będziesz moja". Jak mi Andrzej powiedział, że daje mi wolną rękę, poszłam do Kolegi i pytam: „Dalej mnie kochasz? To wyjdę za ciebie. Ale wiesz, że ja

eprasa.pl 738f82d54d

ciebie nie kocham?". „Wiem – mówi. – Ale ja ciebie tak kocham, że wystarczy za dwoje. Zobaczysz, pokochasz mnie".

Ale do ślubu nie doszło.
– Jak dziś pamiętam: 8 grudnia 1982 roku. Mieszkałam z siostrą, byłyśmy zaprzyjaźnione z sąsiadami, którzy mieli telefon. Zawsze tam chodziłam na imieniny Marii, ale tego roku nie mogłam. Majka wiedziała, że Andrzej mnie właściwie zostawił. Przyszła nazajutrz i mówi: „Wiesz, fajny był ten Andrzej". Co ona mi o tym Andrzeju, myślę. Mówię do niej: „Majka, zapomnij. Było, minęło, nie chcę o tym mówić".

Bo tak bolało?
– Bolało. Wiedziałam, że nikogo w życiu już tak nie pokocham. Ale myślałam: czas leczy rany. Jestem rozsądnym człowiekiem. A ta Majka dalej: „A powiedz, jakby była taka sytuacja, że idziesz ulicą i nagle widzisz go naprzeciwko. Jak byś zareagowała?". Normalnie, przecież nie dałabym mu w twarz. „I rozmawiałabyś z nim?" – dopytuje. Mówię, że tak, na co ona: „Bo on wczoraj dzwonił. Liczył, że będziesz. Prosił, bym cię wybadała – czy jesteś w stanie z nim rozmawiać. Zadzwoni dziś o 20. Przyjdziesz porozmawiać z nim?".

Poszłam. Bardzo byłam zdenerwowana. Zadzwonił i właściwie nie ma o czym rozmawiać. No bo jak? Człowiek by chciał co innego powiedzieć, ale wchodzi jakieś udawanie, wstyd, trochę honor, duma. Mówię, że jestem w teatrze, dużo gram, jest mi tu dobrze. A on do mnie: „Zrozumiałem, że nie mogę bez ciebie żyć. Wracam do Polski". „Jak chcesz, to wracaj – mówię mu. – Tylko wtedy nie do mnie, bo ja na Wielkanoc biorę ślub".

Jego zatkało. Słyszę, że płacze. W końcu pyta, czy mogę być jutro o tej samej porze przy telefonie. Nazajutrz powiedział, że wraca 30 grudnia. Kazałam mu się zastanowić, z jakiego powodu. Byliśmy w zupełnie innych miejscach. Nie chciałam, żeby naraził wszystko, po czym staniemy naprzeciwko siebie i odkryjemy, że tamto już uleciało. Wtedy całe życie miałby do mnie pretensje.

Pani czuła też odpowiedzialność wobec Kolegi.
– To była sytuacja tragiczna. Zapytałam babcię, co robić. Powiedziała: „Lidziu, najważniejsza w życiu jest miłość. Jeżeli ty tamtego nie kochasz i on o tym wie, to po co?". Na drugi dzień zadzwoniłam do Kolegi. Powiedziałam, że nie chcę zrobić większej głupoty. Zrozumiałam, że to nie ma sensu. Ale się przyjaźnimy.

Andrzej wrócił?
– To była taka śmieszna sytuacja. Brat Andrzeja wiedział, którym pociągiem on będzie wracał. Miał nogę w gipsie, ale pojechaliśmy razem maluchem na dworzec. Potraktowałam to filmowo. Chciałam, żeby Andrzej zrozumiał, co zrobił. Wyszykowałam się na co najmniej Annę Kareninę. Założyłam przepiękny biały płaszcz, na głowę biały toczek ze srebrnymi niteczkami. Wyglądałam... zajebiście. Jak wyszłam na ten peron, to ludzie rozstępowali się przede mną, jak przed Mojżeszem morze.

I stoimy tak. Ten o kuli, ja wystrojona. Tłumy wylewają się z pociągu, wychodzą, wychodzą. Przeszli. Nie ma Andrzeja.

Jak to?!
– Dostałam ataku śmiechu. Co za absurdalna sytuacja. Komórek nie ma, nie ma jak się dowiedzieć, co się stało. Mówię: „Michał. Ja muszę się napić". Pojechaliśmy do mnie. Chyba nigdy się tak nie upiłam. Z tej rozpaczy, z tego wszystkiego. Padłam, Michał się rozłożył w drugim pokoju.

Nazajutrz dzwonek do drzwi. Czuję, że zaraz będę wymiotować, ale idę. W przedpokoju zerkam w lustro, po Annie Kareninie ani śladu. Otwieram, stoi Andrzej. Oczom nie wierzę. Mówiłam mu, że nie wie, do kogo wraca, ale że aż tak? (śmiech)

Zmięta cała lecę do łazienki, zaczynam wymiotować. On wszedł, patrzy, a w przedpokoju buty 44. Na łóżku facet, nie widać, że to Michał. Ja wymiotuję i płaczę, że szlag trafił całe przygotowania. Andrzej biegnie mnie ratować. Wymyśliłam sobie ten film, ale nie sądziłam, że to będzie komedia z takim zakończeniem.

Okazało się, że wysadzili go z pociągu na przesłuchanie. Sprawdzali wszystkie bębny, zabrali paszport. Dostał zakaz wyjazdu, więc stracił pracę. Tak wyglądał jego powrót. Na sylwestra do znajomych poszliśmy już razem. Dwa dni później pojechaliśmy do Rudnika, gdzie Andrzej mi się oświadczył.

Pani aktorka, on muzyk. Trzech synów. Podejrzewam, że nie zawsze było łatwo.
– Zawsze wiedziałam, że chcę mieć dzieci, dom pachnący bułeczkami drożdżowymi. Dla mnie życie i rodzina są ważniejsze niż zawód. Praca, jakakolwiek by nie była, to tylko praca. Po to, żeby zarobić pieniądze na fajne życie.

Był czas, że nie mieliśmy na chleb. Nie w przenośni. Teraz jest dużo możliwości, wtedy nie było. Borykałam się ogromnie. Siostra zakonna, która uczyła moje dzieci katechezy, widząc, że ciągle zalegam ze wszystkim, zaoferowała, że będzie przez rok płaciła im za obiady. Popłakałam się. Było to dla mnie poniżające, ale ona powiedziała: „Proszę pani, bieda to nie wstyd. To tylko pewien czas i niech pani pozwoli mi być dobrą".

Ta bieda dla mnie i moich synów była znowu nieprawdopodobną nagrodą. Nauczyła nas zrozumienia tych, którzy nie mają nic. Mogłabym uczyć synów, że trzeba zawsze dać komuś dziesięć złotych. Robiliby to automatycznie, ale nie wiedzieliby, dlaczego. Lata temu usiadłam na plantach ze starszym panem, który żebrał. Zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że był nawet po studiach. „Co pana najbardziej boli?" – pytam, a on mówi: „To, że jak mi wrzucają złotówkę, nikt nie chce mi w oczy popatrzeć. Nikt nie widzi we mnie człowieka. A gdy ktoś mówi mi »dzień dobry«, to znaczy, że żyję, nie jestem przezroczysty. To mi przywraca człowieczeństwo".

Gdy synowie dorośli, pojawił się syndrom opuszczonego gniazda?
– Nie, bo nie zniknęli z mojego życia. Mamy wnuki, poza tym zawsze miałam co robić. Musiałam wziąć do siebie mamę i się nią zająć. Zmarła we wrześniu, miała 94 lata. To też jest piękne doświadczenie w życiu.

Odwrócenia ról?
– Tak. Cieszę się, że mama umierała świadomie. Miałyśmy czas powiedzieć sobie wszystko, podziękować. To przeżycie daje możliwość, by sprawdzić siebie – jacy jesteśmy w stosunku do ciężkiej choroby, obowiązku, sytuacji granicznej.

Jako nastolatka mówiłam do babci, że nie rozumiem, jak można było wydać kogoś na gestapo, ja bym tego w życiu nie zrobiła. A babcia do mnie: „Nie wiesz, co byś zrobiła. Mówisz, jaka chciałabyś być, i to jest bardzo piękne. Ale nie wiesz, gdzie są twoje granice. Na przykład, kiedy ktoś mówi, że zamorduje ci dziecko, jeżeli się nie zgodzisz na to czy tamto. Projektujemy siebie jako bohaterów, ale potem życie to weryfikuje. Dlatego nie oceniaj".

Uważam, że kształtujemy się do śmierci. Od nas zależy, ile z tego życia zrozumiemy i kim chcemy być. Jak mam zagrać postać, to najpierw myślę, do czego ona dąży, kim jest na końcu. Jeśli to zrozumiem, wiem, jaką drogą iść. ▲

eprasa.pl 738f82d54d

FOT. ISTOCK/GETTY IMAGES

Za połowę *pensji*

Kobiety z pokolenia X mają około dziesięciu lat do emerytury. I zaczynają liczyć, za ile będą musiały przeżyć resztę życia.

eprasa.pl 738f82d54d

TEKST **JOANNA BISZEWSKA**

Ojciec mówił: „Zadbaj, córciu, o składki". Ale kto myśli o emeryturze w wieku 30 lat?

Sylwia jest mamą trojga dzieci: dorosłego syna i dwóch licealistek. Przyjechała do Warszawy na studia z województwa łódzkiego. Na uczelni poznała przyszłego męża, do tej pory są razem. Kilka dni po 50. urodzinach dostała informację z ZUS-u o tym, że rozpoczęto przekazywanie środków z OFE do ZUS-u, w związku z ukończeniem wieku niższego niż 10 lat od wieku emerytalnego.

– Ten mail był dla mnie jak prysznic zimnej wody. W głowie dudniło mi jedno zdanie: jeśli nie zajrzę teraz do historii mojej pracy, nie uporządkuję jej, to za 10 lat będzie to o wiele trudniejsze. A bardzo nie chciałabym w przyszłości polegać na dzieciach. Jeszcze coś mogę zrobić, jeszcze mam trochę czasu.

POKOLENIE ŚMIECIÓWEK

Kończyłyśmy szkoły, studia i łapaliśmy się jakiejkolwiek pracy, aby zdobyć doświadczenie. To był koniec lat 90., początek dwutysięcznych, raczkujący kapitalizm.

Dopiero oswajałyśmy się z myślą, że wpadłyśmy do zupełnie innego świata niż nasi rodzice. Ich życie zawodowe przypadło na czasy, kiedy praca była obowiązkowa, a etat właściwie jedyną formą zatrudnienia. Dostawali trzynastki, płatne urlopy.

– Tata całe życie zawodowe przepracował na kierowniczych stanowiskach w cementowi, mama w banku. Ani jednego dnia żadne z nich nie pracowało na śmieciówce. Miesiąc w miesiąc odprowadzali składki. Mieli niezłe pensje, teraz dostają emerytury z ZUS-u. Ojciec 8 tys., mama 6 tys. – mówi mi znajoma z podstawówki. I dodaje:

– Ja mam 48 lat i przerobiłam chyba każdą z możliwych opcji zatrudnienia. W tym pięć lat pracy na czarno w Londynie. Pięć lat niewidocznych dla systemu emerytalnego. A tata tyle razy pytał: „Córciu, dlaczego ty nie dbasz o składki?". Dla niego to było nie do pomyślenia, że można pracować i nie mieć na to papierów. Tylko kto w wieku 20-30 lat myśli o tym, co będzie za 30 lat?

Niecałe dwa lata temu dr hab. Katarzyna Sekścińska z Uniwersytetu Warszawskiego podjęła się badania świadomości emerytalnej i postaw wobec systemu emerytalnego Polek i Polaków do 30. roku życia. Z badania dowiadujemy się, że tylko co piąta osoba przed trzydziestką miewa myśli o tym, że trzeba zabezpieczyć swoją przyszłość finansową na czas emerytury.

Taka postawa nie dziwi Michała Wachowskiego, doktora w dziedzinie nauk ekonomicznych na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach, eksperta portalu Subiektywnie o Finansach:

– Niestety, to prawda. Wiele młodych osób w ogóle nie myśli o emeryturze. Starość jest dla nich abstrakcyjnym pojęciem, wolą żyć „tu i teraz". Nie zdają sobie sprawy, co oznacza konieczność przeżycia na minimalnej emeryturze.

NIECO PONAD 1700 ZŁ

Gwarantowana przez państwo najniższa emerytura w Polsce od 1 marca 2025 to 1878,91 zł brutto, co daje około 1709,81 zł na rękę. Aby otrzymać te pieniądze, trzeba spełnić dwa warunki: osiągnąć wiek emerytalny (60 lat dla kobiet, 65 lat dla mężczyzn) oraz udokumentować staż pracy. Kobiety – co najmniej 20 lat, mężczyźni – 25 lat.

– Póki się żyje, to się żyje. A co będzie potem, to się zobaczy – znam sporo moich rówieśników, którzy tak funkcjonują. Pracują na umowy o dzieło, na zlecenia, szkoda im kasy na to, aby co miesiąc odprowadzać do ZUS-u dwa tysiące. Wolą jechać na narty, kupić nowy fotel – mówi mi 50-letni grafik komputerowy, który sam nigdy nie pracował na umowę o pracę. – Tylko ja od ponad 20 lat pracuję w modelu B2B. Składki odprowadzam nawet w tych miesiącach, w których mniej zarabiam. Jestem w trzecim filarze. Wyznaję zasadę, że ile sobie odłożysz, taką będziesz miał emeryturę.

Łatwo jest żyć w przekonaniu, że jakoś się ułoży, że nie ma co się martwić przyszłością, bo przecież nie wiadomo, czy się w ogóle dożyje. W raporcie Instytutu Emerytalnego pt. „Emerytalne pułapki" można przeczytać o tym, że połowa z nas nie oszczędza, nie inwestuje, za mało dba o osobiste bezpieczeństwo finansowe na każdym etapie życia.

Bardziej niepokojąca jest sytuacja kobiet. Wcześniej odchodzimy z rynku pracy na emerytury, wciąż mamy niższe wynagrodzenia niż mężczyźni na tych samych stanowiskach, a przez to niższe świadczenia emerytalne. I rzadziej niż mężczyźni gromadzimy aktywa inwestycyjne.

MOJA HISTORIA PRACY

Sylwia kilka tygodni temu poszła do ZUS-u i umówiła się z doradczynią emerytalną po to, aby wstępnie policzyć, za ile będzie żyła na emeryturze. Każdy z nas może to zrobić. Ta usługa nie jest płatna. Trzeba mieć odwagę, aby pójść do urzędu i wziąć numerek. Czego możemy dowiedzieć się na takim spotkaniu? Chociażby tego, że studia wliczają się do stażu pracy.

– Na spotkaniu doradczyni poprosiła mnie, abym przyniosła kopię dyplomu. Policzyłyśmy, jaka jest moja prognozowana emerytura. Chcesz wiedzieć, ile mi wyszło?

– Ile? – dopytuję.

– Niecałe 4 tys. Spodziewałam się tego. Syn urodził się z wadą serca. Kiedy miał kilka dni, przeszedł poważną operację kardiologiczną. Potem kolejną. Zdecydowałam, bardzo świadomie, że to ja zostanę z nim w domu. Prosto z macierzyńskiego przeszłam na urlop wychowawczy. Syna urodziłam w wieku 27 lat, moja mama w tym czasie jeszcze pracowała zawodowo, nie mogła przyjechać do mnie do Warszawy, aby mi pomóc. Mam jeszcze dwie córki. Dzieci rodziłam co trzy lata – dodaje absolwentka ekonomii, zatrudniona w średniej firmie w dziale HR. Od kilku lat znowu na pełen etat. Dalej opowiada:

– Próbowałam pracować z domu z trójką dzieci, ale mi to totalnie nie szło. Zdecydowałam się na kolejny urlop wychowawczy. Kiedy najmłodsza córka poszła do przedszkola, wróciłam do pracy na pół etatu. Nie żałuję, że na kilka lat zostałam z dziećmi w domu. Uważam, że podjęłam najlepszą decyzję w tamtym czasie. Jednak w kontekście składek i pasków z płacami czuję ból. Wybrałam inną drogę niż kariera zawodowa. Chciałam być z dziećmi, biorę to na klatę. Mam finansowe oparcie w mężu i wciąż trochę czasu na to, aby teraz, zawodowo, zrobić coś dla siebie. Może się uda.

Michał Wachowski, kiedy pytam go, co „na szybko", 10 lat przed emeryturą, możemy jeszcze zdziałać, aby polepszyć swój standard życia, mówi tak:

– Poleganie wyłącznie na ZUS-ie z dużym prawdopodobieństwem może oznaczać konieczność przeżycia z niskiej emerytury, szczególnie u kobiet. Stopa zastąpienia (procentowa relacja emerytury do ostatniej pensji) sukcesywnie spada i mo-

eprasa.pl 738f82d54d

że za kilka lat wynieść 30-40 proc. Dlatego warto korzystać z innych opcji, a tych jest sporo. Mamy IKE, IKZE, PPK, PPE, OIPE, czyli programy emerytalne oferujące preferencyjne sposoby opodatkowania i/lub dopłaty. Bardziej doświadczone osoby mogą spróbować samodzielnych inwestycji (np. w ETF-y czy spółki dywidendowe). Im więcej takich programów wdrożymy, tym wyższa będzie nasza emerytura w przyszłości.

BEZ PRACY SZYBSZA STAROŚĆ

Wchodzę na stronę ZUS-u i szukam informacji o tym, czy i co kobiety tracą, przechodząc na emeryturę w wieku 60 lat. Informator ZUS-u namawia, aby – jeśli ma się zdrowie i możliwości – odroczyć przejście na emeryturę i wydłużyć aktywność zawodową.

Co nam to da? Dodatkowe składki z pracy powiększają sumę zgromadzonych środków. Kolejne waloryzacje składek pomnażają kapitał emerytalny (działa też siła procenta składanego). Prognozowany czas wypłaty emerytury jest krótszy, co podnosi wysokość miesięcznego świadczenia.

Pytam moją znajomą, radczynię prawną – za 10 lat osiągnie wiek emerytalny – o to, czy jest psychicznie gotowa na to, że za dekadę nie będzie musiała rano wstawać do pracy, ładnie się ubierać i meldować w firmie? Patrzy na mnie, zbiera myśli i zaczyna tak:

– Wiesz co, już teraz uciekają mi słowa, nie pamiętam, co chciałam powiedzieć na spotkaniu biznesowym, zapominam odpisać na maile, powiększam czcionkę na pulpicie. Ale wciąż to są drobiazgi. Każdy z nas z tym się kiedyś zmierzy. Chciałabym, tak jak moja matka – też prawniczka – pracować przynajmniej do 70. roku życia – mówi mama dwóch synów. Jeden jest na studiach, drugi w klasie maturalnej. I dalej opowiada:

– Kiedy chłopcy byli mali, przez kilka lat zatrudniałam nianię. Ze swojego dzieciństwa pamiętam, że w domu nie zawsze był obiad, bo mama pracowała na pełnych obrotach. Nie miała wyjścia, byłyśmy tylko we dwie. Mama ma 76 lat i dopiero od dwóch jest emerytką na pełen etat. Uważam, że dopóki są predyspozycje zdrowotne i intelektualne, to się pracuje. Praca trzyma nas w ryzach. Bez niej rozleniwiasz się, tracisz poczucie sensu. I zaczyna brakować ci pieniędzy.

Znajoma prawniczka uważa, że dopóki są możliwości intelektualne, to się pracuje. Taki też wzór dała jej matka. *Że człowiek bez pracy szybciej się starzeje*

Kiedy ją pytam, jakie ma plany na pracę podczas emerytury, mówi tak:

– Prawdopodobnie za kilka/kilkanaście lat nie będę pracowała na cały etat. Być może rozpocznę współpracę z kancelariami, mogę zająć się obsługą prawną małych firm, prowadzić szkolenia z zakresu prawa pracy i etyki biznesu. W życiu sprawdza mi się zasada, że jak na czymś ci bardzo zależy, pracujesz nad tym i jesteś w czymś bardzo dobra, to to dostajesz. Nawet w świecie, w którym słyszysz, że kobiety po pięćdziesiątce są przezroczyste na rynku pracy.

– Ile trzeba dorobić do emerytury, aby wieść spokojne życie po sześćdziesiątce w Warszawie? – dopytuję jeszcze prawniczkę.

– Zakładam, że za 10 lat moje dzieci będą miały już swoje środki do życia i przestaną aż tak bardzo obciążać nasz budżet. Wyliczyłam sobie, że do emerytury powinnam dorobić ok. 8 tys. Tyle potrzebuję, aby mój standard życia nie pogorszył się i abym mogła pozwolić sobie na swobodę finansową.

ILE TRZEBA MIEĆ?

Amy Abbott, felietonistka amerykańskiego wydania „Business Insider", kiedy zdiagnozowano u niej przewlekłą niewydolność oddechową w wieku 59 lat, nie miała wyboru. Przeszła na wcześniejszą, nieplanowaną emeryturę. W swoim felietonie pt.: „When I retired I didn't feel carefree, I felt lost. Turns out, I needed a schedule (pol. „Przeszłam na emeryturę i czułam się zagubiona. Potrzebowałam planu") wizytę u doradcy emerytalnego nazwała „finansową kolonoskopią". To niezbyt przyjemny obowiązek, który – czy nam się to podoba, czy nie – trzeba odhaczyć. Zmierzyć się z tematem i policzyć, jak długo uda nam się dokładać do emerytury z oszczędności.

ILE WARTO ZATEM MIEĆ NA KONCIE, ABY SPAĆ SPOKOJNIE?

– To zależy od naszych potrzeb oraz szacowanej długości życia na emeryturze. Podam dwa przykłady liczbowe. Jeżeli zgromadzę 250 tys. zł i będę wypłacał sobie po 5 tys. zł miesięcznie, to wystarczy mi to na cztery lata. Przy założeniu, że te środki już nie „pracują". Jeżeli natomiast założę kapitał w wysokości 500 tys. zł, miesięczne wypłaty po 10 tys. zł i średnioroczny zwrot w wysokości 5 proc., to zabezpieczę się na cztery i pół roku. Oczywiście mówimy tylko o życiu ze zgromadzonej kwoty. W rzeczywistości nasz kapitał powinien zaspokoić tylko część naszych potrzeb, bo powinniśmy mieć jeszcze emeryturę z ZUS-u, PPK, może OFE, IKE, IKZE, OIPE – doradza Michał Wachowski.

RODZINNY DOM

Sięgam do kontaktów z czasów studenckich. Marcina zapamiętałam jako tego, który mało imprezował, a dużo inwestował. Odezwałam się do niego z prośbą, aby opowiedział mi, jak się miewa 15 lat przed emeryturą. Czułam, że powie mi coś oryginalnego. I nie pomyliłam się.

– Moja emerytura to firma, której prowadzenie za parę lat powierzę komuś młodszemu i ostatecznie sprzedam. Będę doglądał do czasu, aż mnie to zmęczy lub nie będę miał zdrowia – tak, to nieste-

eprasa.pl 738f82d54d

ty kiedyś nastąpi – mówi. I przechodzi do kolejnych wątków:

– Tymczasem inwestuję w nieruchomości w Szwecji i w edukację syna. Nie tylko tą uniwersytecką. Wymarzyłem sobie przed laty dom wielopokoleniowy i stworzyłem taki, namawiając moją teściową, aby z nami zamieszkała. Relacje dziadkowie – rodzice – dzieci – wnuki to w mojej ocenie jedyny gwarant życiowej emerytury. W takim duchu i domu chciałbym dożyć swoich dni. Jestem przeciwnikiem wszechobecnej samotności jako ceny niezależności – podsumowuje.

NACISNĘŁAM: „POLICZ"

W sieci znalazłam sporo poradników o tym, jak przygotować się do emerytury finansowo, mentalnie. Zajrzałam do nich. W żadnym nie przeczytałam o tym, że o emeryturach powinniśmy uczyć się w szkołach. Zanim ruszymy do pracy i zgodzimy się na umowy, które dla systemu emerytalnego będą niewidzialne. Zanim podejmiemy decyzję, że skoro mąż dobrze zarabia, to ja już nie muszę.

Wracam pamięcią do swoich lat szkolnych i nie przypominam sobie, aby słowo „emerytura" padło na jakiejkolwiek lekcji. Nie wiem, być może z braku solidnej edukacji, popełniłam kilka błędów w pierwszych latach pracy zawodowej.

Kiedy byłam studentką, siostra mojego ojca, która miała swoje laboratorium, powiedziała mi, że „kobieta na każdym etapiego swojego życia powinna mieć swoją portmonetkę". Szczęśliwie zapamiętałam to zdanie.

Przygotowując się do tego artykułu, zalogowałam się na swój profil w ZUS-ie. W menu po lewej stronie wybrałam kalkulator emerytalny. Pojawiły się dane wyjściowe. Jedyna kwota, jaką musiałam wpisać, to środki, które miałam w OFE. Wcześniej znalazłam je w zakładce OFE. Wpisałam jeszcze, kiedy planuję przejść na emeryturę, i to wszystko. Nacisnęłam: „Policz". I dziwię się, dlaczego nie zrobiłam tego kilka lat wcześniej?

NOWY SAMOCHÓD CZY OSZCZĘDNOŚCI?

Zapytałam moje nastoletnie dzieci, czy miały w szkole lekcje, na których rozmawiały o planowaniu wydatków, oszczędzaniu długoterminowym i różnych formach zatrudnienia. Nie miały. Może w szkole średniej dowiedzą się, jak dostrzec konieczność wczesnego rozpoczęcia systematycznego oszczędzania, jak inwestować środki na emeryturę oraz czym jest system zabezpieczeń społecznych. Tylko czy cokolwiek z tego zapamiętają, jeśli to będzie jedna kartka do przeczytania z podręcznika do przedmiotu biznes i zarządzanie?

– Jak poprzesuwać wydatki w budżecie domowym, aby było nas stać na wakacje czy nowy samochód? Czy lepiej przeznaczyć większość zarobków na bieżącą konsumpcję, czy odkładać na później? Dlaczego? – pyta retorycznie dr filozofii Wojciech Rutkiewicz, nauczyciel wiedzy o społeczeństwie z warszawskiego liceum Lifeskills. I dodaje: – Zadawanie takich pytań na lekcjach otwiera drogę do zgłębiania różnych form oszczędzania i inwestowania. Można to robić, wykorzystując metody gier, symulacji i dociekań filozoficznych. ▲

MATERIAŁ PROMOCYJNY SOLAR

Wenus

Doskonałość to pojęcie, za którym gonimy z przyzwyczajenia — bez jasnej odpowiedzi, po co i co właściwie miałoby nas tam czekać...

Nowa kolekcja **SOLAR** porusza się między symbolem a codziennością, łącząc różne języki kobiecej garderoby w jedną opowieść. To Wenus współczesna — niejednoznaczna, wymykająca się jednej interpretacji. Zamiast tego pokazuje nas — kobiety — jako zbiór wielu prawd, współistniejących, równorzędnych, równie ważnych.

Autorski print projektantek **SOLAR** — widoczny na chuście i t-shircie — jest wizualnym zapisem różnorodności: fragmenty twarzy i szkicowe linie budują piękną kompozycję, która odzwierciedla wizerunek kobiecości jako zbioru detali, bo każda z nas nosi w sobie więcej niż jedną historię i więcej niż jedną wersję siebie.

Kolekcję **SOLAR** tworzą miękkie modele z dżerseju, printowane sukienki i koszule z naturalnej bawełny oraz ponadczasowy jeans. Tkaniny są przyjazne dla ciała, oddychające i zaprojektowane z myślą o codziennym noszeniu, a kroje pozostawiają przestrzeń na ruch i indywidualny sposób stylizowania.

Na zdjęciach zachowano naturalną fakturę skóry, wraz z jej zmarszczkami i przebarwieniami.

eprasa.pl 738f82d54d

„PIEKŁO KOBIET", reż. Anna Maliszewska. Wyst.: Agata Turkot, Mateusz Damięcki, Katarzyna Herman, Hubert Miłkowski, Maria Kowalska, Bogumiła Bajor, Borys Szyc. Kolejne odcinki co piątek w HBO Max

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SERIAL

Lata mijają, piekło trwa

Dawno żaden serial nie wywołał we mnie takiej złości, ścisku w brzuchu i poczucia bezradności. Nie dlatego, że jest zły. Wręcz przeciwnie – jestem wściekła, bo wierzę w niemal każdą scenę i widzę, że choć jego akcja rozgrywa się w 1931 r., w kwestii praw kobiet niewiele się zmieniło.

Warszawa była wtedy miastem kontrastów – bogaci mieszczanie przechadzali się eleganckimi bulwarami, w kawiarniach kwitło życie kulturalne, ale wystarczyło wyjść poza Śródmieście, by trafić na zapuszczone podwórka biednych dzielnic. Sanacja ścierała się o władzę z endekami, a Tadeusz Boy-Żeleński propagował świadome macierzyństwo, głośno i publicznie domagając się legalizacji aborcji.

Wspominam Boya-Żeleńskiego, bo właśnie ta działalność na rzecz praw kobiet sprawiła, że został jednym z drugoplanowych bohaterów serialu „Piekło kobiet" w reżyserii Anny Maliszewskiej, który od 6 marca można oglądać w HBO Max.

Maksymilian i Helena Wróblewscy (świetni Agata Turkot i Mateusz Damięcki) prowadzą czasopismo „Fortuna Amandi", jak głosi jego podtytuł – „pierwsze w Polsce pismo matrymonialne towarzyskie". Są konserwatywni w poglądach, elastyczni w pracy – o aborcji słyszeć nie chcą, ale felieton Boya-Żeleńskiego wydrukują. Tuż obok ogłoszeń: „pani pozna pana", „pan pozna panią", ale i „pan pozna pana" – z tym, że tu trzeba to jakoś lepiej ubrać w słowa. Helena, kobieta pracująca, przyjmująca matrymonialne anonse, jawi się jako bardzo postępowa, niemal równa mężowi. Jest niepokorna, inteligentna, ma zasady, których się trzyma. Przynajmniej do czasu przekroczenia drzwi metaforycznej małżeńskiej sypialni. „Jesteś moja i tylko ja mam do ciebie prawo!" – grzmi do niej Maks. A kiedy zaczyna tracić nad żoną kontrolę, insynuuje, że Helena „popada w szaleństwo", co jest czytelną groźbą, że jeśli nie będzie robiła tego, co sobie życzy mąż, skończy w zakładzie psychiatrycznym.

Nie tylko życie prywatne państwa Wróblewskich się komplikuje. Magazyn, który prowadzą, staje się celem ataków. Nie dosyć, że wydrukowali felieton Boya-Żeleńskiego (Tomasz Sapryk), to jeszcze nie do końca wiadomo, czy ich czasopismo nie miało czegoś wspólnego z gwałtami, do których dochodzi w Warszawie. I gdyby nie ośli upór Heleny, sprawa pewnie by przycichła, bo, jak wiadomo, gwałt udowodnić niełatwo. To zdanie miało być oczywiście ironiczne, ale i serial, i życie pokazują, że kobieta zgłaszająca gwałt jest z jakiegoś powodu mniej wiarygodna, niż gdy zgłasza kradzież roweru. Kiedy jedna z ofiar mówi policjantowi, że została zgwałcona, ten pyta, jaki jest jej stan cywilny. W czasie badania w pokoju jest pięciu mężczyzn – lekarz, policjanci, jakieś przypadkowe osoby – wszyscy wpatrzeni w przerażoną kobietę. „Może go pani znała, może go pani sprowokowała, może było pani dobrze?" Brakuje tylko: „może spódniczka była za krótka?". „Gwałty są, bo mężczyźni są. Kiedy ludzie spotykają się na randki, mogą dziać się różne rzeczy" – kwituje Maks. Heleny to chyba jednak nie przekonuje, zwłaszcza że życie daje jej kolejne lekcje, że nic nie jest czarno-białe.

Kobiece ciało było, jest i długo jeszcze będzie sprawą polityczną. Czasami, jak próbuje przekonywać Róża, siostra Maksa (Katarzyn Herman), bywa też narzędziem kontroli. Tylko co to za kontrola, skoro ta sama Róża chwilę później głosi, że „mężowie nie lubią długo czekać".

Jak ta historia się skończy, będę dowiadywać się wraz z widzami, gdyż udostępniono mi na razie tylko cztery odcinki „Piekła kobiet". Wiem natomiast, jak kwestia praw kobiet wygląda w tej chwili w Polsce, i pewnie dlatego, kiedy oglądam serial Maliszewskiej, ściska mnie w dołku. Minęło sto lat, tymczasem rządzący wciąż debatują nad lekcjami edukacji seksualnej i odmawiają kobietom prawa do decydowania o ich ciałach z obawy o własne stołki. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

eprasa.pl 738f82d54d

KSIĄŻKA

Polityczna biografia Sanny Marin

Zgodnie z fińską tradycją dziennikarze polityczni są co roku zapraszani na nieformalne spotkanie w Kesärancie, rezydencji premiera. Podczas pierwszego roku po objęciu tego stanowiska Sanna Marin udała się z dziennikarkami do sauny. W Finlandii to nic niezwykłego. W pewnym momencie jednak, kiedy premierka i dziennikarki chłodziły się na zewnątrz, podszedł do nich jeden z dziennikarzy, żaląc się, że koleżanki zyskały większy dostęp do premierki. „Doskonale rozumiem, co czujesz" – odpowiedziała jedna z dziennikarek. Ta anegdota, którą Sanna Marin, najmłodsza premier w historii fińskiego rządu, umieściła w swojej biografii „Nadzieja. O odwadze w rządzeniu", to świetny obraz zmieniających się czasów i rządów Marin.

Książka Sanny Marin to polityczna biografia skupiająca się głównie na czasach, kiedy Marin stała na czele fińskiego rządu, czyli od połowy grudnia 2019 r. do połowy czerwca 2023 r. Biografię zadedykowała swojej córce Emmie „i wszystkim dziewczynom, które zmieniają świat", i faktycznie wiele miejsca poświęca w niej podkreślaniu, jak ważne jest to, żeby w polityce było więcej kobiet. Marin przeprowadziła swój kraj przez pandemię, wprowadziła do NATO i próbowała niwelować skutki globalnego kryzysu gospodarczego związanego z atakiem Rosji na Ukrainę. A i tak oceniano ją przez pryzmat głębokości dekoltu. Wszystko to podsumowała właśnie tą biografią – wartką, nieprzeładowaną faktami, ale na tyle jasną, że nawet ktoś nieobeznany w fińskiej polityce nie powinien się pogubić. To ciekawy wgląd za kulisy wielkiej polityki i uczciwy obraz tego, z czym cały czas mierzą się kobiety liderki. ▲ **(Joanna Wróżynska)**

SANNA MARIN „Nadzieja. O odwadze w rządzeniu", tłum. Adriana Celinska, wyd. Port

SZTUKA

Twin Peaks w Zakopanem

W przepięknym, 121-letnim domu zwanym Domem Doktora, w Zakopanem zobaczyć można wystawę „Tween Peaks", której kuratorem jest Piotr Kolanko z krakowskiej galerii Bałagan. Już sam Dom Doktora to miejsce zupełnie niezwykłe, stara willa z zachowanym wystrojem w stylu zakopiańskim – pełno tu starych szaf, stołów, krzeseł, luster, obrazów, zdjęć z archiwum rodzinnego. Zachowały się też przybory medyczne dr. Wacława Kraszewskiego, dziadka obecnej właścicielki domu Magdaleny Kraszewskiej. W tę przestrzeń, która służy za galerię, ale też w której się żyje – je, śpi, przyjmuje gości – weszli artyści ze swoimi dziełami. Widz/gość chodzi po domu swobodnie i wyszukuje na własną rękę dzieła sztuki, podpisane co prawda karteczkami z informacją, kto jest autorem, ale które znajdować się mogą pomiędzy przedmiotami domowymi – jak na przykład niepokojące portrety Joanny Rusinek, które zawisły nad łóżkiem ponad portretami rodzinnymi. Piotr Kolanko tłumaczy, że jego koncepcja (stąd tytuł wystawy) odnosi się do stanów „pomiędzy" – przestrzeni przejścia, zawieszenia i negocjowania znaczeń. To przestrzeń niewyjaśnionych tajemnic i pewnej grozy. Kurator świetnie żeni dwa miejsca – Twin Peaks i Zakopane – oba naznaczone atmosferą demoniczną. To miejsca, gdzie natura wkracza w życie niewielkiego miasta – otaczają je lasy, w których są wodospady, gdzie pohukują sowy. Pomiędzy pracami artystów, takich jak Adam Rzepecki, Olga Pawłowska, Samuel Kłoda, Magda Kraszewska i wielu innych, znajdujemy sentencje Junga o snach oraz refleksje o wpływie Zakopanego na ludzi. ▲ **(Paulina Reiter)**

„TWEEN PEAKS", Dom Doktora, Zakopane, do 15 marca

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Panie Burmistrzu,

dlaczego Pan mnie tak zabetonował

wypłakałam mirabelkę jarzębiny topole
forsycje dęby wierzby płaczące

brzozy siwe złote mlecze wiosenne
czerwcowe akacje pachnące

teraz kostki brukowe parkingi
upał jak kilkuletnia susza na Kalahari

słońce odbija się w szybach samochodów daje po oczach
jak na przesłuchaniach SB w latach pięćdziesiątych

nie ma ciszy samochody parkują
korzenie ściętych drzew krwawią pod ziemią

w oparach benzyny całopalenie

GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA jest uznaną poetką, a powyższy wiersz pochodzi z książki, która przed wakacjami ukaże się nakładem Domu Literatury w Łodzi

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE

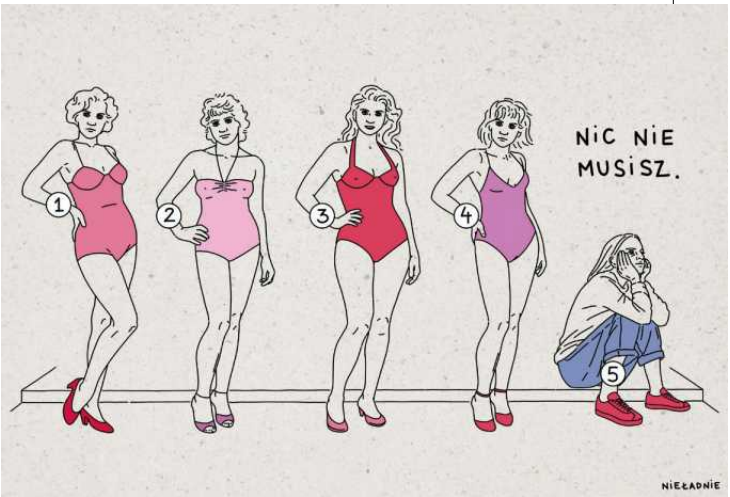

eprasa.pl 738f82d54d

Mama *Sherlocka*

W sposobie myślenia i działania bliżej mi do przekonania, że lepiej być optymistką i się mylić, niż być pesymistką i mieć rację.

Z **NATASCHĄ MCELHONE**, AKTORKĄ, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

W nowym serialu „Młody Sherlock" grasz Cordelię Holmes, mamę tytułowego bohatera. Jak łatwo się domyślić, jest on młodszą wersją detektywa stworzonego przez sir Arthura Conan Doyle'a. Byłaś jego fanką, nim zaproponowano ci tę rolę?
– Sherlock nie odgrywał w moim życiu większej roli, dlatego było naprawdę przyjemne podejść do tej historii zupełnie na świeżo. A ponieważ ta opowieść dotąd właściwie nie została jeszcze opowiedziana, czuliśmy, że stwarza podatny grunt do twórczych poszukiwań i stworzenia czegoś nowego, czego wcześniej nie widzieliśmy. Choć oczywiście czerpaliśmy z kanonu i wszystkiego, co wyrosło z książek od czasu ich publikacji. Sherlock jest wrośnięty w brytyjską kulturę, jest nawet częścią języka potocznego – mamy powiedzenia związane z jego imieniem.

Jak myślisz, skąd bierze się więc ogólnoświatowa sympatia dla tego oryginalnego detektywa?
– Może chodzi o to, że Conan Doyle stworzył bohatera, który był nonkonformistą, a jednak docierał do prawdy, wykonując mniej ruchów niż ktokolwiek inny.

Według Księgi rekordów Guinnessa już w 2012 r. było ponad 250 filmów i seriali, w których występował Sherlock Holmes. Trudno więc stworzyć coś nowatorskiego, co przyciągnie uwagę widza. Wam się to udało. Co ciebie zainteresowało w scenariuszu „Młodego Sherlocka"?
– Kluczowe było dla mnie podejście Matthew Parkhilla, scenarzysty i showrunnera. Napisał swoistą biblię serialu, niezwykle szczegółową, która dokładnie wyjaśniała, w jakim kierunku zamierza poprowadzić tę historię. Nie był i nie musiał być przywiązany do materiału źródłowego, bo opowiadał historię rozgrywającą się przed wyda-

NATASCHA MCELHONE

– angielska aktorka filmowa, teatralna i telewizyjna. Grała m.in. w filmach „Zdrada", „Ronin" czy „Solaris" i serialach „Californication", „Halo" czy „Designated Survivor". Wszystkie osiem odcinków „Młodego Sherlocka" można już oglądać na Prime Video

rzeniami z książek. To dawało wspaniałą przestrzeń do twórczej zabawy, do snucia opowieści typu „co by było, gdyby" oraz zastanawiania się, co wydarzyło się wcześniej. Miał sporą swobodę twórczą, a my wraz z nim. To było bardzo pociągające, bo nie trzeba było podążać czyimiś śladami ani nawet podchodzić z nabożnym szacunkiem do historii, którą się adaptuje.

No właśnie. Matka Holmesa to raczej nieznana postać, nie pojawia się na kartach żadnej z książek Arthura Conan Doyla. Było ci dzięki temu łatwiej czy trudniej?
– Zdecydowanie łatwiej, bo, jak wspomniałam, mogłam pozwolić sobie na większą swobodę interpretacyjną. Mogłam wybrać pewne cechy, które do swojej interpretacji Sherlocka wnosił Hero [Fiennes Tiffin, aktor grający w serialu – przyp. red.], i nieco je wzmocnić, żeby pogłębić więź między nimi albo zasugerować pewne genetyczne dziedzictwo z jej strony. Te odziedziczone cechy musiały być szczególnie wyraźne, bo matki nie było przy Sherlocku przez dziesięć lat, więc właściwie go nie wychowywała – to zadanie zostało powierzone szkołom. Ciekawie więc było grać moment, w którym matka ponownie odkrywa Sherlocka, poznaje człowieka, którym się stał. I jest zachwycona tym, co dostrzega.

Wspomniałaś, że to opowieść o początkach rodziny Holmesów. Dla mnie ta historia to też pytanie: na ile to, kim będziemy, zależy od tego, skąd pochodzimy?
– Myślę, że mamy wybór. Nie należę do osób, które bezkrytycznie przyjmują freudowski wzorzec jako uniwersalne wyjaśnienie wszystkiego. Choć darzę Freuda szacunkiem i uznaję, że w wielu dziedzinach był pionierem, to jednak w sposobie myślenia i działania bliżej mi do przekonania, że lepiej być optymistą i się mylić, niż być pesymistą i mieć rację.

Nie chcę zaczynać od gotowego schematu: „to nieuniknione, skoro ktoś miał takie, a nie inne doświadczenia, więc jego możliwości są z góry ograniczone". Owszem, czasem tak bywa, ale jest też mnóstwo przykładów ludzi, którzy przezwyciężają niezwykłe trudności i brak szans, choć to o wiele trudniejsze. Z drugiej strony są osoby urodzone w uprzywilejowanych warunkach, które nie potrafią ruszyć z miejsca, bo być może nie mają potrzeby, by udowodnić swoją wartość. Nie chcę jednak nikogo oceniać, tylko uważam, że na szczęście jest to znacznie bardziej złożone.

> Nawet nasze własne wspomnienia potrafią nas zwodzić, *zniekształcając to, co przeżyliśmy*

Spotykamy po drodze mentorów, nawiązujemy przyjaźnie, a miłość może przyjść z wielu stron. Oczywiście pierwszych pięć lat życia jest kluczowe – chyba wszyscy to wiemy. Patrząc na obrazy mózgu z badań fMRI [funkcjonalnego rezonansu magnetycznego – red.], możemy zobaczyć, które obszary się aktywizują, a które nie, i jak ogromne znaczenie ma miłość oraz więź z rodzicem czy opiekunem. Jesteśmy jednak niezwykle zdolni do adaptacji. To nasza siła i dlatego wciąż tu jesteśmy. Skłaniam się więc ku przekonaniu, że wszystko jest możliwe.

Sporo miejsca w „Młodym Sherlocku" zajmuje relacja matki z synem. Sama jesteś mamą trzech chłopców i zastanawiam się, czy wasza dynamika przeniknęła jakoś do serialu.
– Kilka osób mnie o to pytało i sądzę, że coś w tym jest, choćby na poziomie podświadomości. Jednocześnie my, aktorzy, przez większość czasu korzystamy jednak z wyobraźni.

Chciałam zostać aktorką, odkąd miałam trzy lata, a przecież nie przeżyłam wtedy jeszcze zbyt wiele, nie miałam bogatego doświadczenia, na którym mogłabym się oprzeć. A jednak nie powstrzymało mnie to przed wcielaniem się w różne postacie i role, naśladowaniem ludzi i czerpaniem z przestrzeni twórczej zabawy w wyobraźni, jakiejś wewnętrznej „piaskownicy". Myślę, że czasem nie doceniamy jej znaczenia, stawiając doświadczenie życiowe ponad wszystko. Nie jestem pewna, czy słusz-

OGŁOSZENIE

POWIEŚĆ NOMINOWANA DO **WOMEN'S PRIZE FOR FICTION 2025**

Porzucenie całego dotychczasowego życia, bez jasnego planu, bez pracy, bez pieniędzy...
to decyzja, przed która wciąż staje zbyt wiele kobiet.

Ciara skacze na głęboką wodę, ale wie, że dokonała właściwego wyboru. Bo w jej domu już od dawna nie jest bezpiecznie.

Ta książka mówi o tych rodzajach przemocy, które nie pozostawiają widocznych śladów, ale ranią równie dotkliwie i równie trudno jest się od nich uwolnić.

Odejść jest łatwo.
Nie wrócić - to już inna historia.
– *Gniazdo*, Roisín O'Donnell

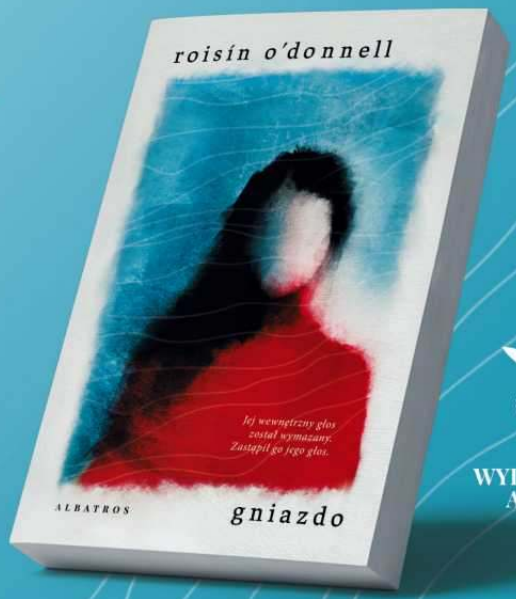

WYDAWNICTWO ALBATROS

eprasa.pl 738f82d54d

Hero Fiennes Tiffin w roli Sherlocka, Natascha McElhone jako Cordelia Holmes i Dónal Finn jako James Moriarty w serialu „Młody Sherlock"

nie. Nieustannie przecież zmieniamy nasze opowieści o tym, co nam się przydarzyło, i nawet nasze własne wspomnienia potrafią nas zwodzić, zniekształcając to, co przeżyliśmy. Dlatego sądzę, że wyobraźnia bywa czasem równie wiarygodnym źródłem przy budowaniu postaci.

Wiele scen w tym serialu, choćby te w Paryżu, urzekło mnie także na poziomie wizualnym. Miałaś swoje ulubione momenty podczas pracy nad „Młodym Sherlockiem"?
– Nie było dnia na planie, którego bym nie uwielbiała. To był jeden z tych projektów, które przypominają fiestę. Panowała wspaniała atmosfera, ludzie byli niezwykli – przekrój najróżniejszych osobowości i temperamentów.

To była świetna zabawa. Bardzo lubiłam sceny w domu na początku serialu. Miał niesamowitą atmosferę i moim zdaniem stał się niemal kolejnym bohaterem serialu, trochę nas prześladując. Jego ściany skrywały tajemnice i tę część też lubiłam. Ta opowieść miała różne etapy, co sprawiało, że praca była naprawdę ekscytująca i nie dawała poczucia powtarzalności.

Grałaś w produkcjach, których akcja rozgrywa się w przeszłości, w przyszłości, czy, jak w jednym z moich ulubionych seriali – w Kalifornii. Która epoka odpowiada ci najbardziej?
– Najbardziej pociąga mnie właśnie ta różnorodność, przeskakiwanie między tak odmiennymi postaciami. Dr Halsey z „Halo" to na przykład wszechpotężna naukowczyni, która ma być może więcej władzy niż powinna i używa jej w sposób budzący podejrzenia. Oczywiście sama jest przekonana o własnej racji i o tym, że jej działania są słuszne.

> Chciałam zostać aktorką, odkąd miałam trzy lata, *a przecież nie przeżyłam wtedy jeszcze zbyt wiele*

A później nagle gram kogoś takiego jak Cordelia, zupełnie pozbawionego władzy, komu właściwie odebrano całą sprawczość, kto jest jak więźniarka i budzi nieufność. Cóż, Halsey też była osobą, której nie ufano, więc to doświadczenie je łączy. Poza tym nie mogłyby się jednak bardziej różnić. To jest właśnie fascynujące. I jest to też największa przyjemność w mojej pracy, że mogę tak swobodnie przeskakiwać między skrajnościami.

Jest jakaś bohaterka – fikcyjna albo prawdziwa – którą chciałabyś zagrać?
– Jest taka postać, której dziedzictwo, mam wrażenie, wciąż zupełnie nie zostało odkryte. Może nie powinnam tego mówić, bo zaraz ktoś kupi prawa do jej książek, ale chodzi o niezwykłą kobietę, z którą co prawda nie mam wiele wspólnego, ale chciałabym ją zagrać. Po części także dlatego, że czuję, że szczególnie teraz świat jej potrzebuje. Mówię o Rachel Carson, która zaczynała jako biolożka morska. Była bardzo znaną działaczką na rzecz środowiska, autorką wielu książek. W epoce maccartyzmu próbowano ją zdyskredytować – po pięćdziesiątce, niezamężna, więc oczywiście „musiała być komunistką".

Jej historia jest fascynująca. Żyła w swoistym trójkącie miłosnym, była zakochana w zamężnej kobiecie, której mąż akceptował tę relację. Co jednak najważniejsze, bardzo wcześnie dostrzegła, jak niszczymy planetę. I to zanim jeszcze powstał język, którym dziś tak swobodnie posługujemy się, mówiąc o degradacji środowiska czy odpowiedzialności człowieka za Ziemię. Jako jedna z pierwszych nazwała te zjawiska i głośno zaprotestowała przeciwko postępującej destrukcji. Przyczyniła się do zmiany prawa dotyczącego stosowania pestycydów w rolnictwie.

Dlatego myślę, że mogłaby stać się bohaterką niezwykle ciekawego studium. Czasami jednak trudno opowiadać historie o dobrych ludziach, bo widzowie oczekują napięcia, konfliktu. Mimo tego uważam, że jej losy były poruszające, a historia aktualna, zwłaszcza dziś, kiedy kwestie ochrony środowiska zajmują tak dużo miejsca w debacie publicznej i, miejmy nadzieję, nadal będą zajmowały.

Jej książki – „Silent Spring" czy „The Sea Around Us" – są dość gęste, bywają więc trudne w lekturze. Łączyła w sobie wrażliwość poetki i precyzję naukowczyni, miała więc to, co najlepsze z obu światów. Zawsze zaskakuje mnie, jak wiele osób wciąż o niej nie słyszało. To niezwykła, inspirująca postać, która miała bardzo złożone życie i zmarła młodo, na raka. Myślę o niej jednak jako o kimś bardzo współczesnym. Pod wieloma względami wyprzedzała swoją epokę i sądzę, że doskonale wpisałaby się w dzisiejsze wyobrażenie o tym, kim może być kobieta.

Może sama powinnaś kupić prawa do jej historii i obsadzić się w głównej roli?
– Pójdę dzisiaj spać, marząc o tym. ▲

Rozmowa z Hero Finnesem Tiffinem grającym Sherlocka Holmesa będzie do przeczytania w magazynie „Wysokie Obcasy Extra", który ukaże się 19 marca.

FOT. DAN SMITH/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 738f82d54d

Sprzątanie *życia*

Od kiedy pamięta, prowadziła dziennik. Towarzyszył jej w chorobie i w chwilach zwątpienia. „Księga alchemii" Suleiki Jaouad to bestsellerowy przewodnik o sztuce prowadzenia dziennika, który pomaga radzić sobie ze światem.

TEKST **PATRYCJA PUSTKOWIAK**

Prowadzenie dziennika jest procesem iście alchemicznym, mającym praktyczne zastosowanie w każdej dziedzinie życia. Dziennik jest jak poczwarka: okrywa twoje najbardziej wrażliwe, najbardziej nieukształtowane „ja" – pisze Suleika Jaouad, pisarka i malarka, publicystka „New York Timesa", bohaterka nominowanego do Oscara filmu dokumentalnego „Amerykańska symfonia", autorka „Księgi alchemii. Twórczej ścieżki do życia pełnego inspiracji", bestsellerowego przewodnika po sztuce prowadzenia dziennika. Codzienne pisanie przemieniło się z jej ulubionego zajęcia w koło ratunkowe, gdy w wieku dwudziestu dwóch lat zdiagnozowano u niej białaczkę. Choć lekarze dawali jej 35 procent szans na długie życie, ona, przekonana, że będzie inaczej, zgłosiła się na oddział z powieścią „Wojna i pokój" pod pachą, planując wykorzystać okres leczenia na odrobienie zaległości z literackiej klasyki.

„Ale czas i nieszczęścia wiedzą, jak rozwiewać nasze złudzenia. Moje przepadły bez śladu do końca lata. Po tygodniach zamknięcia w szpitalnym pokoju, kłucia igłami, niekończących się pytaniach i cierpieniach z powodu dotkliwych skutków ubocznych chemioterapii dowiedziałam się, że standardowe leczenie nie działa" – wspomina.

UKOJENIE

To był moment, w którym nastąpił punkt zwrotny. Tak go wspomina: „Moje wcześniejsze, główne zmartwienie: »Co zamierzam zrobić ze swoim życiem?«, ustąpiło pytaniu: »Kim jestem i co naprawdę ma dla mnie znaczenie?«".

Z poczuciem, że jej życie się skończyło, zanim zdążyło się na dobre rozpocząć, desperacko szukała czegoś, co pomogłoby jej przetrwać. Wybrała to, co zawsze niosło jej ukojenie w chwilach zamętu: pisanie dziennika. To właśnie ono miało moc porządkowania życia wewnętrznego i tego, co wokół: „Niekiedy pisanie o czymś wydawało się nie do zniesienia, ale później zawsze czułam ulgę, jakby ciężar spadł mi z serca. I za każdym razem, gdy opowiadałam o smutnych chwilach, zaczynałam zauważać te piękne, a nawet zabawne, które przydarzały mi się w tym samym czasie". To był początek procesu zdrowienia, tego emocjonalnego, który zbiegł się z tym dotyczącym choroby, bo kiedy zadziałały nowe leki chemioterapeutyczne, pisarce udało się pokonać białaczkę.

WYMIANA

Rok po diagnozie Jaouad zaczęła prowadzić cotygodniową kolumnę w „New York Timesie", w której opisywała doświadczenia młodej osoby chorej na raka. Kolumna nosiła życie „Life, interrupted" („Przerwa w życiu"). Postanowiła iść naprzód. Zamieszkała ze swoim partnerem, zapisała się na studia podyplomowe i zaczęła nauczać twórczej literatury faktu. Nie ustawała w pisaniu dziennika. „Pisanie stało się poranną medytacją, wymiatającą śmieci z mojego umysłu" – wspomina. Skończyła to, o czym marzyła – rękopis swoich wspomnień, zatytułowany „Between Two Kingdoms".

Jeszcze nie wiedziała, że przed nią dwukrotny nawrót białaczki, ale wiedziała, że kiedykolwiek mierzy się z trudnościami, zna już na nie sposób: dziennik. Twórczy akt, który umożliwia przetrwanie. Pozwala zrozumieć siebie, znieść trudne chwile i może stanowić podpowiedź tego, jak pracować dalej nawet w chwilach zniechęcenia czy blokady.

Uznała, że powinna podzielić się tą metodą z innymi. Tak zrodziła się „Księga alchemii", którą autorka nazywa „towarzyszką życiowych zmian i trudnych chwil". To zbiór stu krótkich tekstów dotyczących osobistych doświadczeń, połączonych z opisem impulsu stojącego u początku ich powstania, będących zarazem skierowaną do czytelników zachętą, by sami wykonali podobne ćwiczenie. Wśród autorów zaproszonych przez Jaouad do projektu są znani pisarze, tacy jak Elizabeth Gilbert, Salman Rushdie czy George Saunders, ale też i zwykli ludzie, próbujący się uporać ze stratą, smutkiem, niepowodzeniem. Jak choćby młoda kobieta, która wyszła z nałogu i zarazem z toksycznego związku, czy pogrążony w żałobie wdowiec albo więzień z celi śmierci. Opowieści różnych osób zaproszonych przez autorkę do projektu są przeplatane i porządkowane przez jej własną narrację – opowieść o chorobie, twórczości, codzienności, relacjach z ludźmi.

NADZIEJA

Gdy po raz pierwszy słyszy się o „Księdze alchemii", można by pomyśleć, że to kolejna wariacja na rzecz banalnego podręcznika rozwoju. Na szczęście jest inaczej. Każdy z tych esejów jest cennym, dodającym otuchy, czasem wzruszającym, czasem zabawnym spotkaniem z drugim człowiekiem, który na różne sposoby uczy się instrukcji obsługi tego dziwnego projektu zwanego Życiem, a zarazem znajduje siłę i nadzieję w tworzeniu. W końcu, jak pisze autorka, ma ona niemal magiczne moce: „Nie można nie czuć się bezbronnym, gdy wszystko się zmienia i wymyka spod kontroli. Ale wiem z doświadczenia, że kiedy ukrywamy się przed tym, co nas doświadcza, ciemność rozprzestrzenia się i mnoży jak myszy. Tylko dzięki »alchemizacji« strachu przed nieznanym w magię nie,znanego można pamiętać o tym, co jest naprawdę istotne". ▲

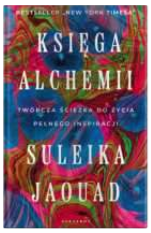

SULEIKA JAOUAD
„Księga alchemii. Twórcza ścieżka do życia pełnego inspiracji", przeł. Maria Gębicka-Frąc, wydawnictwo Albatros, 2026

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 738f82d54d

Wielka siła *obecności*

Czujemy, że przy Kasi łatwo nam się wyluzować, a przy Gosi jesteśmy zmęczone. Każdy z nas ma swój emocjonalny podpis.

Z **ZUZANNĄ ZIOMECKĄ**, AUTORKĄ KSIĄŻKI „DOBRZE, ŻE JESTEŚ", ROZMAWIA **ANNA WOŹNIAK**
RYSUNEK **MAGDALENA PANKIEWICZ**

Dlaczego tak dużo uwagi poświęcasz uwadze? Piszesz o niej jako o zasobie, podpowiadasz, jak można ją trenować.

– Obecnie, po raz pierwszy, nie panujemy nad własną uwagą. Zapełniając ją cyfrowymi treściami, po które coraz bardziej kompulsywnie sięgamy, tracimy zdolność zauważania siebie samych i tego, co się dzieje z naszym ciałem. Odczuwamy niezaspokojone potrzeby dopiero, gdy coś się psuje. Zatrzymują nas skutki zaniedbania: choroba, wypalenie albo silny stan rozregulowania emocjonalnego.

Od czego zacząć ćwiczenie uwagi?

– Kiedyś uważałam, że najważniejsza jest medytacja. Dzisiaj wiem, że nie jest dla każdego. Nie wszyscy odnajdują się w ćwiczeniu na poduszce, w bezruchu, z zamkniętymi oczami.

Na szczęście medytacja jest tylko jednym z wielu sposobów na wypracowanie w sobie stanu uważności. W zależności od tego, do czego nam brakuje uwagi, mam w książce różne ćwiczenia.

Masz ulubioną praktykę?

– Tak, poza medytacją moim ulubionym ćwiczeniem są zajęcia taneczne z choreografią. Muszę patrzeć na instruktora, naśladować jego ruchy, podążać za grupą. To ćwiczy uwagę wąską oraz szeroką jednocześnie. Jednak to, co daje największy efekt ulgi, to wyprowadzenie uwagi z głowy, gdzie mielimy myśli do upadłego. Odpuszczenie myślenia na godzinę u dorosłej, odpowiedzialnej, zapracowanej osoby to prawdziwe święto.

Wyobrażasz sobie godzinę bez rozwiązywania problemów i budowania listy rzeczy do zrobienia? W trakcie takiej przerwy od myślenia, gdy uwaga jest skierowana na ciało w ruchu i ludzi w grupie, cały system nerwowy się resetuje, napływają endorfiny i wraca siła witalna na te wszystkie ważne sprawy, które mam tego dnia do zrobienia.

Niektórzy mogą się tak poczuć, gotując, majsterkując, uprawiając ogród. Ważne, by dać się pochłonąć bez reszty, zapełniając uwagę wyłącznie tym jednym działaniem, które cię tak mocno angażuje.

Takim ćwiczeniem może być również rozmowa, w której nikt nikomu nie przerywa, tylko obie strony słuchają siebie nawzajem uważnie do końca, poświęcając całą uwagę rozmówcy. Wyłapujemy wtedy nie tylko słowa, ale emocje, które pod nimi płyną; zauważamy znaczące cisze, mowę ciała. Mózg wtedy rejestruje mikrozmiany w napięciu twarzy, w tempie oddechu, i otwiera się kanał, w którym w pełni ujawnia się przekaz niewerbalny.

> Badania pokazują, że uważnością można „zarazić".
> *Wystarczy jedna uważna osoba*

To jest bardzo ważna praktyka. Żyjemy w czasach relacji połowicznych. Niby rozmawiamy, ale patrzymy w telefon. Przyszliśmy na spotkanie towarzyskie, ale myślami jesteśmy daleko. Godzimy się na coraz niższy standard kontaktów międzyludzkich w realu, jednocześnie mając coraz mniej zaufania do treści, które przekazujemy sobie online. Jak mamy pogłębiać przyjaźnie, zakochiwać się i budować realne społeczności, gdy przestajemy umieć zwracać na siebie uwagę? Tak się nie da.

Czym jest Niewzburzona Obecność, o której piszesz w książce?

– Niewzburzona Obecność jest budowana intencjonalnie, głównie za pomocą zauważania tego, co czujemy – fizycznie i emocjonalnie. Aby zaopiekować się swoimi emocjami oraz mądrze korzystać ze stresu i „nadawać" do innych pozytywny przekaz, musimy mieć świadomość tego, co w sobie nosimy. Do tego jest potrzebna uwaga.

Niewzburzona Obecność jest próbą przetłumaczenia koncepcji anglojęzycznej „non-anxious presence". Ten stan Niewzburzonej Obecności wspiera ludzi wprowadzających zmiany w różnych organizacjach, w nauce, w działalności społecznej.

Przekłada się to także na życie codzienne. Boimy się zmian, tego, co stracimy i tego, co nowe, nieznane. Będąc w stanie Niewzburzonej Obecności, możemy być tą osobą, która wchodzi do pokoju i wniosi ze sobą spokój, pewność. Sprawia, że ludziom wraca nadzieja, zaufanie i wiara w powodzenie naszych trudnych wyzwań.

Wydaje mi się, że każdy, kto próbuje dziś wpływać na losy świata, rodziny czy swojej organizacji, potrzebuje więcej niż dobrych instrukcji i planów, aby zbudować zaufanie i mobilizować ludzi, za których jest odpowiedzialny.

Badania pokazują, że spokój jest zaraźliwy.

– Nie tyle spokój, co uważność. Udowodniła to Ellen Langer, pierwsza kobieta, która dostała tytuł profesorki na Harvardzie, na wydziale prawa i psychologii.

Langer pochyla się nad mindfulness od lat 70. XX wieku. Najnowszy kierunek jej pracy pokazuje m.in., że obecność uważnego towarzysza zwiększa poziom sprawności w wykonywaniu ćwiczeń poznawczych u uczestników badań. Szybciej wyłapują nieprawidłowości w tekście i sprawniej kończą zadania. Dosłownie zarażają się wyższym poziomem skupienia od osoby siedzącej obok, która aktywnie ćwiczy uważność.

To potężne narzędzie w rękach osób, które uczą, zarządzają projektami lub opiekują się osobami chorymi. I wielka szansa, bo pokazuje, że nie wszyscy muszą być jednocześnie uważni. Nauczyciel czy na-

eprasa.pl 738f82d54d

eprasa.pl 738f82d54d

uczycielka może wejść do klasy rozedrganych, rozproszonych uczniów i zarazić ich uważnością. Można wejść do biura pełnego stresu wywołanego restrukturyzacją i obniżyć poziom paniki swoim własnym opanowaniem.

Zarażamy się uważnością, ale i emocjami drugiej osoby?
– Istnieją konkretne mechanizmy, które przekazują niewerbalne treści między jednym systemem nerwowym a drugim. Nerw błędny cały czas skanuje otoczenie i ustala, czy mogę czuć się swobodnie.

Do tego dochodzą neurony lustrzane, dzięki którym potrafimy odbierać emocje innych ludzi. Dzieje się to nieświadomie, gdy nasze systemy nerwowe odruchowo tworzą kopię cudzego stanu emocjonalnego, który nagle czujemy w sobie, jakby był nasz własny.

Co ciekawe, przekaz emocjonalny wzmacnia się u osób, które mają władzę i autorytet. Te osoby zarażają bardziej. Jeśli szefowa nie jest świadoma, że właśnie „nadaje" złość, może się dziwić, jak bardzo konfrontacyjni stają się członkowie jej zespołu. A przekładając to na życie rodzinne, jak może czuć się dziecko, kiedy wściekły, podminowany rodzic wraca do domu po złym dniu w pracy? Niby nic się nie stało. Może nawet nikt jeszcze niczego nie powiedział, a i tak czuć, że napięcie wisi w powietrzu.

Może żyje w stresie. Nie jest w stanie nad nim zapanować.
– Tak jest. Wszyscy tak żyjemy. Dlatego spora część książki jest poświęcona temu, jak mądrze „korzystać" ze stresu. Nie chodzi o to, aby się go pozbyć z naszego życia, bo to jest niemożliwe. Stres to energia, która wyzwala się w odpowiedzi na nasze najważniejsze wyzwania. Musimy jednak wiedzieć, kiedy i jak zakręcić kurek, żeby nie zrobił nam krzywdy.

Stres jest reakcją, która powinna trwać kilka, maksymalnie kilkadziesiąt minut. Ma być dopingiem, dzięki któremu można uciec od zagrożenia albo z nim walczyć. Po tym czasie człowiek powinien „zrzucać" z siebie stres i nie odczuwać jego skutków ubocznych. Tego rodzaju siła pomaga nam wygrywać zawody sportowe, uczyć się do egzaminu pomimo zmęczenia, wymyślać najlepsze pomysły, rozwiązywać problemy.

Jednak często zdarza się, że nasze problemy trwają tygodniami, miesiącami, latami. Wiele zawodów zawiera w sobie stres z założenia. Wiesz o tym dobrze, bo tak jest

FOT. ŁUKASZ GŁĄB

ZUZANNA ZIOMECKA

– dziennikarka i trenerka. Specjalizuje się w zarządzaniu stresem oraz w rozwoju zdolności przywódczych. „Dobrze, że jesteś", o której mowa w wywiadzie, to jej druga książka

w dziennikarstwie. Podobnie jest w szpitalach, w szkołach, w korporacjach, w start-upach, w wielu fundacjach. Jest tak również w rodzinach, w których jest ktoś chory lub niepełnosprawny. Jeżeli nie nauczymy się mądrze posługiwać stresem, z którym obcujemy na co dzień, skazujemy się na wypalenie, depresję, choroby autoimmunologiczne. Dlatego tak ważne jest, aby wiedzieć, jak korzystać z dopingu, który stres nam dodaje, i umieć go wyciszyć, by nas nie wypalił.

Można tak po prostu „wyłączyć" stres?
– Jestem przekonana, że większość osób czytających „Wysokie Obcasy" oraz potencjalnych czytelników i czytelniczek mojej książki doskonale zna sposoby na wygaszenie stresu. Tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Są to rzeczy, które kochamy robić, ale rezygnujemy z nich, kiedy jesteśmy w stresującej sytuacji. Odkładamy czytanie książki, słuchanie ulubionej muzyki, spotkanie z przyjaciółmi, spacer po lesie czy pieczenie ciasta na czas, kiedy już „będzie po wszystkim". Odkładamy nasze regulujące stres działania na później, bo „odpoczywać to będziemy w trumnie!". „Nie mam teraz głowy ani czasu na przyjemności i roztkliwianie się nad sobą". „Teraz muszę się skupić, dajcie mi spokój z tymi głupotami". Słyszę to na okrągło od uczestników warsztatów i treningów.

Tymczasem w sytuacjach stresujących właśnie te głupoty są nam najbardziej potrzebne. Gdybym miała stworzyć niezbędnik człowieka naszych czasów, na liście byłyby: edukacja, grono bliskich, ciekawość i przynajmniej jeden sprawdzony sposób na stres. Bez tego najbardziej ambitny, pracowity i wartościowy człowiek prędzej czy później wyląduje w kryzysie.

Dodałabym jeszcze świadomość swoich emocji.
– To ważny dla mnie temat. Mam niepokojące przekonanie, że w pogoni za dobrostanem zaczęliśmy postrzegać trudne emocje w kategoriach porażki lub nawet jak stany chorobowe, których trzeba czym prędzej się pozbyć. Tymczasem one nie są usterkami do usunięcia. To ważna informacja, kluczowa dla naszej równowagi fizycznej i psychicznej.

Nawet gdy są dla nas bolesne i trudne, emocje do czegoś służą. Ewolucja jest geniuszem. Te rzeczy, które nie są nam potrzebne, wygasza. Tak jak malutki paznokieć na najmniejszym palcu u stóp, którego niektóre moje koleżanki nawet nie malują, bo już jest prawie zaniknięty. Tak jest, bo ten paznokietek nie jest nam już do niczego potrzebny. A emocje, nawet te trudne, bolesne, nie zanikają – wciąż mają ważną rolę do odegrania.

Nie widzimy ich sensu, ponieważ zamiast pochylić się nad nimi i zrozumieć, co nam próbują powiedzieć, walczymy z dyskomfortem, który powodują. Złamane serce boli tak samo mocno jak złamana noga. Smutek nas potrafi zatrzymać niczym głaz na klatce piersiowej. Skupiając się na poszukiwaniu ulgi, tracimy szansę na mądrość, do której trudne emocje zapraszają.

Pamiętam, jak kilka lat temu odchodziłam z jednej pracy do nowej. Włożyłam najładniejsze szpilki i opuściłam organizację pełna ekscytacji na temat swojego nowego etapu zawodowego. Byłam przekonana, że zadbałam o wszystko, tymczasem, gdy wyszłam z budynku i wsiadłam do auta, miałam wrażenie, że serce mi pęka. Nie spodziewałam się, że będzie mi tak przykro.

W całej mojej entuzjastycznej pogoni za tym, co nowe, nie uświadomiłam sobie, jak dużo tracę, odchodząc z tej pracy – koleżanki, bycie częścią zespołu, misję, w którą wierzyłam. To było znaczące rozstanie, po którym chciałam się prześlizgnąć. Smutek mnie zatrzymał i pozwolił się pożegnać, włącznie z okresem żałoby nad tym, co bezpowrotnie straciłam.

Smutek zawsze jest o stracie. Jeśli nie uporządkujemy sobie świata po niej, nie załatamy „dziur", które po stracie zostają.

Nie lubimy smutku, ale mam też wrażenie, że wstydzimy się go. Bycie smutnym jest nudne, nie w trendach.

eprasa.pl 738f82d54d

– Smutek, złość, lęk, wstyd. To wszystko stany, które najchętniej ukrywamy przed światem, a często nawet same przed sobą.

Paradoksalnie uczucia, które chowamy w ten sposób, oddziałują i promieniują na otoczenie mocniej niż te, które okazujemy. Za pośrednictwem neuronów lustrzanych malutkie kopie naszego smutku czy lęku wędrują do innych, którzy nagle w naszym towarzystwie widzą cień cierpienia. Nie wiedzą czemu, ale czują się źle i podświadomie łączą to z naszą obecnością. I wtedy widzimy, że się od nas odsuwają, zaczynają nas unikać. W ten sposób nie dość, że trawią nas wepchnięte pod dywan emocje, to jeszcze dochodzi samotność i poczucie opuszczenia.

Dlatego w książce proponuję strategie bezpiecznych spotkań z emocjami, by móc korzystać z nich, zamiast dawać się im pochłonąć. Uznanie i pozwolenie sobie na przeżywanie emocji jest najlepszym sposobem na ich wygaszenie. A gdy nie mamy możliwości wyciszać emocji, proponuję mówienie o ich obecności. Wtedy nasi bliscy rozumieją, że to, co przy nas czują, to odbicie naszego stanu, a nie ich własny, i łatwiej im być blisko, by nieść go razem z nami. Świadomość tego, co niewidzialne, dodaje sił i otwiera drogę do życzliwego wsparcia.

Mam taką cichą nadzieję, że ta książka przekona nasze dzielne kobiety i naszych dzielnych mężczyzn, że to, co czują w środku, nie jest ukryte ani bez znaczenia, tylko odwrotnie: staje się częścią naszego zbiorowego doświadczenia. Dlatego dbanie o swoją uwagę, mądre korzystanie ze stresu i opieka nad emocjami nie jest samolubne, tylko jest kolejną formą troski o naszych ludzi i o nasze ważne sprawy.

Co jeszcze oprócz uwagi, zarządzania stresem, rozumienia emocji i akceptacji potrzebujemy do stanu Niewzburzonej Obecności?

– Ostatnim składnikiem jest pozytywna afektywna obecność. Z badań wiemy, że każdy człowiek nadaje swój emocjonalny podpis, absolutnie unikalny i wyjątkowy, jak odcisk palca lub zapach.

To przekaz emocjonalny, typowy dla nas, niezależnie od naszego nastroju czy środowiska. Czujemy, że przy Kasi łatwo nam się wyluzować, a przy Gosi jesteśmy zmęczone. Że przy Piotrku jest zabawnie, a przy Łukaszu poważnie. Ten autorski wpływ, który wywieramy, może być pozytywny lub negatywny, lecz w odróżnieniu od odcisku palców lub zapachu, możemy go z czasem zmienić, jeśli nie jest teraz taki, jak byśmy chcieli. Do tej pracy też proponuję w książce ćwiczenia.

Tak właśnie powstał przepis na Niewzburzoną Obecność złożoną z czterech składników: uwagi, opanowanego stresu, zaakceptowanych emocji oraz pozytywnej afektywnej obecności. Razem wzięte, tworzą wewnętrzny porządek, który wspiera nie tylko ciebie, ale również daje siłę i wsparcie otoczeniu. ▲

ZUZANNA ZIOMECKA
„Dobrze, że jesteś”, wyd. Wielka Litera, Warszawa 2026

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 738f82d54d

SOLAR
x
Magdalena Lamparska
solar.com.pl